

ZESZYT SIEDEMDZIESIĄTY CZWARTY

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1985

ZESZYT SIEDEMDZIESIĄTY CZWARTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1985

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 412

ISBN 2-7168-0075-8

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Ks. Stefan kardynał WYSZYŃSKI
Prymas Polski

W STULECIE POWSTANIA STYCZNIOWEGO

Życie człowieka, podobnie jak życie narodu, składa się z całego szeregu czynów, działań, myśli, słów, posunięć — udanych lub nieudanych, szczęśliwych lub nieszczęśliwych. Można je oceniać, jakkolwiek każdy, kto roztropny, nie spieszy się nigdy z sądem o człowieku ani o narodzie. Dokąd życie biegnie, mogą w nim być jeszcze różne zdarzenia i czyny. Dobry Bóg, wielce wyrozumiały dla ludzi, przykazuje każdemu: „Nie sądzcie, abyście nie byli sądzeni” (Mt. 7,1). I chociaż mamy prawo do historycznych ocen ludzi, którzy odeszli, to jednak nigdy nie zaszkodzą roztropność, rozważa, umiar i oszczędność.

A cóż dopiero, gdy chodzi o życie narodu, który nadal żyje, którego bieg dziejowy ciągle się rozwija, i który może spoglądać wstecz na swoją przeszłość, aby z niej wyprowadzać wnioski dla przyszłości! Ostateczna ocena jego wartości, dziejowej użyteczności i miejsca w rodzinie narodów należy tylko do Boga, Nieśmiertelnego Króla Wieków. To on ustanowił narody i przez Syna swojego posłał do nich Apostołów, aby nauczali i chrzcili wszystkie narody, aż do momentu, kiedy sam przyjdzie sądzić żywych i umarłych jako najlepszy, bo najmiłosierniejszy Zbawca, a nie sędzia ludzi i narodów.

Dlatego też, Dzieci Najmilsze, gdy stajemy dziś przed Wami z żywym świadectwem żywotności narodu, po upływie stu lat od zdarzeń, jakie miały miejsce na terenie tej świątyni, tej ulicy, tego miasta i tego kraju, jesteśmy raczej skłonni do milczenia aniżeli do mówienia. Milczenie nasze jest zadumą i dowodem głębokiego

wewnętrznego hołdu, a może i przyznania się do wszystkich ludzi, których historia tak lub inaczej ocenia. Stawiamy sobie nawet pytanie: dobrze, a właściwie ja, gdybym żył i cierpiał w tamtych czasach, razem z moimi przodkami, jak ja bym się wtedy zachował? Czy mógłbym roztropnie milczeć i cierpieć? Czy mógłbym wszystko znieść spokojnie wówczas, gdy w życiu człowieka i narodu budziły się nadzieje i pragnienia wolności? Gdy pragnienia te wypowiedane były tu, w stolicy, wobec władców rozbiornych potęg i gdy naród usłyszał krótką, okrutną odpowiedź: „żadnych mrzonek!”. Dla cara wszystko, co kipiało w duszy narodu, co było wołaniem o sprawiedliwość dziejową i prawo wolności, było tyłko... mrzonką!

O! Biada narodowi, który by w ten werdykt uwierzył, który by zaklasyfikował wszystkie wzbierające w sercu i w myślach uczucia do rzędu mrzonek! Biada narodowi, który by opuścił ręce bezwolnie i poddał je w brzęczące okowy kajdanów! O takim dopiero narodzie moglibyśmy myśleć może „odważniej”, będąc skłonniejsi do sądów bardziej potępiających, albo też utrzymalibyśmy się w milczeniu od wszystkich sądów...

Powiedzą ludzie roztropni: Ale Powstanie się nie udało. Czy nie lepiej było żyć spokojnie w pracy organicznej, budować, naprawiać drogi, uprawiać ziemię, rozwijać techniczne urządzenia, poprawiać ekonomiczny byt narodu — spokojnie, cicho?

Niewątpliwie, byli zwolennicy i takich kierunków. Wiemy, że i dzisiaj istnieją narody, które stawiają to sobie za ideał. Osiągając ideał pragmatyczny, pozytywny, realny, dotykalny, „ideał pełnej misy chleba”, coś jednak przy tym zatracają, na jakimś odcinku ubożeją. Jesteśmy świadkami życia wielu narodów dostatnich, które zagubiają wrażliwość na swoje dzieje ojczyste, na przeżycia narodowe, na poczucie wspólnoty z narodem. O, nie samym chlebem żyje człowiek, i nie samym chlebem żyje naród, ale wszelkim słowem, które pochodzi z ust Bożych. I chociaż dłonie przyłożone są do pługa, to jednak człowiek musi pamiętać, że gdy nogi jego brodzą w ziemi rodzimej, głowa wznosi się wysoko, a serce wyrwa się do czegoś jeszcze więcej. Najbardziej smutnymi narodami są te, którym postawiono za ideał li tylko dążenia i cele materialne. Najbardziej zubożonymi i niewolniczo przytrzymanymi za skrzydła ducha są takie narody, które postawiły sobie zbyt wąski ideał.

Wyczytałem ostatnio w prasie polskiej przedziwne zdanie. Ktoś zastanawiając się, dlaczego Powstanie wybuchło w Królestwie Kongresowym, a nie w Wielkopolsce czy też Małopolsce, odpowiada sobie, że byliśmy, podobno, owładnięci „kompleksem

antyrosyjskim". Z tym wiązało się całe dalsze rozumowanie autora artykułu.

Wydaje mi się, że nie ma nic bardziej nieprawdziwego, pomijając już, że historycznie nie jest prawdą, jakoby Powstanie wybuchło tylko tutaj. Było ono właściwie wszędzie. Było w duszy każdego niemal Polaka, żyjącego w granicach trzech kordonów. A wynikało nie z takiego czy innego „kompleksu” — bo kompleks jest zawsze czymś chorobliwym — tylko ze zdrowego dążenia do wolności, pogwałconej i odebranej nam. I mniejsza z tym, kto ją nam odebrał i jakim językiem mówił; ważne jest, że gwałcił prawo narodu do wolności.

Nie o „kompleks” więc szło, nie o schorzenie psychiczne, które jakoby przeszkadzało narodowi działać i decydować w sposób wolny. Szło o poczucie pogwałconego prawa narodu do samostanowienia o sobie i decydowania o swej wolności, w której rozmieszcza się w sposób wolny i samodzielny prawa i wzajemne obowiązki współżyjących ze sobą warstw narodowych. Chyba o to chodziło, a nie o jakiś „kompleks”!

Gdy człowiek czy naród czuje się na jakimkolwiek odcinku związany i skrupowany, gdy czuje, że nie ma już wolności opinii i zdania, wolności kultury i pracy, ale wszystko wzięte jest w jakieś łańcuchy i klamry, wszystko skrupowane jest stalowymi gorsetami, wtedy nie potrzeba kompleksów. Wystarczy być tylko przyzwoitym człowiekiem, mieć poczucie honoru i osobistej godności, aby się przeciwko takiej niewoli burzyć, szukając środków i sposobów wydobycia się z niej.

Przyglądaliście się może kiedy ptakowi, jak się tłucze w klatkę? Któż może się dziwić, że o klatkę w Polsce ustawioną rozbijały się piersi „polskich ptaków” aż pióra leciały, rany pozostawiając?! Wytłumaczcie ptakowi, aby się niepotrzebnie nie obijał o druty, bo ich nie przewycięży...! Nawet ptakowi, który nie ma przecież rozumu ani rozeznania i powiązania swoich dążeń z dążeniami innych ptaków tego nie „wytłumaczycie”. A chcielibyście to wytłumaczyć istocie rozumnej i wolnej? O, żadną miarą nie da się tego wytłumaczyć! Zamiast to czynić, lepiej klatkę otworzyć i dać możliwość skrzydłom, by rozwijały się w lotach i piersiom, by potężniały, jak tego wymaga własne zdanie, przeznaczenie człowieka i narodu.

Ktokolwiek będzie w granicach jakiegokolwiek narodu na globie ustawiał klatki, będzie wrogiem! Będzie budził opór i rewolucjonizował ducha od wewnątrz, w głębi osobowości człowieka, który jest powołany do wolności myślenia, do wolności chcenia, do wolności miłowania i do wolności działania. Na to rady nie ma!

Przekonały się o tym po wiekach rodziny ludów i narodów, by mądrość kodeksów międzynarodowych zmierzała obecnie do tego, aby rozszerzać wolność ludów i narodów. I nie dziwimy się temu, że w ostatnich latach na „Czarnym Łądzie” powstało kilkadziesiąt wolnych państw.

Tak jest i z tymi narodami, które na naszych oczach powstały do samodzielnego bytu państwowego. My je rozumiemy! Jeżeli uznajemy prawo czarnych ludów do samostanowienia o sobie i do pełnej wolności, to cóż dziwić się narodom starym, jakim był już przed stu laty naród polski, że chciał chodzić o własnych siłach, a nie na bagnietach obcych mocarstw! Młodzież poszła w lasy, bo chciano ją wcielić do obcych armii. Nic dziwnego! My na to nieraz patrzyliśmy, nie potępiając młodzieży, która za czasów okupacji hitlerowskiej też poszła w lasy, chociaż do beznadziejnej walki. Nie potępiamy młodzieży, która na ulicach stolicy z butelkami benzyny rzucała się na tanki hitlerowskie. A Wy chcielibyście potępiać tych, co przed stu laty walczyli jak umieli i czym mogli?! Jestem przekonany, że oni nie widzieli przed sobą wroga, nie widzieli Moskala, Niemca czy Austriaka — oni widzieli WOLNOŚĆ i pragnęli wolności. Nie kierowali się nienawiścią, ale miłością wielką, upragnioną sprawą — wolności. Ona była ich prawem i obowiązkiem. Musieli o nią walczyć!

To tak, bardzo syntetycznie, Dzieci Najmilsze! Nie jestem historykiem, ale też nie wszystkim „historykom” wierzę, bo chociaż historia to *magistra vitae*, ale nie wszyscy historycy są nauczycielami życia. Można ich czytać, ale własny zmysł rodzimy i narodowy każe mi myśleć samodzielnie nawet wtedy, gdy przewracam foliały prac historyków.

Czy Powstanie miało jakieś znaczenie? Zdaje się, Najmilsi, że ten zryw polityczny, połączony ze zrywem społecznym, jedno dał w rezultacie, to mianowicie, że walczyli wówczas prawie wszyscy. W szeregach powstańczych widzieliśmy nie tylko ziemian, których z takim upodobaniem przedstawia Grottgier i nie tylko mieszczan; widzieliśmy robotników, rzemieślników, chłopów-kosynierów, widzieliśmy przedstawicieli wszystkich warstw narodu. Zdaje się, że Powstanie było jak najbardziej narodowe, że właśnie „z kurzem krwi bratniej” wyrastał w polskiej ziemi, z otwartych przez bagnety piersi, kwiat wspólnoty narodowej. To znaczy bardzo wiele!

A więc to miało znaczenie, chociaż Powstanie było podobno przegrane. Było przegrane, jak „przegrany” jest rolnik, który z pustymi miechami wraca do zagrody, gdy wysiał złote ziarno. A jednak wraca spokojnie, bo rozpoczęła się jakaś wielka praca...

Zdaje się, że „nieudane” Powstanie oddało wielką przysługę wszystkim trzem zaborcom, bo rozpoczęła się praca myśli polskiej, która przekroczyła kordony i podała ręce tym, co byli w Warszawie, w Poznaniu i w Krakowie i tym co byli gdzieś daleko na Litwie i na Rusi. Powiązała ich wszystkich i zaczęła się wspólna praca.

Takich niedotykalnych osiągnięć i zwycięstw można by wyliczyć wiele. Ale rzecz pewna, że naród bez tego zrywu, okupionego krwią, nie ostałby się bismarckowskiej polityce *Kulturkampf*’u. Nie oparłby się germanizacji i rusyfikacji. Przed tym etapem, który dla umęczonego narodu był jedną z najcięższych prób, trzeba było ofiar. Te ofiary padły i wydały swój owoc, bo obudziło się sumienie narodu.

My bardzo często robimy nad trumną rachunek sumienia. I naród polski nad trumną Powstańców 1863 roku zrobił rachunek sumienia. Był on dla nas zbawczy.

Dlatego z głęboką czcią kłękamy na śladach krwi naszych braci, którzy nie zawahali się oddać jej, abyśmy żyć mogli. Z głęboką czcią całujemy drogi ich bitew, na których ofiarność zda się w beznadziejny sposób walczyła o niewątpliwe prawo wolności. I nie car miał rację, gdy na Zamku Warszawskim odpowiadał butnie: „Porzućcie wszelkie sny!” — tylko właśnie ci, co padali, obejmując miłosiernie otwartą pierś ukrzyżowaną pierś Matki-Polki. Tylko oni mieli rację! A my po stu latach wiemy to jeszcze lepiej...

Ks. Stefan kardynał WYSZYŃSKI
Prymas Polski

27 stycznia 1963

Jolanta STRZELECKA

PROCES GDAŃSKI

Proces Władysława Frasyniuka, Bogdana Lisa i Adama Michnika w Gdańsku rozpoczął nowy etap walki reżimu Jaruzelskiego z opozycją w Polsce. Władze nie zamierzają już nawet zachowywać pozorów legalności. Na początku bieżącego roku w więzieniach w Polsce było około trzydziestu więźniów politycznych — obecnie jest ich około trzystu. Jak zauważają zachodni komentatorzy, zaostrenie kursu wobec opozycji ma niewątpliwy związek z wyborem Gorbaczowa na I sekretarza i stabilizacją władzy w ZSSR. Przebieg procesu w Gdańsku wydaje się rzeczywiście na to wskazywać.

Jak doszło do procesu w Gdańsku?

W dniu 25 stycznia ukazał się komunikat Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej, podpisany jak zwykle przez pięciu jej członków i datowany 21 stycznia, w którym TKK wezwała do 15-minutowego, symbolicznego strajku na dzień 28 lutego w związku z zapowiedzianą na 1 marca drastyczną podwyżką cen żywności i brutalną kampanią antykościelną, prowadzoną przez reżim już nie tylko przy pomocy radia, telewizji i prasy, ale także poprzez napaści na kościoły, niszczenie zabytków sakralnych, bicie księży.

Trzeba wyjaśnić, że piętnastominutowy strajk w Polsce, w obecnym stanie organizacji gospodarki, nie powoduje żadnych strat materialnych. Według ekonomistów największe polskie za-

kłady wykorzystują nie więcej niż 30 % swej mocy z powodu braku surowców i materiałów do produkcji. Każdego dnia marnuje się więc na przestoje nie 15 minut, a wiele godzin pracy. Tymczasowa Komisja Koordynacyjna nawoływała do akcji symbolicznej. Ten symboliczny strajk miał być miarą tolerancji reżimu gen. Jaruzelskiego wobec społeczeństwa i miarą jego prawdziwych intencji porozumienia. Toteż posiedzenie TKK nie było tajemnicą i publicznie było wiadomo, że obecni na nim byli nie tylko członkowie TKK, ale i inne osoby, wśród nich byli doradcy NSZZ „Solidarność”. Reakcja władz na komunikat i wiadomość o odbyciu zebrania nie była natychmiastowa. Prawdopodobnie reżim planował jakieś kroki, które miały zneutralizować podziemie na okres wprowadzania podwyżki. Otóż na dzień przed ukazaniem się komunikatu TKK niejaki płk Ulanowski zadzwonił do B. Lisa z propozycją spotkania, aby kontynuować rozmowę, jaką z nim prowadził tuż przed zwolnieniem go z aresztu w związku ze słynnym oskarżeniem go o zdradę kraju. Wysocy urzędnicy MSW poinformowali wtedy Lisa, że władze zastanawiają się nad wprowadzeniem w Polsce pluralizmu związkowego, że być może rozpoczną w związku z tym rozmowy z Wałęsą... Bogdan Lis był przekonany, że propozycje jakie usłyszał w czasie tej rozmowy są prawdopodobne, toteż na propozycję ponownego spotkania przystał bez większych wahań. Porozumiał się jedynie z Wałęsą, który nie powstrzymywał go od pójścia na spotkanie, a jedynie przypomniał mu, żeby nie szedł na nie sam. Do hotelu „Heweliusz” wybrał się więc B. Lis w towarzystwie J. Trzcńskiego, ale niestety zgodził się wejść sam do pokoju 404, gdzie miała miejsce rozmowa. Trzcński nie był więc jej świadkiem. Oprócz płk. Ulanowskiego był tam jeszcze jeden funkcjonariusz. Nie doszło jednak do żadnej rozmowy, nie padły żadne propozycje, był to po prostu rodzaj przesłuchania. Lis, zgodnie z taktyką TKK wypróbowywania tolerancji władzy, powiedział, że właśnie skończyło się posiedzenie TKK, że brał w nim udział, że był tam także obecny Adam Michnik oraz, że TKK „przebija się do jawności”. W odpowiedzi usłyszał narzekania na działalność Jurczyka, Gwiazdy, Wałęsy, ks. Jankowskiego. Rozmowa trwała około dwóch godzin. Władze w dalszym ciągu nie przejawiały zainteresowania działalnością TKK.

11 albo 12 lutego Lis spotkał się z Jurczykiem ze Szczecina, Frasyniukiem (Wrocław) i Pałubickim (Poznań). Na 13 lutego zostało zaplanowane spotkanie z Wałęsą. Wszyscy zaproszeni byli śledzeni, toteż nie było dla UB tajemnicą, w którym domu osiedla Zaspą w Gdańsku spotkali się najbardziej strzeżeni Polacy w kra-

ju. Na spotkanie przybyli: W. Frasyniuk (Wrocław), S. Handzlik (Kraków), J. Merkel (Gdańsk), A. Michnik (Warszawa), J. Pałubicki (Poznań), M. Wilk (Rzeszów?) i oczywiście B. Lis i Lech Wałęsa z Gdańska. Zebranie zaczęło się o 2-giej po południu, Michnik i Merkel spóźnili się pół godziny, funkcjonariusze UB dali jeszcze zebrany pełną godzinę na obrady i przed czwartą po południu weszli do mieszkania. Zastali ósemkę zebranych. Na stole leżały trzy strony tekstu poświęconego sytuacji gospodarczej Polski. Z treści wynikało, że jest to analiza tej sytuacji; tekst nie miał formy komunikatu, ulotki ani wezwania. Ostatnie zdanie mówiło jedynie, że sytuacja gospodarcza w Polsce nie poprawia się i że w związku z tym świat pracy upoważniony jest do protestu. Zdanie to miało formę wniosku z analizy. Nie było na tych trzech stronach żadnego tytułu, żadnej nazwy czy nazwiska, nikt się pod nimi nie podpisał i prawdopodobnie nikt nie zamierzał się podpisać, bo tekst był po prostu analizą.

Kpt. Czaja, który dowodzi grupą funkcjonariuszy UB kazał Lechowi Wałęsie odłączyć się od reszty grupy i stanąć po drugiej stronie pokoju. Gdy Wałęsa to zrobił, UB sfotografowało pozostałą siódmkę. Miał to być prawdopodobnie dowód na to, że Wałęsa w ogóle tam nie było. Po czym Wałęsie i jego kierowcy kazano iść do domu, a pozostałe siedem osób zostało zatrzymanych. Ktoś jednak wprowadził w międzyczasie zmiany w scenariuszu, bo następnego dnia prokuratura wezwała Wałęsę na przesłuchanie i przedstawiła mu zarzut o nawoływanie do akcji protestacyjnej. Losy zatrzymanych wydawały się przesądzone. Przyuszczano, że wszystkim postawiono ten sam zarzut. Tymczasem rzecznik prasowy Prokuratury Generalnej na pytanie dziennikarzy miał podobno odpowiedzieć, że procesu w tej sprawie nie będzie. I rzeczywiście po 48 godzinach zostali zwolnieni Handzlik, Pałubicki, Wilk i Merkel, natomiast Frasyniuka, Lisa i Michnika prokuratura tymczasowo aresztowała. Dlaczego wybrano tylko trzech? Czy można im zarzucić cokolwiek więcej niż pozostałym?

Rzecz w tym, że w trzy tygodnie po ukazaniu się komunikatu TKK władze postanowiły zareagować. Wybrano więc jako osoby do przykładowego ukarania dwóch byłych członków TKK, którzy najaktywniej działali po wyjściu z więzień, i Adama Michnika jako groźnego ideologa opozycji. To, że Wałęsa pozostał na wolności jest zrozumiałe — władze nie chcą rozgłosu. Tuż po procesie morderców ks. Popiełuszki nie należało dopuścić do tego, aby sprawa polska znów znalazła się na pierwszych stronach zachodnich gazet.

Śledztwo podobno zostało podzielone na dwie części: doty-

czące trójki aresztowanych i reszty zwolnionych. Pierwsze potoczyło się błyskawicznie, drugie trwa podobno do dzisiaj, choć w międzyczasie np. Handzlik został skazany na trzy miesiące aresztu za udział w „rozruchach pierwszomajowych”.

Już 18 marca, czyli w miesiąc po aresztowaniu, przedstawiono oskarżonym akta śledztwa. Były to trzy opasłe tomy protokołów z przesłuchań oraz pięć tomów dokumentów (głównie prasa podziemna), które miały stanowić dowody ich przestępczej działalności. Z wyznaczeniem terminu rozprawy spieszono się tak bardzo, że nie pozwolono oskarżonym skończyć czytania akt śledztwa. Sama procedura czytania pozostawiała zresztą wiele do życzenia. Po pierwsze prokurator nie czytał ich, a streszczał w wielu miejscach, żeby przyspieszyć tę część procedury, ponadto wiele stron po prostu omijał, mówiąc „a to Pana nie dotyczy”. W aktach śledztwa nie ma fragmentów, które „nie dotyczą” kogoś ze współoskarżonych, tak samo streszczanie jest niedozwolone, bo oskarżony ma prawo do zapoznania się z aktami śledztwa szczegółowo — jest to część jego prawa do obrony.

Mimo protestów oskarżonych i ich obrońców akta sprawy zostały przekazane wraz z aktem oskarżenia do sądu. Przebieg sprawy musiał być zdecydowany na odpowiednio wysokim szczeblu władzy, bo akta prokuratura skierowała bezpośrednio do Sądu Wojewódzkiego w Gdańsku, a nie do sądu rejonowego, co byłoby zgodne z procedurą. Sąd Wojewódzki rozpoznaje w pierwszej instancji tylko sprawy wyjątkowo zawikłane, albo te, w których oskarżonym grozi kara śmierci. Żaden z tych powodów nie zachodził w tej sprawie. Jednak pomimo skargi obrońców na nadanie tej sprawie wyjątkowego znaczenia Sąd Najwyższy uznał za właściwy Sąd Wojewódzki. Równie szybko jak przekazano akta sprawy do sądu, sąd wyznaczył skład orzekający i termin rozprawy. Na jego czele stanął prezes Sądu Wojewódzkiego w Gdańsku, człowiek mianowany na to stanowisko na początku stanu wojennego, powszechnie znany z posłuszeństwa wobec władz, a także z nieznamości kodeksu karnego i kodeksu postępowania karnego, jako że to nie one wpływały na jego decyzje. Proces zapowiadał się przeto jako proces szczególny.

Akt oskarżenia

Akt oskarżenia zarzucał Władysławowi Frasniumkowi, Bogdanowi Lisowi i Adamowi Michnikowi, że „w Gdańsku i innych miejscowościach kraju w czasie od stycznia do 13 lutego byli

członkami Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej, pełnili w niej czynności kierownicze i w tym charakterze działali w celu wywołania niepokoju publicznego i rozruchów poprzez podjęcie przygotowań do nielegalnych akcji protestacyjnych na 28 lutego”, czyli, że popełnili przestępstwa z dwóch artykułów kodeksu karnego, które brzmią:

Art. 278. 1. Kto bierze udział w związku, którego istnienie, ustrój lub cel ma pozostać tajemnicą wobec organów państwowych,
podlega karze więzienia do lat 3.

3. Kto pełni czynności kierownicze w związku, który rozwiązano lub któremu odmówiono zalegalizowania,
podlega karze pozbawienia wolności od 6 miesięcy do lat 5.

Art. 282 a. 1. Kto podejmuje działanie w celu wywołania niepokoju publicznego lub rozruchów podlega karze pozbawienia wolności do lat 3.

2. Tej samej karze podlega, kto organizuje lub kieruje akcją protestacyjną przeprowadzoną wbrew przepisom prawa.

Ostatni artykuł został wprowadzony ustawą z 13 grudnia 1982 roku o zmianie ustawy o szczególnej regulacji w okresie stanu wojennego, ustawą, która wprowadziła na stałe szereg zmian do wielu dziedzin prawa. Nielegalna, bądź wręcz przestępcza stała się niemal każda działalność, która nie otrzymała uprzedniej akceptacji władz państwowych.

Przed sądem w Gdańsku należało więc udowodnić trzem oskarżonym, że po pierwsze — należeli do organizacji tajnej, bądź rozwiązanej, bądź takiej, której odmówiono zalegalizowania. Po drugie — że kierowali tą organizacją. Po trzecie — że celem ich działania było wywołanie niepokoju publicznego poprzez organizowanie lub kierowanie nielegalną akcją protestacyjną.

Mimo poprawek do prawa karnego wydawałoby się, że sąd w Gdańsku miał do wykonania zadanie niemożliwe. Tymczasowa Komisja Koordynacyjna na pewno nie jest organizacją tajną — jej komunikaty są szeroko rozpowszechniane i, co więcej, były załączone do akt śledztwa. Znani są także wszystkim mieszkańcom Polski jej obecni członkowie i zarazem kierownicy, którzy podpisują komunikaty TKK, na czele ze Zbigniewem Bujakiem

i Bogdanem Borusewiczem. TKK NSZZ „Solidarność” stara się swoją organizację i jej cele uczynić absolutnie jawnymi. Nie jest to także organizacja zdelegalizowana, rozwiązana ani taka, na której legalizację władze państwowe nie wyraziły zgody. Ustawa z 8 października o związkach zawodowych nigdzie nie zawiera przepisu o rozwiązaniu poprzednio istniejących związków zawodowych. Zgodnie z konwencjami MOP o wolnościach związkowych Polska Rzeczpospolita Ludowa dobrowolnie zgodziła się uznać za organizację legalną związek zawodowy powołany przez pracowników lub pracodawców. Zgodziła się też, że istnienie takiego związku nie będzie ograniczane żadnymi administracyjnymi wymogami i że nie można uzależnić legalności związku od jego zarejestrowania. Kiedy tworzyła się „Solidarność”, najpierw w poszczególnych zakładach pracy, wielu ludzi pytało, kiedy to będzie legalny związek. Pytanie było bez sensu. Legalny był od razu, w momencie, gdy pracownicy wybrali spośród siebie komitet założycielski związku i stwierdzili, że organizacja, którą zakładają jest związkiem zawodowym, to znaczy, że jej celem będzie reprezentacja interesów pracowników. Zgodnie z konwencjami MOP, związek zawodowy przestaje istnieć, gdy sam się rozwiąże („Solidarność” tego nie uczyniła), gdy ilość jego członków spadnie poniżej określonego minimum (ten fakt nie zaszedł) i gdy przekształci się w inną organizację. W tym przypadku tylko sąd ma prawo zdecydować o tym, że związek zawodowy przestał być związkiem — i ten przypadek także nie zaszedł.

Ustawa o związkach zawodowych z 8 października 1982 roku także nie zawiera przepisu o rozwiązaniu związków zawodowych, istniejących przed wprowadzeniem jej w życie. Artykuł mówiący, że unieważnia się rejestrację starych związków jedynie odbiera tym związkom osobowość prawną, rejestracja nie ma bowiem nic wspólnego z legalizacją. Związki zawodowe są jedynymi organizacjami, które nie muszą się „legalizować”. Gdy na konferencji prasowej zorganizowanej przez Jerzego Urbana w Sejmie po uchwaleniu ustawy o związkach zawodowych zapytałam go, dlaczego wciąż mówi o rozwiązaniu „Solidarności”, związków branżowych i autonomicznych, skoro one się nie rozwiązały ani żaden sąd ich nie rozwiązał i co więcej nawet ustawa nie zawiera żadnego przepisu o ich rozwiązaniu, rzecznik prasowy rządu stwierdził, że nie jest prawnikiem i nie umie na to pytanie odpowiedzieć. Zapisałam je na kartce i po dwóch tygodniach otrzymałam odpowiedź od prawników zatrudnionych w Biurze Rzecznika Rządu PRL. Brzmiała ona mniej więcej tak: co prawda ustawa o związkach zawodowych nic nie mówi o rozwiązaniu starych

związków zawodowych, ale to, że zostały one rozwiązane wynika z... przemówień posłów w Sejmie. I panowie prawnicy i ja wiemy dobrze, że przemówienia posłów praw nie tworzą. Toteż gdyby sąd w Gdańsku zaczął rozważać, czy TKK NSZZ „Solidarność” jest organizacją rozwiązaną, miałby z tym poważne trudności. Tym bardziej, że już jedna sędzina się w tej sprawie wypowiedziała: poseł Giżycka-Koprowska, która wstrzymała się od głosowania nad ustawą o związkach zawodowych, wyjaśniła sądowi dyscyplinarnemu SD, że gdyby głosowała za tą ustawą, która jest niezgodna z obowiązującym prawem, musiałaby przestać pełnić zawód sędziego.

Żaden prawnik nie będzie w stanie udowodnić, że „Solidarność” została rozwiązana. Przypuszczam też, że nawet reżim generałów obawia się powołania sądu, który miałby potwierdzić to, co oni twierdzą, że mianowicie „Solidarność” przestała być związkiem zawodowym, czyli przestała reprezentować interesy pracowników. Ale sąd w Gdańsku nie miał rozwiązać NSZZ „Solidarności”, a jedynie udowodnić, że została rozwiązana. Sąd z natury rzeczy winien powoływać się nie na przemówienia przywódców państwa, partii i armii, ale na prawa. Nawet jednak w świetle praw uchwalonych po 13 grudnia „Solidarność” istnieje nadal, nie jako organizacja nielegalna, a jako organizacja, której reżim nie chce uznać. Jeśli coś tu jest nielegalnego, to władza, która nie chce przyznać obywatelom praw, które im się należą.

Po drugie sąd w Gdańsku miał przyjąć za pewnik, że Frasyniuk, Lis i Michnik byli członkami TKK i co więcej kierowali nią w okresie od stycznia 1985 roku do połowy lutego 1985 roku. Wszyscy w Polsce wiedzą, że TKK składa się obecnie z pięciu członków i że choć Frasyniuk i Lis byli jej członkami, już nimi nie są. Co do Adama Michnika, to wątpię, czy kiedykolwiek, nawet w przyszłości, zgodziłby się zostać członkiem TKK, nie jest on bowiem działaczem związkowym, ta rola na pewno zbyt by ograniczała jego osobowość.

Udowodnienie trzem oskarżonym przed sądem w Gdańsku przynależności do rozwiązanej organizacji i kierowania nią wydawało się niemożliwe, a zarzut z art. 278 kodeksu karnego absurdalny.

Tak samo było z zarzutem z art. 282 a, bo nikt w Polsce nie wzywał do „akcji protestacyjnej” na 28 lutego, lecz do strajku. Strajk natomiast jest uznaną i zalegalizowaną formą. TKK nie wzywała do nielegalnego strajku, wzywała do strajku proponując jego formę (15 min.), a nie sposób zorganizowania. Ponieważ jednak przed sądem w Gdańsku nie stanęli członkowie TKK,

trzej oskarżeni nie musieli nawet udowodniać, że wezwanie do strajku było legalne, bo to nie oni podpisali komunikat TKK.

Zgodnie ze stanem faktycznym, trzech oskarżeni uczestniczyli 13 lutego w Gdańsku w spotkaniu, na którym było obecnych jeszcze pięć osób, które z niewiadomych powodów nie podzieliły ich losu. Nikt na tym spotkaniu nie podpisywał żadnego komunikatu, wezwania do akcji protestacyjnej itp. Spotkanie nie było też nielegalne, bo po zniesieniu stanu wojennego prywatne osoby mogą się spotykać bez proszenia o zezwolenie władz. Podobnie żaden przepis nie zakazuje dyskusji nad stanem gospodarki w Polsce ani wyciągania wniosków, że sytuacja dojrzała do strajku. To może się przywódcom państwa nie podobać, wszechwładna policja ma nawet prawo kiedy chce zatrzymać na 48 godzin, zrewidować mieszkanie i osoby, które tam zastała, ale jak na razie sąd nie ma podstaw, aby uznać takie spotkania za działalność przestępczą.

Scenografia procesu w Gdańsku

23 maja 1985 roku wokół siedziby sądu w Gdańsku było niebiesko od milicyjnych mundurów. Tych, którzy nieopatrznie pojawili się w okolicy sądu i na widok mundurów nie zawracali z drogi zatrzymywano, legitymowano, zamykano w milicyjnych radiowozach. Jana Rulewskiego nie tylko nie wpuszczono do gmachu sądu, ale siłą odprowadzono na dworzec kolejowy i wsadzono w pociąg do Bydgoszczy. Wnętrze gmachu sądu było tego dnia opustoszałe. Prawdopodobnie odwołano większość rozpraw. Mimo to sala, w której odbywała się rozprawa przeciwko Frasy-niukowi, Lisowi i Michnikowi została tak wybrana, aby nie sąsiedowała z żadną inną salą rozpraw: naokoło były biura sądowe. Jakby tego wszystkiego było za mało, barykadami z ławek odcięto możliwość przedostania się nawet na piętro, gdzie miała toczyć się rozprawa. Do tego dwustu funkcjonariuszy SB pilnowało, aby nikt niepowołany nie usiłował dostać się na salę rozpraw czy nawet w jej pobliże. Pierwszego dnia nie wpuszczono na rozprawę nawet rodziny Bogdana Lisa.

Miejsca na sali były tak zaplanowane, aby przy każdym z oskarżonych mógł siedzieć tylko jeden adwokat, pięciu pozostałych miało usiąść po drugiej stronie sali, co zupełnie uniemożliwiało im porozumiewanie się z oskarżonymi w trakcie rozprawy. Było to oczywiście ograniczenie prawa do obrony. Ale sąd nie uznał zażalenia adwokatów w tej sprawie za zasadne i tak wyglą-

dała sala rozpraw przez jedenaście dni procesu. Co więcej, nie pozwolono adwokatom podchodzić do oskarżonych w czasie przerw w rozprawie, nawet po to, aby podać jedzenie czy picie. W ciągu jedenastu dni procesu adwokaci mogli porozumieć się z oskarżonymi tylko w gmachu aresztu śledczego, jeżeli... zdążyli tam dobiec z gmachu sądu przed zamknięciem aresztu o drugiej po południu.

Rozprawa była jawna. Aby wejść na tę jawną rozprawę trzeba było mieć przepustkę i przejść przez trzykrotną kontrolę osobistą. Sprawdzano nie tylko dowody osobiste, ale dokonywano też rewizji osobistej. Narzeczona Adama Michnika, która nie chciała jej się poddać, nie została wpuszczona na kilka ostatnich dni rozprawy. SB sprawdzało teczki obrońców, przeglądało ich papiery i dokumenty, naruszając w ten sposób zasadę tajemnicy zawodowej i zasadę bezstronności procesu, bo argumenty jakich chciała użyć obrona były znane na długo przed tym, zanim zostały wypowiedziane przed sądem. Kto dostał przepustki na tę jawną rozprawę? Na sali było sześćdziesiąt jeden osób, w tym pięciu dziennikarzy z reżimowej prasy, siedem osób z rodzin oskarżonych, pozostali to byli funkcjonariusze UB bądź przedstawiciele Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Gdańsku. Sąd mimo wniosków obrońców o wydanie przepustek przedstawicielom Kościoła (przedstawiciel Prymasowskiej Komisji Społecznej i biskup gdański) nie zgodził się na ich obecność na sali. Gdyby rozprawa była zamknięta, oskarżeni mieliby prawo do obecności nie tylko członków rodzin, ale każdy z nich do dwóch tzw. mężów zaufania. Na pseudo-jawnej rozprawie oskarżeni zostali pozbawieni tego prawa, choć mogłoby się wydawać, że tego minimum sąd nie miał prawa odmówić, skoro przysługuje ono nawet na rozprawie przy drzwiach zamkniętych.

Pierwszego dnia procesu obecna była ekipa telewizyjna. Kable po tej wizycie pozostały do końca procesu, który był także przez sąd nagrywany na magnetofon. Adwokaci i rodziny oskarżonych nie miały prawa wnosić na jawną bądź co bądź rozprawę magnetofonów. Tak wyglądała scenografia.

Jak przebiegał proces?

Choć proces trwał jedenaście dni, nie był poświęcony udowodnieniu zarzutów. Te sąd przyjął z góry za udowodnione. Na jedenaście dni rozprawy złożyły się głównie potyczki między oskarżeniem a obroną w sprawach proceduralnych. Adwokaci

domagali się przestrzegania prawa oskarżonych do obrony, oskarżyciel i sąd starali się przede wszystkim nie dopuścić oskarżonych do głosu.

Jako pierwszy miał składać wyjaśnienia Adam Michnik. Na pytanie, czy potwierdza zarzuty przedstawione mu w akcie oskarżenia odpowiedział, że nie, a to dlatego, że ich nie zna, bowiem nie pozwolono mu się zapoznać z aktami śledztwa do końca. Sąd uznał, że są to wykrety. Podobnie skargę jednego z adwokatów, że nie dostał przed rozprawą odpisu aktu oskarżenia sąd uznał nie za wystarczający powód do odroczenia rozprawy, lecz za kłamstwo. Następnie Adam Michnik próbował wyjaśnić, że choć poczytywałby to sobie za zaszczyt, nie jest członkiem TKK. Na słowo „TKK” sędzia przewodniczący gwałtownie zaprotestował i przerwał Michnikowi wyjaśnienia słowami „uchylam wyjaśnienia oskarżonego”. Wyjaśnień oskarżonego sąd uchylić nie może, jest to zabieg nieznanym procedurze karnej od czasów procesów czarownic. Oskarżony ma prawo składać obszernie wyjaśnienia, nie wolno ich przerywać ani ograniczać, bo wszystkie formy przeszkadzania mu w tym, co chce w swej sprawie wyjaśnić są drastycznym ograniczeniem jego prawa do obrony. Sąd w Gdańsku był jednak sądem średniowiecznym i nie mógł dopuścić do wypowiedzenia magicznych słów „Solidarność”, „TKK”, „opozycja”. Podobnie jak Michnik nie zostali dopuszczeni do złożenia wyjaśnień Lis i Frasyniuk.

Frasyniuk przedstawione mu zarzuty podsumował jednym zdaniem: „Owszem, brałem udział w spotkaniu z kolegami, z którymi nie widziałem się od 13 grudnia 1981 roku. Owszem, miałem ochotę popełnić nawet coś zakazanego, ale niestety tym razem nie zdążyłem”. Na znak protestu przeciwko postępowaniu sędziego Frasyniuk odmówił przychodzenia na salę rozpraw. Sąd uznał, że nieobecność oskarżonego nie przeszkadza w przewodzie. Ilekroć którykolwiek z oskarżonych usiłował powrócić do przedstawionych zarzutów i wyjaśnić, że są bezpodstawne, sąd uznawał to za przeszkadzanie w prowadzeniu rozprawy i nakazywał im opuszczenie sali. Większość rozprawy spędzili więc oskarżeni w areszcie sądowym. Gdy ich na salę przyprowadzano, sąd nawet nie zadawał sobie trudu odczytania protokołu z tej części rozprawy, na której nie byli obecni, po prostu informował ich, że został przesłuchany świadek X lub Y.

Po raz pierwszy też w historii procesów politycznych PRL sąd nie dopuścił żadnego świadka powołanego przez obronę. W sprawie gdańskiej wystąpili tylko świadkowie powołani przez prokuratora: funkcjonariusze MO i Lech Wałęsa. Nie było czte-

rech pozostałych uczestników spotkania i prokurator unikał nawet wymieniania ich nazwisk. obrońcy Adama Michnika powołali na świadków Władysława Bartoszewskiego i prof. Jerzego Kłoczowskiego. Obydwaj mieli poświadczyć, że w dniu, w którym w styczniu odbywało się posiedzenie TKK, Michnik uczestniczył w seminarium na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Sąd nie dopuścił ich świadectwa.

Frasyniuk, Lis i Michnik zostali skazani na wieloletnie kary więzienia za to, że spotkali się z Wałęsą, Pałubickim, Merkle, Wilkiem i Handzlikiem w Gdańsku 13 lutego. Co było przedmiotem spotkania, nikt nie był w stanie powiedzieć, nie było żadnych dowodów na to, że oskarżeni popełnili jakiegokolwiek czyn zakazany przez prawo PRL. Sąd oparł się w wyrokowaniu na zeznaniach funkcjonariuszy SB, którzy zeznawali w ten sposób: „Ze źródeł, których pochodzenia nie mogę zdradzić, bo to tajemnica państwowa, wiadomo mi, że oskarżeni planowali nielegalną akcję protestacyjną na 28 lutego”; „Ze źródeł, których pochodzenia nie mogę ujawnić, bo to tajemnica państwowa, wiadomo mi, że oskarżeni są członkami nielegalnej organizacji i tą organizacją kierują”. Przedstawiono także sądowi taśmę z rozmowy płk. Ulanowskiego z Lisem w hotelu „Heweliusz”. Pułkownik zeznał, że rozmowa trwała dwie godziny; nagranie na taśmie było jednogodzinne. Mimo że rozmowa odbywała się w kameralnych warunkach, głosy na taśmie były chwilami dobrze słyszalne, a chwilami tak, jak gdyby rozmowa toczyła się na zatłoczonej ulicy. Przede wszystkim jednak treść nagrania nie potwierdzała zarzutów w stosunku do oskarżonych: nawet to, że Lis powiedział, że na posiedzeniu TKK w styczniu był obecny wraz z Michnikiem i byłymi doradcami NSZZ „Solidarność”, wymagało udowodnienia. Takich dowodów nikt nie przedstawił, a Lis nie potwierdził tego, co mówił w rozmowie w hotelu „Heweliusz”. Nikt nie wiedział, o jakie zebranie TKK w ogóle chodzi. Sąd nie znał nawet daty styczniowego posiedzenia TKK (data komunikatu nie jest datą zebrania). Jeśli chodzi o spotkanie, na którym oskarżeni zostali zatrzymani, to Lech Wałęsa zeznał, że to on je zwołał i to on napisał trzy strony tekstu o sytuacji gospodarczej w Polsce. Zeznania Wałęsy zostały przez prokuratora i sąd zignorowane, a prasa reżimowa napisała, że obciążły oskarżonych.

W trakcie nielogicznych zeznań świadków oskarżenia sąd nie dopuszczał pytań obrońców. I tak na przykład tylko w czasie przesłuchania dwóch funkcjonariuszy, którzy rozmawiali z Lisem w hotelu „Heweliusz”, sąd uchylił czterdzieści pytań adwokatów.

Robił to właściwie na polecenie przesłuchiwanego pułkownika, który po usłyszeniu pytania rzucał „pytanie nieistotne”. W ten sposób sąd uchylał wszystkie pytania, które pułkownik uznał za nieistotne. Nie ma wątpliwości, kto naprawdę kierował procesem w Gdańsku.

Adwokaci mieli też utrudniony dostęp do protokołu sądowego. Ograniczało to znacznie ich możliwość przygotowania obrony. Gdy im go wreszcie po trzech dniach rozprawy udostępniono, odkryli rzecz niewiarygodną. W protokole obok podanych przez oskarżonych danych personalnych zapisano, że od lat zajmują się działalnością antypaństwową! Brzmiało to tak, jakby to oni sami tak siebie określali! Wobec tego oczywistego sfałszowania protokołu rozprawy Adam Michnik i jeden z obrońców wniosli o wyłączenie sędziego przewodniczącego z rozprawy ze względu na stronniczość. Wniosek został odrzucony jako bezzasadny. W prasie pojawiły się komentarze, że oskarżeni chcą przedłużyć proces zgłaszając absurdalne wnioski.

Wspomnieć jeszcze trzeba o publiczności. Wyjaśnienia oskarżonych i wystąpienia ich adwokatów wywoływały śmiech na sali, głośne uwagi, wręcz pogroźki. To samo działo się w trakcie zeznań Lecha Wałęsy. Oskarżeni, adwokaci i Lech Wałęsa mieli uwierzyć, że to „lud” siedzi na tej sali i z nich szydzi. Ale nie tylko ta specjalna publiczność tak reagowała. W trakcie przemówienia mec. Jana Olszewskiego przewodniczący składu sędziowskiego, Zieniuk, także śmiał się z argumentów obrony. Mecenas Olszewski zwrócił mu uwagę, że śmiech nie jest odpowiedni, gdy wazą się losy oskarżonych, którym grożą długie lata więzienia. Sędzia na to stwierdził, że jemu wolno robić, co mu się podoba, a jeśli adwokat jeszcze raz pozwoli sobie na zwrócenie sądowi uwagi, to zostanie poproszony o opuszczenie sali rozpraw.

W y r o k

Po jedenastu dniach procesu sąd w Gdańsku wydał wyrok. Władysław Frasyniuk został skazany na 3 lata i 6 miesięcy więzienia w warunkach tak zwanej wielokrotnej recydywy, co znaczy, że musi odsiedzieć wyroki umorzone na podstawie tak zwanych amnestii, czyli w sumie grozi mu około sześciu lat więzienia.

Bogdan Lis został skazany na 2 lata i 6 miesięcy. Adam Michnik na 3 lata.

W uzasadnieniu wyroku sąd wyjaśnił, dlaczego nie pozwolił oskarżonym na korzystanie z prawa do obrony: „Sprawa niniejsza — cytuję za *Rzeczpospolitą* — wbrew dążeniu oskarżonych i obrony nie była, gdyż nie mogła być, procesem politycznym, ponieważ polskie prawo karne nie zna pojęcia 'proces polityczny', bądź też 'więzień polityczny'”. Sąd skomentował także postępowanie obrońców: „W tym procesie — mówił sędzia przewodniczący — określone osoby zbyt często zapominały o tym, że wypełniają zawód obrońcy w PRL, że składały określone przyrzeczenie przed objęciem swego stanowiska, że mają obok praw również jasno sprecyzowane obowiązki”. Wyrok w Gdańsku dotyczy więc nie tylko trzech skazanych, ale także ich obrońców, którym grozi pozbawieniem praw adwokackich. Przeciwno temu wyrokowi powinien zaprotestować każdy sędzia godny tego miana. Nie słyszałam niestety, by środowisko prawnicze skierowało do Rady Państwa petycję w sprawie pozbawienia sędziów z Gdańska praw sędziowskich.



Nie ulega wątpliwości, że proces w Gdańsku był kolejną prowokacją. Reżimowi zależy na pokazaniu, że podziemie jest bezsilne, że to reżim ma absolutną przewagę i wszystkie atuty w ręku, że nie musi się już liczyć z opinią Zachodu. Podwyżkę cen przeprowadził po raz pierwszy od czasów Gomułki bez rozruchów dzięki zręcznemu podstępowi (odwołanie podwyżki dla zdezorientowania opinii publicznej i wprowadzenie jej w dwa dni po planowanym terminie). Otwarty cynizm sędziów gdańskich, gwałcenie praw, pozbawienie oskarżonych możliwości obrony, szydzenie z argumentów obrońców, to wszystko nie było ani przypadkiem, ani wyrazem szczególnej osobowości sędziego Zieniuka. Zbyt dobrze z tym współgrały cyniczne komentarze, udzielane prasie zachodniej przez Urbana i relacje prasy reżimowej.

Różne procesy polityczne miały ostatnio miejsce w Polsce i wszystkie naruszały podstawowe prawa człowieka, ale żaden z nich tak drastycznie nie naruszał nawet praw uchwalonych już po 13 grudnia 1981 roku, praw, które miały chronić ten reżim.

Jolanta STRZELECKA

Jan SKORZYŃSKI

UPADEK RAD ROBOTNICZYCH*

Rady robotnicze funkcjonujące w Polsce w latach 1956-1958 to dziś już prawie legenda. Ta krótkotrwała zdobycz Października stała się polskim mitem, jednym z tych zjawisk w naszej historii, do których chętnie się odwołujemy, nie znając dobrze ich losów i rzeczywistego znaczenia. O radach nie mówią bowiem podręczniki szkolne ani naukowe monografie. Jedyna książka na ich temat ukazała się... w języku francuskim (A. Babeau, *Les conseils ouvriers en Pologne*). Ruch rad robotniczych nie zajmuje zatem należnego mu miejsca w społecznej świadomości, nie stanowi elementu polskiej tradycji robotniczej, choć na to zasługuje. Warto więc skorygować niektóre potoczne sądy, wynikające z niezajomości owego ruchu, jego politycznego kontekstu i przyczyn ostatecznej porażki.

Początki

Geneza rad robotniczych sięga czasów przedpaździernikowej odwilży. Rozpoczęło się od towarzyskich spotkań „u pani Marysi” — jak to wówczas nazywano. W Warszawie powstała wiosną 1956 roku nieformalna grupa, złożona z ekonomistów, dziennikarzy i działaczy partyjnych, zajmująca się problematyką zarządzania i samorządności robotniczej. Poważny wpływ na kształt

* Powyższy artykuł został skonfiskowany w *Tygodniku Powszechnym*. Drukujemy go bez wiedzy i zgody autora. — Red.

tych rozmów miały doświadczenia jugosłowiańskie, upowszechnione przez relacje prasowe i książkę Czesława Bobrowskiego „Socjalistyczna Jugosławia”.

Do owej inteligentkiej grupy wkrótce dołączyli robotnicy i młodzi aktywiści partyjni z kilku warszawskich fabryk. Jeden z nich, Lechosław Goździk, sekretarz Komitetu Fabrycznego PZPR w Fabryce Samochodów Osobowych na Żeraniu, zorganizował otwarte zebranie na temat samorządu robotniczego w swoim zakładzie. W kwietniu 1956 roku mówił o tym także na konferencji aktywu partyjnego Warszawy, postulując przemiany demokratyczne w skali całego kraju.

Akcji podjętej przez FSO patronowała część działaczy Komitetu Warszawskiego PZPR. Na VII Plenum KC PZPR w lipcu 1956 roku idea samorządu stała się przedmiotem obrad władz partii, które uznały za słuszne „rozszerzenie demokracji robotniczej w zakładach pracy”, mając jednak na uwadze wzmocnienie pozycji zakładowych organizacji związkowych. Tymczasem FSO, a także inne zakłady, np. Warszawska Fabryka Motocykli, przygotowywały projekty statutów nowych, odrębnych przedstawicielstw załogi, niezależnych od dotychczasowych, skompromitowanych uległością wobec władz organizacji robotniczych. Kierownictwo partii zostało tym samym postawione wobec faktów dokonanych i chcąc nie chcąc musiało wziąć pod uwagę radykalne postulaty reformatorów. Wobec ogólnego kryzysu politycznego i zdecydowanej postawy robotników osłabiona i podzielona ekipa kierownicza nie miała innego wyjścia, jak uznać potrzebę powołania rad. Ich ostateczny kształt i zakres uprawnień pozostawały jednak nadal sprawą otwartą.

Administracja przemysłowa, inżynierowie i część ekonomistów widzieli rady jako ciało doradcze dla dyrektora zakładu i podkreślali ich rolę gospodarczą. Związki zawodowe, oponując przeciwko powstaniu autentycznego przedstawicielstwa robotniczego, obalającego ich dotychczasowy monopol, forsowały koncepcję zreformowania rad zakładowych. Natomiast pracownicy FSO zaprojektowali ustanowienie odrębnego organu samorządowego załogi, który miał zarządzać przedsiębiorstwem w jej imieniu. Ich postulaty poparła ciesząca się ogromną popularnością redakcja *Po Prostu* oraz zmierzająca do reform grupa z Komitetu Warszawskiego PZPR.

Akcja tworzenia samorządów była jednym z głównych nurtów procesu przemian, jaki ogarniał wówczas niemal wszystkie obszary życia społecznego. Polityczny przełom nastąpił podczas VIII plenum KC PZPR, które odbyło się w Warszawie w dniach

19-21 października 1956 roku. Obrady najwyższego gremium partyjnego, po dramatycznym spotkaniu z delegacją sowiecką w Belwederze, zakończyły się zwycięstwem Władysława Gomułki, uważanego powszechnie za zwolennika reform. Decyzje plenum podejmowane były pod naciskiem zmobilizowanej opinii publicznej — wieców robotniczych i studenckich. Załogi robotnicze w Warszawie i innych miastach podjęły faktyczną okupację fabryk, gotując się do obrony swoich postulatów w obliczu groźby zewnętrznej interwencji. Robotnicy FSO nie opuszczali zakładu, czekając na wyniki obrad KC, a Lechosław Goździk był jednym z bohaterów największego warszawskiego wiecu — trzydniowego zgromadzenia na Politechnice.

Różnice

„Należy wyłonić samorząd robotniczy jako organ załogi do udziału w zarządzaniu przedsiębiorstwem, który wspólnie z dyrektorem winien w ramach obowiązujących uprawnień przedsiębiorstwa rozstrzygać o podstawowych problemach gospodarki, jak ustalanie i ocena wykonania planu produkcyjnego zakładu, rozbudowa zakładu, postęp techniczny, organizacja pracy i produkcja, sprawy norm i płac, premii, podział funduszu zakładowego itd.” — stwierdziła uchwała VIII plenum. W wygłoszonym wtedy przemówieniu nowy I sekretarz Gomułka był znacznie ostrożniejszy: „Należy z wielkim uznaniem powitać inicjatywę klasy robotniczej w sprawie usprawnienia zarządzania przemysłem, w sprawie udziału robotników w zarządzaniu ich zakładem pracy. (...) Ale z praktyką na szerszą skalę trzeba się spieszyć powoli”.

Natomiast radykalną interpretację przemian październikowych podjęli publicyści *Po Prostu*. Eligiusz Lasota i Ryszard Turcki w programowym artykule „Polski Październik”, ogłoszonym w numerze z 28 października 1956, umieścili na jednym z czołowych miejsc „postulat systematycznego wprowadzania samorządu robotniczego w całym kraju, śmiałego wyciągania wszystkich, wynikających z tego faktu konsekwencji ustrojowych. Konsekwencji, które prowadzić muszą do obumierania społeczno-ekonomicznych funkcji organów państwowych, do zastępowania ich przez organy samorządowe, organy bezpośrednich wytwórców”. Sformułowania te daleko wykraczały poza stanowisko kierownictwa partii. Rozbieżności wokół oceny ruchu rad i kierunków jego rozwoju były wynikiem zasadniczych różnic politycznych,

jakie dzieliły nowego przywódcę i radykalną inteligencję udzielającą mu poparcia.

Jesienią 1956 roku, w atmosferze powszechnego entuzjazmu nikomu, jak się zdaje, nie przychodziło to do głowy. Rady powstawały w całym sektorze państwowym gospodarki. Tymczasowe komitety założycielskie przygotowywały projekty statutów i ordynacji wyborczych, konsultowane następnie przez całe załogi. Robotnicy usuwali skompromitowanych dyrektorów i wybierali nowych w drodze konkursów. Przedstawiciele FSO, jeżdżąc po całym kraju, upowszechniali własne doświadczenia. Dzięki podobnym kontaktom rady powoli nabierały jednolitego kształtu w całym kraju. 19 listopada sejm uchwalił ustawę o radach robotniczych, która dała podstawy prawne żywiłowemu dotychczas ruchowi. Powierzyła ona radom zarządzanie w imieniu załogi przedsiębiorstwem, będącym własnością ogólnonarodową. Dyrektor natomiast kierować miał bezpośrednio produkcją. Powoływał go organ założycielski po zasięgnięciu opinii rady. Wykonawcza władza rady była znikoma. W podstawowych sprawach: co produkować i ile, po jakiej cenie sprzedawać, jak nabywać surowce — decydował dyrektor. Jego pozycja była w rezultacie silniejsza, a rady jedynie uczestniczyły w zarządzaniu. W ustawie nie było mowy o ewentualnym rozwoju systemu samorządów poza dziedziną produkcji.

„Piramida rad”

Całkowicie odmienną wizję ruchu rad prezentowano na łamach *Po Prostu*. Zdaniem jego publicystów rady nie mogły współżyć z centralnym aparatem zarządzania gospodarką. „Biurokracji i rad robotniczych nie można ożenić” — jak to lapidarnie ujął Lechosław Goździk. Następnym etapem przemian winna być całościowa reforma struktury ekonomicznej i gospodarczej kraju. 9 grudnia w artykule przedwyborczym Jan Józef Lipski i Jerzy Płudowski pisali: „Ruch samorządów robotniczych od swych narodzin był zapowiedzią zasadniczej przemiany. Jego twórcy jeszcze przed Październikiem jasno uświadamiali sobie, że musi on przynieść nie tylko uzdrowienie produkcji i poprawę stopy życiowej klasy robotniczej i całego narodu — lecz również generalną Naprawę Rzeczypospolitej (...). Realizacja hasła samorządów robotniczych musi oddać na zawsze władzę w ręce klasy robotniczej. Jest to program realizacji dyktatury proletariatu na miejsce dyktatury nad proletariatem. Oczywiście samo oddanie

władzy w fabrykach w ręce robotników jeszcze tej sprawy nie załatwia; za reformą ekonomiczną musi pójść reforma struktury życia politycznego, m.in. struktury polskiego parlamentaryzmu (...). Ruch samorządów robotniczych wyznacza wyraźnie kierunek tej reformy. Za inicjatywą ekonomiczną, społeczną, kulturalną załóg musi pójść i rozwinąć się ich inicjatywa polityczna". Grupa *Po Prostu* nie godziła się zatem ze sprowadzeniem roli rad robotniczych do funkcji gospodarczej. Dla radykalnych publicystów socjalizm oznaczał nie tylko społeczną własność, lecz przede wszystkim uspołecznienie władzy. Postulowali utworzenie systemu rad, obejmującego wszystkie dziedziny życia publicznego. Obok Sejmu powstać winna druga izba parlamentu — Izba Wytwórców — złożona z przedstawicieli samorządów pracowniczych. Ten system polityczny, ukształtowany na podobieństwo „piramidy rad”, miał iść w parze z nowym ładem ekonomicznym, opartym o decentralizację i swobodną inicjatywę samorządnych przedsiębiorstw.

Trudności

Tymczasem niezależnie od projektów jakościowego rozwoju ruchu rad przeżywały one masowy wzrost ilościowy. Na około 10 tys. przedsiębiorstw uprawnionych do powołania samorządu, w czerwcu 1957 roku istniało ponad 3.000 rad robotniczych. W grudniu tego roku funkcjonowało już ok. 5.600 rad. Ich skład społeczny nie odpowiadał jednak dokładnie robotniczej nazwie. Większość członków rad stanowili pracownicy umysłowi — inżynierowie i członkowie administracji fabrycznej. Październikowa wspólnota robotników i inżynierów w zakładach szybko się rozpadła. Inżynierowie widzieli w radach przede wszystkim instrument gospodarczy, instytucję zarządzającą fabryką w celu poprawy poziomu i jakości produkcji. Robotnicy natomiast w znacznie większym stopniu spodziewali się od rad zmiany swego położenia materialnego i społecznego. Niejednokrotnie były to cele sprzeczne. Rady, w których główną rolę odgrywała grupa pracowników umysłowych, realizowały przeważnie dążenia tej warstwy.

Najwyższa władza należała nominalnie do zgromadzenia ogólnego pracowników zakładu. W rzeczywistości rzadkie zebrania ogólne nie wykorzystywały swych uprawnień. Niska frekwencja, formalizacja działań, brak informacji o działaniach rady — wszyst-

ko to sprawiało, że kontrola ogółu nad radą stawała się fikcyjna. Pomiędzy radami a załogami robotniczymi narastały rozbieżności.

Rady wybierane były w powszechnym głosowaniu na dwuletnią kadencję. Do ich kompetencji należał wybór przewodniczącego i prezydium. Prezydium rady, jej organ wykonawczy, często w jej miejsce podejmowało decyzje, niedostatecznie kontrolowane przez bierne plenum. Dla rozwiązania problemów technicznych i ekonomicznych powoływane były nierzadko specjalne komisje. Bywało, że skupiały one wszystkich aktywnych członków rady, a pozostali przyjmowali bez zastrzeżeń ich propozycje, rezygnując faktycznie w rezultacie ze swoich uprawnień. Komisje miały też tendencje do zastępowania odpowiednich placówek administracji zakładu. W wyniku tego procesu rada robotnicza stawała się nierzadko częścią aparatu administracyjnego fabryki.

Tę niebezpieczną ewolucję szybko dostrzegli entuzjaści rad, dziennikarze z *Po Prostu*. „Samorząd robotniczy w niebezpieczeństwie”, głosił tytuł artykułu Stanisława Chełstowskiego i Włodzimierza Godka, opublikowanego 20 stycznia 1957 roku. Przyczyn niepokojącej bierności większości rad autorzy doszukiwali się w ograniczeniach zewnętrznych. „Ograniczanie rad — to ograniczanie demokratyzacji. Rady przecież są najistotniejszym, głównym dotychczas konstruktywnym elementem polskiej drogi do socjalizmu i pójsie na kompromis w tej sprawie — to rzeczywista rezygnacja z tej drogi” — dobitnie stwierdzali Chełstowski i Goddek, podkreślając polityczną funkcję samorządu. „Oddaje on przecież władzę nad środkami produkcji w ręce bezpośrednich producentów — załóg robotniczych. Stwarza precedens, który powinien się rozpowszechniać we wszystkich dziedzinach życia. Wszędzie rządy powinny sprawować bezpośredni twórcy, czy to kultury czy nauki, czy też dóbr materialnych”. Ograniczenia ustawowe sprawiają jednak, że rady stają się wyłącznie „amortyzatorami nastrojów załóg”. Konkluzję artykułu stanowiła przestroga: „W obecnych warunkach istnienia centralnej dyspozycji (gospodarczej) — rola tych rad (...) jest przesądzona. Jeśli w najbliższym czasie nie zmieni się radykalnie system zarządzania przemysłem — rady mogą się stać jeszcze jedną stalinowską fikcją stwarzającą pozory, że masy rządzą”.

Groźba była najzupełniej realna. Tym bardziej, że do wewnętrznych kłopotów rad doszły problemy wynikające z oporu dotychczasowego aparatu gospodarczego. Usiłowano odgórnie narzucić model statutu rady robotniczej, ograniczający ich kompetencje do roli pomocniczej. Pomiędzy centralną biurokracją przemysłową a radami toczył się także spór o sposób powoływania

dyrektora. Niejasny zapis w ustawie wykorzystywano do narzucania załodze własnych kandydatów. Urzędujący dyrektorzy, pewni poparcia Centralnych Zarządów, nie uznawali przeważnie statutowej roli rad, usiłując sprowadzić je do funkcji ciała doradczego. Samorząd nie miał także wielu zwolenników w aparacie partyjnym. Działacze organizacji zakładowych PZPR, których pozycja znacznie osłabła na skutek powstania rad robotniczych, usiłowali je sobie podporządkować. Wysiłki rad sabotowały także związki zawodowe, które w wyniku stworzenia rad utraciły monopol reprezentacji robotniczej. Działania te przynosiły pewne efekty. Niekiedy, wobec niepopularnych decyzji rad, np. dotyczących zwalniania z pracy, rady zakładowe i komitety fabryczne PZPR stawały w obronie pracowników.

Mimo to pierwsze wyniki ekonomiczne działalności rad robotniczych były bardzo obiecujące. Dzięki usprawnieniu produkcji, unormowaniu systemu płac, zwolnieniu niewykwalifikowanych i zbędnych pracowników, obniżce kosztów i wprowadzeniu produkcji ubocznej zakłady, w których funkcjonowały samorządy osiągnęły znaczne efekty gospodarcze w pierwszym półroczu 1957 roku. FSO na Żeraniu, dotychczas przynosząca straty, osiągnęła zysk ponad 20 mln złotych za dwa pierwsze kwartały tego roku. Podobnie było w innych zakładach, gdzie rady działały sprawnie. Pozwoliło to na wypłacenie załogom „trzynastej pensji”. Na temat jej podziału toczyły się jednak spory. Pierwsza koncepcja kierowała się zasadą egalitarną — każdemu pracownikowi, niezależnie od zajmowanego stanowiska, należy dać tyle samo. Druga głosiła, że podział „trzynastki” powinien być dokonany proporcjonalnie do zarobków — ten kto zarabia więcej, a więc więcej pracuje, powinien dostać część proporcjonalną do wkładu pracy. W FSO fundusz uzyskany po pierwszym kwartale podzielono egalitarnie, przyznając każdemu pracownikowi zatrudnionemu od co najmniej trzech lat tę samą sumę pieniędzy. Pozostałą część zysku przeznaczono na inwestycje socjalne. W większości zakładów dokonano jednak podziału proporcjonalnego, zwiększając nierówności i w rezultacie antagonizując załogi.

U p a d e k

Było to jednym z powodów, dla których na przełomie 1957/1958 roku rady robotnicze poczęły tracić wiarygodność wśród pracowników. Przeprowadzone wówczas badania socjologiczne wykazały, że robotnicy uważają, iż rady przestały ich reprezen-

tować. Wśród zarzutów powtarzały się: niewystarczająca informacja o działaniach rady, niereprezentatywny skład społeczny, zbyt bliskie kontakty z dyrekcją, nieliczenie się z życzeniami załogi. Pomiędzy samorządem i pracownikami wyrosła bariera niechęci i obcości.

Główny błąd działaczy rad polegał, jak się wydaje, na utracie kontaktu z załogami. Rady podejmowały szereg — przeważnie słusznych — decyzji ekonomicznych bez konsultacji z pracownikami, mimo że niejednokrotnie uderzały one w bezpośrednie interesy materialne robotników. W ten sposób wyobcowwały się ze środowiska, które miały reprezentować i które stanowiło rację ich bytu. Wielka aktywność robotników sprawiała natomiast, że kilkusobowe prezydium przejmowały funkcję całej rady i stawały się w praktyce organem zarządzającym już nie tylko fabryką, lecz także załogą. Tam, gdzie bierni byli również działacze rad, a załoga nie udzielała im zdecydowanego poparcia, radę podporządkowywał sobie dyrektor w charakterze ciała opiniodawczego. Dochodziło czasami do otwartych konfliktów między samorządem a robotnikami. W lutym 1957 roku robotnicy Żerania odpowiedzieli strajkiem na przeprowadzoną przez ich radę reformę płac, polegającą na ograniczeniu pracy akordowej i podwyższeniu norm. Ten wczesny sygnał pochodzący z zakładu, w którym ruch rad był najsilniejszy nie został odpowiednio zrozumiany. Konflikty w zakładach mnożyły się. Idea rad okazała się zbyt trudna do realizacji w praktyce.

Do narastającej niechęci robotników dołączyły się ataki polityków. IX plenum KC, które odbyło się w maju 1957 roku zainaugurowało nowy kurs wobec samorządu. Kierownictwo polityczne zdecydowanie odmieniło koncepcję „prawniczych rad”. W przemówieniu Gomułka znalazły się następujące stwierdzenia: „(...) Odrzuciliśmy jako nierealną koncepcję nadbudowy nad radami jakiejś hierarchicznej piramidy. Wykazaliśmy, do czego by to w praktyce prowadziło. Rozwój ruchu rad i ich doświadczeń może w przyszłości ukształtować różne drogi rozszerzenia wpływu rad na gospodarkę narodową. Obecnie nie można jednak pozostawić rad robotniczych ich własnemu losowi, jak też nie można ich pozbawić charakteru autonomicznego i samorządowego. W obecnej sytuacji jedynie realną koncepcją organizacyjnego ujęcia i rozwiązania sprawy udzielania radom robotniczym potrzebnej im pomocy jest powierzenie tych zadań związkom zawodowym”. Konsekwencją takiego ujęcia problemu było utworzenie Konferencji Samorządu Robotniczego, której powołanie Gomułka zapowiedział w kwietniu 1958 roku. To nowe ciało składać się miało

z trzech równorzędnych członów: rady robotniczej, rady zakładowej i komitetu fabrycznego PZPR. Zniwelowano tym samym znaczenie rad, podporządkowując je dwóm pozostałym, odgórnie kontrolowanym organizacjom. Zwrot ten, usankcjonowany przez ustawę sejmową w grudniu 1958 roku, mimo że krytykowany przez robotników, nie napotkał zdecydowanego oporu.

Idea robotniczego samorządu poniosła porażkę. Przypisywanie jej jednak wyłącznie działaniom władzy nie odpowiada prawdzie. Równie ważną przyczyną upadku rad robotniczych 1956 była ich wewnętrzna słabość. Rady miały, w intencjach ich twórców, pełnić dwojakie zadania. W sensie społecznym stanowić miały autentyczne przedstawicielstwo pracowników, a zatem bronić ich interesów. W sensie ekonomicznym miały być ciałem zarządzającym zakładem przemysłowym, a więc dbać o produkcję. Jak się rychło okazało, były to i są, jak się zdaje, nadal cele konfliktowe. Rady realizowały zatem tylko jeden z nich, nieuchronnie kosztem drugiego. Dając zazwyczaj pierwszeństwo zadaniom gospodarczym, spychały na drugi plan kwestię obrony interesów pracowniczych i stawały się nowym aparatem władzy, nie mniej oddalonym od robotniczej codzienności niż ten, który miały zastąpić. Ostateczną likwidację rad umożliwiła społeczna apatia wynikająca z zawiedzionych nadziei.

Wprowadzenie KSR-ów udało się nadspodziewanie łatwo. W ciągu dwuletniej działalności rady robotnicze utraciły bowiem społeczną wiarygodność. Nie zdołano wówczas zrealizować idei demokracji robotniczej. Rady nie przekształciły w tym duchu stosunków w zakładach pracy. Powołana wspólnie przez robotników i inżynierów reprezentacja przerodziła się w przedstawicielstwo grupy o wyższym poziomie wykształcenia i świadomości. Efekt ekonomiczny stał się celem nadrzędnym. Potrzeba elementarnej sprawiedliwości społecznej uległa wymogom wzrostu produkcji. Robotnik znowu znalazł się w roli przedmiotu w procesie wytwarzania.

Piękna idea samorządu okazała się zbyt trudna do realizacji w danej społecznej i politycznej rzeczywistości.

Janusz K. ZAWODNY

PREZYDENT ROOSEVELT W JAŁCIE: PROFIL POLITYCZNEJ AROGANCJI

W P R O W A D Z E N I E

Jałta — siódmy lutego 1945 roku. Oświadczenie Roosevelta przed Stalinem i Churchillem: „Mnie (polskie) granice nie obchodzą. Nie obchodzi mnie też kwestia kontynuacji (polskiego) rządu na emigracji. Faktycznie to od 1939 roku nie było żadnego polskiego rządu... Odrzucam koncept kontynuacji (polskiego rządu na emigracji)¹”.

Cytowane powyżej stwierdzenie traktować należy jako zdradę amerykańskiego przywódcy państwowego wobec polskiego alianta.

Analizując całokształt polityki Roosevelta w stosunku do sprawy polskiej, której końcowym efektem były postanowienia jałtańskie, można stwierdzić, że:

Teza A

Prezydent Roosevelt w okresie 1942-1945 nie był szczery jeśli idzie o plany dotyczące Polski powojennej wobec:

- 1 — *przedstawicieli rządu polskiego;*
- 2 — *przedstawicieli Polonii w USA;*
- 3 — *Kongresu Stanów Zjednoczonych;*
- 4 — *amerykańskiego społeczeństwa.*

1. U.S. Department of State. Foreign Relations of the United States. Diplomatic Papers. *The Conferences at Malta and Yalta, 1945.* Washington: U.C. Government Printing Office, 1955, str. 709; 718.

Poprzez wnikliwsze naświetlenie tych aspektów polityki Roosevelta, które dotyczyły bezpośrednio problemu polskiego oraz rozpatrując jego dyplomatyczne posunięcia przed i w czasie jałtańskiej konferencji, należy stwierdzić także:

Teza B

Postępowanie Roosevelta było sprzeczne nie tylko z Kartą Atlantycką² (sam ją propagował jako zasadniczą bazę celów wojny), ale również z krótko- i długofalowym interesem narodowym Stanów Zjednoczonych.

Powyższe tezy będą rozwinięte w dalszej części niniejszego referatu. Zanim to jednak nastąpi, rzucmy okiem na scenę, na jakiej rozgrywał się epilog dramatu polskiego, zwracając szczególną uwagę na postać odgrywającą w nim jedną z głównych ról — osobę prezydenta Roosevelta.

W lutym 1945 roku siedmuset delegatów rządów USA i Anglii zebrało się na terenie Związku Sowieckiego w mieście Jałta na osmiodniowe obrady. Obrady te według naocznego świadka nie były „zorganizowaną dyskusją”. Stalin, Churchill i Roosevelt spotykali się o czwartej po południu na prywatnych rozmowach oraz debatowali w czasie posiłków³.

Atmosfera tych spotkań pełna była manifestacji wzajemnej przyjaźni i zrozumienia.

Roosevelt — który oficjalnie był podczas wszystkich rozmów osobą dominującą — naprawdę stał już wówczas u schyłku życia. Według opinii jego osobistego lekarza: „Roosevelt wygląda na bardzo chorego człowieka. Cierpi na miażdżycę naczyń tętniczych w mózgu w zaawansowanym stadium. Daję mu kilka miesięcy życia⁴”. Rzeczywiście Roosevelt zmarł w dwa miesiące po Jałcie.

Fakt, że był człowiekiem bardzo chorym nie ulega wątpliwości — nie miał ani chęci, ani siły na czytanie materiałów, przygotowujących go do poszczególnych konferencji. W rezultacie nie było koordynacji między postępowaniem Departamentu Stanu (amerykańskie MSZ) a prezydentem⁵. W amerykańskiej delegacji największą rolę odgrywali Sekretarz Stanu (Minister

2. Roosevelt's Archives, Hyde Park, N.Y. U.S.A.: The Public Papers of F. D. Roosevelt, Vol. 10, str. 314, patrz zwłaszcza art. 2 i 3.

3. Charles E. Bohlen, *Witness to History, 1929-1969*. New York, Norton, 1973, str. 179.

4. C. L. Sultzberger, *Such a Peace: The Roots and Ashes of Yalta*. New York, A. Giniger Book, 1982, str. 49, gdzie cytuje Lorda Morana.

5. Edward R. Stettinius, *Roosevelt and the Russians: The Yalta Conference*. Garden City, New York, Doubleday and Co., str. 12, Stettinius był w Jałcie jako amerykański Sekretarz Stanu.

Spraw Zagranicznych) Stettinius oraz Harry Hopkins — osobisty doradca prezydenta.

Wybitny autorytet amerykański w sprawach historii dyplomacji tak opisuje osobę Stettinusa: „... był to sprytny administrator bez znajomości stosunków międzynarodowych, parawan, za którym stał prezydent Roosevelt... Intelktualnie ograniczony⁶”. Stettinus dał wyraz swego politycznego „rozeznania” w słynnym (dla specjalistów) oświadczeniu, które opublikował w 1949 roku: „Dokumentacja wykazuje, że na Konferencji (w Jałcie) Związek Sowiecki o wiele więcej poświęcił dla Ameryki i Wielkiej Brytanii, niż te kraje zrobiły dla Związku Sowieckiego⁷”.

Rekordem politycznej naiwności było ze strony Stettinusa pozwolenie sowieckiemu marszałkowi Woroszyłowowi, aby „w imieniu Stanów Zjednoczonych podpisał węgierskie zawieszenie broni⁸”. Stettinius jadąc do Jałty był na stanowisku Sekretarza Stanu dopiero od dwóch miesięcy, a utrzymał się na nim tylko przez siedem miesięcy.

Największy wpływ na Roosevelta w jego posunięciach dotyczących Polski miał Harry Hopkins⁹. Pod jego dyktando Roosevelt zabierał głos lub milknął na temat Polski podczas sesji plenarnych¹⁰. Hopkins zwierzył się członkom brytyjskiej delegacji: „My idziemy ręka w rękę z Rosjanami¹¹. Z polskiego punktu widzenia był to zły duch Roosevelta.

Charakter podpisanego w Jałcie układu najlepiej oddaje stwierdzenie amerykańskiego admirała Leahy, który powiedział do Roosevelta: „Panie Prezydencie, ten układ jest tak elastyczny, że Rosjanie mogą go rozciągnąć z Jałty do Waszyngtonu, technicznie nigdy go nie łamiąc¹²”.

Konferencja jałtańska to otwarta, do dziś niezagojona rana stosunków międzynarodowych. „Zakłajstrowana” ciszą dyplomatyczną, czterdzieści lat czeka na uczciwe oczyszczenie. To „zakłajstrowanie” nie było jednak wykonane fachowo... Nie ma uzgodnionego na piśmie przez partnerów przebiegu rozmów, nie

6. Prof. Bemis w *The American Secretaries of State and Their Diplomacy: E. R. Stettinius, Jr. and James F. Byrnes*. New York, Cooper Square Publisher, 1965. Tom 14, str. 30, IX i X.

7. Stettinius, str. 295.

8. *The Conferences at Malta and Yalta*, str. 445.

9. J. K. Zawodny i G. F. Kennan, „Geopolityka Polska”, *Zeszyty Historyczne* nr 73, 1985, str. 43-44.

10. Stettinius, str. 273.

11. Dokumentarny program BBC, 4 styczeń 1983.

12. John A. Lukas, *The Great Powers and Eastern Europe*. New York, American Book Co., 1953, str. 652.

ma stenograficznych raportów; każda delegacja ma swoją własną wersję sesji¹³.

W USA manipulacja dokumentacją jałtańską spowodowała wyrzucenie ze State Department dwóch urzędników, którzy chcieli mówić prawdę¹⁴.

Sowiecka dokumentacja z Jałty — podobnie zresztą jak sowiecka wersja rozmów w Teheranie i Poczdamie — ma też sporo opuszczeń¹⁵.

Czas chyba najwyższy, aby sprawy te znalazły się na forum publicznym.

TEZY

A — Prezydent Roosevelt nie był szczery, jeśli idzie o plany dotyczące losów powojennej Polski w stosunku do:

A/1 — przedstawicieli polskiego rządu

a) Siódmego czerwca 1944 roku Roosevelt zapewniał Premiera Mikołajczyka: „Sprawię, że Polska wyjdzie z tej wojny bez krzywdy¹⁶”. Siedem miesięcy wcześniej, w Teheranie — podczas tajnej rozmowy ze Stalinem — oddał Związkowi Sowieckiemu wschodnie granice Polski¹⁷. W miesiąc później, kiedy ówczesny ambasador amerykański w ZSSR Harriman, który był obecny na tej naradzie, sugerował, aby poinformować rząd polski o dokonanej „transakcji” — Roosevelt zabronił mu¹⁸.

b) W sześć miesięcy po podpisaniu Karty Atlantyckiej, gwarantującej integralność i niepodległość krajów walczących przeciwko Niemcom, Roosevelt osobiście zapewnił dwóch polskich am-

13. Stettinius, str. 103.

14. Ówczesny dyrektor Sekcji Historycznej Departamentu Stanu, G. Bernard Noble, sprzeciwiał się publikacji dokumentów.

15. Robert Beitzell, *Teheran, Yalta, Potsdam: The Soviet Protocols*. Hattiesburg, Academic International, 1969, str. III-IX.

16. Wywiad Prof. J. K. Zawodnego z byłym premierem St. Mikołajczykiem, Waszyngton, kwiecień 1958.

17. U.S. Department of State. Foreign Relations of the United States. *The Conferences at Cairo and Teheran*, 1943. Washington, U.S. Government Printing Office, 1961, str. 594-596.

18. Telegram Hulla do Roosevelta, 23 listopada 1943. Kartoteka sekretarza Prezydenta nr 66, Archiwum Roosevelta, Hyde Park, New York. Cytowany w Blaine David Benedict, *Roosevelt And Poland: Decision-Making As a Choice Among Value Goals*. University of Pennsylvania, dysertacja doktorska, 1977, str. 121, nota 75.

basadorów, Ciechanowskiego i obecnego Prezydenta Edwarda Raczyńskiego, że: „nie ma mowy o łamaniu Karty Atlantyckiej¹⁹”.

Sam jednak złamał to przyrzeczenie w Teheranie i Jałcie.

c) Wynika to też z listu napisanego dwanaście miesięcy po Teheranie przez prezydenta Roosevelta do premiera Mikołajczyka: „Stany Zjednoczone dążą bez zastrzeżeń do silnej, wolnej i niezależnej Polski, z pełnymi prawami Polaków do samostanowienia ich wewnętrznych interesów według własnej woli²⁰”.

W Jałcie zapewnienia te nie znalazły pokrycia²¹.

A/2 — Roosevelt nie był szczery wobec Amerykanów polskiego pochodzenia

a) Na tydzień przed wyborami, 28 października 1944 roku, Roosevelt rozmawiał z Rozmarkiem (prezydentem Kongresu Polsko-Amerykańskiego) w specjalnym pociągu na stacji w Chicago. W zamian za przyrzeczenie Roosevelta, że „podtrzyma zasady Karty Atlantyckiej w stosunku do Polski”, Rozmarek publicznie obiecał oddać na niego swój głos. „Ta deklaracja Rozmarka była interpretowana jako oficjalny głos reprezentujący Kongres Polsko-Amerykański i Polski Związek Narodowy²²”.

W tym samym czasie wschodnie granice Polski były już oddane Stalinowi.

b) W osobistym liście do członka Kongresu — Józefa Mruka (republikanin polskiego pochodzenia) Roosevelt zapewniał: „... nie było żadnych tajnych zobowiązań (dotyczących Polski) w Teheranie²³”. Oczywiście było to jeszcze jedno kłamstwo.

c) Szczytem publicznego zakłamania można nazwać audiencję udzieloną przez Roosevelta przedstawicielom Kongresu Polsko-

19. Prezydent Edward Raczyński, *In Allied London: The War Time Diaries of the Polish Ambassador Count Edward Raczyński*. London, Weidenfield and Nicolson, 1962, str. 100.

20. *The Conferences at Malta and Yalta*, str. 209-210.

21. Czytelnik znajdzie wnikliwe analizy Jałty i sprawy polskiej w: Jan Karski, *The Great Powers and Poland, 1919-1945: From Versailles to Yalta*. Lanham-New York-London, University Press of America, 1985, rozdziały 36-39 oraz Krystyna Marek, „Retour sur Yalta”, *Revue Générale de Droit International Public* nr 3, lipiec/wrzesień 1982, str. 458-507 i Zbigniew Brzeziński „The Future of Yalta”, *Foreign Affairs*, Winter 1984-1985, str. 279-302.

22. Donald E. Pienkos, *P.N.A. Centennial History of the Polish National Alliance of the United States of America*. Boulder: East European Monographs, distributed by Columbia University Press, 1984, str. 163-164.

23. *The Conferences et Cairo and Teheran*, str. 877. Dr Blaine D. Benedict zwrócił mi uwagę na ten list.

Amerykańskiego w Białym Domu. Za biurkiem Prezydenta wisiała olbrzymia mapa Polski z granicami z 1939 roku, o których utrzymaniu osobiście ich zapewniał. Działo się to w miesiąc po oddaniu polskich ziem w Teheranie²⁴.

A/3 — nie był szczery wobec amerykańskich władz ustawodawczych — czyli własnego Kongresu

a) Nie tylko nie poinformował ich o swoich poczynaniach wobec Polski w Teheranie, ale także zataił ustępstwa wobec Stalina w Jałcie. Podpisane tam zostało tajne porozumienie, które dawało Związkowi Sowieckiemu japońskie Wyspy Kurylskie i inne koncesje na Dalekim Wschodzie oraz przyrzeczenie przymusowego wywiezienia do ZSSR obywateli sowieckich, którzy znaleźli się na Zachodzie po zakończeniu wojny²⁵. Roosevelt rozmyślnie i wbrew prawdzie upewniał Kongres, iż kwestia Wysp Kurylskich nie była nawet dyskutowana²⁶.

A/4 — nie był szczery wobec własnego społeczeństwa

a) W orędziu do Kongresu z 11 stycznia 1944 roku Roosevelt zapewnił obywateli Stanów Zjednoczonych i Kongres, że: „...żadnych tajnych układów czy politycznych... zobowiązań (w Teheranie) nie podpisano²⁷”. Było to kłamstwo.

b) Roosevelt próbował wysondować, czy może się wycofać z Karty Atlantyckiej poprzez twierdzenie, iż właściwie „nie był to kompletny dokument. Nie jest uważany za podpisany przez nas (tj. Roosevelta i Churchilla)²⁸”.

Amerykańscy dziennikarze nie pozwolili mu jednak tak łatwo wykręcić się z tego dokumentu. Osobiście widziałem kopię Kar-

24. Pienkos, fotografia w ilustracjach po stronie 206.

25. Sultzberger, dyskusja na stronie 103.

26. Mowa prezydenta Roosevelta do Kongresu, 1 marzec 1945. U.S. Congress, House, *The Congressional Record*, 79-th Congress, 1st session, 1945, str. 1622.

27. Sprawozdanie prezydenta Roosevelta do Kongresu na temat „stanu państwa”, 1 styczeń 1945. U.S. Congress, House, *The Congressional Record*, 78th Congress, 2nd session, 1944, str. 55.

28. *Complete Presidential Press Conferences of Franklin D. Roosevelt*. Introduction by Jonathan Daniels. New York, De Capo Press, 1972, tom 24, 1945, str. 269-270. Daniels i Isadore Lubin to dwaj Polakożercy z otoczenia Roosevelta — patrz J. K. Zawodny. *Nothing But Honour: The Story of the Uprising of Warsaw, 1944*. Stanford, Hoover Institution, 1978, str. 82-83.

ty Atlantyckiej, gdzie Roosevelt wniósł punkty 7 i 8, a Churchill zrobił własnoręczne poprawki²⁹. Na dokument ten obaj politycy powoływali się niejednokrotnie publicznie³⁰. Dopiero przed samą Jałtą Roosevelt próbował wycofać się z Karty Atlantyckiej.

Teza B — Poczynania prezydenta Roosevelta były sprzeczne z interesami Stanów Zjednoczonych

1) Przed Konferencją Jałtańską Roosevelt ofiarował Stalinowi nowy amerykański krążownik, wyposażony w nowoczesne urządzenia radarowe. Ten multimilionowy prezent odtransportowany został pod eskortą Brytyjskiej Marynarki Wojennej. Czy w interesie Ameryki leżało dostarczenie Związkowi Sowieckiemu tak specjalistycznego sprzętu wojskowego?

2) Trzy wydarzenia mające miejsce w Jałcie były według opinii piszącego także sprzeczne z narodowym interesem USA:

a) na początku obrad jałtańskich Roosevelt zapewnił osobiście Stalina, iż amerykańska armia nie będzie mogła zostać w Europie dłużej niż dwa lata, ponieważ nie pozwoli na to amerykański Kongres³¹. Równało się to oświadczeniu „ma pan wolną rękę!”.

b) Według sekretarza wojskowego Brytyjskiego Gabinetu, Sir Ian Jacoby: „Cała sprawa (Jałta) była od początku źle poprowadzona, gdyż prezydent natychmiast po przyjeździe powiedział, że musi wyjechać w sobotę. Po tym oświadczeniu cała konferencja była już w ręku Rosjan... taki krótki czas nie wystarczył nawet na tak szalenie ważny przegląd dokumentów... to była głupota³²”.

c) Co więcej, prezydent bardzo się utrudził, żeby poinformować Stalina o swych zatargach z Churchilllem, Hopkins chwalił się tym nawet podczas zebrań w Jałcie³³. Czy tego typu informacje dostarczone Stalinowi mogły służyć interesom Ameryki i wzmacniać jej pozycję przy stole konferencyjnym?

29. Barrie Pitt, *The Battle for Atlantic*. New York, Time-Life Books, 1977, str. 152-153.

30. Roosevelt w liście do Gen. Sikorskiego: „Nie muszę Pana zapewniać o zdecydowanej woli Stanów Zjednoczonych, aby Polska powstała na nowo. Wynika to z art. nr 3 Karty Atlantyckiej...” cytowany w Jerzy Lerski, *Emisariusz „Jur”*. Londyn, Polska Fundacja Kulturalna, 1984, str. 73. List ten jest z grudnia 1943, lub stycznia 1944.

31. Bohlen, str. 184.

32. Sir Ian Jacoby w wywiadzie. Dokumentarny program BBC, 4 stycznia 1983.

33. Lord Moran cytowany w Benedict, str. 187.

3) Najczęstszymi w tym względzie zarzutami pod adresem Roosevelta są dwa następujące fakty, o których brak wprawdzie konkretnych informacji, ale poszlaki są tak wyraźne, że warto je chyba wydobyć na światło dzienne.

a) Roosevelt był uprzedzony i wiedział z własnych doświadczeń o możliwościach podsłuchu, zainstalowanego w jego siedzibie w Jałcie. Mimo to w drugim dniu konferencji rozmawiał w swoim pokoju na temat największej amerykańskiej tajemnicy — budowy bomby atomowej³⁴.

b) Ta chęć służenia interesom sowieckim jest chyba jedną z bardziej drastycznych spraw, która wyszła na jaw dopiero w 1983 roku. Opisuje ją w swojej książce brytyjski dyplomata, sprawujący w okresie wojny poważne misje w USA i mający służbowe kontakty z amerykańskim wywiadem wojskowym. „Było faktem, że studiowanie radiotelegramów sowieckich jest niebezpieczne (dla amerykańskiego personelu). Amerykański Departament Stanu rozkazał (amerykańskiemu wywiadowi) zwrócić rosyjskiemu wywiadowi cztery sowieckie klucze szyfrowe, ukradzione wywiadowi sowieckiemu razem z kilku setkami tajnych dokumentów. Ten nieprawdopodobny rozkaz był wydany przez prezydenta Roosevelta na krótko przed jego śmiercią. W połowie lutego 1945 roku zwrócono (te materiały) rządowi ZSSR³⁵”.

ZAKOŃCZENIE

Przedstawiony powyżej obraz politycznych poczynań Roosevelta w Jałcie nie byłby obiektywny bez — choćby krótkiego — przedstawienia klimatu, w jakim polityka ta narodziła się i dojrzewała. Stwierdzić więc przede wszystkim należy, że:

1) ówczesny klimat opinii publicznej w USA, na który każdy przywódca demokratyczny musi zwracać uwagę, był wyraźnie prosowiecki.

Popularne były takie opinie jak na przykład Głównego D-cy Amerykańskich Sił Lotniczych, generała Henry Arnolda, który w rozmowie z ambasadorem Ciechanowskim powiedział, iż „nie widzi wielkich różnic między ideologią Stalina i Roosevelta” i że według niego „błędem jest robienie ze Stalina komunisty”. Co więcej, uważał on FBI i NKWD za takie same instytucje³⁶.

34. *The American Secretaries of State and Their Diplomacy: E. R. Stettinius, Jr. and James F. Byrnes*, str. 48.

35. *William Stevenson, Intrepid's Last Case*. New York, Ballantine Books, 1983, str. 38.

36. *Jan Ciechanowski, Defeat in Victory*. Garden City, Doubleday and Co., 1947, str. 249.

Nawet tak konserwatywny magazyn jak *Life* (29 marzec 1943) ukazał się ze zdjęciem Stalina na pierwszej stronie, a o Leninie pisał, że był „prawdopodobnie największym człowiekiem czasów nowożytnych³⁷”.

Co do zainteresowania opinii publicznej konferencją w Jałcie i jej rezultatami, to według raportu Departamentu Stanu przeważała „kolosalna ignorancja³⁸”.

2) Prezydent Roosevelt cieszył się wśród społeczeństwa amerykańskiego dużą popularnością i zaufaniem. Naród amerykański zawdzięczał mu wiele zdobyczy socjalnych, jak ubezpieczenia społeczne, ubezpieczenia dla niepracujących, ubezpieczenia chorobowe, prawa związków zawodowych i dosłownie setki innych praw i zarządzeń na rzecz ludzi biednych i upośledzonych, dla których miał dużo zrozumienia i sympatii. Nic więc dziwnego, że i on sam spotykał się z ludzką sympatią, a jego posunięcia polityczne z pełnym zaufaniem.

3) Mimo tego zaufania, a może właśnie na skutek niego, Roosevelt w swojej polityce zagranicznej musiał liczyć się z nastrojami społeczeństwa własnego kraju. Świadczy o tym wypowiedź jego żony, Eleonory (z 1954 roku): „Powiedziałam mu (Rooseveltovi) jak bardzo byłam zawiedziona, a nawet zaszokowana, że Estonia, Litwa i Łotwa, zamiast dania im niezależności i wolności, zostały oddane Związkowi Sowieckiemu, bo Stalin tego chciał. Franklin powiedział wówczas — nie mogę osądzać, czy to jest dobre czy złe, mogę tylko przekazać tok jego rozumowania (widzę nawet dzisiaj jego twarz, kiedy to mówił) — że 'myślał o tym przez długi czas' i zapytał mnie: 'Ilu ludzi w Stanach Zjednoczonych poszłoby walczyć o uwolnienie Estonii, Litwy i Łotwy?'. Odpowiedziałam, że prawdopodobnie niewielu, a on na to: 'Myślałem o tym, co by było, gdybym miał podjąć decyzję wymagającą wojny i doszedłem do wniosku, że Amerykanie nie uważaliby, że wolność tych krajów jest dla nich wystarczająco ważna, aby się o nią i o te kraje bić'³⁹”.

4) Twierdzi się, że Roosevelt dlatego prowadził wobec Stalina tak daleko posuniętą politykę ustępstw, że potrzebował jego pomocy do zakończenia wojny z Japonią. W mojej opinii jednak argument ten jest dosyć słaby, a to z dwóch powodów:

a) Stalin przyrzekł tę pomoc Rooseveltowi już znacznie wcześ-

37. *Life*. Tom 14, nr 13, str. 29.

38. Robert L. Messer, *The End of Alliance*. Chapel Hill, The University of North Carolina Press, 1982, str. 61.

39. Joseph P. Lash, *Eleanor and Franklin*. New York, Norton, 1971, str. 718.

niej i to nawet dwa razy — raz Sekretarzowi Stanu Cordell Hullovi w październiku 1943 roku, a drugi w Teheranie w grudniu 1943 roku⁴⁰.

b) Roosevelt będąc w Jałcie wiedział już, że bomba atomowa może być użyta przeciwko Japonii i to w najbliższym czasie.

KONKLUZJE

Roosevelt w czasie drugiej wojny światowej miał następujące priorytety:

- wygranie wojny przy współpracy Stalina;
- stworzenie Organizacji Narodów Zjednoczonych z uczestnictwem ZSSR;
- sformułowanie zasad międzynarodowej współpracy za zgodą Związku Sowieckiego;
- wygranie po raz czwarty wyborów w 1944 roku⁴¹.

Jako amerykański prezydent miał prawo do powyższych priorytetów — mając głównie na względzie amerykański interes narodowy.

Natomiast z polskiego punktu widzenia — oraz w świetle prawdy historycznej — konieczne jest wykazanie i przekonanie społeczeństwa amerykańskiego, iż ani Roosevelt, ani Churchill nie mieli moralnego i legalnego prawa, aby w Teheranie, Moskwie i Jałcie oddać Stalinowi Polskę i całą centralną i wschodnią Europę.

Janusz K. ZAWODNY

40. Stettinius, str. 91. Patrz też: Grace Person Hayes. *The History of the Joint Chiefs of Staff in World War II: The War Against Japan*. Annapolis, Naval Institute Press, 1982, *passim*.

41. Benedict, str. 30.

Jan NOWAK

POLITYKA AMERYKAŃSKA WOBEC KRAJU I EMIGRACJI W LATACH ZIMNEJ WOJNY

Miałem możliwość zetknąć się z polityką amerykańską wobec Polski w latach zimnej wojny z tytułu moich funkcji dyrektora Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa¹. Wiadomości pochodzące z własnego doświadczenia mogłem uzupełnić niedawno zapoznając się z tajnymi dokumentami Departamentu Stanu i Rady Bezpieczeństwa, które w ostatnich latach udostępnione zostały publiczności w Państwowych Archiwach w Waszyngtonie i w publikacji Dep. Stanu *Foreign Relations of the United States*. Wybrane akta Państwowej Rady Bezpieczeństwa dostępne są do roku 1954, a dokumenty Departamentu Stanu do 1951 roku².



Dopiero w trzy lata po wojnie Stany Zjednoczone uświadomiły sobie w pełni, że Stalin po skonsumowaniu zdobyczy uzyskanych z taką łatwością w Jałcie i Teheranie nie zamierza zadowolnić się podziałem Europy na strefy wpływów i że ekspansja sowiecka stawia sobie cele o zasięgu globalnym. Komunistyczny zamach stanu w Czechosłowacji w lutym 1948 zamknął proces integracji Europy wschodniej jako organicznej części imperium sowieckiego. Zaprowadzanie totalnych rządów, podporządkowanych centralnemu ośrodkowi dyspozycji w Moskwie, odbywało się z pogwałceniem porozumień w Jałcie i Poczdamie. Dopóki jed-

1. Jan Nowak, „Wojna w eterze”. ODNOWA, Londyn 1985.

2. *Foreign Relations of the United States. 1948-1954.*

nak działało się to w granicach sowieckiej strefy wpływów, dwaj pozostali sygnatariusze tych układów odpowiadali protestami dyplomatycznymi. Było ich tak dużo, że stały się przejawem bezsilności i zachętą do dalszej ekspansji. Dopiero zagrożenie Grecji spotkało się z reakcją w postaci doktryny Trumana. Jak wynika z dokumentów, Ameryka gotowa była bronić nie tylko Grecji, ale także Turcji i Iranu przy użyciu wszystkich środków, nie wyłączając siły zbrojnej. To ostatnie uzależniano tylko od pełnego współdziałania Wielkiej Brytanii. Doktryna Trumana i pomoc udzielona Grecji w wojnie domowej z komunistami zatrzymały skutecznie sowiecką próbę podboju na bałkańskiej granicy sowieckiej strefy wpływów.

Polityka zatrzymania zarysowała się w pełni w obliczu zagrożenia Europy zachodniej, przede wszystkim Niemiec, a także Włoch i Francji w wypadku zwycięstwa wyborczego komunistów w obu tych krajach³.

W pierwszych latach po wojnie celem polityki zachodniej było wycofanie wszystkich wojsk okupacyjnych i zjednoczenie zdemilitaryzowanych i neutralnych Niemiec. Osiągnięcie tego celu uniemożliwił Stalin, sabotując odbudowę gospodarczą zachodnich stref okupacyjnych i domagając się udziału w zarządzie Zagłębia Ruhry. Alianci stanęli wobec alternatywy: albo rozciągnięcie wpływów sowieckich na całe Niemcy, albo utrwalenie podziału Niemiec. Wybrano to drugie, a więc utworzenie państwa zachodniemieckiego i włączenie go w system wojskowy, gospodarczy i polityczny Europy zachodniej i Przymierza Atlantyckiego. Odpowiedzią Stalina była blokada Berlina i utworzenie NRD. Jeszcze w cztery lata później, w roku 1952, Moskwa gotowa była poświęcić reżym Ulbrichta proponując sojusznikom zachodnim zawarcie pokoju ze zjednoczonymi i neutralnymi Niemcami⁴. Pod wpływem doświadczeń w Europie wschodniej oferta została przez Zachód odrzucona. Podejrzewano, że kryje się za nią podstęp i gra na zwłokę. Z punktu widzenia polskiego była to decyzja pomyślna. W owych latach zarówno niemiecka chadecja jak i socjaldemokraci zajmowali stanowisko rewizjonistyczne, a wysiedleńcy dysponowali dziewięcioma milionami głosów. W ówczesnym kontekście neutralne i zjednoczone Niemcy, będące przedmiotem licytacji między Zachodem a Wschodem, były większym niebezpieczeństwem aniżeli podzielone między oba bloki.

W latach 1948-1950 doszło do takich wydarzeń jak blokada Berlina, zwycięstwo komunistów chińskich i powstanie potężnego

3. George Kennan, „The sources of Soviet Conducts”, *Foreign Affairs*, July 1947.

4. *Department of State Bulletin*. April 7, 1952, str. 551-552.

bloku sowiecko-chińskiego, postępy komunistów w Azji południowo-wschodniej i wreszcie wybuch wojny w Korei. Wypadki te uprzytomniły Stanom Zjednoczonym, że znajdują się w obliczu bezpośredniego zagrożenia. W ocenie Państwowej Rady Bezpieczeństwa z marca 1948 (NSC 30. 7. 1948 F.R. 1948 T. I) stwierdzone zostało po raz pierwszy, że „ostatecznym celem Rosji jest zawładnięcie całym światem, i że Moskwa poczyniła już na tej drodze zastraszające postępy”. Zakładano, że „ZSSR usiłuje zdobyć hegemonię unikając wojny światowej, ale w ostateczności może do niej dojść⁵”. W roku 1948 liczone, że atak sowiecki nastąpi w ciągu jednego albo dwóch lat. Inwazję Korei Południowej uznano za wstępną fazę trzeciej wojny światowej.

W miarę postępów ekspansji sowieckiej rosła determinacja powstrzymania jej przy pomocy wszystkich środków, nie wyłączając w razie ostateczności siły zbrojnej, jak to się stało w Korei. Równocześnie już w roku 1948 odrzucone zostały dwie koncepcje strategiczne: wojny prewencyjnej i izolacji czyli zamienienia Ameryki w fortecę i ograniczenia się do obrony kontynentu własnymi siłami. Odrzucenie wojny prewencyjnej wynikało z niepomysłnej oceny ówczesnego stosunku sił. Bezpośrednio po wojnie Ameryka przeprowadziła nie tylko prawie całkowitą demobilizację sił zbrojnych, ale zdemontowała przemysł wojenny, przestawiając go na produkcję pokojową. Sowiecka przewaga broni konwencjonalnych była w roku 1948 tak miazdząca, że według Państwowej Rady Bezpieczeństwa Armia Czerwona w ciągu kilku miesięcy mogła zająć całą Europę zachodnią, Środkowy Wschód i kluczowe rejony strategiczne w Azji. Amerykanie uważali, że ich ograniczone zasoby broni nuklearnych stanowią czynnik odstraszący, ale z uwagi na rozbudowę sowieckiej obrony przeciwlotniczej nie byli pewni, czy samoloty bombowe, pozbawione osłony myśliwców, zdołają dotrzeć do celów i zniszczyć sowiecki potencjał wojenny. Konstrukcja pocisków rakietowych nie wyszła jeszcze poza wstępną fazę.

Jak dalece administracja Trumana przeciwna była wojnie prewencyjnej, świadczyć może incydent szczególnie interesujący dla Polaków. Udostępniony został raport CIA z 15 września 1950 roku⁶, skierowany do Sekretarza Stanu Achesona i zawiadamiający, że gen. Anders wybiera się do Stanów Zjednoczonych, gdzie ma zaproponować, że jeśli w wypadku wojny albo zerwania

5. *Report by the National Security Council on the Position of the United States with respect to Soviet directed World Communism.* March 30, 1948. F.R. 1948, Vol. 1, str. 545-550.

6. *Central Intelligence Agency Report to Secretary of Defence George C. Marshall.* F.R. 1950, Vol. IV, str. 259.

stosunków z reżymem warszawskim rząd USA uzna rząd polski w Londynie — generał podejmuje się zorganizować około 5 dywizji z b. żołnierzy PSZ. Na podstawie tego meldunku Podsekretarz Stanu skierował do prezydenta memo, odradzające Trumanowi przyjęcie generała pomimo jego wybitnych zasług w kampanii włoskiej z uwagi na głośne propagowanie przez Andersa wojny prewencyjnej i komplikacje, jakie mogą wyniknąć z tego spotkania w stosunkach z innymi polskimi grupami emigracyjnymi⁷.

Narzuca się pytanie, jakie byłyby losy Polski w wypadku zwycięskiej wojny z Rosją. Domysły są zbędne. Cele wojenne Stanów Zjednoczonych i warunki pokojowe sformułowane zostały po raz pierwszy w dokumencie Rady Bezpieczeństwa z sierpnia 1948 roku⁸. Należało do nich usunięcie sowieckiej dominacji i wpływów wojskowych z krajów przylegających do ZSSR, przy czym w tym pierwszym dokumencie nigdzie nie zostało ustalone, czy chodzi o granice z roku 1939 czy 1945. Dopiero w jednej z późniejszych wersji mówi się o odepchnięciu Rosji do jej granic przedwojennych. Równocześnie Ameryka wyrzekła się z góry bezwarunkowej kapitulacji pokonanego przeciwnika, zaciągania jakichkolwiek zobowiązań w sprawie granic, wywołania Ukrainy albo innych mniejszości narodowych z wyjątkiem krajów bałtyckich i decydowania o przyszłym ustroju po upadku systemu sowieckiego⁹. Wersja „celów wojennych” była wznawiana i rewidowana w latach następnych, ale główne zręby pozostały bez zmiany aż do roku 1953, gdy Rosja przeprowadziła pierwszą próbę bomby wodorowej. Ameryka zdołała w tym czasie dobrościć sobie i sojuszników, ale utraciła monopol broni nuklearnej.

Plan Marshalla, powstanie NATO, Wspólnoty Europejskiej i Niemieckiej Republiki Federalnej powstrzymały skutecznie sowiecką ekspansję w Europie. Gdy w roku 1950 w prasie sowieckiej pojawiła się teza, że bezpieczeństwo bloku sowieckiego wymaga zamknięcia Bałtyku dla floty zachodniej — Amerykanie byli zdecydowani zamknąć w odpowiedzi Kanał Panamski i wszystkie porty amerykańskie dla statków bloku sowieckiego i nakłonić państwa sprzymierzone do zamknięcia Kanału Sueskiego i Bos-

7. *Memorandum by the Acting Secretary of State to the President* 29. 10. 1950. F.R. 1950, Vol. IV, str. 259.

8. *N.S.C. 20/1 US Objectives With Respect to Russia, Wartime Aims* 18. 8. 1948. F.R. 1948, Vol. I, str. 610-611.

9. *US Objectives with Respect to Russia. Wartime Aims. F.R. 1948, Vol. I, str. 609.*

foru. Sowiety zrozumiały z miejsca ten język i pomysł zablokowania Bałtyku nigdy się już nie pojawił¹⁰.

Rada Bezpieczeństwa oceniła w początkach 1948 roku¹¹, że światowego komunizmu nie pokona się samymi środkami obronnymi. Potrzebna jest kontrofensywa. Rozważano m.in. popieranie podziemnych ruchów antykomunistycznych i wzmocnienie Głosu Ameryki. Nie było jeszcze mowy o RWE. Na odcinku polskim wspieranie ruchów podziemnych przybrało formę umowy z przedstawicielami WIN-u i z działem krajowym Rady Politycznej, który utrzymywał łączność z dawnymi stronnictwami w Polsce. Jedno i drugie zakończyło się w roku 1952 prowokacją bezpieki, procesem pokazowym i kompromitacją zarówno sponsorów amerykańskich jak i ich polskich partnerów na emigracji.

Projektem ofensywnym było także rozszerzenie listy artykułów objętych zakazem wywozu do krajów komunistycznych na wszystko co mogło przyczynić się do rozbudowy potencjału sowieckiego. Projekt ten upadł na skutek sprzeciwu Wielkiej Brytanii i Francji¹².

W miarę jak podnosiła się temperatura zimnej wojny, budziło się zainteresowanie Polską i całą Europą wschodnią. Potwierdza to smutną prawdę, że zainteresowanie mocarstw zachodnich Polską jest pochodną funkcją zagrożenia albo ze strony Niemiec, albo Rosji.

W wytycznych oceniających sytuację w Polsce i politykę amerykańską z 1949 roku¹³ stawiano jako cel na długą metę uwolnienie Polski, a na dzień dzisiejszy podtrzymanie morale ludności i oporu bez pobudzania do otwartych wystąpień. W praktyce jedynym instrumentem politycznym, jaki pozostał był Głos Ameryki. Ambasada w Warszawie została całkowicie izolowana od ludności i zredukowana do funkcji konsularnych. W 1950 roku Bułgaria zerwała stosunki dyplomatyczne z Waszyngtonem. Warszawa, Węgry i Rumunia zażądały drastycznej redukcji personelu ambasad amerykańskich. Waszyngton liczył się z tym, że Sowiety dążą do całkowitego usunięcia obecności przedstawicieli zachodnich i hermetycznego zamknięcia całego rejonu. Postanowiono opierać się temu do ostatka. W wytycznych określających politykę wobec Europy wschodniej rozesłanych w kwietniu 1950 roku

10. *Memorandum by the Joint Chiefs of Staff to the Secretary of Defense*. 6. 10. 1950. F.R. 1950, Vol. IV, str. 68.

11. *Report of NSC on the Position of the USA with respect to Soviet directed World Communism*. F.R., 1948, Vol. 1, str. 545-550.

12. *NSC Report on Tripartite Discussion on 1 B Proposals*. F.R. 1950, vol. IV, str. 116-123.

13. *Dept of State policy statement on Poland*, 25. 6. 1949. F.R. 1949, Vol. V, str. 502-505.

mówi się, że: „pomimo prowokacji i nacisków należy utrzymać przedstawicielstwa dyplomatyczne w krajach satelickich, dopóki nie powstanie sytuacja nie do zniesienia. Potrzebne jest utrzymanie punktów obserwacyjnych na miejscu, pokreślenie, że nie zamierzamy rezygnować z zainteresowań tym rejonem i godzić się z panowaniem sowieckim nad tymi narodami¹⁴”.

W tych samych wytycznych czytamy:

„Mocarstwa zachodnie nie powinny tracić z oczu faktu, że społeczeństwa Europy wschodniej były i powinny być częścią wspólnoty europejskiej... W związku z tym należy w sposób rozważny korzystać z emigrantów z krajów satelickich bez przyznawania im jednak statusu oficjalnego. Stany Zjednoczone, Wielka Brytania i Francja winny skoordynować swoje stanowisko wobec różnych grup emigracyjnych, by wykorzystać je w pełni w interesie Zachodu, który pokrywa się z interesami Europy wschodniej¹⁵”.

Problem współpracy z emigracją polityczną wyłonił się w polityce amerykańskiej już wcześniej. Ubocznym produktem polityki sowieckiej był exodus z Europy wschodniej demokratycznych przywódców politycznych, ratujących się przed losem Kostowa i Petkowa. Większość byłych premierów, przywódców stronnictw i parlamentarzystów znalazła się w pierwszych latach po wojnie w Ameryce. Szukając możliwości działania oblegali biura rządowe. Amerykanie odnieśli się do nich inaczej niż Brytyjczycy. Rząd brytyjski unikał starannie jakichkolwiek oficjalnych kontaktów nie tylko z rządem polskim w Londynie, ale w ogólności z działaczami politycznymi. Trzymano ich w zakorkowanej butelce. Natomiast Amerykanie nie odmawiali rozmów. W dokumentach Departamentu Stanu znajdują się notatki z rozmów z Juliuszem Łukasiewiczem, Janem Wszelakim i Stanisławem Mikołajczykiem. Powstał na tym tle kłopotliwy dylemat, jak pogodzić moralne zobowiązania wobec przywódców na wygnaniu z dążeniem do utrzymania za wszelką cenę dyplomatycznych stosunków z rządami satelickimi. George Kennan, kierownik biura planowania w Dep. Stanu znalazł wyjście z sytuacji, proponując w lutym 1949 utworzenie prywatnej instytucji pod patronatem wybitnych Amerykanów, która roztoczyłaby opiekę nad politykami z Europy wschodniej. Zadania podjął się b. Podsekretarz Stanu i b. ambasador w Japonii Joseph Grew. 1 czerwca 1949 powstał Narodowy Komitet Wolnej Europy. Składał się z pięćdziesięciu wybitnych Amerykanów. Byli wśród nich gen. Dwight Eisenhower, Allen Dulles, późniejszy szef CIA, Adolf

14. *Policy towards Soviet Satellites in Eastern Europe*, 11. 4. 1950. F.R. 1950, Vol. IV, str. 14-17.

15. *Ibidem*.

Berle, b. Podsekretarz Stanu w gabinecie wojennym Roosevelta, byli ambasadorzy Francis Biddle i Arthur Bliss-Lane i szereg innych osobistości reprezentujących obie partie, wielki business, związki zawodowe i środki masowego przekazu. Komitet miał „wspierać ich pokojową działalność na rzecz przywrócenia w Europie wschodniej swobód politycznych, społecznych i religijnych¹⁶”. Dla zachowania prywatnego charakteru Komitet miał być finansowany poufnymi kanałami z funduszy CIA i częściowo z funduszy prywatnych, zbieranych przez powołaną do tego celu Krucjatę Wolności. Komitet, który powstał 1 czerwca 1949, składał się z trzech podkomitetów: podkomitetu współpracy intelektualnej, który miał ułatwiać emigrantom studia nad problemami swego kraju; podkomitetu prasy i radia, który miał umożliwić działaczom emigracyjnym łączność z własnym krajem i podkomitetu kontaktów amerykańskich, który miał pomóc w nawiązywaniu stosunków między emigrantami a amerykańskimi organizacjami społecznymi, w pierwszym rzędzie ze związkami zawodowymi. Ponadto Komitet powołał do życia Kolegium Wolnej Europy w Strasburgu, które kształcić miało młodą kadre przyszłej elity politycznej w krajach wyzwolonych.

Pomoc finansową na rzecz ośrodków emigracyjnych uzależniono od powstania Komitetów albo Rad Narodowych każdej narodowości, jednoczących wszystkie ważniejsze kierunki polityczne. Według tej koncepcji Radio Wolna Europa miało znaleźć się całkowicie w gestii Komitetów Narodowych. Cały ten projekt spotkał się od początku ze stanowczym sprzeciwem Wielkiej Brytanii.

Jeszcze rok przedtem, w 1948 roku, Anglicy odrzucili amerykańską propozycję skoordynowania wspólnej ofensywy propagandowej. Nie został przyjęty amerykański projekt wspólnej audycji „Głos Wolności”, nadawanej przez Amerykę i jej europejskich aliantów przez połączone anteny kilku państw.

W czerwcu 1948 roku Robin Hankey, dyrektor Departamentu Północnego w Foreign Office na wiadomość, że Mikołajczyk przybyć ma z Waszyngtonu do Londynu zakomunikował ambasadzie Stanów Zjednoczonych, że Foreign Office uczyni wszystko, by wyperswadować Mikołajczykowi zamiary połączenia z rządem polskim w Londynie albo utworzenia jakiegoś komitetu politycznego. Hankey dał do zrozumienia, że wzmocnienie rządu londyńskiego połączone z finansową pomocą ze Stanów Zjednoczonych utrudniłoby osiedlenie i asymilację Polaków, a ponadto mogłoby

16. F.R. 1949, Vol. V, str. 277.

skomplikować stosunki dyplomatyczne z rządem warszawskim¹⁷. Równocześnie Hankey oświadczył Amerykanom, że Foreign Office odradza emigrantom czechosłowackim w Anglii tworzenie jakiegokolwiek komitetu albo rządu na wygnaniu. Chodziło o inicjatywę Słowaków Juraja Sławika, Stefana Ossuskiego i Fedora Hodży. Odpowiadając Hankeyowi Dep. Stanu informował, że Stany Zjednoczone odnoszą się z sympatią do projektu utworzenia organizacji pod nazwą Komitetu Czechosłowackiego z siedzibą w USA i odgałęzzeniami w innych krajach pod warunkiem, że działalność Komitetu nie narazi stosunków dyplomatycznych z rządem w Pradze. Deklaracja Komitetu nadana została przez Głos Ameryki.

Anglicy powrócili do sprawy w rok później. Na kilka tygodni przed ogłoszeniem o powstaniu Komitetu Wolnej Europy lord Jellicoe z ambasady brytyjskiej zakomunikował Dep. Stanu, że rząd Jego Królewskiej Mości jest stanowczo przeciwny uznawaniu jakiegokolwiek rządu na wygnaniu. Brytyjczycy starają się z zasady odwieść przywódców emigracyjnych od działalności politycznej i usiłują skierować ich energię na tory pracy humanitarnej i społecznej w łonie ich własnej zbiorowości na obczyźnie. Polityka brytyjska wobec grup emigracyjnych — powiedział na zakończenie Jellicoe — jest bardziej ostrożna od amerykańskiej. Anglik nalegał na dalszą wymianę zdań, ponieważ jest bardzo ważne, by uniknąć poważnych różnic w polityce obu rządów¹⁸.

Do usunięcia różnic nie doszło. W rok po powstaniu Komitetu Wolnej Europy na konferencji Achesona z Schumanem i Bevinem (11-13 maja 1950 roku) ten ostatni doradzał ostrożność w stosunkach z emigrantami z Europy wschodniej¹⁹.

Ze stanowiskiem brytyjskim miałem okazję zetknąć się osobiście na moim skromnym stanowisku redaktora Polskiej Sekcji BBC. W owych czasach sprawy polskie omawiane były w audycjach BBC rzadko, jakby na marginesie. Polacy używani byli przeważnie w charakterze spikerów i tłumaczy tekstów angielskich. Prymat BBC w Polsce został zachwiany, gdy Madryt rozpoczął nadawanie audycji utrzymanych całkowicie w duchu polskim. Hiszpanie pozostawili ich kierownikowi, Karolowi Wagnerowi, wolną rękę. Temu właśnie przypisać należy niebawem powodzenie radiostacji bardzo ubogo zaopatrzonej w środki ludzkie i finansowe. Chcąc wykorzystać ten sukces, wystosowałem do

17. Depesza ambasady USA w Londynie z dn. 23. 6. 1948. National Archives, Washington, D.C.

18. *Memorandum of conversation* 5. 5. 1949: rozmowa Fred K. Salter z lordem Jellicoe.

19. Editorial Note. F.R. 1950, Vol. V, str. 350.

Anglików w grudniu 1949 roku propozycję znacznego rozszerzenia tematyki polskiej i powierzenia jej polskim redaktorom. Szef działu Europy Środkowej Gregory Macdonald odpowiedział, że BBC mogłoby z łatwością potroić swoje wpływy w Polsce, ale Europa wschodnia znajduje się poza strefą żywotnych interesów brytyjskich i program BBC musi być utrzymany w rozsądnych ramach²⁰. Ponieważ sytuacja międzynarodowa się zaostrzała, nie dałem za wygraną i złożyłem na ręce ambasadora Raczyńskiego memoriał przeznaczony dla Anglików w sprawie przywrócenia wolnego czasu polskiego w audycjach radia brytyjskiego. Audycje byłyby nadawane pod auspicjami Federacji Wolnych Dziennikarzy. O ile mi wiadomo, memoriał nie doczekał się odpowiedzi. Zupełnie inna była reakcja senatora Johna Foster Dullesa na memoriał NiD-u, wysłany w marcu 1949. Tłumaczyliśmy w nim, że wobec udoskonalonych metod infiltracji komunistycznej polityki politycznej wszelkie próby organizowania podziemia są z góry skazane na niepowodzenie. Należy natomiast podtrzymywać opór moralny i walczyć z indoktrynacją przy pomocy radia prowadzonego przez emigrantów. Senator Dulles odpowiedział, że myśli jego i innych Amerykanów idą po tym samym torze²¹.

Koncepcja Komitetów Narodowych dysponujących własnym radiem upadła nie na skutek opozycji Anglików, lecz jako rezultat rozbicia w łonie emigracji. Mikołajczyk oświadczył, że jedyną reprezentacją polską może być jego Komitet Stronnictw Demokratycznych. Odrzucił z miejsca możliwość współpracy z innymi. Jan Wszelaki, przedstawiciel rządu londyńskiego, zadeklarował, że w skład Komitetu wchodzić mogą tylko organizacje i osobistości lojalne wobec ośrodka legalnego i przedstawił ich listę. W żadnym wypadku rząd londyński nie weźmie udziału w Komitecie, do którego miałby należeć Mikołajczyk. W odpowiedzi Lewellyn Thompson, późniejszy ambasador w Moskwie, udzielił Polakom lekcji na temat polityki amerykańskiej²².

„Ostatecznym celem naszym i wszystkich elementów polskiej emigracji jest wyzwolenie Polski... Nikt nie wie, kiedy to się stanie... Na razie... ważne jest podtrzymanie nadziei i morale społeczeństwa polskiego jak również stałe demonstrowanie naszych sympatii wobec Polski i zainteresowania jej losem.

Zdajemy sobie sprawę z różnic i braku jedności wśród przywódców polskich na emigracji. Naszym zdaniem ten stan rzeczy jest niefortunny i nie

20. Jan Nowak, „Wojna w eterze”. ODNOWA, Londyn 1985, str. 19.

21. *Memorandum on Support of anticommunist Resistance in the Soviet Controlled Countries*, March 1949.

22. *Memorandum of Conversation by the Deputy Director, Office of European Affairs (Lewellyn Thompson) with Jan Wszelaki*. F.R. 1949, T. V, str. 283.

pomaga sprawie. Dlatego popieramy zabiegi działaczy polskich, zmierzające do połączenia się nie jako rząd emigracyjny, lecz jako komitet, rada albo organizacja pod jakąkolwiek inną nazwą, która miałaby możliwie szerokie podstawy, obejmując jeśli możliwe wszystkie kierunki. Takie zjednoczenie polskiej emigracji wywarłoby zbawienny wpływ w Polsce i byłoby zgodne z obecnymi planami i polityką Stanów Zjednoczonych.

Należy podkreślić w związku z polskimi zabiegami o zjednoczenie, że Ameryka nie może uznać żadnego polskiego rządu na obczyźnie ani jakiegokolwiek organizacji czy ugrupowania aspirującego do tej roli. Stany Zjednoczone uznają rząd warszawski i to narzuca pewne zobowiązania, które wyłączają formalne i oficjalne stosunki z jakąkolwiek inną, polską grupą”.

Nie tylko Polacy, ale Czesi i Słowacy, Rumuni i Bułgarzy nie zdołali doprowadzić do zjednoczenia wszystkich głównych kierunków politycznych. W raporcie Komitetu do Spraw Działalności Informacyjnej na Zagranicę do prezydenta Trumana znalazło się zdanie:

„Według pierwotnych planów różne Rady Narodowe miały być odpowiedzialne za programy nadawane przez RWE... Ponieważ rywalizacja i złożoność polityki emigracyjnej utrudnia wyłonienie Rad Narodowych, powzięta została decyzja oparcia RWE na bazie niepolitycznej. Personel emigracyjny angażowany jest przy zastosowaniu kryteriów zawodowych raczej niż politycznych²³”.

Radio Wolna Europa zaczęło nadawać audycje z Nowego Jorku 4 lipca 1950 roku. Program był początkowo ograniczony do pół godziny, później godziny dziennie. Nadawano go ze słabiej anteny o mocy zaledwie 7,5 kilowatów pod Frankfurtem nad Menem. Punkt zwrotny nastąpił w roku 1951. Gen. Lucius Clay, organizator mostu powietrznego w czasie blokady Berlina, powrócił do Stanów pod wrażeniem sukcesu radiostacji RIAS (skrót od Radio in the American Sector in Berlin). Chociaż RIAS finansowany był przez Stany Zjednoczone, pracowało w nim tylko ośmiu Amerykanów na 648 Niemców, którym pozostawiono całkowitą swobodę redakcyjną. Radio miało wyposażenie normalnej stacji krajowej. Dysponowało nawet własną orkiestrą symfoniczną. Nadawanych z Berlina zachodniego całodziennych programów złożonych z audycji politycznych, rozrywkowych, kulturalnych, religijnych i sportowych słuchały dosłownie całe Niemcy wschodnie. Ludność traktowała RIAS jako własną, wolną rozgłośnię, którą ta rzeczywiście była.

Pod wpływem sukcesu RIAS i rad generała Claya Komitet Wolnej Europy postanowił zbudować pięć potężnych rozgłośni

23. *The Report of the President's Committee on International Information Activities*. 30. 6. 1953. F.R. 1952-1954, Vol. 5. Part 2, str. 1832.

ulokowanych w bezpośredniej bliskości krajów bloku sowieckiego. Każda z nich miała służyć swemu społeczeństwu jako namiastka własnego, wolnego radia, a więc w naszym wypadku miała być kontynuacją Polskiego Radia w niepodległej Polsce.

W dniu 10 grudnia 1951 rozpoczynałem w Monachium zadanie organizowania Rozgłośni Polskiej. Rozpoczęliśmy nadawanie w dniu trzeciego maja 1952 roku. Był to w Ameryce rok wyborczy, który wydawał się punktem zwrotnym w polityce amerykańskiej wobec Europy wschodniej. Do tego czasu obowiązywała doktryna powstrzymania, która w praktyce utrzymywała istniejący *status quo*. Według definicji, odnalezionej w jednym z dokumentów, polityka powstrzymania „opierała się na założeniu, że jeśli sojusznikom uda się zamknąć Rosję w granicach sowieckiej strefy wpływów — imperium ulegnie z czasem dezintegracji na skutek wewnętrznych sprzeczności i słabości systemu²⁴”. Do roku 1952 tak zdefiniowana polityka amerykańska miała za sobą poparcie obu partii. Dopiero afera Hissa obudziła podejrzania, że polityka Roosevelta w końcowej fazie wojny kształtowała się pod wpływem sowieckich wtyczek w otoczeniu prezydenta. W roku 1952 republikanie ruszyli do wyborów pod hasłem krytyki polityki jałtańskiej demokratów i dotychczasowej polityki powstrzymania, wsuwając w to miejsce hasło wyzwolenia Europy wschodniej i odepchnięcia Rosji do przedwojennych granic (*policy of liberation and roll-back*). Głównym promotorem był senator John Foster Dulles. W swojej książce „Wojna czy pokój” Dulles pisał: „Czas już przejść do ataku w globalnej walce o wolność, by odepchnąć wzbierającą falę despotyzmu”. Strategia amerykańska miała rozwijać się dwoma równoległymi torami: rozbudowy potencjału zbrojnego i ofensywy ideologicznej. „Siła idei — twierdził Dulles — ma przewagę nad siłą wyłącznie materialną... Musimy być dynamiczni, musimy posługiwać się ideą jako bronią, a nasze idee muszą odpowiadać zasadom moralnym²⁵”.

Hasło wyzwolenia podchwyczone zostało przez Kongres i prasę. Do krytyków polityki powstrzymania przyłączył się nawet liberalny publicysta Walter Lippman. Ideologiem wyzwolenia stał się także uczony i publicysta James Burnham. Jego zdaniem polityka amerykańska powinna była skoncentrować uwagę przede wszystkim na Europie wschodniej. „Oznacza to — pisał — że to co

24. *Reappraisal of United States Objectives and Strategy for National Security*. F.R. 1952-1954, Vol. II, Part 1, str. 69.

25. John Foster Dulles, „War or Peace”, New York 1950, str. 248.

dzieje się w Europie wschodniej ma kluczowe znaczenie dla sytuacji w skali światowej²⁶”.

Republikańscy kongresmani i senatorzy licytowali się w pomysłach. Senator Alexander Willey zalecał program infiltracji psychologicznej i rewolucyjnej. Miałby on polegać na organizowaniu grup komandosów „odznaczających się odwagą i wyobraźnią”. Składaliby się z dobrowolnych jednostek rekrutowanych spośród patriotycznej emigracji z Europy wschodniej. Kongresman Charles Kersten już w 1951 roku twierdził w Izbie Reprezentantów, że „jeśli reżym sowiecki nie zostanie podminowany i obalony, to sprowadzi na nas wojnę”. Domagał się tworzenia jednostek wojskowych złożonych ze wschodnio-Europejczyków pod ich własną flagą i przeprowadził uchwalenie stu milionów dolarów na rzecz „utworzenia elementów wojskowych spośród uchodźców z Europy wschodniej działających w ramach NATO albo w innych celach”.

W tej atmosferze powstawała Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa, która miała być jednym z głównych instrumentów nowej polityki. W naszym żywotnym interesie leżało przełamanie izolacji społeczeństwa, zwalczanie indoktrynacji i utrzymanie tożsamości narodowej. Trudno było oczekiwać, by postępowoświetyzacji mogło opierać się społeczeństwo pozbawione wszelkiej nadziei. Już sam fakt uruchomienia przez Amerykanów rozgłosni nadającej od świtu do nocy miał swoją potężną wymowę symboliczną. Powstawał nie tylko instrument oddziaływania i informowania, ale także szeroka płaszczyzna styku między Polakami i Amerykanami, a więc także wpływania na politykę amerykańską. Stawało się to szczególnie ważne w chwili, gdy Niemcy mieli nie tylko odzyskać suwerenność, ale stać się jako sojusznik głównym filarem Przymierza Atlantyckiego.

Ale polityka wyzwolenia miała także swoje aspekty niepokojące. Wysuwała wyzwolenie jako cel, nie wyjaśniając jakimi środkami ma być osiągnięty. Narzucały się pytania, czy możliwe jest wyzwolenie bez wojny? Czy Amerykanie oczekują, że zmuszą Rosjan do odepchnięcia ich w ich granice samą groźbą użycia broni nuklearnych? Czy też pod wpływem obudzonych nadziei wyzwolić się mają same narody ujarzmione przy nieokreślonej bliżej pomocy z zewnątrz. Temu ostatniemu byliśmy wszyscy zdecydowanie przeciwni. Tymczasem wypowiedzi samego Dullesa były w tym punkcie sprzeczne i mgliste. W swej książce „Wojna czy pokój” pisał, że „rewolta ludzi pozbawionych broni

26. James Burnham, „Containment or Liberation”, New York, 1953, str. 138.

prowadziłaby do masakry” i deklarował, że „nie chodzi o osłabianie Związku Sowieckiego kosztem elementu ludzkiego, na którym Ameryce najbardziej zależy²⁷”. Ale w czasie przemówienia wyborczego w Buffalo 27 sierpnia 1952 tenże sam Dulles mówił o możliwości „pobudzenia podziemnego oporu wspieranego przy pomocy rzutów i środków komunikacyjnych dostarczanych przez takie organizacje jak Komitet Wolnej Europy²⁸”. Gdy w maju 1952 roku Dulles znalazł się w Paryżu, generał Clay przekazał mu opinię Czechów w Radio Wolna Europa, że podejmują się wywołać rewoltę w Czechosłowacji w każdym wybranym momencie. Przerażony Dulles powiedział korespondentowi *New York Times*’a Sultzbergerowi, że rebeliantów należy powstrzymać, bo nie ma sposobu im pomóc. „A cóż u diabła moglibyśmy z tym zrobić w obecnych okolicznościach!” (*What on earth could we do with it under present circumstances*)²⁹. Wydaje się, że sam Dulles nie miał żadnego sprecyzowanego programu działania. Pismo *Reporter* w artykule „Czy mamy obecnie wznieść ruch oporu za żelazną kurtyną” powoływał się na generała Bora-Komorowskiego, który wypowiadał się przeciwko tym pomysłom twierdząc, że wobec metod policji politycznej ryzyko z tym związane byłoby zbyt wielkie³⁰.

Prawdziwą jednak burzę w prasie emigracyjnej wywołała wypowiedź dynamicznego prezesa Komitetu Wolna Europa C. D. Jacksona, który na rok przed powstaniem Rozgłośni Polskiej w Monachium oświadczył, że celem Komitetu jest „wywołanie zamieszania w krajach, do których nadajemy³¹”. W kołach polskich „sianie zamieszania” zostało zrozumiane jako zamiar stosowania środków odwetowych wobec Rosji, mających zmusić ją do zaprzestania dywersji w świecie niekomunistycznym na zasadzie „nie rób drugiemu, co tobie niemiłe”. Jackson był zaskoczony falą protestów Polaków. W lutym 1952 roku w czasie długiej rozmowy wyłożyłem mu szczerze nasze polskie zastrzeżenia. Jackson odpowiedział, że wraca właśnie z Londynu, gdzie odbył osobne rozmowy z generałem Andersem, związanym jeszcze wtedy z prezydentem Zaleskim, Jerzym Zdziechowskim, przewodniczącym Rady Politycznej, z przywódcami PPS Arciszewskim, Białasem i Ciołkoszem i wreszcie z Rowmundem Piłsudskim i Bolesławem Wierzbiańskim. Słyszając tak wiele o rozbiciu na emigracji nie mógł się nadziwić, że przedstawiciele zwalczających się grup,

27. John Foster Dulles, *op. cit.*, str. 247.

28. *New York Times*, 22. 8. 1952.

29. C. L. Sultzberger, „A long Row of Candles”, str. 750.

30. *The Reporter*, 14. 10. 1952, str. 17.

31. *New York Times*, 3. 5. 1951.

prawie tymi samymi słowami wypowiadali swoje zastrzeżenia i domagali się wyjaśnień. Ta jednomyślność bez jakiegokolwiek koordynacji wywarła na nim wrażenie. Zauważył ze zdziwieniem, że reakcje Polaków różnią się diametralnie od postawy Czechów. „Historia — powiedział — nauczyła was płynąć pod prąd³²”.

Aczkolwiek nic nie wyszło z koncepcji podporządkowania radia Komitetom Narodowym, przecież coś z niej zostało. Przede wszystkim autonomia zespołów redakcyjnych i brak jakiegokolwiek cenzury programów. Z konieczności namiastką Komitetu stał się kierownik zespołu. Polegało to na swobodnej inicjatywie w układaniu programów w sposób najlepiej przystosowany dla polskiego odbiorcy i uzgadnianiu wszelkich wytycznych zanim weszły w życie. Pozostawiono mi wprawdzie swobodę w doborze ludzi pod kątem widzenia kwalifikacji zawodowych, ale musiałem się zobowiązać, że w miarę możliwości w zespole znajdą się ludzie związani z wszystkimi kierunkami demokratycznymi, nie wyłączając grupy Mikołajczyka, i że żadna z tych grup nie będzie dominowała nad innymi. Okazało się, że stanowisko zarówno całego zespołu jak emigracji i Polonii wobec polityki wyzwolenia było jednomyślne. Ułatwiało to bardzo dyskusje z Amerykanami na temat „wytycznych” w sprawie polityki wyzwolenia. Zawierały one następujący, znamienity ustęp:

„Zachód zamierza użyć swe wielkie zasoby militarne, aby wymusić na Rosjanach uwolnienie Europy wschodniej. Jeśli Kreml popełni błąd i zdecyduje się na wojnę, to dojdzie do wojny”.

Byliśmy ostrożni i zdanie to nigdy nie zostało powtórzone w naszych audycjach. W rok później, po śmierci Stalina i po pierwszym wybuchu sowieckiej bomby wodorowej stanowisko Amerykanów uległo już radykalnej zmianie.

Polski punkt widzenia znalazł swe odbicie w przemówieniu do Polski wygłoszonym przez nowego prezesa Komitetu Wolnej Europy admirała Harolda Millera i nadanym w dniu otwarcia stacji 3 maja 1952 roku. Porównywując ówczesną sytuację w kraju z okresem okupacji hitlerowskiej, Miller wskazał na zasadniczą różnicę: „Na świecie — powiedział — a w każdym razie w Europie nie toczy się dziś otwarta wojna. W tej sytuacji główne zadanie Polaków i innych ujarzmionych narodów polegać musi na podtrzymywaniu upartej, zdecydowanej postawy wobec bezbożniczej doktryny komunizmu. Polska musi równocześnie zachować na przyszłość swą narodową kulturę i maksimum swoich sił żywotnych”.

32. Jan Nowak, „Wojna w eterze”, str. 94.

Wypowiedź ta pokwitowana została w słowach skierowanych do słuchaczy przez polskiego dyrektora Rozgłośni:

„Wiemy równie dobrze jak wy, że chwila obecna wymaga zachowania największego spokoju i opanowania, a wszelkie nierozważne odruchy mogą przynieść korzyść tylko samej Rosji Sowieckiej... Chociaż jednak bitwa nie toczy się w lasach, na ulicach czy w podziemiu, wiemy, że prowadzicie dziś inną walkę, od której zależy całe nasze przyszłe istnienie. Ta walka toczy się przede wszystkim w duszach polskich i w czterech ścianach polskich domostw. Walka o wyratowanie dzieci wyrastających w komunistycznej szkole, walka z podstępny m niszczeniem narodowej spuścizny, walka w obronie wiary, walka z barbarzyństwem, które usiłuje dusze polskie zatruć nienawiścią. W tej walce pragniemy wziąć udział na falach eteru”.

W tej samej audycji inauguracyjnej przemawiali do kraju: ambasador Raczyński, generał Anders, Mikołajczyk i Arciszewski. Mieli całkowitą swobodę wypowiedzi. Prosiłiśmy ich tylko, by powstrzymali się od wzajemnych ataków. W tym gronie tylko ambasador Raczyński stał ponad emigracyjnymi sporami. Pozostali byli politycznymi przeciwnikami. Przemówienia wszystkich trzech były jednak do siebie zdumiewająco podobne. Powtarzały się w nich te same tezy.

W dwa miesiące później nadeszła depecha z ambasady USA w Warszawie. „Częste wypowiedzi RWE — pisał ambasador — że angażowanie się w zbrojny opór w jakiegokolwiek formie byłoby bezcelowym narażaniem własnego bezpieczeństwa, wywiera dobre wrażenie na Polakach. Mówi się też z aprobatą o częstych ostrzeżeniach radia przed wojenną histerią. Informatorzy namawiają, by programy tego rodzaju często powtarzać, bo mnoży się ostatnio liczba ludzi zaangażowanych w organizacjach podziemnych i wielu Polaków wierzy, że wojna wisi na włosku³³”.

Jak widać, istniała w tej sprawie pełna zgodność poglądów kraju i emigracji.

Dwa razy tylko doszło do poważnego konfliktu na tle polityki wyzwolenia. Po raz pierwszy stało się to po wypadkach we wschodnim Berlinie w czerwcu 1953. Chociaż zryw został stłumiony, prasa po obu stronach Atlantyku uznała rewoltę za sukces polityki wyzwolenia. Londyński *Observer* pisał, że wypadki w Berlinie są odpowiedzią tym, którzy sądzą, że wyzwolenie Europy wschodniej nie jest możliwe. Dla nas miały one zupełnie inną wymowę. Wojska amerykańskie w Niemczech zachodnich nie wykonały najmniejszych, choćby pozorujących ruchów, Stany Zjednoczone poza werbalnymi protestami nie uczyniły żadnego znaczącego gestu. Warto z drugiej strony podkreślić, że w programach radia RIAS nie było ani jednego podlegającego

33. *Ibidem*, str. 83.

słowa. Kiedy delegacja strajkujących robotników dotarła do studia w Berlinie zachodnim i zażądała dopuszczenia do mikrofonów, spotkała się z odmową dyrektora Gordona Eisinga, który nie chciał być współsprawcą masakry. Było jednak jasne, że rewolta berlińska nie mogłaby rozlać się na cały kraj w ciągu kilku godzin i objąć 272 miast i miasteczek, gdyby wiadomości ze wschodniego Berlina nie zostały rozniesione przez RIAS.

Tymczasem po stłumieniu rozruchów agencja Deutsche Presse Agentur nadała wiadomość o wybuchu rozruchów w Szczecinie, Dzierżonowie, Jeleniej Górze i w kilku innych miastach na Ziemiach Zachodnich. Cała prasa światowa podała tę sensację tłustym drukiem na pierwszych stronach. Prasa niemiecka opatrzyła ją komentarzem, że rozruchy na dawnych ziemiach niemieckich są manifestacją solidarności z robotnikami Berlina. Źródło tych informacji wydało mi się podejrzane i polski dziennik radiowy nie powtórzył jej. Spotkało się to z ostrym sprzeciwem Amerykanów i zarzutem naruszenia wytycznych, które zalecały wprowadzić unikanie wszystkiego, co mogłoby być poczytane za podburzanie, ale nakazywały równocześnie informowanie o zajściach w najdrobniejszych szczegółach. Ponieważ Deutsche Presse Agentur nie miała w Polsce korespondenta, zażądaliśmy potwierdzenia informacji z innych źródeł. Z Berlina zachodniego przyszło potwierdzenie z powołaniem się na informatorów niemieckich. Natomiast kategoryczne zaprzeczenie nadesłał korespondent RWE w Hamburgu. Do portu zawinął właśnie statek ze Szczecina. Marynarze oświadczyli, że w mieście panuje spokój, nie ma mowy o żadnych rozruchach. Potwierdziła to później ambasada amerykańska w Warszawie. Ambasador wyraził przypuszczenie, że nieprawdziwe wiadomości albo narodziły się w poszukiwaniu sensacji, albo wyszły z tych kół niemieckich, które pragnęły wykazać, że ludność dawnych ziem niemieckich poczuwa się do związków z Niemcami. Drugi poważniejszy konflikt wyłonił się na tle wytycznych dla rozgłośni czechosłowackiej, wydanych wkrótce po rozruchach w Berlinie. Zapowiadały one, że słuchacze RWE wkraczają w nowy etap walki o wyzwolenie. „Robotnicy winni użyć swej siły i przerąbać sobie od wewnątrz drogę przez żelazną kurtynę. Należy wyswobodzić się z obaw spowodowania incydentów. Zadaniem radia jest pouczanie robotników, by we własnym interesie podjęli ofensywę”. Wiedzieliśmy, że jeśli Czesi przyjmą wytyczne bez sprzeciwu — zostaną one rozszerzone na pozostałe rozgłośnie. Mój czeski odpowiednik zapewniał mnie, że wytyczne nie są niebezpieczne, bo Czesi i tak się nie ruszą. Zdecydowaliśmy się więc wystąpić prewencyjnie. W rozmowie z Amerykanami powołałem się na świeże doświad-

czenia Powstania Warszawskiego. Ani ja, ani moi koledzy nie zgodzą się być zapłonem, który wysadziłby w powietrze własny kraj. W obszernym memoriale powoływałem się na łatwo zapalny charakter narodu Polaków, doświadczenia historyczne i zgodne stanowisko całej emigracji. Jako alternatywę przedstawiałem taktykę, jaką radio może stosować dla podtrzymania mechanizmów niezorganizowanego oporu, który działa skutecznie nawet w ówczesnych warunkach stalinowskiego terroru. Nasi amerykańscy partnerzy dali się przekonać i wytyczne dla Rozgłośni Polskiej poszły dokładnie po linii naszych sugestii.

W ciągu tych pierwszych lat aż do wypadków 1956 roku odkrywaliśmy, że skłócenie emigracji jest pozorne. We wszystkich sprawach zasadniczych, tam gdzie w grę wchodziły żywotne interesy kraju jak stosunek do polityki wyzwolenia, sprawa granic zachodnich, a po Październiku sprawa pomocy dla kraju — wszystkie zwalczające się kierunki zajmowały bez żadnego uzgodnienia to samo stanowisko współgrające z nastrojami społeczeństwa w kraju.

Prymas Wyszyński w swych „Zapiskach więziennych” odnotował myśl:

„Byłem od początku i jestem nadal zdania, że Polska a wraz z nią Kościół święty zbyt wiele utraciła krwi w czasie okupacji hitlerowskiej, aby mogła sobie pozwolić na dalszy jej wpływ³⁴”.

W tym jednym zdaniu kardynał zawarł myśl, która nurtowała w tym czasie wszystkich w kraju i na obczyźnie. Wystąpiło to najsilniej w krytycznych dniach października 1956 roku. Stanowisko większości społeczeństwa w kraju, polskiego Londynu, Polonii amerykańskiej, paryskiej *Kultury* i Rozgłośni Polskiej było zgodne i zbieżne. Dzięki temu Polska zdobywając znaczne ustępstwa uniknęła katastrofy, która stała się udziałem Węgier. Wystąpienia kardynała Mindszentego w czasie rewolucji węgierskiej różniły się zasadniczo od nawoływań Prymasa Polski. Węgrom brakowało tych świeżych doświadczeń, które przeżyli Polacy. Gdyby nie świeża pamięć klęski Powstania Warszawskiego, doszłoby prawdopodobnie do krótkotrwałej wojny październikowej z Rosją o konsekwencjach jeszcze bardziej tragicznych. Obserwacja procesów zachodzących w kraju nauczyła nas jeszcze tej prawdy, że zasadnicze zmiany w położeniu Polski mogą nastąpić nie pod wpływem mało prawdopodobnych wypadków zewnętrznych, ale pod naciskiem samego społeczeństwa. Pod naciskiem,

34. Kardynał Stefan Wyszyński, „Zapiski więzienne”. Editions du Dialogue, Paryż 1982, str. 20.

który nie przybierając form konspiracji ani gwałtownych wystąpień, okazuje się jednak skuteczny. Dlatego po roku 1956 pomimo intensywnych wysiłków nie udało się ekipie rządzącej powrócić do modelu rządów stalinowskich. Dzięki postawie społeczeństwa wiele październikowych zdobyczy przetrwało. Upadł tym samym uproszczony schemat myślenia, który nie widzi pośredniej drogi między całkowitą uległością i powstaniem zbrojnym. W latach 1952-1956 Polska wykazała, że między tymi dwiema skrajnościami istnieje szeroka gama innych możliwości. I że bez powstańczych zrywów Polska może skutecznie bronić swej duchowej wspólnoty i pozostać sobą.

Jan NOWAK

Emanuel HALICZ

„LE NORD” O KONFLIKCIE ROSYJSKO-POLSKIM I O JEGO PERSPEKTYWACH

Jedną z cech charakterystycznych dla postępowania zarówno Wielkich Książąt Moskiewskich, jak i potem carów rosyjskich było wykorzystywanie propagandy jako ważnego instrumentu w ich walce o realizowanie planów, zwłaszcza w polityce zagranicznej.

Już w XVII wieku państwo moskiewskie wykorzystywało technikę propagandową na szeroką skalę i stosowało różne środki, aby sparaliżować działanie sił antymoskiewskich poza jej granicami. M.in. niszczone książki i pamflety, demaskujące politykę Moskwy w stosunku do Słowian południowych. Piotr Wielki zorganizował całą kampanię w obronie swej polityki, a Katarzyna II ulepszyła dotychczasowe metody i osobiście włączyła się do tej propagandy poprzez korespondencję uprawianą z najwybitniejszymi myślicielami XVIII-wiecznej Europy (Wolter, Diderot, Grimm). Ona to właśnie, aby umotywić swą politykę wobec Rzeczypospolitej, wniosła do arsenału środków teorię o słowiańskiej etnogenezie Litwy, podjętą w XIX wieku przez takich historyków rosyjskich jak osławiony polakożerca Iłowajski, Ustiałow, Bodanow-Włodzimirski, ona tłumaczyła potrzebę rozbiorów Polski koniecznością obrony prawosławia, zabezpieczenia Polski przed anarchią i jakobinizmem. W arsenale środków znalazł się element bezpieczeństwa Rosji (zabór Krymu), który został wzbogacony w XIX wieku przez A. Gorczakowa w jego znanym memoriale z 21 listopada 1864, wyjaśniającym np. konieczność podboju Azji środkowej względami bezpieczeństwa Rosji i zapewnienia rozwoju kultury i postępu, na podobieństwo tego jak postępowano w USA i jak działali Francuzi w Afryce, Holendrzy w swych koloniach i Anglicy w Indiach.

Francuski historyk J. Michelet wskazywał na dywersyjną rolę propagandy rosyjskiej w Europie w XIX wieku, a Marks na przykładzie działalności agenta rosyjskiego, emigranta polskiego po powstaniu listopadowym, A. Gurowskiego, wykazał jak daleko sięgają macki rosyjskie. Gurowski, opłacany przez ambasadę rosyjską w Waszyngtonie, przeciwdziałał ukazaniu się w *New York Tribune* artykułów Marksa, demaskujących istotę panslawizmu.

La Presse w Paryżu podawała inny przykład działalności rosyjskiej, a mianowicie założenie — wyłącznie dla celów propagandowych — konsulatu w serbskiej Orsawie, miasteczku w którym dotąd nie zamieszkał żaden Rosjanin.

Wybitny rosyjski działacz emigracyjny A. Herzen demaskował praktyki rządu rosyjskiego w organizowaniu półoficjalnej literatury, wybielającej politykę caratu w latach 1860-tych, zwłaszcza w odniesieniu do kwestii polskiej, i sam padł ofiarą prowokacji władz carskich.

Jak wielkie znaczenie przypisywano w kołach bliskich dworowi opinii publicznej, zwłaszcza na zachodzie Europy, świadczy memoriał nieznanego autora z marca 1856 roku, adresowany do Aleksandra II i jego ministra spraw zagranicznych K. Nesselrode. Memoriał ten został opublikowany przez Eckhardta w pracy pt. „Von Nicolaus zu Alexander III”, wydanej w 1881 roku w Lipsku. Autor tajnego memoriału podnosi, że Rosja przegrała ostatnią, tj. krymską wojnę nie tylko na polu wojskowym, ale przede wszystkim na planie moralnym, co było spowodowane tym, że w przeciwieństwie do okresu panowania Katarzyny II i Aleksandra I oraz pierwszych lat panowania Mikołaja I (ma tu na względzie wojnę z Turcją w latach 1828-1829), w czasie wojny wchodniej, Rosja nie prowadziła kampanii propagandowej, aby usposobić sobie przychylnie opinię publiczną na Zachodzie.

Mianowany w kwietniu 1856 roku minister Spraw Zagranicznych. A. Górczakow doceniał rolę żywego i pisanego słowa i rozumiał, jak doniosłe znaczenie w realizacji planów rosyjskich, zwłaszcza na odcinku polityki zagranicznej, posiadać może umiejętność oddziaływanie na opinię publiczną w krajach Europy zachodniej. W tym celu ustanowił ścisły kontakt między ministerstwem spraw zagranicznych w St. Petersburgu i *Journal de St. Petersbourg*, czyniąc go półoficjalnym organem swego ministerstwa, i otoczył szczególną opieką założony w 1855 roku w Brukseli dziennik *Le Nord Journal International*, mający odegrać rolę tuby propagandowej Górczakowa. *Il faut poser la Russie dans l'opinion libérale de l'Europe* stało się dewizą ministra.

Le Nord, który skupił wokół siebie kilku zdolnych dziennikarzy francuskich, a którego naczelnym redaktorem został P. Poggenpohl, specjalizował się w polityce międzynarodowej i szybko stał się dziennikiem poczytnym w całej Europie.

Nie było wkrótce tajemnicą, czym organem jest to pismo, kto je popiera i subwencjonuje, a jak donosili z St. Petersburga

poślowie Prus i Austrii, Bismarck i Thun, artykuły w nim zamieszczone były nie tylko inspirowane przez rosyjskie ministerstwo Spraw Zagranicznych, ale często pisane przez jego pracowników, nawet pod dyktando samego Gorczakowa. Jak ujawnił po kilku latach istnienia *Le Nord* jeden z jego redaktorów, T. Franceschi (w artykule programowym z 2 lipca 1864) pismo było założone z myślą propagowania prawdy o Rosji i jej polityce, głównie wśród społeczności francuskiej, jako że we Francji Rosja i rozmaite zagadnienia jej dotyczące były dotąd widziane w sposób wykoślawiony i tendencyjny, do czego w niemałym stopniu przyczyniły się problemy związane ze sprawą polską. Pismo prócz zagadnień bieżących podejmowało centralne problemy polityki rosyjskiej i często polemizowało z artykułami o Rosji, ukazującymi się w czasopismach francuskich, z reguły liberalnych, jak *La Presse*, *Le Temps*, czy w znanym magazynie *Revue des Deux Mondes*, czy też w półoficjalnym organie Palmerstona, *Morning Post*.

Krytyka tych czasopism i periodyków nasili się zwłaszcza w czasie polskiego powstania 1863 roku. Artykuły, które publikujemy poniżej w polskim tłumaczeniu należą do tej serii, a pretekstem do ich powstania były artykuły naczelnego redaktora *Le Temps*, A. Nefftzera. Paryski liberalny dziennik, założony w 1861 roku, mimo stosunkowo niewielkiego nakładu zdobył sobie opinię *le plus grand journal de la République* i dlatego *Le Nord* uznał polemikę z jego tezami za konieczną, tym bardziej, że Nefftzer frontalnie zaatakował Rosję za jej zabory, które określił jako nadmierne, mając na względzie zwłaszcza tereny zagarnięte kosztem Szwecji i Polski.

Uderza w tej polemice przede wszystkim przyjęcie tezy M. Katkowa, znanego publicysty rosyjskiego i redaktora *Moskowskich Wiedomosti*, wygłoszonej przezeń w marcu 1863 roku, że „między tymi dwoma spokrewnionymi narodami [Polską i Rosją] historia zawsze stawiała fatalny problem życia i śmierci. Oba te państwa nie były po prostu rywalami, ale nieprzyjaciółmi, którzy nie mogą obok siebie żyć jako niepodległe. Spór między nimi toczy się nie o to, które z nich zdobędzie pierwsze miejsce i które z nich będzie silniejsze, ale które z nich pozostanie przy życiu”.

Artykuł z *Le Nord* przyjmuje tezę Katkowa z jego artykułu „Sztó nam dieńat' s Polszej”, że z trzech teoretycznych rozwiązań — całkowicie wcielić Polskę do Rosji, zezwolić jej na pełne oderwanie lub powrócić do Konstytucji z 1815 roku — możliwe jest tylko pierwsze, bowiem choć cień państwowej odrębności polskiej groziłby rozpadem Rosji. Odpowiadało to zresztą temu co przed powstaniem styczniowym pisał dyplomata rosyjski P. Meyendorff, który w depeszy do Nesselrode skrytykował marzenia słowianofilów, wierzących w braterstwo Słowian i dowodził, że Rosja pójdzie raczej na cierpienia i wojnę, niż na ode-

branie jej części jej terytorium, mającego tak zasadnicze dla niej znaczenie, jak ziemie polskie.

Odpowiadało to też ideom Gorczakowa z wiosny 1863 roku, który w rozmowie z posłem szwedzkim w St. Petersburgu Wedel-Jarlsbergiem oświadczył, że: „to, co Zachód nazywa niepodległością Królestwa [Polskiego] my nazywamy po prostu rozbiorem Imperium. Żaden rosyjski władca — dodał z naciskiem minister — nie zgodzi się na to dobrowolnie”.

W artykule wyeksponowana jest teza o powiązaniach Polski z papieżem i w tym kontekście dostrzega się jedno z głównych źródeł odwiecznego konfliktu między Polską i Rosją. Historyczną odpowiedzialnością za wywołanie konfliktu obarcza się stronę polską.

Przed społecznością francuską, bo do niej zwraca się autor artykułów w *Le Nord*, postawiono sprawę jasno i bez ogródek. Sprawa polska jest problemem wyłącznie rosyjskim, wewnętrzną sprawą Rosji i w interesie utrzymania równowagi i pokoju w Europie żadne z mocarstw nie powinno się do niej mieszać.

Wydaje się, że opublikowanie tych nieznanymi czytelnikowi artykułów z *Le Nord*, choć dotyczących innego okresu historycznego, może być pożyteczne dla zrozumienia niektórych istotnych i jakże aktualnych problemów rosyjsko-polskich, jak i niektórych innych aspektów polityki rosyjskiej i kryteriów, którymi się kieruje.

Emanuel HALICZ

Th. FRANCESCHI

ROZWÓJ TERYTORIALNY ROSJI

Część I — 16 lipca 1864

Problem postawiony przez *Le Temps* brzmi: czy rozrost terytorialny Rosji był normalny, czy nadmiernie wybujały? *Le Temps* uważa, że wybujały. My pragniemy pokrótce dowieść, że w rozwoju imperium rosyjskiego nie ma niczego nienormalnego.

Historia Rosji przypomina dzieje wszystkich narodów europejskich, które mając w sobie siły charakterystyczne dla wielkich nacji, szukały sposobów i stopniowo realizowały warunki, niezbędne do istnienia potężnego państwa. Z tego punktu widzenia jej historia nie różni się niczym od dziejów Francji i Anglii. Prawdą jest, że rozwój narodu rosyjskiego dokonywał się na znaczniejszym terytorium, ale z tego nie wynika, że zastępuje

ono na miano nadmiernego (*démesuré*): rzeczywistej potęgi, a o nią tu chodzi, nie mierzy się mniejszą czy większą liczbą kilometrów kwadratowych; przeciwnie, polega ona na koncentracji sił. Ogrom terenów połączony ze słabym zaludnieniem stanowi dla Rosji nie przyrost terytorium, lecz jego rozciągnięcie w przestrzeni, które jest właśnie jedną z przeszkód na drodze do rzeczywistej potęgi. Zarzuty *Le Temps* odnoszą się oczywiście nie do obszaru, jaki zajmuje na mapie Rosja, lecz do ziem zagarnianych stopniowo kosztem państw ościennych. M. Nefftzerowi chodzi w gruncie rzeczy tylko o powiększenie Rosji kosztem Szwecji i Polski. Chcemy więc rozważyć, czy te sukcesywnie dokonywane aneksje wynikały z nienasyconych i groźnych dla równowagi europejskiej ambicji, czy też z naturalnych imperatywów, przed jakimi stoi wielki naród, jeśli chce istnieć.

Niezaprzeczalna różnica między rozwojem cywilizacyjnym zachodu Europy i Rosji i opóźnione wejście tej ostatniej na arenę polityczną wynikły z dominacji mongolskiej. Hordy Azjatów, rozbite pod Poitiers przez wojska Karola Młota, powstrzymane w Europie wschodniej wielkim nakładem krwi i bezustannych walk, rozprzestrzeniły się bez przeszkód po terytorium Rosji, słabiej przygotowanej do obrony i bliższej stepom, z których niezmordowani barbarzyńcy bezustannie dokonywali napadów. Przez dwa wieki odurzające jarzmo ciążyło na narodzie rosyjskim, który obrony przeciw temu demoralizującemu zjawisku szukał jedynie w uczuciach narodowych i wierze, złączonych odtąd w jedno w toku jego historii.

Cały ten okres był dla Rosji jedną długą krucjatą, początkowo bierną, z czasem czynną i zwycięską. Pierwszą troską Rosji po odzyskaniu ducha było wyzwolenie się spod jarzma i wyparcie barbarzyńców na ich stepy na wschodzie i południu; następnym etapem było odrobienie straconego czasu i uutorowanie sobie drogi na Zachód. Jednak choć serce jej biło, zabrakło jej tchu. Rozciągnięta na wielkich terenach, oddzielona od reszty Europy wrogimi Szwecją i Polską, pozbawiona słońca i tchnienia cywilizacji, Rosja nie mogła się w tym czasie — w braku kolei żelaznych — zbliżyć do Europy inaczej niż zdobywając port nad Bałtykiem. Toteż Piotr Wielki, który miał genialną intuicję, skierował najpierw wzrok w tym kierunku: zdobywszy Ingrię, zbudował tam wśród bagien stolicę. Sankt Petersburg stał się oknem na Europę, potrzebne jednak były drzwi.

Prowincje rosyjskie znajdowały się w ręku Szwecji i nie tylko odcinały Rosję od morza, ale też wdzierały się w głąb nowego imperium. Łotwa i Estonia, których ludność jest jednakowo obca

rasie skandynawskiej co słowiańskiej, nie czuły się bardziej związane ze Szwecją niż z Rosją, wskutek czego w sposób naturalny były bliższe tej ostatniej, z którą graniczyły, aniżeli z królestwem szwedzkim, z którym były połączone w sposób dziwaczny, będąc odeń oddzielone morzem. Szwecja, którą Karol XII poświęcił dla swej potrzeby przygód, utraciła Łotwę i Estonię na rzecz Rosji, tak jak miała później utracić Pomorze na rzecz Niemiec. Jeszcze później utraciła Finlandię, której okupacja pozwoliła jej dotrzeć aż do rogatek St. Petersburga i zmienić stolicę carstwa rosyjskiego w miasto przygraniczne. Trudno by ubolewała dziś nad tą ostatnią stratą, gdyż kilka lat później dostała tytułem odszkodowania i za cenę udziału w koalicji antyfrancuskiej w 1813 roku Norwegię, odebraną Danii i wielce zadowoloną z wyzwolenia spod „duńskiego jarzma”, aczkolwiek wielce niezadowoloną z powodu związania jej ze Szwecją, choć więzy te nie były niczym więcej niż unią.

Zdobyty odcinek wybrzeża otworzył nowe możliwości przed handlem rosyjskim i wszystkie porty europejskie przed banderą rosyjską: Rosja stała się potęgą europejską. Ale zadanie, jakie sobie postawiła, dalekie było od spełnienia. To, czego dokonała na Bałtyku, dokonać musiała teraz na Morzu Czarnym, na którego brzegach osiedli jej dawni wrogowie, Tatarzy, którzy w oparciu o pomoc swych współwyznawców Turków bezustannie grozili najazdami. Należało również ustalić granice zachodnie.

Tam leżała Polska.

Część II — 17 lipca 1864

Nie będziemy wracać do kwestii stosunków między Rosją a Polską, która ostatnio tak rozogniła opinię, ani do perypetii tego wielkiego historycznego pojedynku. Chcemy tylko, dla potrzeb naszej tezy, określić jego charakter i wyciągnąć uzasadnione wnioski.

Polska i Rosja były skazane na starcie, bo nie oddzielała ich żadna naturalna linia demarkacyjna. Nawet rzeki płynęły na tych nizinnych terenach niezdecydowanie, rozlewając się wśród bagien. Sam grunt zdawał się układać w arenę walki. Stwarzał on warunki albo do zjednoczenia obu graniczących ze sobą narodów, albo do walki na śmierć i życie. Walka wzięła górę. Między oboma narodami, pierwotnie bratnimi, wyrosła najpierw przepaść nienawiści religijnej: papiestwo posłużyło się Polską jako mieczem do uśmierzenia schizmy wschodniej, ucieleśnionej w Rosji.

Od tej chwili walka toczyła się nie tylko o hegemonię nad Słowiańszczyzną, ale o samo istnienie.

Polska pierwsza spowodowała, że sprawa jej życia i śmierci stała się sprawą życia i śmierci Rosji. Naród rosyjski natrafiał na rękę Polski we wszystkich swych niepowodzeniach, poniżeniach i cierpieniach. Wspólna historia Polski i Rosji da się zawrzeć w słowach: akcja i reakcja, atak i represje.

Syn Zygmunta [III Wazy — E.H.] Władysław kazał się ukoronować w Moskwie carem Rosji; niecałe dwa wieki później Rosjanie wkroczyli do Warszawy, a dziś królem Polski jest car Rosji. Polacy, wiedzący, że najpewniejszym sposobem wynarodowienia Rosjan jest skłonienie ich do wyrzeczenia się ich wiary, zdołali doprowadzić pewną część mieszkańców Litwy do uznania najwyższej władzy papieskiej; z kolei powrót greko-unitów na łono macierzystego Kościoła będzie uznany za jedno z najważniejszych aktów panowania Mikołaja I. Małżeństwo jednej z polskich cór królewskich z barbarzyńskim zdobywcą Litwy zdecydowało o zwycięstwie Polaków w pierwszej fazie walki, natomiast żywiołowa aneksja Ukrainy zdecydowanie przeważała szalę na korzyść Rosji. Tak toczy się cała historia obu tych narodów, w której podobne fakty powtarzają się w żmudnej symetrii w różnych datach, odtwarzając w kierunku od Moskwy do Warszawy ten sam krwawy szlak, który uprzednio prowadził od Warszawy do Moskwy.

Pole tej zaciętej walki — Litwa, Podole, Wołyń — było zarazem ceną i rękojmią zwycięstwa. Oba narody czują, że tu właśnie rozstrzygnie się ich konflikt i ich los. Zwycięstwo zdecyduje, komu te prowincje przypadną w udziale. Polska rzuciła tam, uprzedzając zwycięstwo, swą wojowniczą szlachtę, nie zdołała jednak wykorzenić rosyjskości¹ ani prawosławia, które zapuściły tam głębokie korzenie i niemal wszędzie były w większości.

Do czasów Katarzyny II, mimo że Rosja odzyskiwała pięćdziesiąt procent te ziemie, pozostały one we władzy Polski. Pozbawiły ją ich rozbiory. Podkreśliśmy jednak, że o ile rozbiory wzbogaciły państwo króla Prus i cesarzowej austriackiej o nowe zdobycze, o tyle Rosji oddały tylko tereny, których się odwiecznie domagała, rozwiązując na jej korzyść spór, w którym obie walczące strony powoływały się nie tylko na siłę swych wojsk, ale i na prawo.

Co do samego państwa polskiego — tego bolesnego i nieuda-

1. Mowa o Ukraińcach i Białorusinach — E.H.

nego podarku, jaki w 1815 roku spadł na Rosję i który Aleksander I przyjął w swej mistycznej i złudnej wierze w zjednoczenie ludów słowiańskich, nieświadom, w co się dał wciągnąć, to trzeba przyznać, że więzy, jakimi jest ono związane ze swą dawną rywalką, obu im dotychczas mocno ciążyły, a już program powstania [1863 r. — E.H.] domagający się ustanowienia Polski w granicach z 1772 roku, czyli unicestwienia Rosji, powoduje, że utrzymanie Polski jest dla tej ostatniej sprawą życia i śmierci, działaniem w obronie koniecznej².

Można żywić nadzieję, że obecna reforma społeczna [chłopska — E.H.] na ziemiach polskich uśmierzy tradycyjny antagonizm i doprowadzi do zgody obu narodów pod wpływem instytucji liberalnych. Jak by zresztą nie było, to co powiedzieliśmy wyżej wystarczy za dowód, że obecne położenie Polski i Rosji jest wynikiem nie przewrotnych planów i nieposkromionych apetytów tej ostatniej, lecz zrzędzeniem losu, który skazał jeden z tych narodów na panowanie nad drugim. To tylko chcieliśmy wykazać.

Czy mamy przejść do omówienia podbojów rosyjskich na Kaukazie i Syberii? Nie, jako że nie odpowiadamy *L'Opinion nationale*³. Równie dobrze moglibyśmy uzasadniać podbój Algieru przez Francję lub Indii przez Anglię.

Co leży u podstaw zarzutów *Le Temps* wobec Rosji? Niepomówiane ambicje? Dowiedliśmy chyba, że wzrost terytorialny imperium rosyjskiego spowodowany był jego żywotnymi interesami. A może wojny, do jakich się uciekała w tym celu? Choć użycie tego środka wydaje się w miarę postępów cywilizacji coraz bardziej niewłaściwe, trudno mu odmówić historycznej racji, chyba że wytoczy się procesy wszystkim nacjom i dynastiom. Czy samo położenie topograficzne Rosji w Europie wydaje się panu Nefftzerowi groźne dla bezpieczeństwa Europy? W tym przypadku bardziej niż w jakimkolwiek innym ekspansja terytorialna nie może służyć za kryterium. Istnieją na kuli ziemskiej małe zakątki jak Gibraltar, Helgoland, Malta, Périm, niebezpieczniejsze dla równowagi europejskiej aniżeli cała Syberia. To, że Rosja mimo niezmiernie rozległych granic jest zdolna do obrony, polega na jej wybrzeżu, wciśniętym w niemal zamknięte morza i częściowo chronionym przez trudno dostępne lody: czyni to atak zupełnie niemożliwym.

2. W memoriale Górczakowa, przedłożonym Aleksandrowi II 3 stycznia 1865 strategiczne znaczenie Polski zostało mocno uwypuklone.

3. Paryski dziennik liberalny, założony w 1859 roku i cieszący się wielką poczytnością.

Prawdą jest, że z wszystkich mocarstw europejskich Rosja ma najlepiej zorganizowaną obronę. Oparta jest ona o Syberię, czyli o nieskończoność. Ale cóż w tym nienormalnego i wybujałego z punktu widzenia równowagi europejskiej? Z przyjemnością spróbujemy zdefiniować nasz punkt widzenia na tę równowagę: jest to taki stan rzeczy, w którym żadne mocarstwo nie byłoby dość silne, aby walczyć poza swoim terytorium ze zjednoczonymi siłami całej Europy, ani dość słabe, aby nie móc się oprzeć atakowi tych sił na własnym terytorium. Rosja mieści się ściśle w tej formule.

Nikt dobrej wiary temu nie zaprzeczy, toteż nie uważamy za szczere obawy, które upatrują w Rosji niebezpieczeństwo dla Zachodu. Bylibyż we Francji, tak słusznie dumnej z dzielności swego żołnierza i swego hartu moralnego, ludzie bojący się Rosji nie tylko dla Francji, ale dla całej Europy?! Czegóż się boicie ze strony Rosji? Jej armii? Gdzież się więc podziały wasze niezwyciężone dywizje, dogmat waszego patriotyzmu? Idei? Gdzież się więc podziała wasza wiara w nieodparty wpływ waszego promieniowania intelektualnego? Wszystkie deklamacje, które przedstawiają Rosję jako niebezpiecznego wroga cywilizacji, są czystą fantasmagorią.

Jeśli istnieje mocarstwo, w którego żywotnym interesie leży utrzymanie pokoju i równowagi w Europie i niemieszanie się do spraw innych pod warunkiem, że inni nie będą się mieszać do jego spraw, to jest nim — naszym zdaniem — Rosja. Przekonani o tym, uważamy ją za jeden z członów sojuszu, który leży u podstaw naszej polityki międzynarodowej i staramy się rozwiać zastrzeżenia do zbliżenia, które jest pożądane dla wszystkich.

Tb. FRANCESCHI

Le Nord, 16 i 17 lipca 1864.

RELACJE

Adam MICHNIK

KOR I SOLIDARNOŚĆ*

Wypada zacząć sakramentalnie: w życiu publicznym opowiadam się za respektowaniem zasad realizmu. Nie są one niezmiennie. Inne cechy znamionowały realizm polityczny przed piętnastu laty, inne w epoce porozumień sierpniowych, a jeszcze inne po wprowadzeniu stanu wojennego. Inne — wreszcie — mogą być parametry myślenia realistycznego w dniu jutrzejszym.

W epoce Radomia i Ursusa — pozwólcie, że przypomnę — nikt niemal nie uważał „korowców” za realistów politycznych. Przeciwnie: uchodziliśmy za szaleńców, co się porwali z motyką na słońce, za romantyków i fantastów, za awanturników godzących w ład i stabilizację, za ludzi podejrzanym. Tak było. Ale było i tak, że gdy uwidoczniły się pierwsze realne efekty akcji Komitetu Obrony Robotników, natychmiast objawili się życzliwi oskarżający nas o kryptokomunizm i bezbożnictwo, o niechęć do idei niepodległościowej i o kosmopolityzm. Ci pierwsi widzieli nasz brak realizmu w nadmiarze radykalnych poczynań i postulatów, ci drudzy — w ich niedomiarze. Jak było w rzeczywistości?

„Korowskie” rozumowanie — tak myślę — starało się zespolić realizm z odwagą i wyobraźnią. Realizm nakazywał umiar w formułowaniu postulatu niepodległości i w ekscytowaniu opinii

* Fragment większej całości.

publicznej radykalnym antysowietyzmem. Ten sam realizm nakazywał wychodzenie od działań konkretnych, zaś wyobraźnia podsuwała niekonwencjonalne środki działania.

Mentalność ekipy gierkowskiej naznaczona była piętnem swej genezy: tych ludzi wyniosł do władzy robotniczy bunt. To mieli zakodowane i to wyznaczało sposoby ich reagowania na sytuacje kryzysowe. Stąd też brała się ich „powściągliwość represyjna”. Korespondowała z tym aura międzynarodowa, duch konferencji helsińskiej. Oba te czynniki limitowały poczynania gierkowskiej ekipy. Trzecim była potrzeba zachodnich kredytów, które służyły utrzymaniu niewydajnego systemu, finansowały spokój społeczny, mimo rezygnacji z reformy strukturalnej systemu.

Władza była silna i dobrze zorganizowana, a społeczeństwo rozbite i słabe. Startowaliśmy niemal od zera. Zwykły rozsądek nakazywał przeto uczynić punktem wyjścia organizowanie pomocy dla konkretnych ludzi, dla uwięzionych robotników z Radomia i Ursusa; prosty namysł podsuwał odwołanie się do postanowień helsińskiej konferencji, nie zaś — by użyć przenośni — trwanie na barykadach powstania warszawskiego i rewizję postanowień konferencji jałtańskiej. Uważaliśmy, że istnieje szansa uzyskania ważnych i konkretnych zdobyczy w ramach istniejących limitów, w sytuacji wyznaczonej przez doktrynę Breżniewa z jednej, a postanowienia z Helsinek — z drugiej strony. Na tym przekonaniu budowaliśmy naszą strategię. Jej efektem była amnestia dla uwięzionych robotników i powstanie pierwszych instytucjonalnych załączków niezależnego społeczeństwa. Na temat KOR-u napisano już wiele. Również i ja próbowałem jakoś ocenić to doświadczenie. Raz jeszcze podejmując ten temat, czynię to nie bez lęku i ze świadomością specyfiki własnej perspektywy. Wiem, że grozi mi nieuchronna skłonność do wyołbrzymiania roli przedsierniowej opozycji demokratycznej, a w szczególności — środowiska KOR-u. Wszyscy chyba korowcy — a różni są to ludzie i rozmaicie potoczyły się ich losy — mają to wspólne przekonanie, że ofiarowali część swego życia sprawie uczciwej i dobrej, sprawie — mówiąc nieco patetycznie — wolności Polski i wolności człowieka w Polsce.

W czym tkwił sekret naszego sukcesu? KOR zaproponował nową technikę działań społecznych w warunkach Przewodzącego Ustroju. Miały być one oparte o zasadę jawności i instytucjonalizacji niezależnych społecznych inicjatyw. Konkretność i efektywność tych działań doprowadziły wnet do zakwestionowania w społecznej świadomości klasycznego modelu relacji pomiędzy władzą a społeczeństwem. Zanik opinii publicznej i rozbitcie

więzi społecznych przestały zwolna być naturalnymi składnikami polskiego krajobrazu.

„Korowskie” działania zapoczątkowały rekonstrukcję komunikacji społecznej. Instytucje powstające jako niezależne od aparatu władzy ośrodki inicjatyw stawały się zarazem załączkami nowych więzi międzyludzkich i nowych idei. Tworzyła się nowa jakość. W petycjach i listach z żądaniem, w rozmowach i na seminariach, w nieocenzurowanych gazetach i niedostępnych dotąd książkach kształtowała się i artykułowała nowa świadomość społeczna i narodowa. Składały się na nią idee nowe i wartości stare, choć na nowo zinterpretowane. Formułował się ethos ludzi aktywnego oporu, ethos oparty o takie wartości jak godność i podmiotowość, wolność i niepodległość. Słowa stare, wartości omszałe... Jednak w pokoleniu, które niedawno przeżyło marcową kampanię nienawiści i grudniowe strzelanie do robotników — te słowa nabierały nowych blasków i nieoczekiwanych sensów. Szukając własnego języka dla rozmowy o sprawach najważniejszych, nowym okiem odczytywano dawne spory i rekonstruowano stare dylematy. Chodziło przecież o rzecz niezmiernie wagi — o zakorzenienie się nowego ruchu w społecznej wyobraźni uformowanej — choćby szczątkowo — przez historyczną pamięć wielu pokoleń. Jakiż był kształt tej potocznej świadomości?

Trudno na to pytanie jednoznacznie odpowiedzieć. Z często cytowanych badań socjologicznych przeprowadzonych przez prof. Stefana Nowaka wynikało, że Polacy epoki gierkowskiej najwyżej szacowali wartości prywatne (rodzina, zawód) i wartości odświętne (ojczyzna). W środku — pomiędzy rodziną a ojczyzną — rozpościerała się luka i pusta przestrzeń. Była to świadomość zmacona i niespójna. Na wzór osobowy szybko dorabiającego się fachowca — Gierek powiadał, że Polak śni o mieszkaniu i samochodzie — nakładało się niejasne wspomnienie niedawnych konfliktów społecznych i zakodowana przekazem rodzinnym świadomość niesuwerenności Polski.

Była to właściwie epoka dziwna i łajdacka. Była to epoka pośpiechu w dorabianiu się, eksplozji blokowanych przez lata aspiracji materialnych, za których realizację płacono teraz moralnym konformizmem i całkowitą depolityzacją. Wartości niszczały. „Chodzi o to, by żyć wygodniej” — deklarował z łamów *Polityki* Mieczysław F. Rakowski. „Wygodniej czy — godniej”? — replikował mu z łamów *Więzi* Tadeusz Mazowiecki. Rzeczywistość wszakże zdawała się świadczyć za Rakowskim. Królowała filozofia „czy się stoi, czy się leży”, wzbogacona o pogrudniowe:

„czy się leży, czy się stoi, partia płaci, bo się boi”. Partia opłacała podwyżkę płac zachodnimi kredytami. Jednak tym podwyżkom — czego nie chciano zauważyć — towarzyszyła akcja konsekwentnego wyniszczania przywódców grudniowych strajków. Liberalna polityka paszportowa umożliwiała wyjazdy na „saksy”. Pojawiła się na rynku coca-cola. Telewizja emitowała zachodnie filmy, a lokale rozrywkowe kusiły *strip-tease*’m. Korupcja osiągała zwolna swoje apogeum, a cenzura stopniowo dławiała każdy objaw samodzielnej myśli. Ludzie byli coraz bogatsi, stosunki państwa z Kościołem coraz lepsze, plakaty uliczne namawiały „żeby Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej”. To hasło zastąpić miało krytyczną refleksję reformatorską. Jak u Witkacego: „wszystko działa się pozornie — to było istotą epoki. (...) Pozorni ludzie, pozorna praca, pozorny kraj...”.

I oto przyszedł krach. Jego pierwszym sygnałem były masowe protesty środowisk inteligenckich przeciwko zmianom Konstytucji. Sygnałem następnym — i zarazem punktem zwrotnym — był czerwcowy protest.

Do takiego społeczeństwa — zdeintegrowanego i zdezoriontowanego — zwrócili się z apelem o poparcie i pomoc członkowie Komitetu Obrony Robotników. Garstka korowców i ludzi z innych środowisk opozycji demokratycznej nie mówiła rzeczy odkrywczych, lecz ich dokonywała. Nawet samą wymową swego istnienia...

Sens robotniczego protestu i antyrobotniczych represji był jasny dla większości Polaków. W 1976 roku nikt już nie wierzył w koszałki-opałki partyjnych propagandystów o „warchołach” z Radomia i w komedię wieców organizowanych ku czci Edwarda Gierka. Wszelako mocą wieloletniego przyzwyczajenia uznano ten stan rzeczy za koszmarną normalność kraju rządzonego przez komunistów. Władza źle rządzi i źle gospodaruje — to oczywiste. Ludzie buntują się — to się czasem zdarza. Wtedy następują represje — jakże by inaczej! Zaś reszta narodu jest milczącym świadkiem — taki los.

KOR zerwał z tą tradycją. Na akcję represji odpowiedział akcją pomocy. Kłamstwom oficjalnej propagandy przeciwstawił rzetelną informację. Prostota tych poczynań równała się rewolucyjności ich efektów.

Dotychczas troska przedstawicieli elit intelektualnych o interes narodowy wyrażała się w działaniach oficjalnych i legalnych. Najodważniejsi tylko posuwali się do ignorowania cenzury i formowania pod adresem władz postulatów i krytyk w zbior-

rowych wystąpieniach. Inne pozaoficjalne formy aktywności i komunikacji wydawały się niemożliwością. Tę rolę wypełniały — w powszechnym odczuciu — instytucje emigracyjne i w pewnym sensie Kościół, choć Prymas Wyszyński był jeszcze w swych wypowiedziach nader wstrzemięźliwy.

Warunkiem zaistnienia Komitetu Obrony Robotników była otwarta gotowość jego założycieli do podjęcia ryzyka, do podeptania szans profesjonalnej kariery i zwykłej życiowej stabilizacji na rzecz zaświadczenia wartościom narodowym i moralnym, choć w KOR-ze unikano takich podniosłych słów. Rzecz znamienna: sięgając do polskich tradycji wolnościowych, korowcy mogli łatwo w nich odnaleźć odniesienia w sferze wartości odświętnych i postaw etycznych. Inaczej było z wzorami dla nowych technik działania. Polska tradycja obfituje w przykłady postaw buntowniczych, spiskowo-insurekcyjnych i postaw działań „organicznikowskich”, politycznych i pozapolitycznych, w ramach prawnych wyznaczonych przez zaborczą władzę. Pomoc dla uwięzionych była raczej tradycyjną domeną polskich kobiet, od Narcyzy Żmichowskiej po Stefanię Sempołowską. To było działanie ważne i powszechnie zrozumiałe. Pomoc dla uwięzionych robotników korespondowała dobrze z kompleksem polskiej inteligencji z powodu milczenia w grudniu 1970 roku i otwierała możliwość udziału w akcji praktycznie każdemu: każdy mógł — choć pieniądze — wspomóc prześladowanych. Jednak pomoc uwięzionym nie wyczerpywała wszystkich społecznych potrzeb, zaś KOR nie miał pokusy, by stać się instytucją filantropijną. Dlatego, uogólniając swoje własne doświadczenie, środowisko korowskie sformułowało tezę o potrzebie budowania instytucji samoobrony społecznej we wszystkich dziedzinach życia zbiorowego. W ten sposób nieświadomie nawiązywano do myśli politycznej narodowych demokratów z pierwszych lat jej istnienia, z początku naszego stulecia. Ta myśl, oparta na zamyśle budowania podmiotowości narodu i konstruowania polskiej polityki czynnej, była w środowiskach korowskich znana słabo i powierzchownie.

Brzmi to jak paradoks: byliśmy tak ostro atakowani przez ludzi o endeckiej proweniencji. To oni najczęściej oskarżali nas o kryptokomunizm, kosmopolityzm i inne grzechy główne. Tymczasem właśnie w pismach twórców myśli narodowo-demokratycznej, zwłaszcza u Dmowskiego i Popławskiego, mogliby odnaleźć korowcy — choć tam zwykle nie zaglądali — argumenty uzasadniające ich strategię.

Niewątpliwe były też analogie z ruchem rosyjskich dysydentów, a także z ruchami wyzwolenческими, które odrzucały progra-

mowo przemoc. Nie były to jednak pokrewieństwa uświadomione. Akcje KOR-u były ciągłą improwizacją. Kolejne pomysły powstawały niejako „w marszu” i nie starczało zwykle czasu na ich teoretyczne uogólnienie.

Często pytano mnie: czy KOR jest prawicowy czy też lewicowy? Nawet wtedy uważałem to pytanie za źle sformułowane. Utożsamiając się z tradycją lewicową i lewicowym systemem wartości, uważałbym jednak rozciąganie tych określeń dla charakterystyki całego KOR-u za oczywiste nadużycie. Oczywiście nie byłem w KOR-ze jedynym dokonującym takiego samookreślenia, ale byli tam i tacy, którym nigdy nie przyszyłyby one do głowy. Dlatego też — sądziłem — KOR sytuował się ponad tym podziałem. Wokół innych wartości dokonana się integracja tych ludzi i innej natury były wewnętrzne korowskie więzadła. Podobnie — sądzę — rozumowali wszyscy korowcy.

Dzisiaj powiem więcej. Sam podział „prawica-lewica”, wyrosły w innej epoce — wydaje mi się dzisiaj w Polsce (i chyba również w innych krajach rządzonych przez komunistów) niemożliwy do sensownej rekonstrukcji. Różnice dzielące w sposób istotny polską opinię publiczną skupiają się wokół innych spraw. Z dawnych konfliktów powstały spory o tradycję. Nie są one mało ważne, ale i one prowadzić muszą — taka kolej rzeczy — do przewartościowania, reinterpretacji i nowych syntez dawnych idei. Dobrym przykładem takiej próby może być krótka, mistrzowski esej Leszka Kołakowskiego o tym „Jak być liberalno-konserwatywnym socjalistą”.

Esaj Kołakowskiego — wskazując na autentyczne wartości tkwiące w każdej z tych tradycji — stanowi zatem znakomitą ilustrację procesów kształtowania się nowego myślenia o politycznych wartościach. Ten esej był jednocześnie zapisem. Zapisem syntezy tradycyjnie polemicznych wobec siebie systemów politycznego myślenia i wartościowania; syntezy, która dzień po dniu stawała się rzeczywistością. Tylko umysł ciasny i doktrynerski przekreślić może fakty społeczne — synteza zapisana przez Leszka Kołakowskiego była takim właśnie faktem.

KOR był świadomie antydoktrynerski. Jedyną jego „doktryną” była wciąż powtarzana teza o potrzebie budowania — drogą samoorganizacji — podmiotowości społeczeństwa. W ramach tej idei harmonijnie mogły z sobą współżyć — i współżyły — sposoby rozumowania odwołujące się do wartości wczoraj jeszcze gwałtownie konfliktowych. Akcji korowskiej tedy — niezależnie od tego, co sami korowcy wtedy o tym myśleli — nie da się zdefiniować i opisać w kategoriach właściwych epoce mieszczańskich

rewolucji, w pojęciach sporu lewicy z prawicą. Co więcej: różnice zdań pomiędzy korowcami na temat przeszłości nie pokrywały się ze stanowiskami w dyskusjach nad współczesnością, zaś żadnej z tych różnic nie da się opisać w tradycyjnych kategoriach. Podczas tych sporów sądziłem inaczej. Denifiując siebie jako socjaldemokratę i człowieka lewicy, doszukiwałem się w działaniach KOR-u realizacji tych właśnie, lewicowych i socjaldemokratycznych wartości. Myślę, że podobnie było z Jackiem Kuroniem, który słusznie uchodził za lidera KOR-u. Rodziło to wiele nieporozumień, gdyż nasi koledzy — nawet w pełni solidaryzujący się z meritum naszego stanowiska — nie chcieli nawet słyszeć o tych lewicowo-socjaldemokratycznych etykietkach. I to oni mieli rację.

Skoro bowiem fenomenowi KOR-u nie da się opowiedzieć w języku innej epoki, trzeba szukać nowego języka i nowych pojęć. Trzeba również przyjąć, że w KOR-ze, w jego ideach i w jego dokonaniach, współwystępowały rozmaite idee i tradycje. Będąc punktem zwrotnym w procesie rekonstrukcji niezależnego życia obywatelskiego, KOR był zarazem punktem przecięcia rozmaitych prądów ideowych, miejscem spotkania ludzi z różnych pokoleń i środowisk; rzeką, do której spływały bardzo różne strumienie. Łączył w sobie — i musiał łączyć — różne żywioły. Łączył w sobie tradycję, która była pamięcią zbiorowości podbitej z próbą nowoczesności, która była potrzebą zbiorowości ubezwłasnowolnionej. Łączył ethos spiskowców z cierpliwością organiczników przetwarzających jedno i drugie — sam o tym nie wiedząc — w załączek polskiej polityki czynnej. Łączył wartości uniwersalne z wartościami specyficznymi narodowymi, szukał wspólnego języka ze środowiskami opozycyjnymi krajów bloku sowieckiego i kręgami antytotalityrnymi krajów Zachodu rozwijając zarazem wątki tradycji ojczystej. Promieniował na zewnątrz i sam podlegał oddziaływaniu.

Jednak — podkreślić należy — środowisko korowskie nie stanowiło bynajmniej całej opozycji demokratycznej. Jeśli tego wątku nie rozwijam, to czynię tak dlatego, że nie znajduję w sobie dość obiektywizmu dla zdefiniowania różnic pomiędzy np. KOR a ROPCiO. Były one z pewnością istotne, skoro wywoływały tyle sporów. Jednak ich przedmiot wciąż nie jest dla mnie dostatecznie klarowny. Zarzucano nam, że wyrzekamy się idei odpowiedzialności — był to zarzut głęboko niesprawiedliwy i ze złą wolą formułowany. Istotnie, nie powtarzaliśmy w każdym oświadczeniu deklaracji o miłości ojczyzny. Wszelako — powiadał Lampedusa — „ważnych słów nie można krzyczeć; krzyk miłości lub nienawiści znajdujemy tylko w melodramatach albo u ludzi naj-

bardziej prymitywnych, co zresztą na jedno i to samo wychodzi”.

Te zakłęcia nie były, skądinąd, potrzebne. Korowcy wpisali się w społeczne oczekiwania. Jeśli liczba ludzi aktywnych i ryzykujących wciąż rosła, jeśli gazety i książki niezależnych wydawnictw rozchodziły się coraz szerzej, jeśli wciąż nowe środowiska ogarniała potrzeba aktywności — to były to wszystko dowody na powstawanie nowej jakości w życiu publicznym Polaków. Przez kraj poczęły przebiegać cieniutkie nitki niezależnego obiegu komunikacji i informacji. Konstytuowała się niezależna więź społeczna i niezależna kultura. Wartości i utwory, tworzone na obrzeżach kultury oficjalnej, nabierały teraz nowego rezonansu. Niezależny obieg zdierał z nich woal niedomówień. Znalazła ujście dojrzewająca potrzeba nazywania rzeczy po imieniu, potrzeba obcowania z autentycznymi wartościami, potrzeba prawdy. Świat polskiej rzeczywistości był „światem nieprzedstawionym” jak to zdiagnozowali w swej książce Julian Kornhauser i Adam Zagajewski. Postulat „przedstawienia świata” mógł być zrealizowany tylko w obiegu niezależnym. Nie tylko dlatego, że wiele z najważniejszych utworów (powieści Konwickiego czy Brandysa, opowiadania Nowakowskiego, eseje Bocheńskiego) było po prostu niecenzuralnych, ale i dlatego, że tylko językiem niezależnego obiegu można było rozmawiać o tych książkach, które prześliznęły się przez cenzorskie sito. Jeśli Zagajewski pisał „nie podasz ręki temu człowiekowi”, to tylko język niezależny mógł tego człowieka nazwać. Jeśli Krynicki zauważał, że „faszyści zmieniają koszule”, to tylko w języku niezależnego obiegu można było wyciągnąć z tego stwierdzenia wszystkie konsekwencje. W ewolucji postaw pisarzy łatwo dostrzec logikę — logikę polskiej drogi do wolności.

Stanisław Barańczak, znakomity pisarz i uczyony, członek KOR-u od jego pierwszych chwil, najprecyzyjniej może zapisał klimat duchowy tej części swego pokolenia, która wybrała bunt. Nikt nie osiągnął jego maestrii w demaskowaniu oficjalnego języka i stereotypów urzędowej kultury; nikt z taką mocą nie sformułował prawdy o doświadczeniu marcowym; nikt tak proroczo nie zobaczył, że na dachy fabryk, kościołów i więzień zapada noc; nikt — wreszcie — nie uzasadnił tak przekonująco, że tej nocy trzeba spojrzeć w twarz i wypowiedzieć wojnę. Nic przeto dziwnego, że właśnie jego wiersze stały się podstawą głośnego spektaklu Teatru Ósmego Dnia z Poznania. Kiedy z teatralnej sceny usłyszeliśmy, że „ci którzy biją czołem będą bić w twarz”, wiedzieliśmy już, że ten właśnie teatr przemówił głosem naszego pokolenia. I tak się stało. Kto chce pojąć duchowość polskiej

inteligencji winien bacznie przeanalizować spektakle poznańskiego teatru.

A przecież nie był to teatr jedyny. Także w plastyce i w filmie, w auli uniwersyteckiej i w kościele dochodziła do głosu nowa świadomość. Kropla drażyła skałę. Uczyliśmy się więc nazywać i zapisywać rzeczywistość. Uczyliśmy się wypowiadać swoje potrzeby i formułować żądania rewindykacyjne. Uczyliśmy się wzajemnego porozumienia językiem nowych pojęć i nowego odczytywania przesłania polskiej tradycji. Ślady tych nauk trafiały także do oficjalnego obiegu — to także był znak czasu. Strach został nadgryziony, bierność — przełamana. Tradycyjny układ poczynął się chwiać; noc zaczynała się cofać.

KOR był tylko fragmentem tego procesu, ale był i inspiratorem szeregu samodzielnych przedsięwzięć w rozmaitych środowiskach. Korowcy mieli swój udział w tworzeniu Latającego Uniwersytetu, w Studenckich Komitetach Solidarności, wreszcie w Wolnych Związkach Zawodowych. Z małej garstki organizatorów WZZ Wybrzeża wyrosła dziesięciomilionowa „Solidarność”...

Nie był też KOR — jak wspominałem — jedynym ośrodkiem w łonie demokratycznej opozycji. Pisałem też o powodach, dla których nie będą charakteryzował innych środowisk. Jednak sam fakt ich istnienia, choć wzbudzał wtedy wiele polemik powodowanych personalną i środowiskową rywalizacją, był zdecydowanie pozytywny. Rodził pluralizm, uczył reguł współżycia i uznania cudzej odmienności. Był też źródłem lekcji i wiedzy o rozbudzonych politycznych emocjach i ambicjach blokowanych przez długie lata. Nie była to wiedza nazbyt krzepiąca, bo dawała wgląd w mniej gustowną stronę ludzkiej natury. Poznawaliśmy więc ową niezwykłą podatność na degradację duchową, właściwą ludziom uwikłanym w polityczne i personalne konflikty. Było to zjawisko wspólne wszystkim środowiskom i chyba nikt z nas — uwikłanych w ten polemiczny magiel — całkiem czysty z tego nie wyszedł.

Przedsierpniowa opozycja demokratyczna składała się z ludzi o wielkim autorytecie moralnym i zawodowym (prof. prof. Lipiński, Kielanowski, ks. Jan Zieja, Halina Mikołajska, Jerzy Andrzejewski) z jednej strony, z drugiej zaś — z ludzi odważnych, zdeterminowanych i naznaczonych ostrą świadomością zablokowania życiowych szans i możliwości. Motorem ruchu byli oczywiście ci drudzy. U ludzi tego typu ambicje — skądinąd naturalne i pozytywne — przybierają nader często kształty wynaturzone. Długoletnie unicestwienie rodzi megalomanię i pokusę re-

wanżu. Wśród ludzi zepchniętych na margines byli najwybitniejsi z Polaków, ale lekkomyślnością byłoby twierdzenie, że nie znajdowali się w tej sytuacji także ludzie po prostu marni. Dążenie do zmian najłatwiej uzyskuje poparcie wśród ludzi nieprzystosowanych i zbuntowanych przeciw rzeczywistości. Motywy takich buntów — jak wiadomo — mogą być nader różnorodne.

Te dwuznaczności nie były dla nikogo tajemnicą. Czyniono z nich — często koronny — zarzut pod adresem środowisk opozycyjnych. Jak byliśmy postrzegani?

Elity intelektualne przyjęły powstanie KOR-u z sympatią, ale i niewiarą w skuteczność korowskich poczynań. Korowcy byli garstką bezbronnych; reżim był potęgą. Intelektualiści otwarcie popierali cele KOR-u, ale metody działania wydawały im się zbyt ryzykowne. Zarzucano więc korowcom nadmierny radykalizm, brak umiaru, „przedwczesność” wielu inicjatyw. Trudno się temu dziwić: całe doświadczenie życiowe tych ludzi nakazywało im sądzić, że *to się nie może udać*. Mieli własne, dobrze wypracowane wzorce nonkonformizmu i oporu. Mieli wypracowaną przez lata pozycję i autorytet w życiu publicznym. Mieli wreszcie autentyczne osiągnięcia: publikowane książki, dokonane prace badawcze. Chcieli móc to kontynuować z pożytkiem dla wszystkich. Powtórzmy: trudno się temu dziwić. Ci ludzie nie mieli żadnego doświadczenia w działaniach układu nieoficjalnego; nie odczuwali też żadnej potrzeby i pokusy, by te doświadczenia nabywać. Byli oni przecież — wprawdzie opozycyjną — częścią układu oficjalnego. KOR, kierowany przez ludzi młodych i skłonnych do codziennego ryzyka, łamał oficjalne hierarchie i tworzył nowe. Rodziło to sytuacje wyboru. Różni ludzie różnych dokonali opcji. Trwały ostre spory. Odżyły one później w epoce „Solidarności”.

Gierkowski aparat władzy deklarował, że lekceważy opozycję demokratyczną. Poza krótkimi okresami nagonek (np. maj 1977 roku), zachowywano na ten temat dyskretne milczenie. W prywatnych rozmowach przedstawiciele aparatu władzy deklarowali, że „jak będzie trzeba, to czapkami ich nakryjemy”. Po Sierpniu dotychczasowe milczenie zastąpiły zmasowane ataki. Jaki kształt przybrał typ idealny korowca w wypowiedziach oficjalnych propagandystów?

Przyjrzyjmy się jednej z tych wypowiedzi. Ujrzymy korowca jako pseudomęczennika. „Najlepiej wykazać się cierpieniami — pisze Mirosław Karwat w książce „Odnowiciele” — represjami i prześladowaniami w mrocznej niedalekiej przeszłości. Każdy, kto miał przerwy, zakłócenia lub zwykłe niepowodzenia w ka-

rierze za czasów obalonego reżimu, choćby nawet wówczas nie miały one nic wspólnego z polityką, może teraz wzmóc publiczności, że to z powodu przekonań lub czynnego oporu wobec wypaczeń, które dostrzegał już wtedy on pierwszy (prekursor zbiorowego protestu), przed którymi ostrzegał, ale go kneblowano. Kto? Wiadomo, cenzura, szantaż, terror policyjny w tym policyjnym ustroju. Zaleta tej legitymacji cierpień jest podwójna. Nie tylko umożliwia ona wiarygodność, ale ponadto gwarantuje bezgraniczny sukces. Męczennik i prześladowany to nie żaden partacz, nieudacznik czy konformista nie w porę, ze spóźnionym refleksem, to — przeciwnie — wyjątkowy i bezkompromisowy talent, który ma odtąd bezwyjątkowe prawo do tego, by każde jego dzieło przyjmować z uznaniem. Mierne dzieła z czasów prześladowań jawią się odtąd jako skrzywdzone z rozmysłem arcydzieła. Z szuflady wyfruwają antydatowane przenikliwie prognozy Wielkiego Wstrząsu i Wielkiego Krachu. Abonament zasług staje się bezterminowym tytułem do nieustających nagród”.

Ten partacz i konformista ze spóźnionym refleksem, nieudacznik i karierowicz — to korowiec. Ponieważ wiadomo, że z powodu przekonań czy czynnego oporu nikt w PRL nie miewał żadnych kłopotów, korowiec-męczennik staje się postacią śmieszną raczej niż przerażającą, godną politowania a nie — nienawiści. Aliści wnet okazuje się, że ten krzykliwy nieudacznik jest postacią dość demoniczną. Bo oto czytamy, że ten przed chwilą obśmiany męczennik jest zarazem „zawodowym opozycjonistą”, „specjalistą od przewrotu politycznego”, który „przeniknął do ruchu odnowy”. Jest „kontrewolucjonistą”. Należy do „znikomej mniejszości” „wyspecjalizowanej w walce politycznej”, która „zdołała narzucić swe cele i strategię działania masowemu ruchowi złożonemu z ludzi, którzy z tą mniejszością ani nie mieli, ani nie chcieli mieć nic wspólnego”. Bowiem „o tym, czy kontrewolucja istnieje, nie rozstrzyga się na podstawie oświadczeń jej liderów i dementi jej klientów. Nie zatrze jej śladów alibi i świadectwo przyzwoitości wystawiane hojnie i niebezinteresownie przez Wiarygodne Autorytety. Decydują o tym fakty: programy, życiorysy, powiązania, wpływy, działania”. Decydują tedy „biografie polityczne”.

Autor cytowanej książki zaoszczędził czytelnikowi relacji o tych biografiiach. Sięgnijmy przeto do innego wiarygodnego świadka naszej niespokojnej epoki. W tomie trzecim akt sprawy karnej przeciwko Bogdanowi Lisowi, Adamowi Michnikowi i Władysławowi Frasyniukowi, na karcie 455, znajduje się wywiad na temat Adama Michnika sporządzony drapieżnym piórem sier-

żanta sztabowego z Dzielnicowego Urzędu Spraw Wewnętrznych Warszawa Śródmieście.

Łatwiej przytaczać paskudztwa o sobie niż o kolegach — stąd wybór tej właśnie charakterystyki „wroga”. Kim jest tedy ów dżentelmen, aktualnie oskarżony o przynależność do Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ „Solidarność”?

Przeczytajmy uważnie:

„Sierż. Szt. Andrzej Solecki Warszawa, dn. 7. III. 1985 r.
DUSW Warszawa-Śródmieście

W Y W I A D

W toku przeprowadzonego wywiadu o:

Adamie Michnik s. Ozjasza Szechtera i Heleny zd. Michnik, ur. 1946. 10. 17 w Warszawie, zam. W-wa, Al. Przyja-
ciół 9 m. 13, mgr. historii, absolwent Wydziału Filozoficzno-Historycznego Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, narodowość żydowska, obywatelstwo polskie, kawaler, nie pracujący, bez majątku i odznaczeń, nigdzie nie zrzeszony.

ustalono, że jest jedynym lokatorem mieszkania o powierzchni 114,5 m². W miejscu zamieszkania społecznie w sensie pozytywnym nie udziela się, nie pracuje od kilkunastu lat, nie są znane źródła jego utrzymania. Opiniowany posiada dwóch braci — Jerzy Michnik ur. 1928 r., technik-elektryk — przebywa w USA; Stefan Michnik ur. 1929 r., były pracownik Zarządu Sądownictwa Wojskowego w Warszawie, był m.in. w składzie sędziowskim w sprawach grupy polskich oficerów tzw. Tatar-Kirchmajera. Obecnie przebywa w Szwecji pod przybranym nazwiskiem Karol Szwedowicz. Adam Michnik od 1967 roku do chwili obecnej aktywnie występuje przeciw PRL, m.in. był jednym z organizatorów antypaństwowej grupy występującej p.n. „Komitet Samoobrony Społecznej KOR”. W 1968 roku karany sądownie z art. 36 i 49 par. 2 mkk (3 lata więzienia i 2 lata utraty praw publicznych), zwolniony na mocy amnestii w 1969 roku.

W dniu 1981. 12. 13 został internowany na mocy dekretu Rady Państwa, następnie dnia 1982. 09. 03 przedstawiono wym. zarzut z art. 123 w zw. z art. 128 par. 1 kk za podjęcie czynności przygotowawczych mających na celu obalenie ustroju PRL i osłabienie mocy obronnej i zastosowano środek zapobiegawczy w postaci aresztowania.

Mimo izolacji w ośrodku odosobnienia w Białoleńcu, a następnie w Areszcie śledczym przy ul. Rakowieckiej Adam Michnik przekazywał za pośrednictwem różnych osób materiały o charakterze antypaństwowym w celu ich publikacji w kraju i zagranicą. Wobec powyższego dn. 1983. 09. 17 wszczęto śledztwo przeciwko A. Michnikowi z art. 270 par. 1 kk w zw. z art. 273 par. 2 oraz 271 par. 1 i 2 kk.

We wrześniu 1983 roku Naczelną Prokuraturę Wojskową skierowała akt oskarżenia do Sądu Warszawskiego Okręgu Wojskowego przeciwko czterem tymczasowo aresztowanym (J. Kurońowi, A. Michnikowi, Zb. Romaszewskiemu i H. Wujcowi) członkom b. antypaństwowego ugrupowania występującego pod nazwą Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR”. Rozprawa rozpoczęła się 1984. 07. 13 i po krótkiej kilkudniowej przerwie Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego postanowił postępowanie w stosunku do A. Michnika umorzyć na mocy amnestii z dn. 1984. 07. 21. W dniu 1984. 08. 04 A. Michnik opuścił Areszt Śledczy i ponownie włączył się do organizowania wrogiej działalności przeciwko PRL i jej organom.

W opinii sąsiadów A. Michnik jest bardzo niechlujny, nie przywiązuje wagi do czystości ani też ubioru. W różnych porach dnia i nocy odwiedzany jest przez NN osoby płci obojga, które zakłócają często spokój mieszkańców”.

Zacytowany utwór sierżanta sztabowego Andrzeja Soleckiego jest klasycznym przykładem konstrukcji wizerunku wroga. Wróg jest bogaty i żyje w luksusie (rozmiar mieszkania), ale jakże mroczne są źródła jego bogactwa („nieznane są źródła jego utrzymania”). Wróg jest aspołeczny („w miejscu zamieszkania w sensie pozytywnym nie udziela się”) i dokuczliwy dla otoczenia („zakłóca spokój mieszkańców”). Wróg jest amoralny („w różnych porach dnia i nocy odwiedzany jest przez NN osoby płci obojga”) i szkaradny („jest bardzo niechlujny, nie przywiązuje wagi do czystości ani do ubioru”). Jest przestępcą kryminalnym (karany sądownie) i ma powiązania zagraniczne (dwaj bracia). Jest zjadły (dąży do obalenia ustroju i osłabienia mocy obronnej) i jest pasożytem („nie pracuje od kilkunastu lat”). Jest w swej wrogości permanentny i nieuleczalny („od 1967 r. aktywnie występuje przeciwko PRL”, „mimo izolacji w ośrodku odosobnienia w Białoleńcu, a następnie w Areszcie Śledczym przy ul. Rakowieckiej przekazywał za pośrednictwem różnych osób materiały o charakterze antysocjalistycznym w celu ich publikacji w kraju i zagranicą”). Jest „nieresocjalny” („w dniu 4. VIII. 1984 roku

opuścił Areszt Śledczy i ponownie włączył się do organizowania wrogiej działalności przeciwko PRL i jej organom”).

Nade wszystko jednak — jest *obcy* („narodowość żydowska”). Ponieważ zaś wiadomo, że to od obcych płynęły i płyną wszystkie narodowe nieszczęścia Polaków, wizerunek wroga wzbogaca portret jego brata („były pracownik Zarządu Sądownictwa Wojskowego w Warszawie, był m.in. w składzie sędziowskim w sprawach grupy polskich oficerów tzw. Tatar-Kirchmajera”). Ten brat — farbowany lis — „obecnie przebywa w Szwecji pod przybranym nazwiskiem”.

Sierżant sztabowy pomieścił w swym wypracowaniu wszystkie elementy obecne w anty-korowskiej kampanii propagandowej. Wedle tej receptury z półprawd i oczywistych kłamstw lepiono nasze podobizny dla wytworzenia stereotypu „wroga”, który miał integrować aparat władzy i zozydzać nas w oczach opinii publicznej. „Wróg” musiał być pozbawiony wszelkich cech pozytywnych. Musiał być bogaty i amoralny, złączony silnymi więzami z imperialistyczną zagranicą i zjadły w swym zaciętrzewieniu. Nie wystarczyło jednak, że był szkodliwy: musiał być jeszcze wstrętny i odrażający; także uwikłany w odpowiedzialność za stalinowskie zbrodnie. I musiał być obcy.

Któż mógłby tedy wystąpić w tej roli? Zwolennik Stanów Zjednoczonych? Rząd amerykański był zbyt silny i potrzebny jako kredytodawca. Człowiek związany z Kościołem Katolickim? Prymas i Papież potrzebni byli dla celów wewnętrznej gry politycznej, zaś lojalność Polaków wobec Kościoła była zbyt głęboko zakodowana w umysłach Polaków. Korowiec nadawał się do tej roli idealnie: był abstrakcyjny i konkretny; był powszechnie znany i relatywnie bezbronny. Można było nie przebierać w środkach...

Niektórych zdziwi — być może — określenie „narodowość żydowska” wśród danych personalnych zgromadzonych przez sierżanta sztabowego Andrzeja Soleckiego. Niesłusznie. To była stara płyta puszczana od wielu lat w ruch przez naszych orłów ze Służby Bezpieczeństwa. Czytałem to już o sobie niejednokrotnie w ulotkach i gazetkach redagowanych i rozpowszechnianych przez intelektualistów-internacjonalistów z ulicy Rakowieckiej.

To prawda: zastosowane przez nich kryterium „narodowości” znamionuje świadomość charakterystyczną dla funkcjonariuszy hitlerowskiego aparatu władzy. Hitlerowcy wpisywali osobom kwalifikowanym wedle ustaw norymberskich jako Żydzi do akt personalnych literkę „J” (Jude) i dodawali do nazwiska imię „Izrael”. Narodowość żydowska nie jest w niczym mniej wartoś-

ciowa od polskiej. Do tej narodowości przyznawali się moi dziadowie. Wymordowali ich hitlerowcy. Wymordowali za to tylko, że wedle swych kryteriów zakwalifikowali ich jako „narodowość żydowską”; tylko dlatego, że jakiś hitlerowski sierżant sztabowy wpisał im do kartoteki literkę „J”.

I oto ja, w czterdzieści lat po klęsce Hitlera, zostałem wedle czysto hitlerowskich kryteriów przypisany do „narodowości żydowskiej”. Zmusza to do namysłu nad mentalnością moich „kasyfikatorów”. Jednak u ludzi, którzy zamordowali ks. Jerzego Popiełuszkę, taka mentalność nie powinna zadziwiać. Sierżant sztabowy Andrzej Solecki jest po prostu jednym z tych ludzi.

Ten pan dobrze wie, że moja narodowość jest polska. Ten pan dobrze wie, że sierżantom sztabowym z Dzielnicowych Urzędów Spraw Wewnętrznych nie przysługuje prawo do samodzielnego ustalania narodowości obywateli polskich w oparciu o hitlerowskie kryteria rasowe. Ale sierżant sztabowy wykonał bojowe zadanie. Nie wiem — z lęku czy z przekonania, z niskiej chęci awansu czy z głupoty — zrobił to, co mu kazali, przeświadczony o wszechmocy kłamstwa w kształtowaniu społecznych nastrojów. A potem prasa zachodnia rozpisuje się o „polskim antysemityzmie”...

Przeto przypominam raz jeszcze: zacytowany przypadek dowodzi wyłącznie obecności postaw rasistowskich wśród funkcjonariuszy komunistycznego aparatu władzy.

Kiedy zapytywano mnie na publicznych spotkaniach o kłamstwa zawarte w policyjnych publikacjach, udzielałem dość wyczerpujących odpowiedzi. Ale na charakterystykę sierżanta sztabowego nie będę replikował. Jest ona po prostu kapitalnym źródłem wiedzy o moralności i mentalności ludzi z aparatu bezpieczeństwa oraz o ich obrazie „wroga”. Dlatego zasługiwała na przytoczenie. Kogo interesują szczegóły tego światopoglądu, niech sięgnie po prasę z 1968 roku lub po numery tygodnika *Rzeczywistość*, gdzie intelektualiści ze Służby Bezpieczeństwa na nowo eksponują swoje przemyślenia z epoki marcowej.

Zwrócić natomiast wypada uwagę, że ten „żydo-stalinowski” stereotyp nieźle przylegał do konserwatywnych, określających same siebie jako nacjonalistyczno-katolickie, schematów antykomunizmu. Odpowiadał nieprzewietrzonym od dawna przyzwyczajeniom myślowym, usprawiedliwiał długoletnią absencję w życiu publicznym, racjonalizował niechęć do korowców podejmujących ryzyko. Słowem: sprzyjał poprawie autowizerunku, zgodnie ze starą prawdą, że łatwo wierzy się w to, czego się pragnie.

Z ust tych ludzi można było usłyszeć, że korowcy reprezen-

tują trockizm bądź eurokomunizm; można też było dowiedzieć się o jakichś tajemniczych powiązaniach KOR-u z równie tajemniczymi frakcjami w Komitecie Centralnym PZPR. Powtarzano też wieść o niechęci korowców do idei niepodległościowej i o ich kosmopolityzmie.

Dzisiaj nie ma już powodu podejmować polemiki z tymi bredniami. Korowcy dosyć jednoznacznie zaświadczyli, kim są i do czego dążyli. Odnotujmy tylko, że w środowiskach karmiących się fobiami i resentymentami, w atmosferze blokady normalnych kanałów komunikacyjnych i informacyjnych, w klimacie skażonym plotką i nieufnością, wśród wyznawców spiskowej koncepcji historii i wśród adeptów materializmu detektywistycznego w interpretacji dziejów — ten stereotyp mafijnego KOR-u i jego działaczy, sprytnych arywistów wspinających się do władzy po cudzych grzebiach, uzyskał pewną ilość zwolenników. Wątpię, by zdarzenia następnych lat i postawa korowców po wprowadzeniu stanu wojennego skłoniła tych ludzi do obrachunku sumienia. Nie czytałem ani jednej takiej wypowiedzi. Nikt z osób opluwających nas przez lata z podziwu godną konsekwencją nie zdobył się na publiczne słowo ubolewania. Oni nadal wolą rozliczać innych z grzechów wymyślonych przez policyjną propagandę.

Nie utożsamiam jednak tych kręgów z policyjną agenturą. Choć agenci mogli niezłe wśród nich prosperować — gdzież ich zresztą nie było? — nie da się tych środowisk do roli agenturalnej zredukować. Nie mam wątpliwości, że są to grupy autentycznych antykomunistów. Rzecz w tym wszakże, iż definiują oni sytuację Polski w kategoriach z innej epoki. Są jak okręty zepchnięte z kursu uderzeniem martwej fali lub też jak pozostałości dawnych wielkich ruchów społecznych i ideowych po wielkim wstrząsie czy potopie. Są jak bonapartyści we Francji Mitterranda czy jak monarchiści w Rosji Gorbaczowa. Z wielkiego obozu politycznego narodowej demokracji, obozu o wielowątkowej myśli programowej i bogatej historii umysłowej, pozostali właściwie oni: nieszczęśnicy wierzący w rządy masonerii, w spiski izraelskie i w KOR — dzieło mafii zakamuflowanych stalinowców i Żydów.

Tych gorzkich słów — to oczywiście, choć niezbędne zastrzeżenie — nie powinni brać do siebie ci z naszych antagonistów, którzy zawsze repektowali normalne reguły kultury sporu w politycznej polemice (np. Aleksander Hall). Nie mogę jednak przejść do porządku dziennego nad permanentnym kwestionowaniem naszej uczciwości, prawdomówności i dobrej woli przez ludzi, którzy samych siebie tylko mianowali depozytariuszami narodowej

tradycji Polaków. Dedykuję im słowa Mochrackiego sprzed 150 lat: „gatunek terroryzmu — najstraszniejszy, najokropniejszy — jest to terroryzm zawziętego w śmiesznym uprzedzeniu mniemania, terroryzm obskurantyzmu politycznego”. Poczucie, że są to słowa niepokojąco aktualne zmusza mnie do przypomnienia tych smutnych spraw. I do gorzkiego wspomnienia opinii Ksawerego Pruszyńskiego, że „w Polsce umiejętnie organizowane są tylko nagonki”.

Nie gwoli porachunków piszę o tym, lecz ku przestrodze. Ku przestrodze nam wszystkim.

To oczywiście: nowe zawsze rodzi się w konfliktach. To pewne: brak kultury politycznej i długoletnia nieobecność pluralizmu mściła się na nas wszystkich. My, korowcy, także nie byliśmy bez grzechu. Także z trudem nauczyliśmy się tolerancji i pluralizmu. Ale my chcieliśmy się tego nauczyć. My wiedzieliśmy, że żadne plotki i pomówienia, żadne dorabianie rodowodów i licytacje we frazesach nie zastąpią sporu o idee i wartości. Jakże to okazało się trudne! Nie umieliśmy — przyznaję — nawet w sporach między sobą „pięknie się różnić”, a końcowy akord naszej instytucjonalnej egzystencji skażony został gorszącą wymianą zdań na łamach jednego z pism. A przecież nie chodziło o spory zasadnicze. W KOR-ze ścierały się różne punkty widzenia, ale nie umiałbym opisać ich w innych kategoriach niż różnice taktyki czy konflikty personalne. Czemu więc rozstawaliśmy się w gniewie? Może to ciągle życie w napięciu, w ryzyku, w świadectwie oducza od reguł demokratycznej walki politycznej? Może w takim życiu wzrasta aż do absurdu rola osobistej lojalności, a każde jej naruszenie eksploduje konfliktem osobistym właśnie, który z konieczności wyraża się w języku politycznej kontrowersji? Może dlatego tak wielką rolę w KOR-ze odgrywali ludzie definiujący się raczej w kategoriach moralnych niż politycznych: Halina Mikołajska i Anka Kowalska, Jan Józef Lipski i Józef Rybicki, ks. Jan Zieja i Jan Kielanowski? A może dlatego, że prawem zwykłego świata jest iż interesy są ważniejsze od ideałów, podczas gdy dla nas jednak ideały były ważniejsze?

Nie umiem na te pytania odpowiedzieć. Może kiedyś do nich powrócę. Może kiedyś spróbuję opowiedzieć o tym dziwnym przeobrażeniu, którego byłem świadkiem: z idealisty w politycznego gracza, o niebezpiecznym procesie profesjonalizacji, tyleż niebezpiecznym, co smutnym. To także był element mojego korowskiego doświadczenia.

Jednak jego istotą było coś innego: stworzenie instytucji uczciwej i środowiska ludzi tak różnych, które przetrwało jednak

kilka trudnych lat. Byli tam ludzie dostojni i zasłużeni, którzy ofiarowali ruchowi całą swoją przeszłość. Byli i młodzi: ci ryzykowali przyszłością. Młody KOR — jak to nazywaliśmy między sobą — składał się z osób o wspólnym przeżyciu pokoleniowym marca 1968 roku. Choć stosunkowo młodzi, byliśmy całkowicie pozbawieni złudzeń. Ostatnie wybito nam z głowy pałkami podczas studenckich strajków i marcowych manifestacji. Młodzi korowcy wiedzieli co ryzykują, ale nie wiedzieli wcale, jak niezwyczajne będą konsekwencje ich poczynań. Podpisywali imionami i nazwiskami komunikaty o policyjnych represjach, by nikt nie miał wątpliwości, gdzie szukać autorów informacji. Spędzali kolejne doby w komisariatach. Byli bici przez milicjantów pałkami w pięty i przez aktywistów z Akademii Wychowania Fizycznego — pięścią w głowę. Nie bronili się, nie oddawali ciosów. Wiedzieli, że nie zwyciężą, wdając się w bójkę. Rzecz by można, używając cynicznego sformułowania Daniela Passenta, że korowcy „bili głową w mur, by pokazać guza”.

A przecież zwyciężyli. To, co było przedtem przedmiotem dowcipów szefów Passenta, stało się kluczową sprawą polskiej rzeczywistości. I do dziś być nią nie przestało.

Dlatego uważam, że myślenie korowców było myśleniem realistycznym. U swego początku opierało się ono na założeniu, że zarówno w konfliktach międzynarodowych, jak i wewnętrznych — należy szukać rozwiązań kompromisowych. Jeśli nie chce się strzelać, należy się porozumiewać. Wyrazem tej logiki była konferencja w Helsinkach; jej wyrazem były także relacje między władzą a społeczeństwem w Polsce w latach 1976-1980.

Znany publicysta partyjny, Ryszard Wojna, jest odmiennego zdania. Rozważając obecne stosunki państwowe francusko-polskie, pisał: „Kiedy szukam wyjaśnienia dzisiejszego stosunku Paryża do Warszawy, od mych przyjaciół francuskich słyszę, iż powoduje nimi przede wszystkim... umiłowanie wolności, której Polska jest dla nich symbolem. Miałbym wtedy ochotę odpowiedzieć „wolne żarty”, gdyby w grę nie wchodziły sprawy bardzo poważne. W Polsce w roku 1985 zakres wolności i demokracji — również w mieszczańskim tych pojęć rozumieniu — jest znacznie szerszy, niż w czasie, gdy I sekretarzem KC PZPR był Edward Gierek. Można to bez trudu udowodnić. Tymczasem nie przypominam sobie ani jednego protestu francuskiego z powodu aresztowania przywódców KOR w latach siedemdziesiątych, choć zdarzało się to dość często. Nie przypominam sobie też kampanii solidarności z tamtego czasu np. z wydawnictwami nielegalnymi w Polsce, choć ukazywało się ich sporo i docierały na Zachód.

Nie przypominam sobie mentorskich pouczeń z Paryża, co wolno premierowi Jaroszewiczowi, a co nie. Czyżby to wszystko tylko dlatego, że ówczesny przywódca Polski mieszkał kiedyś we Francji i mówił po francusku?”.

Ryszard Wojna ma pamięć krótką i selektywną. Nie tak jednak krótką, by nie wiedział, że kłamie. Po prostu — kłamie. Rząd Jaroszewicza — nie ja byłem jego apologetą... — nie wprowadził w Polsce stanu wojennego; Edward Gierek — nie ja wypisywałem na jego cześć peany... — uznał po konferencji helsińskiej za punkt swego programu, by w Polsce nie było więźniów politycznych. Tamci ludzie — cokolwiek złego o ich nieudolności i bezprawiu już powiedziano i powiedzieć jeszcze trzeba będzie w przyszłości — nie posunęli się do przelewu krwi dla ratowania swej władzy. Istotą polityki tamtych ludzi była rzeczywista próba respektowania zasad kompromisu w polityce międzynarodowej i wewnętrznej. Istotna różnica (pomiędzy tymi sferami) polegała na tym, że w Helsinkach zwerbalizowano zasady porozumienia między państwami różnych bloków, podczas gdy w Polsce, aż do Sierpnia 1980 roku umowa miała charakter niepisany.

Represjonowano nas, ale nie unicestwiano. Za współpracę z niezależnym wydawnictwem usuwano z pracy i zamykano na dwa dni. Dziś Jaruzelski hojną ręką serwuje za to parę lat więzienia. Kapitan Piotrowski nie mordował księży, a sierżant sztabowy Solecki nie wpisywał mi do ankiety personalnej „narodowość żydowska”. Aparat władzy dążył do tego, by nas „otorbic”, lecz nie próbował nas wymordować, czy choćby przez długie lata trzymać w więzieniach po sfabrykowanych procesach.

Tak było do sierpniowych strajków. Wtedy — gdy R. Wojna straszył Polaków nowymi rozbiorami — w Stoczni Gdańskiej podpisano porozumienie pomiędzy władzą i społeczeństwem. Jego istotą było zawarcie kompromisu i wyrzeczenie się przemocy we wzajemnych relacjach. Sala BHP Stoczni Gdańskiej stała się czymś na kształt polskich Helsinek. I tylko porozumienie gdańskie wyznacza dziś skalę dla oceny linii politycznej Jaruzelskiego, a nie — jak to czyni Wojna — porównanie z Gierkiem, Gomułką czy Bierutem. Porozumienie gdańskie było spisaniem kompromisu, który formułował się przez poprzednie lata; stan wojenny był tego kompromisu złamaniem. Ryszard Wojna wie o tym wszystkim, ale najwyraźniej liczy na naiwność czytelników. Niesłusznie: epokę naiwności Polacy mają już za sobą.

Porozumienie gdańskie było możliwe dzięki funkcjonowaniu wypracowanej w epoce KOR-u strategii politycznej, która zakła-

da, że skoro Polacy nie są w stanie zmienić mapy politycznej Europy, winni ją respektować i w jej ramach dobijać się rozwiązań opartych na okrojonej choćby sprawiedliwości. W chwili podpisania gdańskiej umowy społecznej wypełniła się historyczna rola KOR-u. Przestał on wtedy faktycznie istnieć — jako instytucja i jako środowisko. W zmienionej sytuacji KOR przestał być społeczeństwu potrzebny. Korowcy stali się fragmentem „Solidarności” i w nowy czas podążyli osobnymi, często odmiennymi drogami. Zapewne każdy z nas różne nauki wyniósł z korowskiego doświadczenia. Co ja wyniosłem?

Dla mnie chyba najważniejszym było utwierdzenie się w prawdzie słów Edwarda Abramowskiego: „duszą solidarności jest przyjaźń objawiająca się bez interesu osobistego we wszystkich sprawach życia, zarówno indywidualnych, jak i społecznych”. Porozumienie gdańskie dowiodło kilku zasługujących na pamięć prawd. Dowiodło, że w kraju rządzonym przez komunistów, w bezpośrednim sąsiedztwie Związku Sowieckiego, w epoce doktryny Breżniewa i umowy z Helsinek, możliwe było zawarcie porozumienia między rządem a reprezentacją strajkujących robotników, która była faktycznie reprezentacją przytłaczającej większości Polaków. Władza komunistyczna — był taki moment — wolała z oponentami negocjować, niż ich mordować i więzić. Robotnicy woleli zawrzeć porozumienie, niż dać upust uczuciom zemsty i gniewu. To ważna i godna zapamiętania lekcja.

Sierpień dowiódł również, że społeczeństwo w krótkim czasie umiało zrekonstruować swe wewnętrzne więzi i odbudować swą podmiotowość, zaś aparat władzy w równie krótkim czasie umiał wypracować nowy sposób reagowania na kryzys społeczny.

Sierpień unaoczniał, które z przedsierpniowych postaw nacechowane były realizmem, a które karmiły się lękiem czy też złudzeniem.



W epoce „Solidarności” mówiło się o realizmie częściej niż kiedykolwiek. Nikt nie był skłonny do rezygnacji z miana „realisty”, choć zarzut „braku realizmu” stał się obiegową monetą w polemikach. Trwał spór.

O tym sporze mówi się dzisiaj mętnie i półgębkiem. Nic dziwnego: okazał się przecież dość akademicki w świetle 13 grudnia, a przeplatały go całkiem inne podziały, tak ideowe, jak i personalne. Po 13 grudnia niemal wszyscy polemici zostali zredukowani do poziomu więźniów. Trudno było spierać się nadal —

w więziennej celi. Wreszcie: z pewnością ważniejszym jawił się wczorajszym antagonistom problem „Solidarności” dnia dzisiejszego, „Solidarności” zepchniętej w podziemie i szukającej nowych sposobów działania. Również autor tych uwag uważa spór o dzień dzisiejszy za nieporównanie bardziej doniosły od historycznych już podziatów. Jednak jest to epoka wciąż niedokończona, proces ciągle otwarty, jak otwarte są nasze własne biografie. Pamięć zbiorowa — jeśli nie ma być bezładną sieczką faktów, jeśli chce stać się samowiedzą historycznego podmiotu — domaga się przecież jakiegoś uporządkowania zdarzeń. Gdy zaś o to trudno, chce znać choćby różne scenariusze nieodległej przeszłości, różne sposoby jej zapamiętywania i interpretowania. Celem tych, jakże banalnych, spostrzeżeń jest sprecyzowanie poglądu, że choć nikt z nas, aktorów tamtych zdarzeń, nie powinien dziś rościć sobie tytułu do bezwzględnej słuszności swych poczynań, to przecież każdy powinien podjąć wysiłek najuczciwszej rekonstrukcji własnego sposobu rozumowania. Warto — myślę — na nowo przyrzeć się racjom wczorajszych antagonistów, zwłaszcza zaś tych z nich, którzy po 13 grudnia udokumentowali postawą niekoniunkturalność swoich wczorajszych zaangażowań. Tak się bowiem składa — i trudno się temu dziwić — że wraz z wprowadzeniem stanu wojennego liczba działaczy „Solidarności” i jej doradców gwałtownie zmalała. Przywódcy Związku nie uskarżają się już na tłok w korytarzach i nadmiar ekspertyz; doradzanie „Solidarności” przestało już być tak bardzo modne. Także z tej perspektywy warto spojrzeć na niejedną wczorajszą różnicę zdań.

Nie jestem ich obiektywnym świadkiem. Byłem uczestnikiem i nader subiektywnym obserwatorem dyskusji w łonie „Solidarności”. Decydując się na próbę odtworzenia własnego punktu widzenia, nie kuszę się wcale o nakreślenie całości obrazu. Chcę tylko dorzucić swój kamyk do mozaiki, która z różnych głosów złożona powstaje w zbiorowej pamięci.

Zanim jednak to uczynię wypadnie mi poświęcić — tytułem dygresji — nieco uwagi wezwaniom do samokrytyki, formułowanym pod adresem „Solidarności” przez propagandystów rządu Wojciecha Jaruzelskiego. Daniel Passent, zastępca naczelnego redaktora *Polityki*, pisał w jednym ze swych felietonów w kwietniu 1985 roku:

„ — Niczego się nie nauczyli, nic nie zrozumieli — lubią mówić przedstawiciele opozycji o ludziach władzy, powołując się na cykliczne kryzysy trawiące nasz kraj. Jednakże w Polsce istnieje nie tylko władza, ale również Kościół oraz ośrodki niezależne,

a także opozycyjne, zastanówmy się przez chwilę, czy ktoś słyszał samokrytykę z *ich* strony? (...) Zapytajmy więc ośrodki niezależne, a nawet opozycję, czy one przeprowadziły samokrytykę, czy gdzieś pod ziemią lub za granicą, bądź na falach eteru, ukazała się książka, list, manifest zbiorowy, w którym ci, co mają autoritet moralny i polityczny lub tak sądzą, przede wszystkim byli doradcy byłej „Solidarności”, a i obecni działacze opozycji, wypowiedzieli się przed Bogiem i Ojczyzną, rozpatrzyli własne błędy, zastanowili się, jaka jest ich współodpowiedzialność za stan wojenny, czy i ile cegiełek dołożyli do muru izolacji wzdłuż zachodniej granicy, czy ich nie obciąża krew zabitych, czy oni nie nadużyli zaufania? Niestety (...) ogromna większość dawnych i obecnych działaczy opozycji kręci tę samą katarynkę, że za poprzednie 37 lat odpowiadają tylko komuniści i ich trzeba rozliczać i oni też wyłącznie są winni takiego, a nie innego przebiegu kryzysu 1980/1981. Dla nich więc np. ważne jest wyłącznie to, że Seweryna Blumsztajn odstawiono do granicy, a nie po co tu przybywał i co jest dla Polski lepsze — Blumsztajn w więzieniu, dokąd otwarcie zmierzał, czy w Paryżu? (...) Na podstawie strzępów różnych przesłanek (...) odnieść można wrażenie, że opozycja lekcji się nie nauczyła i nie zrozumiała. (...) Najmniej, albo i wcale, ma opozycja (...) pretensji do siebie samej”.

Daniel Passent czuje się tedy rozczarowany, że nie mamy pretensji do samych siebie o to, iż podlegamy prześladowaniom. Smutno mu i z tego powodu, że nie nauczyliśmy się lekcji, którą on ma już tak dobrze wykutą: „to Jaruzelski i Rakowski są zbawcami ojczyzny”. Ja zaś — ponieważ cenię talent Passenta — jestem rozczarowany poziomem jego argumentacji. Zastanawiam się: w jaki sposób potraktowałby on chilijskiego felietonistę z prorządowego tygodnika, gdyby ów postawił publicznie takie pytania i zarzuty działaczom chilijskich związków zawodowych czy chilijskim emigrantom? Gdyby ów „pinochetowski Passent” zapytał z łam swej gazety wygnanych, ściganych i więzionych rzeczników chilijskiej demokracji „jaka jest ich współodpowiedzialność za stan wyjątkowy ogłoszony przez Pinocheta”, „ile cegiełek dołożyli do muru izolacji chilijskiego państwa” lub też, „czy nie obciąża ich krew zabitych przez pinochetowską służbę bezpieczeństwa”?

Jakże z tym dyskutować? Wyjaśniam Danielowi Passentowi: Seweryn Blumsztajn — skądinąd mój przyjaciel — zachowywał się za granicą w sposób kłopotliwy dla rządu Jaruzelskiego. Nikt jednak nie udowodnił mu popełnienia przestępstwa. Jak może

tedy Passent poważnie twierdzić, że uniemożliwienie powrotu do ojczyzny memu przyjacielowi jest aktem humanitaryzmu, a nie aktem bezprawia i ogłaszać w dodatku, że to „dla Polski lepsze”? Daniel Passent wielokrotnie powtarzał, że Jaruzelski wybrał „mniejsze zło”. Teraz też zapewne uważa, iż banicja jest mniejszym złem niż egzekucja. Zapytać jednak wypada, co musiałby zrobić rząd Jaruzelskiego, by Passent to uznał za „większe zło”? Czy np. byłoby „większym złem” przyłączenie Polski do ZSSR, czy i wtedy Passent obwieściłby z łamów *Polityki*, że „może być gorzej”? Jak uzyskam odpowiedź na to pytanie, wyjaśnię Passentowi, dlaczego — wedle moich norm moralnych — pisać dzisiaj na łamach *Polityki* o „byłych doradcach byłej Solidarności” może tylko „były porządny człowiek”.

Co zaś do postulatu samokrytyki, odpowiem najogólniej: czym innym jest stwierdzenie, że „są w ojczyźnie rachunki krzywd” w ustach skrzywdzonego, czym innym zaś te same słowa wypowiedziane przez człowieka, który swe pióro oddał na usługi krzywdzicieli. Innymi słowy: to co piszę, nie jest próbą wypowiedzenia się ani przed Bogiem, ani przed Ojczyzną, ani przed Passentem, ani też przed oficerami śledczymi, którzy ostatnio mnie do tego namawiali. Tym zastrzeżeniem chcę uniknąć smutnego losu Andrzeja Walickiego, którego artykuł Passent obficie cytuje, nie szczędząc komplementów. Co się tyczy wystąpienia Andrzeja Walickiego, skądinąd znakomitego specjalisty w przedmiocie rosyjskiej myśli społecznej i filozoficznej XIX wieku, to — ze względu na rozbrajającą ignorancję jego tekstu — polemikę z nim uważałbym za nierycerską.

Od samego początku istnienia „Solidarności” było dla mnie oczywiste, że utrzymanie formuły kompromisu gdańskiego jest warunkiem kontynuacji tego niezwyklego fenomenu samoorganizacji i upodmiotowienia społeczeństwa w obręczy totalitarnego systemu. Od samego też początku było dla mnie jasne, że aparat władzy uczyni wszystko, by nadać porozumieniom gdańskim taki kształt, który ubezwartościowi ich najistotniejsze treści. Nie wiązałem tego z konkretnymi ludźmi czy grupami w łonie aparatu, lecz z aparatem jako całością powiązaną w system interesów, nawyków i zależności. Kiepsko znając to środowisko, nie miałem jednak złudzeń, że do demokratycznego rządzenia społeczeństwem pluralistycznym aparat ten w ogóle nie jest przygotowany.

Finał strajków sierpniowych spędziłem wraz z liczną grupą kolegów w więzieniu mokotowskim. Wyswobodziło nas porozumienie gdańskie. Doskonale pamiętam te pierwsze chwile. Chwile wielkiej radości i uspokojenia. Coś się jakby skończyło i zwiń-

czyło. Od razu jednak radość zmały konflikty: opowiedziano mi o sporze, który miał miejsce podczas strajku pomiędzy grupą warszawskich ekspertów, a niektórymi osobami ze środowiska korowskiego. Opisał ten spór Tadeusz Kowalik, a ten opis wzbudził wiele goryczy u moich przyjaciół. Istotą sporu — jak mi relacjonowali — był odmienny stosunek do więźniów politycznych. Korowcy stali na stanowisku, że uwolnienie więźniów winno być warunkiem zakończenia strajku; eksperci byli zdania, że podpisanie porozumienia załatwi tę sprawę niejako mechanicznie, zaś władzy, która poszła na tak spektakularny kompromis, nie należy dodatkowo rzucać na kolana. Ostatecznie zwyciężyło stanowisko korowców, wicepremier Jagielski zobowiązał się do uwolnienia uwięzionych — co też się stało.

Było to w poniedziałek, 1 września 1980 roku. Też w nocy Jacek Kuroń zmylił inwigilujących go agentów służby bezpieczeństwa i pojechał do Gdańska. Jak mi to później relacjonowano, K.W. poinformował go tam ukradkiem, że przewodniczący komisji ekspertów, Tadeusz Mazowiecki „chce przy MKZ zrobić swoją chadecję”. Natychmiast pobiegł do telefonu, by poinformować Mazowieckiego, że „Jacek Kuroń przyjechał do MKZ zrobić zamach stanu”. Nie wykluczam wcale, że te poczynania chrobrliwego inteligenta dołąły oliwy do ognia. Nie one jednak spowodowały, że Tadeusz Mazowiecki — także Lech Bądkowski — odebrali obecność Kuronia w gdańskim MKZ jako zagrożenie dla młodego ruchu związkowego. Do tego stanowiska przekonali Lecha Wałęsę. Jednak inni przywódcy MKZ (Anna Walentynowicz, Alina Pieńkowska, Joanna i Andrzej Gwiazdowie, Andrzej Kołodziej, Bogdan Borusewicz) byli zdania, że Kuroń w Gdańsku jest potrzebny. Pozostał on tedy na formalnym statusie doradcy MKZ, ale sprawa ta zapoczątkowała długotrwały konflikt w kierownictwie Związku.

Dla mnie osobiście ten konflikt był wyjątkowo bolesny. Jacek Kuroń był moim przyjacielem. Od wielu lat byliśmy ze sobą tak blisko związani, że nie umiałbym określić, które z moich poglądów były od niego zapożyczone. Zawsze podziwiałem jego talent polityczny, odwagę osobistą i uczciwość. W chwili, gdy stawiano pod znakiem zapytania jego prawo do obecności w nowym ruchu związkowym, uważałem za swój obowiązek wystąpić w obronie Jacka.

Ale ekspertów też znałem osobiście. I bardzo wysoko ceniłem. Znałem Bronisława Geremka, znakomitego historyka-mediawistę z Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk. Ten mistrz

konwersacji i negocjacji, człowiek bywały w świecie — później jeden z najbliższych doradców Lecha Wałęsy — miał dość typową biografię dla polskich intelektualistów lewicowej proveniencji. W młodości marksista-komunista, potem rewizjonista, po interwencji w Czechosłowacji w 1968 roku wystąpił z PZPR. Przed sierpniem 1980 roku należał do kierowniczych gremiów Towarzystwa Kursów Naukowych. Inna biografia była udziałem Andrzeja Wielowieyskiego, konsekwentnego w swej postawie sekretarza warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej, autora licznych publikacji i przekładów, uczestnika Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”. Tadeusz Kowalik, historyk myśli ekonomicznej, autor prac m.in. o Ludwiku Krzywickim, Róży Luksemburg i Oskarze Langem, miał doświadczenie polityczne podobne do Geremka. Dawny redaktor naczelny *Życia Gospodarczego*, członek PZPR (do 1968 roku), należał do organizatorów TKN, w którego ramach wygłosił cykl wykładów — opublikowanych w niezależnym obiegu — na temat historii gospodarczej pierwszych lat Polski Ludowej. Ścisłe związany ze środowiskiem KIK-u był Bohdan Cywiński, młodszy od wcześniej wymienionych autor znakomitych „Rodowodów niepokornych”, były redaktor naczelny *Znaku*, uczestnik TKN. Był wśród ekspertów także Jan Strzelecki, socjolog, przyjaciel i ideolog młodzieży socjalistycznej podczas okupacji i po wojnie, twórca głośnej koncepcji humanizmu socjalistycznego i autor esejów otwierających myśl socjalistyczną na wartości chrześcijaństwa. Długoletni zwolennik „reformizmu wewnątrzpartyjnego”, uczestnik „DiP”-u, niedługo przed Sierpniem usunięty z PZPR. Wreszcie Waldemar Kuczyński, mój starszy kolega z czasów uniwersyteckich, też były członek PZPR, usunięty z niej w 1966 roku za wystąpienie krytykujące ataki na Kościół i biorące w obronę uwięzionych Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego. Przed Sierpniem był współpracownikiem prasy niezależnej. Opublikował w tym czasie w obiegu niezależnym książkę „Po wielkim skoku”, przenikliwą analizę krachu gierkowskiej polityki. Wszyscy ci ludzie byli sygnatariuszami apelu o porozumienie, który Mazowiecki i Geremek zawieźli do strajkującej stoczni. Ten moment zadecydował o ich kluczowej roli w „Solidarności”.

Współpracę środowiska korowskiego z tymi właśnie ludźmi uważałem za warunek konieczny skuteczności naszych poczynań, bowiem byli to ludzie mądrzy i otoczeni zasłużonym szacunkiem. Wywodzili się wszyscy z kręgów, które nie kryły swego przywiązania do wartości demokratycznych i krytycyzmu wobec polityki gierkowskiej ekipy w ostatnich latach. Dalecy jednak byli

w swych poczynaniach od korowskiej determinacji i radykalizmu naszych poczynań. W epoce przedsierniowej korowcy codziennie musieli być przygotowani na aresztowanie, a może i na jeszcze gorsze rzeczy (napady bojówek, prokrowacje etc.). Późniejsi eksperci w tym czasie funkcjonowali w obiegu oficjalnym lub w „szarej strefie” — tej rozciągającej się pomiędzy nożycami cenzora a wkroczeniem policji. Sygnowali listy protestacyjne, brali udział w pracach TKN, sporządzali wartościowe opracowania publikowane w niezależnym obiegu. Nie posuwali się dalej, np. do współpracy z działaczami Wolnych Związków Zawodowych z Gdańska.

Różnice tkwiły przeto — w pewnej mierze — w odmiennych perspektywach środowiskowo-pokoleniowych. Powiadam: w pewnej mierze, bowiem czasem o przynależności środowiskowej decydował przypadek. Jan Józef Lipski mógłby być ekspertem, a Bohdan Cywiński czy Waldemar Kuczyński — korowcami. Jednak — zasadniczo rzecz biorąc — różnic szukać należy w sferze psychologii środowisk. Korowcy zdobywali dopiero rozgłos i polityczne ostrogi; eksperci byli ludźmi elity intelektualnej. Korowcy tworzyli nowe instytucje, eksperci chronili instytucje i wartości już istniejące. Upraszczając, rzecz można tak: doświadczeniem politycznym korowców była walka aż do ostatecznego osobistego ryzyka; doświadczeniem politycznym ekspertów było układanie się z władzą dla ochrony zagrożonych wartości. Korowcy w swym działaniu spoglądali na działalność społeczeństwa, eksperci — na reakcję rządu. Dla korowców normą ładu komunistycznego była względnie liberalna epoka Gomułki i Gierka, dla ekspertów taką normą był stalinizm. Dlatego eksperci dostrzegali w poczynaniach KOR-u brak odpowiedzialności, a korowcy w działaniach ekspertów — ugodowość i brak wyobraźni. Obie strony miały ponadto pretensje o stosowanie nierzetelnych chwytów w polemice. I obie miały rację.

Przewodniczącym zespołu ekspertów był Tadeusz Mazowiecki. Znałem go od piętnastu lat. Znałem go jako naczelnego redaktora *Więzi*, który publikował moje artykuły. Ponieważ oficjalna prasa była dla mnie ściśle zamknięta, miałem wyjątkowe powody do wdzięczności. Znałem go także osobiście. Rozmawiałem z nim często i długo, zwykle mając poczucie, że łatwo odnajdujemy wspólny język. Tadeusz Mazowiecki reprezentował w obrębie polskiego katolicyzmu tendencję szczególnie mi bliską: otwartą, światłą, pluralistyczną. Biografię polityczną miał interesującą: jako młody człowiek, katolik o orientacji lewicowej, związał się z PAX-em i był wysoko ceniony przez Bolesława Pia-

seckiego. Bunt Mazowieckiego przeciw paxowskiemu naczałstwu był równoległy z buntem jego rówieśników z PZPR przeciw stalinowskiemu kierownictwu. W 1953 roku został z PAX-u usunięty. Polski Październik stworzył mu nową sytuację: jako katolik znany z poglądów zdecydowanie antystalinowskich, a zarazem lewicowych, stanął na czele miesięcznika *Więź*. To doskonałe pismo odegrało istotną rolę w mej biografii intelektualnej i zdecydowanie zmieniło mój stosunek do Kościoła katolickiego. Jednocześnie, będąc działaczem warszawskiego KIK-u, Mazowiecki został (w 1961 roku) posłem na Sejm. Pełnił tę funkcję przez trzy kadencje. Zaskarbił sobie w tym czasie szacunek opinii publicznej bardzo klarowną postawą — zwłaszcza w epoce marca 1968 roku — i publikowaniem na łamach *Więzi* autorów zdecydowanie źle widzianych przez władze, m.in. ludzi usuniętych z PZPR i piętnowanych jako „rewizjoniści”.

Był Tadeusz Mazowiecki typowym człowiekiem pogranicza. Pogranicza pomiędzy władzą a Kościołem, pomiędzy Kościołem a laicką inteligencją, pomiędzy sferą oficjalną a demokratyczną opozycją. Był człowiekiem, który umiał znajdować wspólny język z ludźmi różnych środowisk. Wszelako był Tadeusz — by tak rzec — klasycznym przykładem polityka gabinetowego. Umiał ważyć słowa, umiał milczeć i czekać. Obcy był mu korowski radykalizm nie tylko w wymiarze programowym, ale i jako pewien ethos, sposób bycia i artykułowania politycznej obecności.

Z Jackiem Kurońiem niezbyt się lubili i chyba niezbyt dobrze rozumieli. Kuroń — ekspansywny i wielomówny, ryzykant i wizjoner — zupełnie nie był wrażliwy na osobowość Mazowieckiego; ze szczerą zresztą wzajemnością. Obaj, będąc osobowościami silnymi i przywódczymi, nie umieli — i chyba niezbyt próbowali — znaleźć wspólny język, uznać wzajemnie swą wartość, a może i komplementarność.

Kuroń w swym dynamizmie bywał z pewnością nieuważny i niezręczny. Mazowiecki w swym zamknięciu bywał nazbyt prestiżowy i pamiętający każdą urazę. To stwarzało dodatkowe trudności. Sierpień 1980 roku był zdarzeniem, na które obaj czekali od lat. Tadeusz Mazowiecki, zdecydowanie najwybitniejsza osobowość polityczna środowiska *Znaku*, nie widział już od lat miejsca dla siebie w Sejmie i innych instytucjach oficjalnego układu. Coraz bardziej angażował się więc w działania „szarej strefy”. Był ważną osobistością w TKN, publikował w prasie zagranicznej i w obiegu nieoficjalnym.

Jacek Kuroń miał w kościach 6 lat więzienia i 4 lata korowskiej harówki, które pochłonęły całe jego życie i wyniosły do

statusu osoby politycznej szeroko znanej w kraju i w świecie. To on, architekt korowskiej strategii, był najgłośniejszym ze wszystkich opozycjonistów w Polsce. Był niewątpliwym liderem KOR-u. Świetny orator, długoletni więzień polityczny opromieniony legendą — Mazowiecki nie mógł się z nim równać w popularności. Ale Mazowiecki dysponował atutami, o których Kuroń nie mógł marzyć. Miał przetarte drogi do Prymasa Polski i był do zaakceptowania — choć niechętnego — dla posierpnio-wego kierownictwa PZPR. Był też do zaakceptowania przez Lecha Wałęsę, któremu w niczym nie zagrażał, nie aspirując do roli przywódcy mas, podczas gdy Kuroń do takiej roli niewątpliwie aspirował.

Nie twierdzę, że — żądając od Kuronia rezygnacji z prac w gdańskim MKZ — Mazowiecki kierował się chęcią usunięcia silniejszego konkurenta. Tadeusz Mazowiecki nie jest człowiekiem uczuć niskich. Nie mam tedy wątpliwości, że formułując swoje żądania głęboko wierzył, iż Kuroń — ze swym radykalizmem i radykalnym wizerunkiem, wywołującym wściekłość sowieckiej prasy — stanowi śmiertelne zagrożenie dla „Solidarności”. Wierzył tedy, że o ile obecność Kuronia wśród doradców związkowego kierownictwa przynieść może tylko szkody, to jego własna obecność w tych gremiach będzie pożyteczna.

Jednak w życiu publicznym nasze zachowania oceniane są niezależnie od naszych intencji. W tym stanowisku widziano element gry personalno-środowiskowej. Ludzie życzliwi Mazowieckiemu i innym ekspertom nie kryli swej opinii, że Kuroń jest awanturnikiem o niepohamowanych ambicjach, nieodpowiedzialnym szaleńcem etc. Solidarni z Kuroniem korowcy też nie kryli swej opinii o ekspertach, którym zarzucano brzydki zamysł pozbycia się ludzi, którzy przez lata pracowali na rzecz utworzenia niezależnych związków zawodowych.

Myślę dziś o tych personalnych kwestiach z wielkim smutkiem. Wydarzenia, przez swą gwałtowność i wymiar, przerosły nas wszystkich. Być może tak właśnie być musiało, wszelako wszyscy dołożyliśmy do tej konieczności obiektywnej własną cegiełkę emocji i zacierzwienia.

Za konfliktem personalnym kryły się oczywiście różnice punktów widzenia. Miałem wrażenie, że Tadeusz Mazowiecki i inni eksperci traktowali porozumienie gdańskie jako finał procesu zmian. Dla Jacka Kuronia — i dla mnie — było oczywiste, że gdańska ugoda zmiany zapoczątkowała. W stanowisku ekspertów uderzał mnie charakterystyczny brak jakiejś docelowej wizji prze-

obrażeń. Nigdy — powtarzając swe wezwania do umiaru — nie sformułowali oni swojego programu perspektywicznego; nie określili do czego „Solidarność” winna dążyć i gdzie samoograniczać swe aspiracje. Kuroń czynił to nieustannie, narażając się na ciągłe krytyki m.in. ekspertów.

Bowiem — tu chyba tkwiło sedno ówczesnej kontrowersji — powtórzyć wypada, że ci ludzie, pochodzący z innego układu, znaleźli się w sytuacji całkowicie niekonwencjonalnej. Musieli błyskawicznie poddać rewizji wszystkie swoje wyobrażenia o świecie komunizmu i swoim w nim miejscu. Nowy związek powstał jako wyraz dążeń strajkujących robotników i całego niemal narodu, ale stanowił — często nieuświadomioną — realizację korowskiej wizji antytotalityrnych przeobrażeń. Ekspertem była ta wizja — przed Sierpniem — obca. Mogli jej sprzyjać z pozycji sympatyków lub życzliwych obserwatorów, mogli ją fragmentami współtworzyć, ale nie byli w niej „zadomowieni”. Nie mieli tedy żadnej wizji podmiotowego społeczeństwa w totalitarnym państwie i żadnego wyobrażenia o mechanizmach upodmiotowienia.

A jednak byli to ludzie „Solidarności” niezbędni. Właśnie dlatego, że wywodzili się z oficjalnego układu i byli akceptowalni dla władz. Spokojniejsi, nawykli do gabinetowych układów — mogli i umieli prowadzić rozmowy z rządem. Mieszcząc się w konwencjach, mogli być uznani za partnerów. Kuroń i inni korowcy — ucieleśnienie mocy diabelskich dla aparatu — nie mogli w tej roli wystąpić. I chyba by nie umieli.

Zrodziło to w środowisku korowskim poczucie krzywdy niezawinionej. Korowcy uważali w jakimś sensie nowy ruch związkowy za swoje dziecko. Poczuli się do ojcowskiej dumy i oczekiwali słowa uznania za swój trud. Było to ludzkie. Jednak przywódcy sierpniowych strajków z różnych miast i ich doradcy nie zawsze mieli ochotę przyznawać się do powinowactwa z bliżej im nie znaną instytucją, która była obiektem ataków oficjalnej propagandy. To także było ludzkie. Nie od razu jednak było to zrozumiałe. Bowiem oto korowcy poczuli się kłopotliwymi krewnymi, których lepiej nie wpuszczać na salony. W chwili — zdawałoby się — najwspanialszego sukcesu spotykał ich zawód. Atakowała ich prasa reżimu, godziła w nich stugębna plotka. Jedni powiadali, że dla korowców nie ma miejsca w „Solidarności”, bo są oni mafią dążącą do zawładnięcia związkami, a potem całym krajem. Nie wierzono w to jednak; wszyscy wiedzieli że to nieprawda, wyłączywszy tych, którzy powtarzali to i tych, którzy słuchali, gdy to było powtarzane. Inni żalowali korowców radując się wewnętrznie, jak to czasem żałuje się tych, których

wreszcie udało się zmusić, żeby uczynili to, czego od nich żądano. Smakując swój żal, korowcy nie umieli — także ja nie umiałem — dostrzec w tym mechanizmie właściwego gwałtownym zwrotem nastrojów i nagłej aktywizacji wielkich mas ludzkich. Rozumieli, że „zasługa kończy się, gdy zaczyna służyć do osłaniania złej sprawy” (Maria Dąbrowska), ale nie umieli w porę zrozumieć specyfiki momentu, w którym zasługa w ogóle przestaje się liczyć stając się skazą, zaś liczy się tylko dzień dzisiejszy i przyszłość. Wykształcone w epoce korowskiej reguły lojalności nie były użyteczne w wielomilionowym ruchu: stawały się przeszkodą w rozumieniu zasad politycznej i personalnej rywalizacji. Nie pamiętali wreszcie, że każda instytucja wyłoniona przez zwycięski ruch z natury swej rozdarta jest konfliktem pomiędzy legitymacją zasługi, a legitymacją kompetencji. Stąd brała się korowska skłonność do podejrzliwego przyjmowania wszystkich głosów krytycznych i niechęć do ekspertów, których wydarzenia wyniosły do ról pierwszoplanowych.

Realizm polityczny Tadeusza Mazowieckiego zasadzał się na przekonaniu, że po zwycięstwie sierpniowym należy unikać zadrażnień z aparatem władzy, szukać w każdej sprawie rozwiązań kompromisowych, miarkować postulaty. W imię tego rozumowania sprzeciwiał się obecności korowców w „Solidarności”.

Jacek Kuroń to właśnie rozumowanie uważał za całkowicie pozbawione znamion realizmu. Uważał ataki propagandowe na korowców za poczynania o charakterze zastępczym. Ich celem było uzyskanie faktycznego wpływu na politykę personalną w „Solidarności”. „Odstrzelonych” korowców zastąpią inni niewygodni dla władzy działacze związku, rzecz bowiem tkwi nie w personaliach, a w mechanizmach społecznych. Był tedy Kuroń zdania, że porozumienie sierpniowe należy uznać za krok wstępny do reformy strukturalnej systemu. Porównywał sytuację do sieci kolejowej, gdzie jeden pociąg — „Solidarność” — kursuje poza rozkładem jazdy. Twierdził przeto, że albo zmieniony zostanie rozkład jazdy, albo katastrofa będzie nieuchronna. Dążenie do zmian, a nie wezwanie do umiaru, było tedy remedium na postępującą radykalizację nastrojów, na lokalne strajki i konflikty z aparatem władzy. Wszelako w sprawie zasadniczej Kuroń i Mazowiecki byli zgodni: obaj uważali, że należy respektować realia międzynarodowe (stosunki z ZSSR) i wewnętrzne (władza partii komunistycznej). Z tym przekonaniem polemizowali ludzie deklarujący się jako zwolennicy KPN, bądź też — jak to określano na zjeździe — jako „fundamentaliści”. Ci byli zdania, że porozumienia sierpniowe daleko już wykroczyły poza granice sowiec-

kiej tolerancji. Brak wojskowej interwencji uznawali za równoznaczny z końcem sowieckiego władania w Polsce. Powtarzali: trzeba gotować się do konfliktu, którego przedmiotem będzie władza. Był to znak czasu.

W pierwszym okresie „Solidarności” zdecydowanie przeważały nastroje umiarkowania. Każda wzmianka o sowieckich czołgach — a był to argument często używany w związkowych dyskusjach — wzbudzała lęk. Jednak z czasem groźba ta — natrętnie powtarzana przez oficjalną propagandę — przestawała funkcjonować. Powszechne początkowe poparcie dla linii umiarkowanej, symbolizowanej nazwiskiem Lecha Wałęsy, zaczynało być problematyczne, choć była to linia konsekwentnie popierana przez Episkopat i elity intelektualne. Środowiskom robotniczemu przestawała ona zwolna wystarczać.

Problemem zwrotnym stały się wydarzenia bydgoskie. Polaryzacja, która wtedy nastąpiła, zadecydowała w znacznym stopniu o późniejszych podziałach. Ówczesni krytycy Lecha Wałęsy ostrze swego ataku skierowali przeciw ekspertom. Istota sporu dotyczyła dwóch spraw: treści warszawskiego kompromisu i sposobu, w jaki został zawarty. Co do treści — krytycy uznali, że podstawowe żądania Związku nie zostały zaspokojone; co do formy: oskarżano Wałęsę i ekspertów o złamanie związkowej demokracji.

Wałęsa i eksperci uzasadniali swą decyzję pozastatutowego odwołania strajku generalnego ryzykiem konfrontacji. Ich krytycy — ustami zwłaszcza Karola Modzelewskiego, jednego z najwybitniejszych związkowych przywódców — odpowiadali, że jedyną szansą na długotrwały kompromis pomiędzy władzą a społeczeństwem jest podjęcie ryzyka konfliktu związanego z potrzebą eliminacji z kierownictwa partyjno-państwowego „betonu”, który zawsze i za wszelką cenę będzie parł do konfrontacji i zniszczenia Związku. Oba stanowiska cieszyły się szerokim poparciem związkowców, których ten spór zdecydowanie podzielił. Różnice zdań trafiały na obrady KKP, a ich wyrazem były demonstracyjne rezygnacje Karola Modzelewskiego ze stanowiska rzecznika prasowego KKP i Andrzeja Gwiazdy z funkcji wiceprzewodniczącego Związku.

Jakie było moje stanowisko w tym sporze?

W pierwszych tygodniach po Sierpniu trzymałem się z daleka od „Solidarności”. Znając dokładnie przebieg konfliktu wokół obecności w Związku Jacka Kuronia, nie chciałem swoją osobą dolewać oliwy do ognia. Widząc dziesiątki świeżo nawróconych i spieszących do Wałęsy z wyrazami czci entuzjastów niezależnego

ruchu robotniczego, nie bardzo miałem ochotę uczestniczyć w tym wyścigu. Nie byłem działaczem związkowym; także w KOR-ze nie zajmowałem się sprawami robotniczymi. Traktując za normalne że działają w „Solidarności” Jacek Kuroń i Bogdan Borusewicz, Henryk Wujec i Jan Lityński, Zofia i Zbigniew Romaszewscy, swoją własną nagłą aktywizację w Związku uważałem za koniunkturalizm. Wreszcie dobrze pamiętałem o słowach mego ojca: możesz być pierwszy, kiedy dają wyroki; masz być ostatni, kiedy dają posady. W „Solidarności” rozdawano posady...

Dla partyjnej propagandy nie miało to zresztą żadnego znaczenia, bo atakowano mnie tak zajadle, jakbym z gabinetu Wałęsy nigdy nie wychodził. Tymczasem trafiłem do „Solidarności” dopiero po aresztowaniu Narożniaka, kiedy to do MKZ ściągnęli mnie Zbigniew Bujak i Henryk Wujec. Była to dla mnie — psychologicznie rzecz biorąc — sytuacja nowa: przychodziłem do Związku w chwili zagrożenia, a nie w momencie jego tryumfu.

Nie są to sprawy ważne, a może i nie są wcale ciekawe. Jeśli o nich wspominam, to dla zobrazowania pewnej ambiwalencji towarzyszącej memu zaangażowaniu się w „Solidarność”. Nie byłem robotniczym działaczem przed Sierpniem, gdy było to zajęcie mało intratne. Nie chciałem przeto występować w tej roli i później, gdy już towarzyszyło jej nie ryzyko, a awanse, prestige i apanaże. Dopiero, gdy nad Związkiem zawisło niebezpieczeństwo, uznałem, że aktywny akces jest moim obowiązkiem. Mam sobie tedy za złe decyzję kandydowania na delegata. Jacek Kuroń miał rację, gdy mówił, że jedyny błąd jaki w tej sprawie popełniłem, to ten, że się w nią wdałem...

Mój sposób rozumowania był w tym okresie bardzo bliski poglądom Kuronia. Jak i on, byłem zdania, że strategia Związku winna być nakierowana na szeroką reformę, która będzie respektować interes Związku Sowieckiego i władzę partii komunistycznej. Zastanawiając się nad granicami sowieckiej tolerancji i analizując okoliczności poprzednich interwencji (Węgry, Czechosłowacja), wypowiadałem opinię, iż Kreml interweniuje zbrojnie wtedy, kiedy tempo i zakres zmian dyktuje zrewoltowana ulica oraz kiedy rządząca partia komunistyczna wymyka się spod ich kontroli. Dlatego przeciwny byłem ulicznym manifestacjom, eksponowaniu haseł antysowieckich, strajkom branżowym z żądaniami podwyżki płac czy regionalnym z żądaniami rozliczenia miejscowych prominentów. Uważałem, że działania takie osłabiają Związek, wzmacniają napięcia i odsuwają na dalszy plan sprawę strukturalnych reform. Byłem też nader sceptyczny wobec postulatów demokracji PZPR, co zresztą stało się przedmiotem — dość paradok-

salnie — publicznych dyskusji toczonych z działaczami tzw. struktur poziomych.

Tej dość umiarkowanej — jak miemam — linii towarzyszyły wszakże dwa istotne zastrzeżenia. Pierwsze z nich dotyczyło sfery języka publicznych wypowiedzi. Formułowałem pogląd, że „Solidarność” powinna stanowczo odrzucić nowo-mowę aparatu władzy i nazywać rzeczy po imieniu. Nie należało przeto godzić się na używanie ideologicznych formuł, które stwarzały ludziom aparatu możliwość fałszerskiej interpretacji. Do takich formuł zaliczałem zwrot o „kierowniczej roli partii”. Nigdy w swej historii komuniści nie sprecyzowali tego punktu swej doktryny i nie określili jego empirycznego sensu. Dlatego — powiadałem — „Solidarność” winna zadeklarować, iż aprobuje fakt władzy partii komunistycznej, zaś formy i granice tej władzy muszą stać się przedmiotem publicznej debaty o reformie systemu. Drugie zaś zastrzeżenie brzmiało: w obronie swego bezpieczeństwa i swej niezależności Związek musi być gotów do sięgnięcia po środki ostateczne. Należy uświadomić aparatowi rozmiar ceny, którą przyjdzie mu zapłacić za próbę likwidacji Związku.

Wychodząc z tych założeń, oceniałem kryzys bydgoski dokładnie tak samo, jak Karol Modzelewski. Uważałem, że kompromis warszawski jest w swej istocie porażką kompromisowej linii kierownictwa związkowego, które, niewiele uzyskawszy, ugięło się przed szantażem interwencji i przyjęło warunki aparatu. Konsekwencją tego musi być — sądziłem wówczas — wzrost nastrojów radykalnych w „Solidarności”, a zarazem utwierdzenie ludzi aparatu w przekonaniu, że kularowymi rozmowami z Wałęsą i ekspertami są w stanie wszystko załatwić. Nieprzypadkowo jednym z następstw tego kompromisu były żądania personalnych zmian w Związku formułowane pod adresem Wałęsy przez ludzi aparatu.

Ogromną wadą porozumienia warszawskiego było — tak uważałem — pozostawienie otwartymi wszystkich spraw „konfliktogennych” (np. rejestracja „Solidarności” RI, sprawa więźniów politycznych, etc.). Tak myślałem wówczas. A dzisiaj? — Dziś te argumenty są znacznie mniej przekonywujące. Poważna część postulatów została wnet zrealizowana, co czyni tę warstwę krytyki bezprzedmiotową. Również obawy o złowrogi rozwój form kularowych kontaktów z rządem okazały się nieuzasadnione, a podejrzenia towarzyszące działaniom ekspertów — krzywdzące. Jeśli zaś przyjąć, że konflikt grudniowy był nieuchronny, to te dodatkowe osiem miesięcy wolności było bezcennym darem. Odegrały one w historii „Solidarności” rolę przełomową. W tym

czasie przecież odbyły się wybory do regionalnych i krajowych władz Związku, pierwsze wolne i demokratyczne wybory w historii Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. W tym czasie odbył się zjazd „Solidarności” na którym sformułowano program „Samorządnej Rzeczypospolitej”. W tym czasie odbył się — co także warto przypomnieć — nadzwyczajny zjazd PZPR, gdzie wypowiedziano wiele słów i myśli mogących mieć znaczenie w przyszłości. W tym czasie — wreszcie — rozluźniła się pętla cenzora, sformułowano podstawowe potrzeby i postulaty, punkty widzenia i zagrożenia, zaś „Solidarność” okrzepła i zdobyła historyczną samowiedzę. Jest tedy niewykluczone, że obecny opór „Solidarności” zepchniętej do podziemia jest również niezamierzonym efektem ówczesnego kompromisu.

Nadal sądzę wszakże, że racje spierających się stron były podzielone. Zwłaszcza, gdy konflikt dotyczył funkcjonowania wewnątrzwiązkowej demokracji. Spór o ocenę taktyki „Solidarności” w okresie kryzysu bydgoskiego jawi mi się dziś jako historycznie ciekawy, choć politycznie zupełnie jałowy. Bardziej interesujący — przy sporządzaniu rachunku naszych pomyłek i słabości — byłby dla mnie opis mechanizmu penetracji Związku przez agentów Służby Bezpieczeństwa, obraz konstytuowania się w obrębie „Solidarności” ruchu o formule nacjonalistyczno-populistycznej i proces przenikania doń haseł bliskich demagogii ZP „Grunwald”. Godną uwagi byłaby też analiza wzmagającej się podatności mas związkowców na kult wodza i towarzyszący jej wzrost postaw antypluralistycznych. Proces eliminacji z władz „Solidarności” takich osób jak Anna Walentynowicz, Andrzej Gwiazda czy Bogdan Borusewicz — by poprzestać na nazwiskach znanych całej Polsce — oraz zastosowane przy tym metody winny być poddane szczególnie bacznej analizie. Tkwić w niej może wielka nauka także na przyszłość. Całkowicie zgadzam się w tej materii z opiniami Bogdana Borusewicza pomieszczonymi w „Konspirze”, tak jak byłem w pełni solidarny z Konradem Bielińskim gdy — w listopadzie 1981 roku — składał w obliczu brudnych ataków rezygnację z kierowania pismem związkowym.

Powyzsze stwierdzenia nie oznaczają wszakże, iżbym skłonny był bronić wszystkich swoich ówczesnych opinii. Będąc blisko związany z „gwiazdozbiorem” — tą nazwą określano krąg Andrzeja Gwiazdy — należałem do zdecydowanych krytyków Lecha Wałęsy. Byłem zdania, że Wałęsa świadomie dąży do ustanowienia osobistej dyktatury, do zbudowania „sułańskiego” modelu władzy w Związku, co wiedzie do „dworskiego” podejmowania podstawowych decyzji. Uważałem ten proces za stopniowe uśmierca-

nie związkowej demokracji i starałem się temu zdecydowanie przeciwstawić. Jednocześnie obawiałem się, że Wałęsa skłonny jest szukać porozumienia z rządem kosztem „oczyszczenia” Związku ze swych antagonistów. Uważałbym to za zdradę „Solidarności”. Zdawałem sobie sprawę ze znaczenia Lecha. Eksponując swoją osobę, Wałęsa zaspokajał powszechną potrzebę istnienia charyzmatycznego przywódcy, który wszystko wie, wszystko rozumie i prowadzi związek do zwycięstwa. Konsekwencją była rezygnacja dużej części działaczy z samodzielnego rozumowania i politycznej odpowiedzialności. W tym stanie rzeczy kapitulacja charyzmatycznego przywódcy byłaby tożsama z kapitulacją Związku. Nawet w momentach krytyki linii umiarkowanej, Wałęsa był akceptowany przez masę. O ugodowość oskarżano Geremka i Kuronia, Mazowieckiego i korowców — Wałęsa był poza masową krytyką. Potrafił wymodelować się na przywódcę akceptowanego przez miliony. Czasem zachowywał się jak wielki przywódca narodu (powtórzenie przysięgi Kościuszki w Krakowie), czasem wcielał się w rolę zwykłego robotnika, równego między równymi, odrzucającego dostojeństwo na rzecz bezpośredniości i humoru. Miał wspaniały, prosty i jędrny język i znakomitą intuicję. Wyczuwał bezbłędnie nastrój otaczającego go tłumu i potrafił mówić to, czego od niego oczekiwano. Polacy wyczuwali, że ich przywódca był „jednym z nich” ale zarazem był ucieleśnieniem wymarzonego sukcesu. Była w nim wielkość.

Bałem się Wałęsy. Bałem się jego umiejętności zonglowania słowem i zręczności w eliminowaniu oponentów. Bałem się jego kompromisów i jego urzeczenia rozmowami z rządem. Bałem się jego podatności na spiskowo-mafijną interpretację świata i jego otoczenia, w którym widziałem wielu ludzi marnych i przypadkowych. Bałem się jego lęku przed wybitnymi osobowościami i jego ciągłego powtarzania: „Solidarność — to ja!”.

Wypada mi przeto otwarcie przyznać, że pomyliłem się w globalnej ocenie Lecha Wałęsy. Przewodniczący NSZZ „Solidarność” okazał się godny swojej roli. Pomijając poszczególne potknięcia — Lech Wałęsa swą postawą i konsekwencją ocalił ciągłość „Solidarności”. Wracając do pracy w stoczni, spotykając się z TKK, komentując zdarzenia życia publicznego — stał się widomym symbolem polskiego oporu, latarnią morską, która z Gdańska daje całej Polsce kolejne sygnały wiary i nadziei. Łącząc opór z umiarem uzyskał Lech nagrodę Nobla i status powszechnie uznanego autorytetu, czego dowiodła reakcja ludzi po jego przemówieniu nad trumną ks. Jerzego Popiełuszki.

Jest dziś Wałęsa bez wątpienia symbolem „Solidarności”, choć

nie ma żadnej faktycznej władzy, nie dysponuje aparatem wykonawczym, nie rozdaje posad w Zarządzie Regionu. Dziś Lech nikomu nie jest w stanie uniemożliwić działań, które uważane są za słuszne. Dlatego dziś frontalne ataki na Wałęsę mają zupełnie inny sens niż przed 13 grudnia. Dziś nie jest to element walki o demokrację w Związku, lecz — niezależnie od intencji — pozabawiania „Solidarności” jej symbolu i autorytetu. Byłoby przeto dzisiaj pożałowania godne, aby miast szukać porozumienia i pół zgody, kontynuować przedgrudniowe polemiki, z ich bagażem pełnym urazów i gorczy...

Wałęsa — myślę — był i jest wyrazem niekonfrontacyjnego charakteru Związku z jednej strony, z drugiej zaś — podkreśleniem jego żywiołowości, spontaniczności, autentyzmu. Można też rzec: antydoktrynerskości; ale także — bezprogramowości. Warto wiedzieć towarzyszące temu zagrożenie. Bowiem brak jasno wyartykułowanych programów sprzyjał — i jeszcze nieraz będzie sprzyjał — radykalizacji postaw. Na jesieni 1981 roku popularność Wałęsy zaczęła gwałtownie spadać, czego dowiodły wyniki wyborów na przewodniczącego Związku. Przegrywała umiarkowana linia ekspertów, czego dowodziła porażka Bronisława Geremka i Ryszarda Bugaja w wyborach do władz związkowych. Popularność rozwiązań proponowanych przez korowców gwałtownie malała — uchodziły za zbyt umiarkowane. Wiatr w żagle brały inne idee i inni ludzie. Dochodził do głosu typ działaczy, których na swój własny użytek nazwałem formacją „nowych radykałów”. Kim byli „nowi radykałowie”? By to objaśnić, wypadnie powrócić do opisywanych już konfliktów.

Spór ekspertów z korowcami miał swoje zakorzenienie historyczne: wywodził się z przedsierpniowych różnicowań. Podobne korzenie miał spór Wałęsy z „gwiazdobiorem”, który składał się w znacznej mierze z działaczy przedsierpniowych Wolnych Związków Zawodowych. Był to konflikt dwóch ethosów, sposobów rozumowania i pojmowania roli „Solidarności” w polskim życiu publicznym. W konflikcie tym — jak już pisałem — zajmowałem stanowisko popierające zdecydowanie Andrzeja Gwiazdę. Z jego krytycznymi uwagami pod adresem Wałęsy byłem całkowicie solidarny. Ich polemika była nieraz opisywana jako konflikt pragmatycznego Wałęsy z radykalnym Gwiazdą. Myślę, że ocena taka jest tylko częściowo słuszna.

Andrzej Gwiazda istotnie był daleko bardziej radykalny od Wałęsy; ale były to różnicowania w ramach pola zakreślonego przez porozumienia sierpniowe. Również i Gwiazda opowiadał się za kompromisem, jednak drogę Wałęsy uważał za nieskutecz-

ną i wiodącą ku porażce. Istotą konfliktu była jednak sprawa demokracji wewnątrzwiązkowej. Gwiazda był jej twardym obrońcą, ostro krytykującym metody i maniery Wałęsy, bliższe obyczajowości feudalnego monarchy czy współczesnego guru niż sposobowi bycia demokratycznie wybranego przywódcy demokratycznego związku. Krytykował również antykorowskie wypowiedzi Lecha widząc w nich szkodliwe ustępstwo w obliczu demagogii oficjalnej propagandy i wyrzekanie się historycznej tożsamości Związku. Tak też traktował eliminowanie z władz Związku działaczy WZZ. Ze swą prostolinijną uczciwością i zwykłą ludzką lojalnością był dla mnie Gwiazda najlepszym wcieleniem korowskiego ethosu. Ale czas tego ethosu już przemijał.

Bowiem inni byli ci „nowi radykałowie”. Ich tożsamość brała swój początek z sierpniowych strajków. Dalej wstecz woleli swą pamięcią nie sięgać. Ludzi o wcześniejszej genealogii przeto — czy byli to korowcy czy eksperci — traktowali po prostu jako niewygodnych konkurentów. Ich świadomość polityczna została uformowana przez serię spektakularnych zwycięstw nad aparatem władzy; nic więc dziwnego, że porozumienie warszawskie uznali za klęskę. Żądali rozwiązań stanowczych, działań radykalnych. Tu pozornie spotykali się z Gwiazdą. Więcej ich jednak od niego dzieliło niż łączyło. Bowiem odpowiadał im bardzo wzór działacza związkowego uformowany przez Wałęsę. Świetnie czuli się w tym języku swojskim i ogólnikowym, gdzie każdy problem można było przeciąć zręcznym żartem. Imponowała im umiejętność budowania własnej popularności, fascynowała ich legenda. Zazdrościli Lechowi, a każdy z nich chciał być kopią Wałęsy w swoim regionie. Lech Wałęsa, choć tak umiarkowany, był im duchowo znacznie bliższy od Andrzeja Gwiazdy.

Ich radykalizm nie był wyrazem stanowisk przemysłanych, uwzględniających realia i limity polskiej sytuacji. Od realiów był Wałęsa i był Kuroń — oni byli od podgrzewania atmosfery. Dlatego z ich punktu widzenia nie było właściwie żadnej różnicy między ekspertami a korowcami, pomiędzy Mazowieckim a Kurońem, Gwiazdą a Geremkiem. Wałęsa był ich zdaniem nazbyt miękki głównie z winy ekspertów, których wpływom ponoć bezwzględnie się poddawał. Oni zaś widzieli już władzę leżącą na ulicy. Czuli się jednak zbyt słabi, by się po nią schylić. Miał to za nich zrobić Wałęsa. Brak doświadczenia podsuwał im wizje coraz bardziej niezwykle, z którymi trudno było jednak polemizować w kategoriach wiedzy i zdrowego rozsądku, bowiem właśnie wiedzę uważali za skompromitowany zbiór frazesów epoki minionej, zaś w zdrowym rozsądku widzieli objawy inteligenckiego strachu.

Cechą opisywanych tu postaw była niestabilność: buńczucznym deklaracjom, zrodzonym z braku doświadczenia i upojenia sukcesem, towarzyszył strach i niepewność. Nieprzejednanie „nowych radykałów” miało charakter sytuacyjny; takież charakter miały ich programowe wypowiedzi. Ukształtowani umyślowo przez polską codzienność lat siedemdziesiątych, formułowali swoje opinie w języku będącym dziwną mieszanką słów i pojęć pochodzących z oficjalnych przemówień i kościelnych kazań, z audycji „jedynki” i audycji „Wolnej Europy”. Dlatego też najpewniej czuli się wśród patriotycznych zakłęb, twardych żądań rozliczeniowych i płacowych, wśród postulatów egalitarnych i deklaracji antysowieckich. Słowem: „nowi radykałowie” chętnie i z przekonaniem mówili to, co korespondowało z utajonymi emocjami i uzyskiwało poklask tłumów. Byli efektem młodości ruchu i świadectwem jego słabości.

Nie demonizuję ich znaczenia. Nie stanowili jednolitej formacji, ani zorganizowanej frakcji. Nie oni wyznaczyli politykę „Solidarności”. Jednak mieli wpływ na nastroje. Wolni od historycznej wiedzy i politycznej kultury, chętnie dawali ucha spis-kowo-mafijnym interpretacjom świata. Tą drogą wchodziła do Związku polityczna głupota. Wraz z pustoszejącymi półkami i porażkami polityki kompromisu, wraz z nasilającymi się prowokacjami ze strony aparatu władzy i postępującą determinacją robotniczych załóg — „nowi radykałowie” rośli w siłę. To oni z entuzjazmem komentowali wypowiedzi jednego z przywódców Związku na temat Żydów ukrytych w rządzie pod zmienionymi nazwiskami i to oni z zachwytem oklaskiwali antysowiecką deklarację jednego z kandydatów na przewodniczącego Związku w hali „Olivii”. Wyniki tych wyborów także skażone były znakiem czasu: to nie Gwiazda, choć radykał, uzyskał drugą ilość głosów po Wałęsie...

„Nowi radykałowie” — myślę — byli typowym produktem gwałtownej aktywizacji wielkich, dotąd zdepolityzowanych, mas ludzkich. Ich inicjacją w wielką historię były zdarzenia, w których cudze doświadczenia wydawały się nieprzydatne, a to co zwykle niemożliwe okazywało się możliwym. Możliwe więc stawały się w tym rozumowaniu nie tylko usunięcie PZPR z zakładów pracy, ale i demokratyczne wybory do Sejmu, wraz z towarzyszącymi im konsekwencjami.

Nie podzielałem nastrojów i opinii „nowych radykałów”. Wciąż uważałem, że trzeba poszukiwać rozwiązań kompromisowych. Bliskie były mi idee dwuizbowego parlamentu, choć do-

strzegąłem, że szansa na porozumienie oparte na instytucjonalnej reformie z biegiem dni malała.

Jacek Kuroń był bardziej konsekwentny. Od lata 1981 roku lansował ideę „wielkiego porozumienia” zbudowanego na koalicyjnym rządzie popieranym przez władzę, Kościół i „Solidarność”. Byłem tym pomysłem zdecydowanie przeciwny, co wielokrotnie publicznie deklarowałem. Sądziłem, że powtórzyć się może sytuacja sprzed 35 lat z wejściem do rządu PSL i Mikołajczyka. Taki wspólny rząd — mniemałem — pozwoliłby komunistom podzielić się nie władzą, lecz odpowiedzialnością za jej antyrobotnicze poczynania (podwyżki, działania represyjne etc.) i w ten sposób doprowadzić do rozłamu w „Solidarności”, a z czasem do zniszczenia Związku techniką „salami” (po cienkim plasterku).

Kuroń odwracał to rozumowanie. Posługiwał się przykładem RFN, gdzie wielka koalicja „czerwono-czarna” utworzyła SPD drogę do władzy. Twierdził też, że ów koalicyjny rząd, złożony z fachowców, będzie zmuszony w określonym czasie (kilka bądź kilkanaście miesięcy) roz�isać wybory do Sejmu.

Uważałem te plany za całkowicie nierealistyczne. Nie sądziłem, by aparat zrezygnował z obrony swej władzy. Wierzyłem też zapewnieniom sowieckich przywódców, że nie opuszczą polskich towarzyszy w potrzebie. Wszelako nie umiałem koncepcjom Jacka Kuronia przeciwstawić żadnych własnych, bardziej realistycznych pomysłów. Nie tylko zresztą ja — nad wszystkimi stanowiskami z ostatnich tygodni 1981 roku unosiły się nadzieje, które dziś mogą tylko zadziwić.

W listopadzie 1981 roku prof. Janusz Reykowski, jeden z bardziej wnikliwych krytyków „Solidarności”, tak oto rekonstruował funkcjonujący w Związku scenariusz nadchodzących zdarzeń:

„Oto dochodzi do masowego wystąpienia społeczeństwa. Siły przeciwnika [rządowe] idą w rozsypkę. Spośród działaczy i ekspertów szybko formuje się nowy rząd, cieszący się powszechnym poparciem społeczeństwa. Nowy rząd osiąga porozumienie z sąsiadami, którzy zdają sobie sprawę, że przemocą niczego z Polakami wygrać się nie da i we własnym dobrze rozumianym politycznym i gospodarczym interesie uzgadniają zadawalający wszystkich *modus vivendi*. Tymczasem Zachód ucieszony zwycięstwem prawdziwej demokracji w Polsce, godzi się sprolongować długi (bo teraz wierzy, że będą mu spłacone), ale także spieszy z wielkodruszną pomocą, aby wesprzeć Polaków, którzy realizują ideał wolności. Cały zaś naród mając pełne zaufanie do nowego rządu, pełen uniesienia z okazji osiągniętego zwycięstwa, gotów jest

ponieść niezbędne ofiary, a zarazem stanąć do wytężonej i efektywnej pracy. Kryzys zostaje więc pokonany w przeciągu krótkiego czasu, a Polska rusza na drogę szybkiego rozwoju stając się przykładem dla innych narodów z bliższej i dalszej okolicy”.

Każdy z nas gotów jest podać dziesiątki przykładów dowodzących, że powyższa brednia jest wymysłem Reykowskiego. Dość sięgnąć do wypowiedzi z Komisji Krajowej czy przekartkować prasę związkową. Istotnie — nikt z przywódców „Solidarności” w takie bajki nie wierzył. Jednak strzępy tych wiar i przekonań mógłbym bez trudu odnaleźć wśród głosów „nowych radykałów”. Bezwyjściowość rodziła myślenie życzeniowe. Myślenie życzeniowe produkowało głupstwa. Jeśli bowiem nikt z nas nie widział wyjścia, to jakież wyjście proponował Reykowski? Proponował skupienie wszystkich wokół hasła: „ratujmy Polskę”. Wokół tego hasła skupiano się już za Gomułki i za Gierka z wiadomymi skutkami. Każdy rząd skupiał ludzi pod takim hasłem, by natychmiast przeobrażać ich z obywateli w poddanych. Proponował też Reykowski przerwanie „wojny psychologicznej” obliczonej na zdyskredytowanie przeciwnika. Proponował wreszcie „aby znalezione zostały takie instytucjonalne rozwiązania, które wykluczają wyprowadzenie w pole partnera”. A cóż innego proponowała „Solidarność”? Aparatu władzy — z różnych powodów — nie interesował jednak ten kierunek rozwiązań. Związkowi przedstawiono ultimatum.

„Solidarność” stanęła wobec alternatywy: wpisać się w struktury oficjalne (np. PRON) na zasadach aprobaty dla totalitarnego ładu lub też zaryzykować konflikt. Uważam, że w tej sytuacji Komisja Krajowa postąpiła słusznie decydując się na konflikt. Dzięki temu dziś, po 40-tu miesiącach, istnieje „Solidarność”, a nie jej karykatura kierowana przez policyjną agencję.

Spoglądając na tamte dylematy można i należy ponownie sformułować pytanie o zasadność rachuby na kompromis z komunistycznym aparatem władzy. Wielu krytyków czyni nam z tej rachuby zarzut, przypisując nam naiwną wiarę w okrągłe deklaracje naszych sekretarzy i generałów. Nie przyjmuję tego zarzutu. Wcale nie wierzyliśmy w ich prawdomówność. Wierzyliśmy jednak, że do pewnych kompromisów można ich zmusić. I wcale nie była to postawa — a spotkali się w jej obrębie Wałęsa i Gwiazda, Kuroń i Modzelewski — nieracjonalna. Jej efektem było 16 miesięcy wolności w „Solidarności” — największa zdobycz polskiego społeczeństwa na przestrzeni ostatniego 40-lecia.

Adam MICHNIK

Z A O L Z I E

Zaolzie — to ta część Śląska Cieszyńskiego, która ukształtowała się w wyniku podziału ziemi cieszyńskiej pomiędzy Polskę i Czechosłowację po pierwszej wojnie światowej. Podziału dokonano po długich przetargach i konfliktach 28 lipca 1920 roku na konferencji ambasadorów zwycięskich mocarstw w belgijskim kurorcie Spa.

Część Śląska Cieszyńskiego przyznana Polsce liczyła 1.002 km i była zamieszкана przez 139.000 mieszkańców, w tym 61,1 % Polaków, 1,4 % Czechów i 31,1 % Niemców. Natomiast Czechosłowacja dostała 1.280 km z 295.000 mieszkańców, z których 48,6 % było Polakami, 39,9 % Czechami i 11,3 % Niemcami (według spisu ludności z roku 1910).

Ludność polska żyła w przeważającym obszarze Śląska Cieszyńskiego, zaś ludność czeska na stosunkowo wąskim pasie przy granicy zachodniej.

Do tego fatalnego podziału doszło w wyniku zaborczej polityki rządu praskiego. Okres międzywojenny rozpoczął się od walki o przynależność państwową Śląska Cieszyńskiego. Początkowo 5 listopada 1918 roku Rada Narodowa Księstwa Cieszyńskiego porozumiała się z podobnym organem czeskim o tymczasowym podziale Śląska Cieszyńskiego przeprowadzając granicę między Polską i Czechosłowacją mniej więcej zgodnie z granicą etniczną. Rządy w Warszawie i w Pradze porozumienie to zaakceptowały. Wkrótce jednak rząd czeski oświadczył, że nie uznaje tej granicy i 23 stycznia 1919 roku wojska czeskie wkroczyły do polskiej części Śląska Cieszyńskiego usiłując zająć go siłą. Po krótkotrwałych działaniach zbrojnych doszło do zawieszenia broni, a dokładniej do ucieczki wojsk czeskich i ustanowienia tzw. linii demarkacyjnej, nowej granicy nieco bliższej Olzy, ale wciąż jeszcze korzystniejszej dla Polski niż obecna, a ostatecznie o przynależności tej ziemi miał zdecydować plebiscyt. Do plebiscytu jednak nie doszło. O podziale zdecydowano w Belgii.

Strony zainteresowane przedstawiły następujące argumenty: Czesi — racje dynastyczne (kilkusetletnia przynależność Śląska do korony czeskiej);

— komunikacyjne (bez kolei koszycko-bogumińskiej ziemie czeskie nie miały połączenia ze Słowacją);

— gospodarcze (bez karwińskiego zagłębia węglowego mieli by kłopoty z rozwojem państwa).

Polacy — jeden oczywisty argument: Śląsk Cieszyński zamieszkuje Polacy.

W ciągu niespełna 2 lat czterokrotnie zmieniały się granice Śląska Cieszyńskiego. Do końca października 1918 roku były tu Austria, potem Polska do stycznia 1919 roku, następnie wojna, zmiana frontu..., potem do lipca linia demarkacyjna na zachód od Olzy i wreszcie granica na Olzie, Czantorii i Stożku.

Kończąc tę część tekstu przypomnę jeszcze, że trzykrotnie zmieniała się przynależność państwowa zachodniej części Śląska Cieszyńskiego, czyli Zaolzia. W październiku 1938 roku zajęła je Polska, we wrześniu 1939 hitlerowcy, a w maju 1945 roku powrócili tu władze czeskie. Wydarzenia te wywarły istotny wpływ na życie i psychikę ludności zaolziańskiej polskiego pochodzenia.

Pierwsze wrogie działania wobec Polaków przeprowadziły władze czeskie tuż po wojnie przy okazji tzw. rehabilitacji, weryfikacji *volkslist*. Część ludności polskiej uznano za Niemców i deportowano do Niemiec. Części proponowano zdeklarowanie się jako Czesi w zamian za pozostanie na ziemiach rodzinnych.

Ostawionym polakożercą był František Uhlir, który domagał się wywiezienia Polaków do Polski. Ludzie wracający z więzień, obozów, z wojska polskiego znów nie byli pewni jutra. Wielu Polaków — uczestników ruchu oporu — zostało uwięzionych pod zarzutem chęci kontynuowania walki o przynależność Zaolzia do Polski.

Władze czeskie utrudniały wznowienie działalności polskich szkół. W prawie nietkniętych niszczącą siłą działań wojennych miastach Bogumin, Karwina, Trzynie, Czeski Cieszyn, Frydek i innych, nie znajdowano lokali, które można by przeznaczyć na polską szkołę. Tłumacząc się tymi samymi względami odmawiano przyznania pomieszczeń dla polskich instytucji kulturalnych, społecznych, gospodarczych i sportowych. Utrudniano organizowanie imprez sportowych i kulturalnych, przeprowadzając w bezpośrednim sąsiedztwie konkurencyjne i bardzo hałaśliwe patriotyczne spotkania Czechów. Polakom — właścicielom warsztatów rzemieślniczych wybijano szyby w oknach, grożono, nie sprzedawano potrzebnych materiałów. W urzędach sprawy Polaków załatwiano na końcu, po wielokrotnych interwencjach. W miejscach użyteczności publicznej pod okiem stróżów porządku oficjalnie lżono ludność polskiego pochodzenia. Szykanowano Polaków, ufając, że załamani psychicznie opuszczą terytorium tak ważne dla Czechów.

W marcu 1947 roku Polska i Czechosłowacja podpisały umowę o przyjaźni. W czerwcu tego samego roku zezwolono na powołanie do życia niektórych organizacji polonijnych. Między innymi Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego. W roku 1948 komuniści doszli do władzy w całej Czechosłowacji. Z kwestią dotychczasowych problemów na Zaolziu rozprawiono się oficjalnie dosyć szybko. Wszelkie nieprawidłowości, chamstwo, chuliżństwo, napaści i prowokacje wobec Polaków przypisano narodowym socjalistom, czyli zwalono winę na umarłego. Komuniści zmienili

taktykę wobec Polaków na Zaolziu. Zdali sobie sprawę z tego, że dotychczasowe metody nie przyniosą żadnego efektu, a poza tym nie wypadało tak zachowywać się wobec nowych „przyjaciół”. W tamtych powojennych latach nawet Czesi nie byli pewni czy długo pozostaną na Zaolziu. Tymczasem reszta kraju oczekiwała na wyniki przemysłu znajdującego się na zagarniętych ziemiach. Wielkie huty w Trzyńcu i Boguminie, liczne kopalnie od Karwiny po Ostrawę potrzebowały rąk do pracy. Rozpoczął się gwałtowny proces czechizacji. Ludność z biednej Słowacji i słabo rozwiniętych Czech przywożono „pociągami nadziei” (*nota bene* polskimi, które pozostały tam od 1938 roku i nie wróciły już nigdy do Polski). Agitatorzy komunistyczni jeżdżący po terenie całej Czechosłowacji obiecywali mieszkania, pieniądze i pracę. Dopiero na miejscu na Zaolziu okazywało się, że praca jest, ale ogromnie ciężka i niebezpieczna, pieniądze też są, ale niewiele, podobnie jak towarów, a mieszkania będą w przyszłości. Dla ludzi, którzy nie mieli już dokąd wrócić, był to szok. Ale o to chodziło właśnie czeskim władzom. Ludność polska pracowała w fabrykach, hutach, kopalniach a po południu na własnym polu. Zaolziacy uprawiali przecież własną, polską ziemię. Po pracy wracali do skromnych, ale zadbanej domków z ogródkami. Ludność polska mieszkająca tu z dziada pradziada żyła na dobrym poziomie ekonomicznym. Trudno było patrzeć na to ludziom, którzy czuli się właścicielami tej ziemi. Ludziom, których przywieziono po to, by zobaczyli jak „Polacy okradają ich ze szczęścia”. Dochodziło do nowych wybuchów niechęci wobec ludności polskiej.

Tak więc politykę wynaradawiania zastąpiono sztuczną asymilacją. Rozpoczął się długotrwały (istnieje do dziś) napływ ludności z innych rejonów kraju.

W myśl czechosłowackich ustaw wszyscy nauczyciele zobowiązani zostali do wstąpienia do Komunistycznej Partii Czechosłowacji. W ten prosty sposób nieznacznie, ale jednak uszczuplono liczbę polskich nauczycieli. W latach sześćdziesiątych absolwentom polskich szkół średnich „nie udawało się zdać egzaminów wstępnych na wyższe uczelnie”. Władze czeskie wprowadziły nowe przepisy decydujące o możliwości pracy szkoły — podwyższono konieczną liczbę uczniów. W ten sposób doprowadzono do zlikwidowania wielu polskich szkół w małych miejscowościach. Często też w konsekwencji rezygnowano z posyłania dzieci do odległych miejscowości i umieszczano je w szkole czeskiej.

Na przestrzeni lat proces asymilacji sztucznej zamienił się w asymilację naturalną. Sprzyjają temu długotrwałe pobyty w środowisku zdecydowanie czeskim. Wybrany przyszły zawód często decyduje o konieczności pójścia do czeskiej szkoły. Pobyt na studiach, w wojsku, w pracy poza terenem Zaolzia wpływa na przyjmowanie cech narodu panującego. Obecnie większość Polaków i Polek w Czechosłowacji wybiera partnera spośród Czechów lub Słowaków i w większości wypadków przyjmuje jego

narodowość. Ułatwia to życie wśród sprowadzonych na Zaolzie szowinistów czeskich.

Na Zaolziu mieszka około 60 tys. obywateli czechosłowackich narodowości polskiej.

Istnieją polskie przedszkola, szkoły podstawowe i średnie. W roku 1985 do matur przystąpiło ponad 200 uczniów szkół średnich prowadzących naukę w języku polskim. Około 120 osób w Gimnazjum Polskim w Czeskim Cieszynie i jego filii w Orłowej-Łazach, 36 maturzystów opuściło Technikum Maszynowe w Karwinie, 22 słuchaczki Średnią Szkołę Zdrowotną (liceum medyczne) i 39 uczniów Średnią Szkołę Ekonomiczną w Czeskim Cieszynie.

Żywioł polski okazał się zbyt mocny. Władzom czechosłowackim pozostało oczekiwanie na powolną, naturalną śmierć ludności polskiej starszego pokolenia i asymilację młodych.

Jak w tej sytuacji wygląda życie kulturalne Zaolzia? Zarząd Główny Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Czechosłowacji ma swą siedzibę w Czeskim Cieszynie na ul. Lenina 28. Liczy 9 obwodów skupiających 94 koła miejscowe PZKO. W większych miastach (Karwina, Czeski Cieszyn, Trzyniec, Bogumin) istnieje kilka kół (w dzielnicach). Koła PZKO działają w prawie wszystkich miejscowościach Zaolzia. Przy wszystkich kołach działają Kluby Młodych. Przy PZKO działa Sekcja Literacko-Artystyczna, która dzieli się na literacką, plastyczną i muzyczną. SLA organizuje wyjazdy plenerowe, wystawy, wieczorki literackie, prelekcje, spotkania z twórcami i koncerty. Skupia amatorów i profesjonalistów. Aktywna jest Sekcja Folklorystyczna wydająca co kilka lat (kilkudziesięciostronicowe) Biuletyny Ludoznawcze. Działa Sekcja Kultury Teatralnej (2 marca br. odbył się pod jej patronatem XXX Konkurs Recytacji). Przy wszystkich kołach działa Zespół Kobiet. Członkinie organizują kursy i prelekcje na temat sztuki kulinarnej, prac ręcznych, ogrodnictwa, ziołolecznictwa i literatury. Również przy ZG PZKO pracuje Teatr Lalek „Bajka”. Lekarze-Polacy skupieni są w Klubie Medyków. Działa Związek Nauczycieli Emerytów.

We wszystkich domach PZKO odbywają się setki spotkań świetlicowych, koncertów, rewii, akademii, przedstawień, spotkań oświatowych, wystaw oraz wiele występów licznych zespołów. Działają amatorskie grupy teatralne, literackie, recytatorskie, kabarety, grupy wokalne, zespoły taneczne.

Co roku odbywa się w Jabłonkowie wielki festyn ludowy „Gorolskie Święto”. W Karwinie 30 marca br. odbył się XVIII Festiwal Piosenki Polskiej — impreza coroczna, tak jak Przegląd Zespołów Tanecznych PZKO. W ostatnim (30 listopada 1984 roku) wystąpiło 12 zespołów: ZPiT Olza, ZPiT Górnik, ZR Sibica, ZR Gorole, ZT Niebory, ZT Orłowa-Lutynia, ZT Markłowice, ZT Sucha Średnia, ZT Skrzeczeń, ZT Bystrzyca. ZT Sucha Górna, ZT Błędowice (Zespół Pieśni i Tańca, Zespół Regionalny, Zespół Tańca). Działają zespoły śpiewacze: Hasło, Siła, Halka, Olzianka, Oziok, Hutnik, Harfa, Tęczna, Lira. Chóry: Chór Nauczycieli Polskich,

Godulan, Przełęcz, Dźwięk, chóry żeńskie we Frysztacie, Nawsiu, Jabłonkowie, chór męski Hejnał-Echo. Zespoły szkolne, dziecięce, zespół przedszkoli w Czeskim Cieszynie — Cieszynianka, w Trzyńcu 40-osobowy chór dziecięcy — Razem (klasy 5—8 SP) i 20-osobowy — Nutni (klasy 2-4 SP). Lista ta nie podaje wszystkich istniejących zespołów i chórów.

Co trzy lata odbywa się Festiwal PZKO (w br. 18-19 maja Trzyniec) — przegląd dorobku.

Członkowie kół sami remontują, a nawet budują domy-siedzi-by. Na przykład 2 maja br. w miejscowości Niebory otwarto nowy Dom PZKO (koło liczy 150 osób), który jest 28-ym z kolei, wybudowanym od podstaw domem związkowym na Zaozliu. Parcelę bezpłatnie przekazał jeden z członków, a dom wybudowano głównie siłami członków (ok. 23 tys. godzin pracy, ok. 20 tys. koron).

Jedną z wielu sekcji działających przy ZG PZKO jest Sekcja Akademicka „Jedność”. Powstała jeszcze w okresie międzywojennym. Jej głównym zadaniem było i jest utrzymywanie kontaktu z polskim językiem i kulturą studentów Zaozliaków studiujących poza terenem Śląska Cieszyńskiego. Kiedyś istniały ośrodki SAJ-u również w Polsce, ale w ostatnich latach zanikły śmiercią naturalną z braku nowych członków. Obecnie na terenie Czechosłowacji działa 6 ośrodków. Kolejność według liczby członków:

Ostrawa — około 300 studentów; ilość członków aktywnych nigdy nie zgadza się z tą liczbą i jest znacznie mniejsza; kłopoty lokalowe, wykorzystuje się pomieszczenia w akademikach lub wynajmuje lokale w różnych punktach miasta, według władz czeskich brak właściwego lokalu; w programie pracy m.in. Bażantówka Wigilijka (prawdziwa wieczerza wigilijna z karpem, łamanie się opłatkiem przy akompaniamencie kołęd).

Brno — studiuje około 140 pezetkaowców, aktywnych około 80; stabilna w ostatnich latach sytuacja lokalowa dzięki życzliwości kierownictwa pewnego lokalu gastronomicznego; najaktywniejszy ośrodek (spotkania, wycieczki, imprezy sportowe).

Ołuniec — jeszcze przed kilkoma laty aktywny ośrodek liczący 60-70 członków, obecnie prawie zupełnie zaprzestał działalności choć liczba członków zmniejszyła się nieznacznie.

Praga — najtrudniejsze warunki do pracy; studenci rozproszeni, często nie wiedzą o sobie wzajemnie, starają się nawiązać kontakt z POiik w Pradze, ale ich akcja nie znajduje zainteresowania u władz polskich.

Żylina — studenci jednej uczelni, 25 osób zna się, ale powoli rozwija swoją działalność, spotykają się ze studentami z Polski.

Zvoleń — SAJ powstał w tym roku akademickim i liczy 7 osób.

Reprezentacyjną imprezą centralną jest od kilkudziesięciu lat Bal Akademicki w hotelu Piast w Czeskim Cieszynie. Inne centralne imprezy — wycieczki, wakacyjne Piątki Sajowskie, corocz-

ne seminarium w Koszarzycach, turnieje sportowe. Ponadto studenci spotykają się z maturzystami, w Brnie działa teatrzyk „Czerwona Kura”, który występuje również w innych ośrodkach. Sporadycznie dochodzi do kontaktów z Zaolziakami odbywającymi służbę wojskową w pobliżu ośrodków akademickich. Bez większych rezultatów czynione są starania o wypożyczanie polskich filmów fabularnych z polskiego ośrodka w Pradze.

Członków PZKO można podzielić na trzy grupy:

— emeryci — żyją mitem Polski odrodzonej, cieszą się, że jest ona w ogóle na mapie świata. Nie mogą i nie chcą przyjechać do Polski — wolą żyć wspomnieniami z lat 70-tych, kiedy kilka razy w roku odwiedzali kraj. Nie rozumieli i nie akceptowali „Solidarności”. Nie chcą uwierzyć, że w Polsce może być tak, jak opisują nieliczni odwiedzający Czechosłowację Polacy. Oglądają polski program TV i w to wierzą;

— czynna grupa w wieku średnim — godzą się na kompromisy, aby utrzymać PZKO przy życiu, zrezygnowali z politykowania dla ratowania kultury, języka polskiego, zwyczajów, niechętnie podejmują rozmowę na tematy polityczne; obcując z materialną kulturą czeską nie widzą powodów, dla których mieliby atakować komunizm w Czechosłowacji, a tym bardziej wtrącać się do niezrozumiałych problemów polskich. Jeżeli grupę pierwszą cechuje poczucie dumy z przynależności narodowej do Polski, to ta grupa nie wykazuje tak emocjonalnego stosunku do pochodzenia. Nauczyli się żyć wśród Czechów;

— młodzież i dzieci — najmłodsze, zupełnie nieświadome, Polska jest dla nich krajem, w którym mają ciotki i wujków, którzy mówią podobnym językiem; nauka oparta jest na podręcznikach opracowanych przez aktualnych emerytów, a cenzurowanych surowo przez Czechów. W szkole średniej nauka prowadzona jest (w przypadku gimnazjum) według podręczników polskich, ale z innym programem. Wypracowuje się kościec polski, ale bez prawidłowego stosunku do któregośkolwiek okresu przełomowego dla Polski — za to zgodnie z czeską wersją faktów i ich interpretacją. Dopiero studenci zauważają istotę sprawy, ale przeważnie ich bunt jest buntem pokoleniowym, a nie narodowościowym. Choć zgodnie z prawdą trzeba stwierdzić, że usiłują wpłynąć na zmianę pewnych działań PZKO (polityczne prostytuowanie się, brak literatury współczesnej, tendencyjne pojmowanie spraw polskich).

Na Zaolziu ukazuje się 5 tytułów pism. Trzy dla dzieci: *Nasza gazetka*, *Jutrzenka*, *Ogniwo*. Miesięcznik społeczno-kulturalny *Zwrot*. We wtorki, czwartki i soboty ukazuje się *Głos Ludu* — pismo północno-morawskiego KO KPCz. W ostrawskim wydawnictwie Profil ukazują się od czasu do czasu książki autorów polskich. Co roku wydawany jest Kalendarz Śląski. W Czeskim Cieszynie jest polska księgarnia. Pierwszą pozycję Miłosza usunięto natychmiast po rozpakowaniu, następną sprzedawano przez kil-

kanaście dni, głównie turystom z Polski. Kolejnych w ogóle nie sprowadzono. Radio Ostrawa odstąpiło trochę „czasu antenowego” na polskie audycje. W Czeskim Cieszyńsku działa polski teatr zawodowy, jedyna poza granicami kraju Scena Polska przy Teatrze Czeskocieszyńskim. W maju br. wystawiono dramat Johna Patricka pt. „Niecierpliwe serce”.

Przy tak bogatej ilościowo i tematycznie działalności dziwny może się wydawać wstęp. Pozornie bowiem odnosi się on tylko do przeszłości. Czas teraźniejszy może być mylnie interpretowany, jako czas wielkiej przyjaźni polsko-czechosłowackiej. Tak jednak nie jest. Władze czeskie nie mogą po prostu przerwać nagle działalności PZKO i innych organizacji polonijnych. Po roku 1968 wydalono z PZKO, na żądanie władz czeskich, wielu działaczy, którzy krytycznie ustosunkowali się do najazdu wojsk sprzymierzonych. Wielu z tych ludzi do dziś nie może podjąć pracy wcześniej wykonywanej, nie może drukować swych tekstów, a nawet wystawiać prac malarskich. Pod naciskiem władz czeskich program działania PZKO musi być ściśle związany z kalendarium życia politycznego Czechosłowacji. Odbywają się więc akademie prorosyjskie, konkursy recytatorskie, których tematem w większości jest jakaś rocznica, ZSSR, wojna, wojsko, partia itd.

Tak więc ceną za utrzymanie folklorystycznego skansenu jest dla PZKO przyjmowanie wszystkich doktrynalnych wskazówek komunistycznych łaskawców czeskich. Bardziej śmiała twórczość literacka czy teatralna nie ma szans na druk czy wystawienie. W prasie polskiej na Zaolziu nie wolno pisać o tym, co można obejrzeć nawet w polskiej TV. Żadnych komentarzy do sprawy Popiełuszki, żadnych informacji o kłopotach w polskim handlu, budownictwie etc. Wszystkie informacje muszą być pozytywne. Znany nam styl oficjalnej (gierkowskiej) propagandy sukcesu jest aktualny w prasie czeskiej i narzucany prasie mniejszości narodowych.

W roku 1981 (3 grudnia, godz. 15-ta) zamknięto granicę z Czechosłowacją. Również dla tzw. małego ruchu granicznego, a więc dla tych, którzy legitymowali się przepustką stałą do rodziny. W ten sposób skutecznie odcięto Zaolzie od informacji z Polski. Już od lipca 1980 roku nie było wolno przynosić polskiej prasy przez granicę — nawet *Trybuny Robotniczej*. Po raz pierwszy otwarto granicę dla Polaków na jeden dzień (1 listopada 1982 roku). W kolejkach po odpowiedni dokument trzeba było czekać kilkanaście godzin i na granicy kilka godzin. Drugi raz otwarto granicę w grudniu 1982 roku na trzy dni. Tak samo w 1983 roku. W 1984 roku wprowadzono przepisy zezwalające na odwiedziny 4 razy w roku, co 3 miesiące, a dodatkowo otwarto granicę 1 listopada (który to dzień nie jest zresztą dniem świątecznym w Czechosłowacji). Żeby udać się do Czechosłowacji trzeba otrzymać zaproszenie od rodziny, wydane przez niechętne

władze czeskie (często bez podania powodu odmawia się wydania) i od tego roku paszport. Odwiedzającymi mogą być: rodzice, dzieci, wnuki, od pewnego czasu synowa i zięć. Właśnie w ten sposób podtrzymuje się przyjaźń między narodami.

Jednym z bardziej spektakularnych przejawów przyjaźni było rozebranie środkowego mostu granicznego, jednego z trzech w Cieszynie, po ubiegłorocznej wizycie przyjaźni Husaka w Polsce.

TYLE

DOKUMENTY

Jan CIECHANOWSKI

KLUCZOWA ROZMOWA*

(Stalin - Romer, 26/27 luty 1943)

W historii stosunków polsko-sowieckich w czasie ubiegłej wojny rok 1943 był rokiem przełomowym, który w zasadzie przesądził o ich dalszym rozwoju. Był to rok stojący pod znakiem Katynia, zerwania polsko-sowieckich stosunków dyplomatycznych, utworzenia Związku Patriotów Polskich oraz I Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, gen. Zygmunta Berlinga. Był też rokiem śmierci gen. Władysława Sikorskiego, jedynego chyba polityka, który miał jeszcze pewne szanse na dojście do ponownego porozumienia ze Stalinem. Tak przynajmniej sądzili Brytyjczycy — Churchill, Eden i cała plejada wyższych urzędników w Foreign Office.

Był to również rok wielkich zwycięstw Armii Czerwonej nad Niemcami pod Stalingradem i Kurskiem, które zapoczątkowały jej zwycięski pochód do serca Europy: Warszawy, Berlina i Wiednia.

Sprawozdanie z rozmowy między Tadeuszem Romerem, ambasadorem polskim w ZSSR, a Stalinem z udziałem Mołotowa, odbytej w Moskwie w nocy z dnia 26 na 27 lutego 1943 roku, rzuca świeży snop światła na stosunki polsko-sowieckie na dwa miesiące przed ich zerwaniem. Rozmowa ta dotyczyła sprawy współpracy

* Przygotował do druku J. Ciechanowski.

wojskowej pomiędzy AK i Armią Czerwoną, uznania przez Kreml za obywateli sowieckich prawie wszystkich obywateli polskich przebywających w ZSSR, o czym donosiła nota rządu sowieckiego z 16 stycznia 1943 roku, oraz Polaków z terenów przyłączonych do III Rzeszy i przymusowo wcielonych do armii niemieckiej walczącej na froncie wschodnim.

Co więcej, w rozmowie tej Stalin zapowiedział właściwie możliwość utworzenia armii gen. Berlinga.

Sprawozdanie z tej kluczowej rozmowy, którego oryginał znajduje się w Instytucie Historycznym im. Generała Sikorskiego — AXI/49/Sow/4 — podaję w całości, bez żadnych skrótów lub poprawek.

Należy tu podkreślić, że polska oferta bliższej współpracy pomiędzy AK a Armią Czerwoną złożona przez Romera Stalinowi miała doprowadzić w wyobraźni gen. Sikorskiego do zasadniczej poprawy stosunków polsko-sowieckich.

Oferta ta łączyła się z depeszą dowódcy AK, gen. Stefana Grot-Roweckiego do Naczelnego Wodza, gen. Władysława Sikorskiego, z 11 lutego 1943 roku, donoszącą, że ma „możliwość przerwania wszystkich linii kolejowych na kilka dni w kierunku wschodnim na terenie Polski od Łotwy do Karpat. Może to być wykonane na początku marca”. Ambasador Romer przypomniał również Stalinowi ofertę dowódcy AK wywołania masowych dezercji Polaków wcielonych do armii niemieckiej na stronę sowiecką, „jeżeli to będzie droga do armii narodowej a nie komunistycznej” [depesza Naczelnego Wodza do płk. K. Rudnickiego (*attaché* wojskowego w ZSSR) bez daty i numeru, Instytut Historyczny im. Gen. Sikorskiego, kolekcja Amb. Romera, kol. 5 film 4].

Stalin propozycję polską odrzucił.

Tadeusz Romer (1894-1978) był zawodowym, doświadczonym dyplomata, który w rządzie Stanisława Mikołajczyka — w latach 1943-1944 — pełnił funkcję ministra spraw zagranicznych i towarzyszył mu w jego podróżach do Moskwy w sierpniu i październiku 1944 roku. Romer zaczął swą służbę publiczną jako sekretarz osobisty Romana Dmowskiego, prezesa Komitetu Narodowego Polskiego w Paryżu, a potem tegoż Komitetu w latach 1917-1919. Po podpisaniu Traktatu Wersalskiego przeszedł do polskiej służby zagranicznej, w której zajmował szereg ważnych stanowisk. W 1937 roku został ambasadorem w Tokio. Tam zastała go wojna.

Po przystąpieniu Japonii do wojny Romer przybył do Londynu, skąd udał się do ZSSR, by objąć ambasadę w Kujbyszewie po prof. Stanisławie Kocie (1942-1943), który nie był zawodowym dyplomata.

Po zakończeniu wojny pozostał na emigracji. Początkowo mieszkał w Anglii, a od 1948 roku w Kanadzie, gdzie zmarł w 1978 roku.

Jan CIECHANOWSKI

Notował Al. MNISZEK

SPRAWOZDANIE Z PRZEBIEGU ROZMOWY MIĘDZY AMBASADOREM R.P. A STALINEM

Sprawozdanie z przebiegu rozmowy między Ambasadorem R.P. Tadeuszem Romerem a Premierem Stalinem z udziałem Ludowego Komisarza Spraw Zagranicznych Mołotowa oraz w obecności radcy A. Mniszka i tłumacza rosyjskiego, odbytej na Kremlu w nocy z dnia 26 na 27 luty 1943 roku od godz. 22.25 do godz. 1.40.

(—) *Tadeusz ROMER*

DO ZWROTU.

STALIN (po przywitaniu, wskazując ręką na stół konferencyjny):
— *Proszę, może Pan usiądzie, Panie Ambasadorze.*

ROMER: — Pragnę podziękować Panie Premierze za przyjęcie mnie i jednocześnie przyłączyć się osobiście do życzeń, złożonych Panu przez Rząd R.P. z okazji 25-lecia Czerwonej Armii i jej wielkich zwycięstw nad naszym wspólnym wrogiem.

S.: — *Dziękuję za życzenia, a w sprawie przyjęcia, to jest mój obowiązek.*

R.: — Nie będę trudził Pana Premiera powtórzeniem mojego sprawozdania z rozmów gen. Sikorskiego w Ameryce, o których już miałem sposobność mówić z p. Mołotowem, natomiast pragnę przedstawić inne zagadnienie o dużym znaczeniu, a mianowicie plan podjęcia przez nas już w najbliższej przyszłości pewnych działań zbrojnych w okupowanej Polsce, które mogłyby mieć wpływ na przebieg operacji wojennych na wschodnim froncie.

S.: — *Bardzo proszę.*

R.: — W czasie mojego pobytu w Londynie miałem okazję rozmawiania z emisariuszami przybyłymi z Kraju oraz czytywałem raporty od naszych tajnych władz wojskowych i cywilnych w Polsce. Sprawozdania te nadchodzą do Londynu prawie codziennie konspiracyjną drogą radiową. Działalność polskich organiza-

cyj podziemnych pod okupacją niemiecką obejmuje obecnie w dużym stopniu dziedzinę gospodarczą. A więc polega ona między innymi na sabotażu obiektów przemysłowych, pracujących na potrzeby wojenne Niemiec. Jak wiadomo, z powodu bombardowań wiele zakładów przemysłowych zostało przeniesionych z Rzeszy do zachodnich dzielnic Polski. Odnosi się to również do wielkich składów z zasobami wojskowymi. O ile wiem, Rząd sowiecki został w swoim czasie powiadomiony o zniszczeniu przez nas w Poznańskim ogromnych zapasów odzieży zimowej. (*Stalin potakuje*). Poza tym sabotowane są również dostawy żywności i wszelkich surowców z Polski do Niemiec, niszczone są lokalnie linie komunikacyjne, przeciwdziała się przymusowemu poborowi do wojska niemieckiego młodzieży z tzw. prowincji inkorporowanych, o czym będę jeszcze mówić później. W stosunku do władz okupacyjnych i do zaprzańców uprawiany jest skuteczny terror zbrojny. Otwarta akcja bojowa prowadzona jest w miarę możliwości i potrzeby na poszczególnych odcinkach, np. ostatnio w Lubelszczyźnie, o czym nadchodziły relacje do Londynu w czasie mego tam pobytu.

Natomiast Rząd polski jest jak dotychczas zdecydowanie przeciwny wszelkim pomysłom wzniecania w Kraju powstania powszechnego, uważając je na razie za przedwczesne, tak długo, jak długo nie miałyby szans podtrzymanie z zewnątrz w krótkim odstępie czasu. W przeciwnym razie nie tylko rozpętalibyśmy kosztem ludności cywilnej falę jeszcze straszliwszych represyj, ale wystawilibyśmy na zagładę nasze cenne, dobrze zorganizowane, tajne kadry wojskowe, które chwilowo dysponują niedostatecznym uzbrojeniem, a będą dla nas niezbędne w decydującym momencie.

S. (przerywa): — *Słusznie! Ogólne powstanie w Polsce byłoby obecnie niemożliwe.*

R.: — Jednakże odczuwano u nas potrzebę działań, które zaznaczyłyby lepiej chęć naszego choćby pośredniego udziału w walkach prowadzonych przez Armię Czerwoną na froncie wschodnim. W związku z tym z polecenia naszych władz wojskowych studiowano już od dłuższego czasu na miejscu w Kraju możliwości i plany akcji dywersyjnej na szerszą skalę i właśnie przed moim wyjazdem z Anglii, p. Premier Sikorski zaznajomił mnie, w celu przedstawienia tego Panu, z otrzymanym wówczas szczegółowym raportem, przewidującym równoczesne przerwanie na przeciąg co najmniej kilku dni wszystkich linii kolejowych, prowadzących z

Niemiec na front wschodni a dla nas dostępnych. Odpowiedni plan działania został szczegółowo opracowany i mógłby zostać wykonany w początku marca br. Obejmuje on 85 % wszystkich linii kolejowych obsługujących front niemiecki.

S. (przerzywa): — *Na Ukrainie partyzanci bardzo dobrze pracują, niszczą tory i mosty kolejowe.*

R.: — Wspomniany plan przedstawia oczywiście duże niebezpieczeństwa: dla jego wykonania trzeba będzie rozesać w teren podwójne a może i potrójne ekipy specjalistów, należyce zaopatrzone, ale w rezultacie wszystkie połączenia niemieckie z frontem wschodnim zostałyby na pewien czas i to równocześnie unieruchomione w Polsce.

S. (przerzywa): — *Jednoczesne działanie przeciwko liniom komunikacyjnym prowokuje represje ze strony Niemiec, gdyż upewni ich to, że była dobra organizacja, która przygotowała takie działanie.*

R.: — Akcja jest istotnie bardzo ryzykowna i wciągnąć może nas nawet do szerszych operacji wojskowych przeciwko Niemcom, które byłyby na razie, jak to sam Pan Premier stwierdził, przedwczesne i niewłaściwe. Dlatego właśnie otrzymałem polecenie porozumienia się w tej sprawie z Panem.

S. (przerzywa): — *Dobrze byłoby nawiązać kontakt między partyzantami rosyjsko-ukraińskimi, a polskimi, gdyż dotychczas są między nimi kłótnie („draki”).*

R.: — W tej ostatniej sprawie, która jest istotna, najlepiej byłoby dać polecenie czynnikom wojskowym polskim i sowieckim, aby zniosły się bezpośrednio między sobą.

S.: — *Rząd polski winien dać polecenie polskim partyzantom, działającym w Kraju, aby ci nie kłócili się z partyzantami rosyjsko-ukraińskimi, którzy ze swej strony otrzymaliby podobny rozkaz.*

R.: — U nas rzecz przedstawia się nieco odmiennie niż po stronie sowieckiej; my nie mamy na ogół partyzantów rekrutowanych wśród ludności cywilnej, ale ścisłą, zakonspirowaną organizację wojskową, na którą składają się kadry wyszkolone, kierowane

przez oficerów lub podoficerów służby czynnej albo rezerwy, którzy zdołali ukryć się w Kraju. Kadry te są oparte na systemie dyscypliny wojskowej i podporządkowane Naczelnemu Wodzowi w Londynie.

Co zaś do tarć pomiędzy polskimi a sowieckimi dywersantami, to pozwalam sobie zwrócić uwagę Pana Premiera na fakt, o którym sam kilkakrotnie słyszałem w Londynie, że na ziemiach polskich lądują spadochroniarze sowieccy, których działalność nieskoordynowana z naszą i nie idąca po tej samej linii powoduje dużo komplikacyj i skarg ludności miejscowej.

S.: — *Nasza organizacja przedstawia się podobnie. Kiedy nie ma na miejscu oficerów, dosyłamy ich samolotami. W szeregu okupowanych przez wroga obszarów istnieją specjalnie przygotowane lotniska, na których samoloty nasze lądują. Czy jest chociaż jeden taki rejon w Polsce? Moglibyśmy Wam pomóc w tej sprawie.*

R.: — W Polsce taką rzecz trudno byłoby przeprowadzić, gdyż kraj jest gęściej zaludniony i zanadto dobrze strzeżony przez Niemców. Nasi emisariusze z Londynu dosyłani są do Kraju na samolotach i lądują jako spadochroniarze. W razie potrzeby powrotu muszą korzystać z drogi lądowej, co oczywiście połączone jest z dużymi trudnościami i zwłoką.

S.: — *Przecież w lesie można zawsze znaleźć lub nawet wyciąć polanę. W Polsce jest dużo lasów. Praktyka sowiecka wykazała, że samoloty mogą konspiracyjnie lądować na terenie zajęтым przez wroga; to bardzo nietrudno. Zrzucanie spadochroniarzy jest środkiem ostatecznym, nie zawsze celowym. Lepszy jest samolot. Ja myślę, że to można zorganizować.*

R.: — Pan Premier wspominał o dużych przestrzeniach lasów. U nas tak nie jest. W Polsce centralnej i zachodniej większych lasów obecnie prawie że nie ma. To samo pytanie stawiałem fachowcom w Londynie; odpowiedziano mi, że konspiracyjne lądowanie w Polsce samolotów przybywających z Anglii i tam wracających jest technicznie niemożliwe; mogą to być tylko duże bombowce o wielkim zasięgu, wymagające rozległego, należycie przystosowanego terenu do lądowania i startu; muszą być one zaopatrzone w materiał pędny na podróż tam i z powrotem, ponieważ w Polsce nie mogą się weń zaopatrzyć.

S.: — *Jakie samoloty są w użyciu?*

R.: — Ciężkie czteromotorowe typu „Liberator” i podobne, przystosowane do lotu na wielkich wysokościach, nocą, by uniknąć obrony przeciwlotniczej w przelocie ponad Niemcami.

S.: — *Tak rzeczywiście, „Liberatory” są samolotami czteromotorowymi, a do takich działań potrzebne są lżejsze samoloty dwumotorowe. My używamy do tego celu dwumotorowce typu „Douglas”, których zasięg wynosi około 1000 km i tyleż z powrotem. Samoloty te działają bez zarzutu w zakresie łączności z naszymi partyzantami. Ten nasz związek lotniczy z nimi przedstawia ponadto tę wielką wygodę, że można zabierać z powrotem ludzi, np. rannych w akcji, co stale robimy, a czego nie można robić w Polsce.*

R.: — Wracając do tematu pragnę zapytać Pana Premiera o jego zdanie co do korzyści wynikających dla Armii Czerwonej z akcji planowanego przez nas zerwania połączeń kolejowych z frontem niemieckim.

S.: — *Czy ta akcja ma być jednoczesna?*

R.: — Tak jest.

S. (po namyśle, zwolna): — *Akcję taką należy rozważyć z punktu widzenia jej użyteczności zarówno dla Czerwonej Armii, jak i dla Polski. Jeżeli Pan Ambasador pyta mnie o radę, ja bym nie radził. Na pewno będą wielkie straty w kadrach. To jest akcja niebezpieczna dla polskich kadr. Jeżeli akcja ta odbędzie się na całym obszarze i jednocześnie, to Niemcy zorientują się natychmiast, że przewodzi jej jedna, sprawna organizacja i postarają się ją wytępić. Lepiej akcję taką prowadzić na poszczególnych odcinkach, etapami. Będzie wówczas łatwiej ukryć się kadrom. Z egoistycznego punktu widzenia Czerwonej Armii taka jednoczesna dywersja jest oczywiście pożądana, bo wywoła u Niemców zamęt, ale dla Polaków spowoduje zbyt wielkie straty. Gdy nastąpi odpowiednia chwila i gdy akcja taka będzie mogła liczyć na podtrzymanie przez cały naród, wtedy będzie można do niej przystąpić.*

R.: — Czy Pan Premier nie jest w stanie już dzisiaj przewidzieć w przybliżeniu okresu, w którym przedstawiony mu przeze mnie projekt mógłby być uznany za dostatecznie ważny w swych nas-

tępstwach dla działań Armii Czerwonej, ażeby uzasadnić w naszych oczach ryzyko związane z jego wykonaniem?

S.: — *Nie mogę na to odpowiedzieć, Panie Ambasadrze. Na wojnie nie wszystko od nas zależy. Dużo zależy także od wroga. Bardzo trudno przewidzieć termin zakończenia wojny. Nie możemy również z góry określić chwili, w której będzie można uderzyć na wroga w decydujący sposób i zbliżyć się do granic Polski. Gdy bieg wojny na to pozwoli, na pewno zawiadomimy (nawierniająca uwiedomim) o tym Pana Ambadora. Obecnie nie jestem w stanie nic więcej powiedzieć.*

R.: — Chciałbym z kolei omówić sprawę przymusowej mobilizacji Polaków do armii niemieckiej. W ostatnich czasach wcielono około 250 tysięcy młodych ludzi z zachodnich dzielnic Polski, które Rzesza „inkorporowała”. Zgodnie z instrukcjami Rządu młodzież nasza uchyła się wszelkimi sposobami od branki, między innymi przez ucieczkę, nawet za granicę. Jest to jednak nie dość skuteczne, ponieważ liczba rekrutów, którym nie udało się uchylić od służby jest jeszcze w naszym przekonaniu zbyt wielka. Nie mamy dotychczas dokładnych danych o użyciu ich na froncie poza wiadomościami otrzymanymi ze strony sowieckiej. Wiemy również, że nie zwerbowano ani jednego oficera Polaka.

S.: — *Nic nie wiemy o instrukcjach, które daje Rząd polski Polakom, aby nie wstępowali do armii niemieckiej; dochodziły do nas inne wiadomości. W armii gen. Paulusa wzięliśmy do niewoli niemałą liczbę Polaków.*

R.: — Czy byli to ludzie młodzi?

S.: — *Tak.*

R.: — O jaką mniej więcej ilość chodzi?

S.: — *Parę tysięcy ludzi. Również pod Leningradem było niemało Polaków, którzy się poddawali, ale inni bili się niestychanie odważnie. O ile mi wiadomo, nie byli to Mazurzy.*

R.: — Z jakiej części Polski pochodzili?

S.: — *Znajdowali się wśród nich Polacy z Poznania, z Krakowa i z innych ziem zachodnich. Według naszych danych Rząd Polski*

jakoby (kac budto) dawał polecenia Polakom wstępować do armii niemieckiej, a potem poddawać się. Co do instrukcji uchylania się Polaków od służby w armii niemieckiej, to dla mnie sprawa ta nie jest jasna. Pierwszy raz o tym słyszę.

R.: — Zapewnić mogę Pana, że nie ma Polaków, którzy by dobrowolnie zaciągali się do armii niemieckiej. Mamy wiadomości o żołnierzach Armii Czerwonej, wziętych do niewoli, z których Niemcy tworzą ochotnicze oddziały przeciwko ZSSR. Tak w jednym, jak w drugim wypadku działa tutaj oczywiście propaganda niemiecka. Miałem sposobność przeglądać niedawno numer ilustrowanego czasopisma niemieckiego *Signal* z fotografiami oddziałów złożonych z byłych jeńców narodowości ukraińskiej, rosyjskiej, gruzińskiej, azerbejdżańskiej itd., przygotowujących się do walki przeciwko Armii Czerwonej.

S. (przerywa, spoglądając z uśmiechem na Mołotowa): — *Azerbejdżanie i inni wstępują naumyślnie do takich oddziałów, a potem przechodzą do nas.* (zwraca się do tłumacza): *Czy Pan stenografuje?* Tłumacz: *tak do połowy, część stenografuję, część piszę.* Stalin: *Nie nauczył się Pan jeszcze stenografii.* (w dalszym ciągu) *Przy pułkach i sztabach niemieckich jest znaczna ilość Polaków, którzy służą tam w charakterze tłumaczy. Wszystkie to są inteligentni ludzie.*

R.: — Czy nie chodzi tu o Niemców, znających język polski?

S.: — *Nie, są to Polacy. Ale są i Rosjanie, którzy służą Niemcom z całą świadomością i stoją po ich stronie. Są również i Ukraińcy i inni. Nie ma przecież rodziny bez wyrodka (Niet siemji bez uroda). Co do problemu przechodzenia Polaków z armii niemieckiej na stronę Armii Czerwonej, to — jeżeli rzuci się hasło powyższe — Niemcy szybko zorientują się i rozmieszczą Polaków w poszczególnych oddziałach niemieckich. Mieliliśmy podobne wypadki ze Słowakami. Niemcy rozstrzeliwali ich całymi oddziałami. Wprawdzie są też oddzielnie zgrupowani ochotnicy narodowości duńskiej, norweskiej, holenderskiej i innych, ale to nie liczy się. Jak wiemy, w armii niemieckiej istnieją rotys karne, stojące za oddziałami frontowymi, które bez litości rozstrzeliwują tych, którzy nie chcą się bić. Rumunom i Włochom, którzy otrzymali ostatnio mocne ciągi i których odeszła ochota dalszego walczenia, łatwiej jest poddawać się, gdyż tworzą oni zwarte wojskowe oddziały. Natomiast Polacy mogliby przecho-*

dział przez front tylko pojedynczo, najwyżej dziesiątkami. To będzie bardzo trudno zorganizować.

R.: — Pan Premier stwierdził jednak, że dużo Polaków wzięto do niewoli. Ja sądzę, że należałoby faktem tym zainteresować się. Prosiłbym Pana Premiera o radę.

S.: — *Przechodzenie na naszą stronę musi odbywać się w czasie walk, w ciężkich warunkach, gdyż strzelają zarówno Niemcy, jak Rosjanie. Nasi ponoszą przy tym również straty z polskich rąk. Ludzie, o których mówimy, starają się przede wszystkim ratować własne życie. Przejść przez front jest bardzo trudno. Pyta się Pan Ambasador o moją radę, jak oddziaływać na Polaków w szeregach armii niemieckiej, jak na nich wpływać. To bardzo trudna sprawa; są oni przecież rozmieszczeni pomiędzy Niemcami i pilnie strzeżeni.*

R.: — Najlepiej byłoby działać już wcześniej za pomocą naszych tajnych organizacji w Kraju przez umiejętną propagandę przed rekrutacją, wskazując na możliwość dojścia do szeregów Armii Polskiej, po przedostaniu się na stronę sowiecką. To byłoby najskuteczniejszym argumentem. A czy mogę zapytać, co dzieje się z Polakami wziętymi do niewoli przez Armię Czerwoną i jak są traktowani?

S.: — *Znajdują się oni na zwykłych warunkach jeńców wojennych. Kto może pracuje, a chorych leczy się. Są traktowani jako jeńcy.*

R.: — Najważniejszym byłoby dla mnie otrzymanie zapewnienia, że ci spośród Polaków, zmuszonych do służby w szeregach niemieckich, którzy by przeszli dobrowolnie na stronę sowiecką, mogliby, po należytym zbadaniu przez właściwe organy sowieckie i polskie dla wykluczenia szpiegów i prowokatorów, liczyć na możliwość walki z Niemcami pod własnym, narodowym sztandarem.

S. (przerzywa): — *W przeszłym roku, w czasie ataku na Moskwę, nie, w porze zimowej, znalazł się na froncie niemieckim batalion polsko-litewski otbornyj bataljon; bili się świetnie; byli to wszystko wyborowi żołnierze, oddani Niemcom z przekonania. Zostali przez nas wybici do ostatniego.*

R.: — Czy Rząd sowiecki czyni różnice między tymi jeńcami,

którzy poddali się dobrowolnie, a tymi, którzy zostali wzięci do niewoli w walce z bronią w rękę?

S.: — Oczywiście, robimy między nimi różnice, ale to trudno z reguły określić. Przez cały czas toczącej się obecnie wojny był jedyne wypadek, że 2-3 bataliony niemieckie wymordowały swoich oficerów i poddały się. Na ogół Niemcy poddają się dopiero wtedy, gdy znajdują się w pozycji przymusowej (od nędzy, a nie od soczystwija sowieckomu gosudarstwu) — tak jak to miało miejsce z armią gen. Paulusa. Jeżeli chodzi o danie rady Polakom, to rzecz jest bardzo trudna; każda rada jest niebezpieczna. Ja bym dał taką radę Rządowi Polskiemu: dałbym rozkaz uchylania się od poboru do armii niemieckiej. Ci, którzy są zmobilizowani, winni by zatem uciekać do lasów, do partyzantów. W ten sposób zwiększy się liczba tych ostatnich, a więc zasili się akcję dywersyjną w kraju. Należy przeciwdziałać rekrutacji niemieckiej, idąc do lasów, do partyzantów.

R.: — Jak już mówiłem, w zachodnich dzielnicach Polski, to jest w tych, w których Niemcy przeprowadzają pobór do wojska, nie ma większych obszarów leśnych i nie ma gdzie chować się. Skoro Rząd sowiecki robi różnicę między jeńcami, którzy poddali się dobrowolnie, a tymi, którzy zostali wzięci do niewoli w walce, nie wątpię, że rozróżniać będzie również żołnierzy narodowości zaprzyjaźnionych, jak Czesi, Polacy, od jeńców narodowości niemieckiej. Przyjaciół można traktować odmiennie od wrogów i zjednać ich sobie obietnicą, że przeszedłszy na naszą stronę odzyskają swobodę i będą mogli wraz z Armią Czerwoną bić się przeciwko Niemcom w imię wspólnej sprawy pod własnym, narodowym sztandarem.

S.: — Teza Pana Ambasadora jest słuszna, w zasadzie (pryncipialno) prawdziwa. Oczywiście rozróżniamy narodowość jeńców. Polak to nie Niemiec. Ale trzeba być ostrożnym. Spróbujemy zrobić apel do Polaków przez dowództwo Armii Czerwonej. W sprawie tej jest jednak minus. Niemcy po takim głośnym wezwaniu zwiększą nadzór nad Polakami.

R.: — Toteż sędzę, że lepiej byłoby uświadomić Polaków w Kraju jeszcze przed werbunkiem, za pośrednictwem naszych tajnych organizacyj; to nie wzbudzi podejrzeń u Niemców. Konieczne jest jednak w tym celu uprzednie zapewnienie Rządu sowieckiego, że zgadza się na przekazanie armii polskiej tych, którzy przejdą dobrowolnie na stronę sowiecką.

S.: — Czy Pan Ambasador wie, co dzieje się z żołnierzami słowackimi? Gdy Słowacy zaczęli przechodzić na stronę sowiecką, Niemcy cofnęli te oddziały na tyły, poza linie frontu. Te czy inne oddziały, pełniąc służbę etapową, zwalniają odpowiednią ilość Niemców, których posyła się na front. Analogicznie ma się sprawa z armią bułgarską, która pośrednio pomaga Niemcom. Toteż jeżeli ogłosimy apel, Niemcy mogą nie dopuścić Polaków na front, a przeznaczając ich do służby na tyłach, oswobodzą zajęte tam obecnie czysto niemieckie oddziały. Myśl jest słuszna, że Polacy będą służyć narodowi, jeśli przejdą na stronę Armii Czerwonej, ale należy tę sprawę rozpatrzyć ze wszystkich stron. Jeżeli tajne organizacje polskie dadzą rozkaz, aby Polacy przechodzili na stronę Armii Czerwonej, to Niemcy zareagują na to w ten sposób, że nie wezmą Polaków do oddziałów frontowych. Natomiast wskutek masowego zaciągnięcia Polaków do armii niemieckiej wstrzymany zostanie sabotaż w Kraju i to zarówno w tych miejscowościach, gdzie są lasy, jak w tych gdzie lasów nie ma. Sam nie wiem, co jest lepiej. Trudno doprawdy doradzać. Zdaje się jednak, że będzie lepiej i dla nich i dla Armii Czerwonej, jeżeli Polacy w ogóle unikną dostania się do armii niemieckiej, gdyż niezależnie od szans przejścia na drugą stronę frontu duża ich część zginie w czasie działań wojennych. Przecież to jest wojna. Polacy są też zabijani. Tak będzie zdaje się lepiej. (Mołotow potakuje). Należy wybierać między złem a gorszem. Złe jest, jeżeli Polacy chroniący się przed poborem w oddziałach partyzanckich zmuszeni będą pozostawić rodziny na pastwę represji niemieckich, ale jeszcze gorzej, jeżeli znajdują się w szeregach wrogiej armii niemieckiej. To jest bardzo trudna sprawa.

R.: — Miałem na myśli doradzanie przechodzenia na stronę sowiecką tylko tym, którzy mimo wszystkich wysiłków uchylenia się od poboru zostali wzięci siłą...

S. (przerywa): — Tym, którym się nie udało zbiec.

R.: — Tak jest. A co do uwagi Pana Premiera o przeznaczaniu Polaków do pełnienia służby na tyłach armii niemieckiej, to przecież można by im nakazać dyskretnie dokonywanie aktów sabotażu i kontaktowanie się z partyzantami.

S.: — Może i tak. Słuszne będzie uświadamianie Polaków, aby wszystkimi siłami szkodzili Niemcom. Natomiast tym, którym

nie udało się przejść na stronę Armii Czerwonej, jak również tym, którym nie udało się uniknąć wcielenia, należy dać polecenie ucieczki do partyzantów. A więc ci, co są na froncie powinni otrzymać polecenie poddawania się, a ci, którzy są w oddziałach tyłowych mają w razie niemożności ucieczki do oddziałów partyzanckich dokonywać sabotaży. W każdym razie te zarządzenia muszą mieć za punkt wyjścia przeciwdziałanie w Kraju wszelkimi środkami poborowi do armii niemieckiej.

R.: — A więc, Panie Premierze, czy mogę zawiadomić mój Rząd o zgodzie Rządu sowieckiego na to, by Polacy, którzy przejdą dobrowolnie na stronę sowiecką zostali oddani do dyspozycji armii polskiej?

S. (zwolna, po chwili namysłu): — *Tego nie mogę powiedzieć. Mielśmy doświadczenie z armią polską, które skończyło się bardzo niepomyślnie. Ewentualnie będziemy mogli stworzyć oddziały ochotnicze, które jako oddziały polskie w ramach Armii Czerwonej będą walczyć z Niemcami. Po wojnie oddamy te oddziały Polsce.*

MOŁOTOW (wtrąca): — *Niestety doświadczenie z armią polską skończyło się źle. Tak było, Panie Ambasadorze.*

S. (ironicznie): — *Jeżeli stworzymy nową armię polską, to ona potem pośpieszy wyjechać do Iranu czy Iraku...*

R.: — Pan żartuje, Panie Premierze!

S. (poważnie): — *To nie są żarty, tu idzie o krew żołnierza sowieckiego.*

R.: — Oddziały polskie, które mogłyby obecnie zostać utworzone na terytorium ZSSR mogłyby walczyć tutaj przeciw Niemcom ramię przy ramieniu z Armią Czerwoną. Ten problem można by bliżej rozpatrzyć w gronie fachowców wojskowych. Nie wykluczam zresztą, że Armia Polska na Wschodzie albo jej część mogłaby być przeniesiona na front sowiecki. Zależałoby to oczywiście od decyzji Rządu polskiego i Naczelnego Dowództwa polskiego i międzyalianckiego. Ale to są wszystko, moim zdaniem, kwestie, które uważać można za otwarte i podlegające przyjaznemu omówieniu w duchu wspólnych interesów.

(bije północ)

S.: — *Czy kończymy na tym, Panie Ambasadorze, czy ma Pan jeszcze jakieś sprawy do poruszenia?*

R.: — Tak jest. Chciałbym omówić jeszcze zagadnienie stosunków polsko-sowieckich, które przechodzą niestety niepokojący kryzys. Przedyskutowaliśmy dotychczas w przyjazny sposób kilka ważnych spraw z zakresu wojennego współdziałania naszych krajów. Ale taka współpraca może być naprawdę owocna o tyle tylko, o ile odpowiadają jej wzajemne przyjazne nastroje. Wiąże się z tym przede wszystkim kwestia losu obywateli polskich w Związku Sowieckim, obchodzącego bardzo żywo Rząd polski i polską opinię publiczną. Nota sowiecka z 16 stycznia 1943 wniosła niespodziewanie nowe, przejmujące nas głęboką troską momenty i następstwa, które mam obowiązek wyświetlić w rozmowie z Panem Premierem.

S.: — *Słucham, proszę.*

R.: — W następstwie układu z 30 lipca 1941 roku amnestia ogłoszona przez Sowiety objęła liczne rzesze obywateli polskich, nie wyłączając mniejszości narodowych, których obywatelstwo polskie zakwestionowane zostało dopiero w nocy Narkomindiełu z 1 grudnia 1941 roku. Zwolnieni z obozów i więzień obywatele nasi zaczęli napływać masowo do tworzącej się armii polskiej. Dla ich rodzin i dla tych, co pozostali przy pracy w miejscach zesłania Rząd polski zorganizował, z udziałem rządów amerykańskiego i angielskiego oraz rozmaitych organizacji i instytucji społecznych, pomoc na szeroką skalę. Potrzeba tej pomocy nie wynikała bynajmniej z chęci zapewnienia ludności polskiej bytu uprzywilejowanego w stosunku do otoczenia, ani nawet z pretensji, której nie wysuwaliśmy nigdy, że zesłańcy polscy traktowani są przez władze sowieckie gorzej od ludności miejscowej. Ich położenie było gorsze z innych powodów. Zostali oni deportowani z godziny na godzinę, przeważnie bez żadnego zaopatrzenia w pieniądze, odzież, ani w żywność, wyrwani przymusem z otoczenia, z którym się zrośli, częstokroć oddzieleni od własnych rodzin, przewiezieni w ciężkich warunkach w odległe, nieznanne im strony o odmiennym, nieraz bardzo niesprzyjającym klimacie, osadzeni wśród obcego otoczenia, którego języka i zwyczajów nie znali, pozbawieni odpowiednich mieszkań i ogródków wa-

rzywnych, którymi dysponuje miejscowa ludność, zmuszeni do nieznanej pracy, np. ciężkiej fizycznej dla zupełnie z nią niezwytej inteligencji, trawieni chorobami. Dlatego też pomoc dla nich w postaci żywności, odzieży i lekarstw oraz specjalnych zakładów była i pozostaje rzeczą konieczną.

S.: — *Kogo Pan Ambasador nazywa ludnością polską? Czy całą ludność polską, która znajdowała się w Zachodniej Ukrainie i w Zachodniej Białorusi?*

R.R.: — Za obywateli polskich uważam zgodnie z ustawodawstwem polskim wszystkie te osoby, które posiadały obywatelstwo polskie w 1939 roku. W tej sprawie jest między obu naszymi Rządami różnica zdań, tym bardziej, że jak wynika z noty sowieckiej z 16 stycznia 1943 i z jej interpretacji, którą usłyszałem przed kilku dniami z ust Pana Komisarza Mołotowa, strona sowiecka rozciąga obywatelstwo sowieckie na wszystkie osoby, które w dniach 1 i 2 listopada 1939 przebywały na kontestowanym terytorium, nawet jeżeli znalazły się tam zupełnie chwilowo i przygodnie i niczem nie były związane z tym miejscem pobytu.

MOŁOTOW: — *To jest nieściste (niewierno). W nocie jest powołanie się na ustawę o obywatelstwie, która rozróżnia mieszkańców stałych od przejściowych: pierwsi z nich stali się z mocy prawa obywatelami Związku Sowieckiego, a sprawa obywatelstwa drugich podlega indywidualnemu rozpatrzeniu.*

R.: — W nocie z 16 stycznia 1943 jest wyraźnie mowa o tym, że wszystkie osoby przebywające na ziemiach kontestowanych nabywają obywatelstwo sowieckie.

S. (przerywa): — *Jest jednak przytem powołanie się na ustawę sowiecką o obywatelstwie.*

R.: — Pozwolę sobie zauważyć, że otrzymaliśmy szereg not z NKID, w których stwierdzono, iż wszyscy mieszkańcy tych terenów stali się obywatelami sowieckimi. Ambasada polska w Kujbyszewie otrzymała nawet ostrzeżenie na piśmie, że żadne jej interwencje w sprawach poszczególnych osób nie będą rozpatrywane, zanim nie zostaną co do nich przedstawione dowody, wykazujące, gdzie osoby te przebywały 1 i 2 listopada 1939 roku.

S.: — *Czyniona jest jednak różnica między ludnością, która na tych terenach się znajdowała, a tą, która tam stale zamieszkiwała.*

MOŁOTOW: — *Na terytoriach tych mogli zresztą w tym samym terminie przebywać obywatele różnych krajów, np. Rumuni, Węgrzy, Francuzi i inni, którzy z tej racji nie nabyli — rzecz jasna — obywatelstwa sowieckiego. Konstytucja nasza wyraźnie przewiduje te możliwości, które jednak należy rozpatrywać indywidualnie.*

R.: — *To jest dla mnie zupełnie nowa sytuacja. Pierwszy raz słyszę taką interesującą mnie bardzo interpretację. Dotychczas, począwszy od noty z 1 grudnia 1941 roku, Rząd sowiecki stał konsekwentnie na stanowisku, że zwłaszcza pewna kategoria obywateli polskich, którzy znaleźli się w omawianym terminie na wspomnianym terytorium, nabyła obywatelstwo sowieckie.*

S.: — *Przepraszam, Panie Ambasadorze, przejeźdźni, znajdujący się na tych terytoriach, nie nabyli automatycznie obywatelstwa sowieckiego.*

R.: — *Jeśli chodzi o dotychczasowe stanowisko Rządu sowieckiego, to mogę przytoczyć cały szereg konkretnych wypadków. Wszystkich nie mam w pamięci, ale zacytuję klasyczny przykład, kiedy wbrew naszym zastrzeżeniom i interwencjom radni miasta Warszawy pp. Alter i Erlich zostali zakwalifikowani jako obywatele sowieccy.*

MOŁOTOW: — *Wypadki indywidualne mogły być.*

R.: — *Panie Premierze, jaka jest zatem oficjalna interpretacja Rządu sowieckiego w tej sprawie? Dotychczasowe noty i enuncjacje sowieckie wskazywały, że praktycznie wszyscy obywatele polscy znajdujący się w ZSSR utracili swe obywatelstwo. My się z tym zgodzić nie możemy.*

S.: — *Rząd polski uważa uporczywie wszystkich Polaków, którzy przebywają w ZSSR za obywateli polskich. To jest niestuszne. Wprawdzie szereg urzędów sowieckich przekroczył w poszczególnych wypadkach swoje kompetencje. Trzeba skończyć ze skrajnościami. Poza tym muszę zaznaczyć, że także od zainteresowanego w tym człowieka zależy decyzja, jakim chce on być obywa-*

telem. Trzeba więc każdego zapytać się o to. Ja Panu Ambasadrowi przytoczę przykład Wandy Wasilewskiej, Polki z Warszawy, która uważa się za obywatelkę sowiecką. Trzeba liczyć się z wolą ludzi. Nie można przemocą narzucać im obywatelstwa. Jest przecież nasza nota z powołaniem się na ustawę o obywatelstwie. Muszę przyznać, że nie zawsze wszystkie organy radzieckie jednakowo i prawidłowo działały. Ale nie wszyscy Polacy, którzy żyli i mieszkali na terytorium polskim, będą obywatelami polskimi. Z tym trzeba skończyć. Są tacy którzy do nas przechodzą.

(Zmieniając nagle temat) Dziwnym jest dla mnie, że w szeregu polskich organów prasowych w Anglii i w Stanach Zjednoczonych oraz pośród działaczy polskich, których część opowiada się nadal za polityką Piłsudskiego, za wroga nr 1 dla Polski poczytywane są Niemcy, ale wrogiem Nr 2 jest Rosja. Co Pan Ambasadror o tym myśli? Ci ludzie piszą otwarcie o swojej do nas nienawiści, a my na to nie odpowiadamy. Te rzeczy nie poprawią naszych stosunków.

R.: — Na terytorium ZSSR przebywają od wielu lat liczni Polacy, obywatele sowieccy; my nie upominamy się o nich i nigdy nie podnosiliśmy tej sprawy.

S. (poprawia się): — Miałem na myśli Polaków rezydujących w zachodnich częściach Ukrainy i Białorusi.

R.: — Przyjmuję do wiadomości, że Pan Premier uznaje wolę każdej zainteresowanej w tym osoby jako ważny element w określeniu jej obywatelstwa. Na takie kryterium zgodzimy się chętnie z naszej strony, gdyż nie zależy nam wcale na takich obywatelach, którzy nie życzą sobie być obywatelami polskimi. Podkreślam jednak, że ze sprawą obywatelstwa wiąże się cały szereg doniosłych następstw praktycznych. Przytoczę z nich udzielanie w dalszym ciągu pomocy naszej ludności oraz umożliwianie wyjazdu za granicę w indywidualnych wypadkach, bez obciążenia zajętych transportami wojennymi kolei sowieckich. Mam tu na myśli zwłaszcza dzieci oraz pozostałe jeszcze w ZSSR rodziny wojskowych, służących w armii polskiej w Anglii lub na Bliskim Wschodzie, a także rodziny polskich urzędników państwowych i pracowników społecznych. Ich odcięcie od żywicieli nie tłumaczy się niczym i przez nikogo nie będzie zrozumiane.

R. (w dalszym ciągu): — Do poruszonej przez Pana Premiera

kwestii propagandy przywiązuję i ja również wagę w interesie uzdrowienia stosunków wzajemnych między naszymi krajami. Ale muszę zaznaczyć, że głosy prasy sowieckiej, bardziej oficjalnej niż nasza, poruszały w tonie nieprzyjaznym dla nas wbrew obserwowanemu uprzednio przez obie strony milczeniu na ten temat, sprawę granic, co do której mamy rozbieżne zdania. Nie tylko zresztą głosy prasy sowieckiej. Mógłbym przytoczyć Panu Premierowi szereg enuncjacji rozgłośni radiowych sowieckich, jak im. Kościuszki, Kujbyszewskiej i innych, które występowały wrogo przeciw Polsce.

S. (przerywa): — *To nie może być.*

R.: — Mam dowody, które mogę przedstawić na piśmie.

S.: — *Proszę o to Pana Ambasadora.*

R.: — Dostarczę je Panu Premierowi.

S.: — *Nasze rozgłoszenie radiowe są państwowe i przez nas kontrolowane. Nie mogły nic takiego nadawać.*

R.: — Rząd polski stale wysuwa na pierwszy plan w swym działaniu i propagandzie walkę z Niemcami, która nas łączy w jeden wspólny obóz ze Związkiem Sowieckim. Krytyczne głosy pod adresem tegoż wychodzą często z kół naszej opozycji w odpowiedzi na zarządzania lub wypowiedzi sowieckie, niezycliwe dla nas. Rząd polski nie ma możliwości krępować głosów prasy opozycyjnej na obcym terytorium, zwłaszcza w Ameryce, na którym nie posiada władzy.

S.: — *Czy Grabski jest w opozycji? Czy Poseł polski w Kanadzie jest w opozycji? Część prasy występującej przeciwko nam generał Sikorski wziął w obronę. My znosimy to cierpliwie, ale nie zawsze można być cierpliwym. Gdybyśmy mieli postać, który by wystąpił w ten sposób, to byśmy go natychmiast usunęli ze służby.*

MOŁOTOW (przerywa): — *Tak, tak.*

S. (dalej): — *Jedyny artykuł, krytykujący Rząd Polski i jego politykę, który ukazał się w prasie sowieckiej, to był artykuł*

Kornejczuka. Artykuł ten został napisany za naszą wiedzą, ale w artykule tym Kornejczuk krytykuje lojalnie polskie stanowisko.

R.: — Powracając do sprawy obywatelstwa nalegać muszę, w obliczu życiowych konsekwencji tej sprawy dla setek tysięcy osób, a zatem i dla stosunków polsko-sowieckich, na jej uregulowanie nie jednostronne, ale w drodze porozumienia pomiędzy oboma naszymi Rządami. Jest nie do pomyślenia, by duża i cenna część naszego Narodu została nagle i wbrew swojej woli oderwana od niego.

S.: — *Jeżeli uważać, że Ukraińcy i Białorusini są narodami, to uznać trzeba, że nastąpiło połączenie (wsojedinenije) zamieszkałych przez nich ziem z sowiecką Białorusią i sowiecką Ukrainą. Ukraińcy nie są przecież Polakami. Białorusini nie są przecież Polakami. My ani jednej prowincji polskiej nie przyłączyliśmy do Związku Sowieckiego. Wszystkie ziemie polskie zostały zajęte przez Niemców.*

R.: — Skoro Pan Premier wspomina o plebiscytach na naszych kresach wschodnich, to muszę przypomnieć, że zostały one przeprowadzone w granicach nakreślonych układem niemiecko-sowieckim, który został następnie wypowiedziany solennie w umowie polsko-sowieckiej z 30 lipca 1941 roku.

S. (zaambarasowany, niewyraźnie): — *To napaść niemiecka na ZSSR przekreśliła układy niemiecko-sowieckie, przede wszystkim zaś pakt o nieagresji.*

R. (z uśmiechem): — W okresie, w którym Związek Sowiecki zagarnął nasze ziemie znajdowaliśmy się w przeciwnych obozach i nie uznaliśmy żadnego aktu przemocy spełnionego naszym kosztem. Od dnia 30 lipca 1941 roku znajdujemy się we wspólnym obozie przeciwniemieckim, co uprawnia nas do pożytywania, że żadne zmiany w naszym stanie posiadania lub w naszych pierwotnych prawach nie mogą nastąpić bez ich uzgodnienia z nami. W braku tego możemy i musimy stać na stanowisku, że dawne granice polsko-sowieckie, ustanowione Traktatem Ryskim, zawsze pozostają w mocy.

S. (powracając do uprzedniego tematu): — *Na ataki opozycyjnej prasy polskiej nie odpowiadamy i milczymy.*

R.: — Powinniśmy przedyskutować przyjaźnie wszystkie sprawy, które wytwarzają tarcia między obu rządami. Tarcia te nie wychodzą na korzyść żadnej z obu stron, a służą tylko Niemcom. (*Stalin przytakuje*). Należałoby w tym świetle rozpatrzyć sprawę dalszej pomocy dla obywateli polskich w ZSSR oraz ich wyjazdów za granicę.

S. (przerzywa): — *Jakie sprawy?*

R.: — Przeżywamy moment historyczny, który na długie lata zdecyduje o stosunkach polsko-sowieckich. Do decyzji, jakie nam dyktuje, podejść winniśmy obustronnie z pełnym zrozumieniem i dobrą wolą, wyłączając na razie z naszych dyskusyj takie sprawy, których teraz rozstrzygnąć się nie da, a których poruszanie zadrażnia tylko stosunki polsko-sowieckie i wywołuje między nami polemiki publiczne.

S.: — *Rząd sowiecki nie odpowiadał oficjalnie na napaści.*

MOŁOTOW (wtrąca): — *Były przecież wystąpienia Ministra Spraw Zagranicznych Raczynskiego, na które odpowiedzieliśmy tylko notą; wystąpienia Pośta polskiego w Kanadzie, enuncjacje prof. Grabskiego oraz szereg wystąpień prasowych polskich.*

S.: — *U nas jest większa cierpliwość, niż u Polaków.*

MOŁOTOW: — *Żaden przedstawiciel Rządu sowieckiego ani wewnątrz kraju, ani za granicą nie występował przeciwko Polsce.*

S.: — *Rząd sowiecki milczy na ten temat bez przerwy i to samo winien robić Rząd polski.*

R.: — Łatwiej jest milczeć, gdy się coś nabyło, aniżeli gdy się to coś traci. Na skutek noty sowieckiej z 16 stycznia 1943 roku grozi nam strata kilkuset tysięcy naszych obywateli, na których zależy nam tym bardziej, że tylu już straciliśmy z ręki Niemców. Poza tym grozi nam z inicjatywy sowieckiej utrata całej wschodniej połaci naszego terytorium. Trudno więc dziwić się rozgoryczeniu opinii polskiej.

S.: — *My straciliśmy więcej terytorium niż cała Polska.*

R.: — Ale Armia Czerwona odzyskała już ogromne obszary i odzyska niewątpliwie wszystko. Terytoria te zresztą stanowią niewielką część Związku Sowieckiego.

S.: — *Panie Ambasadorko! Po rozgromieniu Niemców na ziemiach rosyjskich Armia Czerwona wkroczy na ziemie polskie, pomoże wypędzić stamtąd Niemców i wówczas natychmiast odda te ziemie Rządowi polskiemu; a wówczas Pan Ambasador powie, że to jest akt jednostronny, który narusza wzajemne dobre stosunki.*

R.: — Tak źle nie będzie (*obaj rozmówcy śmieją się*).

S.: — *Panie Ambasadorko! My chcemy Polski silnej, damy Wam całą Polskę, zajęta przez Niemcy, nie patrząc na to, że teraz wymyśla się na nas (niesmotria na to czto nas rugajut). Wszystkie te wymyślenia bierzemy na swoje barki.*

R.: — Dziękuję, Panie Premierze, za te słowa, które zapamiętam. A czy Pan zgadza się z moim poglądem na potrzebę uzgodnienia między nami sprawy obywatelstwa Polaków przebywających obecnie w ZSSR i sprawy dalszego zapewnienia im przez nas opieki i przychodzenia im z pomocą?

S.: — *Znajdą się Polacy, którzy zechcą przyjąć obywatelstwo sowieckie.*

MOŁOTOW (wtrąca): — *Oczywiście mowa o obywatelach, którzy nie pochodzą z terytorium Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi. Poza tym ten problem należy rozpatrzyć dla określenia obywatelstwa tych osób, które znalazły się tylko przejściowo na tym terytorium.*

R.: — Zgodnie z tym, co mówił Pan Premier, należy liczyć się z wolą osób zainteresowanych. Skoro na mocy porozumienia obu Rządów zostanie tym osobom umożliwione swobodne wypowiedzenie się w tej sprawie, to nie wątpię, że cała atmosfera wyjaśni się łatwo i gładko, ponieważ wszystkie te elementy, na których nam zależy, nie pogodzą się nigdy z myślą o rozstaniu się z polskim obywatelstwem.

S.: — *Musi to jednak nastąpić zgodnie z naszym ustawodaw-*

stwem o obywatelstwie. Poza tym jest trudny problem osób, które znajdują się obecnie w szeregach Armii Czerwonej. Mogą one w chęci uchylecia się od służby zgłosić chęć wyjazdu choćby do Australii w charakterze obywateli polskich. Może to zatem ułatwić dezercję. Oprócz własnej woli zainteresowanych należy więc wziąć pod uwagę także inne czynniki. Trzeba także mieć na względzie, jakiej są narodowości te osoby, oraz jakie jest ich pochodzenie.

R.: — Interesuje mnie bardzo w związku z tym kwestia nieletnich dzieci, których mamy dotychczas w Związku Sowieckim kilkadziesiąt tysięcy, a które stanowią tak cenny element dla przyszłości odrodzonej Polski. Z punktu widzenia uzgodnienia spornych pojęć o obywatelstwie szczególnie ważnym będzie dla nas los sierot, którym zwłaszcza chcielibyśmy zapewnić możliwość wyjazdu za granicę, gdzie znajdą korzystne dla siebie a najmniej obciążające materialnie Rząd polski warunki bytu i wychowania.

S.: — *Na podstawie naszych ustaw zależy to od wielu momentów. Trudno generalizować.*

R.: — Sądzę, że sprawa obywatelstwa uregulowana być może między nami jedynie w drodze formalnego, dwustronnego porozumienia.

S.: — *My nie możemy naruszać naszych ustaw.*

MOŁOTOW (wtrąca): — *Oczywiście.*

R.: — Jak widzieliśmy w przeszłości, ustawodawstwo sowieckie nie wykluczało dużej elastyczności jego stosowania. Myślę, że można by na tej podstawie szukać wyjścia dla porozumienia przy dobrej woli wzajemnej.

S.: — *Jeżeli odbędą się rozmowy, to wówczas wyjaśni się te wszystkie sprawy.*

R.: — Czy Pan Premier widzi możliwość podjęcia na ten temat negocjacji?

S.: — *Skoro Pan Ambasador widzi taką możliwość, to ja nie zgłaszam obiekcji.*

R.: — Dobrze, sprecyzujmy to jeszcze.

S.: — *A więc mamy według Pana jako przedmioty rokowań sprawę propagandy, sprawę obywatelstwa i zagadnienie granic (wopros o granicach).*

R.: — Ja to ujmowałem inaczej, podkreślając, że w interesie polepszenia naszych stosunków należałoby na razie unikać właśnie dyskusji o granicach, natomiast proponowałem podjęcie rokowań w sprawie wzajemnego zaniechania nieprzyjaznej propagandy oraz w sprawie obywatelstwa i jego praktycznych następstw.

S.: — *Dobrze, Panie Ambasadore.*

MOŁOTOW (wtrąca): — *Wczoraj ogłoszona została w Londynie deklaracja Rządu Polskiego o treści niezycliwej dla Związku Radzieckiego.*

S.: — *Deklaracja ta jest czymś więcej niż odpowiedzią dziennikarską. Jest to przecież oficjalne oświadczenie (eto zajawlenie). Gdy idzie o terytorium sowieckie, to nie ma Rządu sowieckiego, który by się wyrzekł (otkazał się) postanowień naszej Konstytucji. A przecież do Konstytucji włączona jest przynależność do Związku Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi.*

R.: — Z naszej strony nie znalazłby się ani jeden Polak, który by wyparł się polskości Wilna i Lwowa. Ja sam to pierwszy mówię Panu Premierowi z najgłębszym przekonaniem.

S.: — *Rozumiem Wasz punkt widzenia. My mamy swój punkt widzenia. Jesteśmy skwitowani. (Rozmyśla głośno). Może powinniśmy postąpić tak samo jak Rząd polski w sprawie granic i także ogłosić nasze oświadczenie...*

R. (który w chwili rozmowy nie znał jeszcze uchwały Rządu polskiego z 25 lutego 1943 roku, powracając do sprawy rokowań): — *W interesie naszego wspólnego frontu w walce z Niemcami, która stoi na pierwszym planie waszych i naszych trosk, nalegam na uzgodnienie w drodze rokowań polsko-sowieckich poglądów i postępowania obu stron w trudnej dziedzinie obywatelstwa i problemów pochodnych, a także wzajemnego zaniechania wystąpień publicznych i propagandy nieprzyjaznych drugiej stronie. Czy*

Pan Premier upoważni mnie do zaproponowania tego mojemu Rządowi?

S.: — *Ma Pan rację, Panie Ambasadorze. Winszuję dobrego pomysłu. Tę sprawę trzeba rozpatrzyć, trzeba zbadać co to są za obywatele, trzeba rozpatrzyć każdy wypadek.*

R.: — *Czy mogę liczyć na umożliwienie nam dalszego sprawowania opieki dopóki rokowania nasze na temat obywatelstwa nie zostaną ukończone.*

S.: — *Nie wiem, Panie Ambasadorze, to należy do NKID.*

R.: — *To jest zagadnienie żywotne dla nas; unikniemy w ten sposób następstw, które w razie zawieszenia naszej opieki mogą wyniknąć w Anglii i Ameryce, jako współzainteresowanych w tym względzie. Przecież będzie daleko lepiej, jeśli porozumiemy się bez pośredników.*

S.: — *Ma Pan słuszność. Wprawdzie nie mogę zawczasu dać Panu konkretnej obietnicy, ale rozmowy można rozpocząć.*

R.: — *Czy miałbym te rozmowy prowadzić w Moskwie z Panem Ludowym Komisarzem Mołotowem?*

S. (po wzrokowym porozumieniu się z Mołotowem): — *Tak jest.*

MOŁOTOW: — *Jestem do usług Pana Ambadora, jeśli to Panu dogadza.*

R.: — *Zakomunikuję o powyższym mojemu Rządowi z prośbą o jego instrukcje i pozwolę sobie skomunikować się z Panem, Panie Komisarzu Ludowy. W każdym razie uważam stanowisko Pana Premiera, jako zapewnienie przystąpienia do rozpatrzenia tych spraw na podstawie dobrej woli i mam nadzieję, że negocjacje doprowadzą do porozumienia, które usunie istniejące trudności.*

Następują pożegnania.



Rozmowa odbywała się na Kremlu w gabinecie Stalina przy bocznym długim stole konferencyjnym, u którego końca siedział

tłumacz sowiecki, a w głębi u boku, pod ścianą, Stalin i Mołotow, mający naprzeciw siebie Ambasadora Romera i Radcę Mniszka.

Rozmowa przeciągnęła się przez 3 godziny i 10 minut. Odbывała się w tonie bardzo spokojnym i rzeczowym, chwilami swobodnym i niemal żartobliwym. Stalin, ubrany w jasno szarą kurtkę kroju wojskowego z miniaturą orderu Czerwonej Gwiazdy na piersi i w długich butach, wyglądał postarzały, choć w pełni sił fizycznych i nie zdradzał zmęczenia oraz był przez cały czas rozmowy w dobrym i równym nastroju. Mówił zwolna, z przerwami, cichym głosem, bardzo prosto, ale zawsze uprzejmie, widocznie dbając o uwzględnienie położenia i poglądów rozmówcy, co przyczynia się do narzucenia nań sympatycznego światła. Nie objawiał pewności siebie ani żadnych gestów czy wynurzeń, zdradzających dyktatora. Okazywał żywsze zainteresowanie i wyrażniejszą kompetencję osobistą przy omawianiu zagadnień wojskowych.

Mołotow w czasie poświęconej tym właśnie sprawom pierwszej części rozmowy zachowywał się obojętnie i milcząco i spoglądał co pewien czas nie bez zniecierpliwienia na zegarek. Natomiast w ciągu dyskusji na drażliwy temat granic i obywatelstwa ożywił się natychmiast i widocznie czuł nad oświadczeniami Stalina, co raz to zwięzając ich zasięg lub znaczenie i wtrącając swój osobisty, mniej dla nas życzliwy komentarz.

(Notował *Al. MNISZEK*)

KONFERENCJA GENERAŁA SIKORSKIEGO W BEJRUCIE

23 kwietnia 1943

OSTATNIA WYPOWIEDŹ SIKORSKIEGO*

Przewlekły, zacięty spór wokół osoby i polityki Władysława Sikorskiego (1881-1943) toczy się już od lat. Stale też przybywają do niego nowe przyczynki i głosy¹, co jest zjawiskiem zrozumiałym, a nawet wskazanym ze względu na rolę, jaką Sikorski od-

* Przygotował do druku J. Ciechanowski.

1. O szczegóły patrz: J. Ciechanowski, „Generał ostatniej nadziei”, *Zeszyty Historyczne* Nr 51/1980, str. 172 i dalsze; oraz Sarah Meiklejohn Terry, *Poland's Place in Europe*, Princeton 1983.

grywał w naszym życiu narodowym i politycznym, szczególnie w czasie ubiegłej wojny, kiedy w latach 1939-1943 jako premier i naczelny wódz kierował naszą walką o ponowne odzyskanie niepodległości. Ponadto Sikorski zawsze był postacią kontrowersyjną a jego polityka, szczególnie rosyjska i personalna, budziła ostrą krytykę i silne uczucia.

Dla jednych Sikorski był mężem opatrnościowym, któremu tragiczna, tajemnicza śmierć i rodzima opozycja nie pozwoliły uchronić nas od klęsk i nieszczęść, które na nas spadły w końcowej fazie wojny. Dla drugich był po prostu chwiejnym, przeceniającym swe siły i możliwości politykiem, który za często ulegał obcym wpływom i presjom, aby móc prowadzić korzystną dla Polski politykę.

Dla jego przeciwników polityka Sikorskiego była polityką „bluszczową”, prowadzoną pod dyktando Churchilla, Roosevelta, a nawet Stalina. Dla opozycji Sikorski był politykiem, który zbyt często robił dobrą minę do złej gry, aby mógł zasługiwać na pełne zaufanie i cieszyć się niepodzielnym autorytetem².

Dla zwolenników Sikorskiego natomiast jego polityka była prawie szczytem politycznej mądrości i realizmu, czego w żaden sposób nie chcieli zrozumieć jego zacietrzewieni przeciwnicy i oponenci, wyrządzający tym Sikorskiemu wiele niepotrzebnych trudności i przeszkód, co się źle odbijało na całokształcie spraw polskich³.

W istocie Sikorskiemu stale brakowało własnego politycznego obozu i szczerze, całkowicie mu oddanych ludzi, których zresztą często zrażał sobie swoją „galicyjską” małowartością, dbałością o własny prestiż i poklask rodaków, co przeszkadzało mu w realizowaniu własnej polityki. Co gorsze jednak, od wejścia ZSSR do wojny jego polityce zagranicznej nie sprzyjała międzynarodowa koniunktura. Od chwili ataku Hitlera na ZSSR akcje polskie, reprezentowane przez Sikorskiego w obozie alianckim, stale spadały, a rosyjskie wzrastały, w miarę tego jak opór sowiecki tężał i Armia Czerwona zaczęła odnosić zwycięstwa nad Niemcami.

Sądzę więc, że badaczy naszej najnowszej historii i czytelników *Zeszytów Historycznych* zainteresuje ostatnia długa wypowiedź Sikorskiego na temat sytuacji międzynarodowej, położenia Polski i jego własnych planów, wygłoszona do szefów placówek dyplomatycznych na Bliskim Wschodzie w Bejrucie 23 czerwca 1943 roku, a więc wkrótce po ukończeniu przez Sikorskiego inspekcji armii gen. Andersa oraz na niecałe dwa tygodnie przed jego nagłą śmiercią.

Sikorski zginął 5 lipca 1943 roku w katastrofie lotniczej pod

2. Patrz np.: Władysław Pobóg-Malinowski, *Najnowsza historia Polski*, tom III, wydanie II, Londyn 1981, str. 71 i dalsze.

3. M. Kukiel, *Generał Sikorski*, Londyn 1970, str. 89 i dalsze; oraz K. Papiel, *Generał Sikorski w mojej pamięci*, Londyn 1978, str. 106 i dalsze.

Gibraltarem. Nie ulega kwestii, iż nie zginął on z rąk Anglików, którzy uważali go za „rozsądnego” i właściwie jedyne polskiego polityka, który mógł jeszcze ponownie doprowadzić do polsko-sowieckiego porozumienia, na czym Churchillowi zależało i o co później zabiegał u Stalina⁴.

Z wypowiedzi Sikorskiego jasno wynika, iż spodziewał się szybkiego przywrócenia polsko-sowieckich stosunków dyplomatycznych przy poparciu Churchilla i Roosevelta — co niestety świadczy o jego politycznej naiwności.

Ta ważna, ostatnia wypowiedź Sikorskiego nigdy nie była dotąd w pełni opublikowana lub wykorzystana przez historyków.

Jan CIECHANOWSKI

W. SIKORSKI
Prezes R.M.

PROTOKÓŁ Z KONFERENCJI

SCIŚLE TAJNE

INSTYTUT HISTORYCZNY
IM. GEN. SIKORSKIEGO
KOL 1/47

Do dn. 23. VI. 1943
zał. 3.

ODPIS.

Na wstępie Prezes R.M. wyraża zadowolenie ze spotkania się z kierownikami placówek polskich na Środkowym Wschodzie i możliwości omówienia z nimi spraw związanych z ich terenem działania.

Następnie Prezes R.M. zapoznaje zebranych z ogólną sytuacją wojskowo-polityczną i na tym tle położeniem obecnym Polski.

W szczególności podkreśla, że emigracja nie jest najlepszą szkołą polityczną i wychowawczą. My, Polacy, jesteśmy do niej przyzwyczajeni, a jej skutki odczuwamy na sobie niejednokrotnie. Jeżeli nasze spory wewnętrzne, których nie brak niestety w polskim życiu emigracyjnym nie wyszły w zbyt skandalicznej formie na zewnątrz — składa się na to szereg czynników. Jednym z nich jest oparcie się Rządu o mocną podstawę, jaką jest zasada jedności narodowej oraz przyjęcie i przestrzeganie zasady, że polskie sprawy wewnętrzne należą wyłącznie do nas i że nie pozwalamy nikomu mieszać się do tych stosunków. Drugim niezmiernie waż

4. Relacja Sir Frank Roberts, byłego wyższego urzędnika Foreign Office.

nym czynnikiem, bo umożliwiającym rozwiązanie w harmonii i zgodzie najważniejszych problemów jest połączenie funkcji Premiera i Naczelnego Wodza. Nie jest to sprzeczne, jak niektórzy usiłują przedstawić, z duchem demokracji. W warunkach natomiast wojny nowoczesnej, która jest wojną totalną, obejmującą całe społeczeństwa, a nie ograniczającą się wyłącznie do jego sił zbrojnych, jest to nieodzowne. Dzisiaj zresztą dwie największe demokracje zachodnie Stany Zjednoczone i Wielka Brytania stosują tę samą zasadę, której znaczenie dla sprawnego prowadzenia wojny podkreślił premier Churchill podczas swego ostatniego pobytu w Waszyngtonie.

Jak będzie w Kraju, zależy to od warunków, jakie tam zasta niemy.

Na Środkowym Wschodzie istnieją dwa zasadnicze ośrodki polskie. Pierwszym i najważniejszym z nich jest Armia Polska, drugim zaś uchodźstwo cywilne. Trudności, z jakimi mamy tu do czynienia, powiększa jeszcze wielka odległość od Londynu, który jest, będzie i pozostanie do czasu pobytu tam Rządu a prawdopodobnie do końca wojny centrum dyspozycji. By te niepo myślnie warunki zmienić na lepsze, Rząd zdecydował się powołać tutaj swego stałego przedstawiciela. Jego zadaniem będzie koordynacja prac poszczególnych urzędów i organów rządowych na Środkowym Wschodzie, stałe informowanie Rządu i reprezentowanie go wobec brytyjskiego Ministra Stanu i władz brytyjskich na Środkowym Wschodzie, łagodzenie różnic i zadrażnień pomiędzy poszczególnymi ośrodkami polskimi, a wreszcie zniesienie tej niczym nie uzasadnionej linii podziału pomiędzy wojskiem a tzw. cywilami. Po poznaniu się z miejscowymi warunkami i stwierdzeniu, że sytuacja jest poważna, Premier spowodował zmianę poprzedniej decyzji Rządu w wyniku czego Delegatem mianowany został amb. Romer, otrzymując zmienione pełnomocnictwa i rozszerzone kompetencje, konieczne dla uniknięcia przykrych konsekwencji.

Z kolei Premier przedstawił zebrany ogólną sytuację polityczną. Biorąc w 1939 roku na siebie ciężar odpowiedzialności za losy państwa, Rząd Polski poszedł na utrzymanie ciągłości i legalności władzy. Ta droga, jak widać to dzisiaj, okazała się słuszną. Po trzech kryzysach, panuje dzisiaj zupełna harmonia pomiędzy Prezydentem, Premierem i Rządem. Niektóre jednostki poszły swoją drogą, rozchodząc się z Rządem (jak gen. Sosnkowski) w chwili nawiązania stosunków z Rosją Sowiecką. Zrobili to, zmieniając z dnia na dzień swoje poglądy i przychodząc naprzód do krytyki układu, a następnie do polityki Rządu. I zarzuty oka-

zały się demagogią, przechodzącą niejednokrotnie w oszczerstwa, jak np. pamflety wydane w Palestynie. Po czyjej stronie była słusność, oceni to historia. Dziś atoli można stwierdzić, że te zarzuty, jakie stawiała nam tzw. opozycja, znalazły się w ustach polityków sowieckich, w chwili ich oszczerczej kampanii poprzedzającej zerwanie stosunków dyplomatycznych i prowadzonej obecnie.

Znaczenie i wartość samego układu ocenił w sensie dla siebie negatywnym sam Stalin, decydując się na zwolnienie Rosji Sowieckiej z wynikających z tego układu zobowiązań. Zorientował się on bowiem w pewnym momencie, że układ ten, wzmocniony przez deklarację Rządu brytyjskiego, przekreśla rozbiór Polski, równocześnie z unieważnieniem traktatów niemiecko-sowieckich.

A poza tym podpisanie układu dało również inne olbrzymie rezultaty. Pozwoliło Rządowi wyrwać z Rosji Sowieckiej sto kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy polskich. Dzięki temu mogliśmy rozbudować lotnictwo i marynarkę wojenną oraz stworzyć silną armię lądową. Dziś polskie siły zbrojne stoją ciągle na piątym miejscu wśród Sprzymierzonych Narodów. Tej pozycji nie wolno nam zatracić przez nieodpowiedzialne wybryki czy przerost ambicji. Przystrogą dla nas mogą być tutaj armie grecka i jugosłowiańska, które dzięki tym błędom zeszyły do roli armii najemnych.

Najważniejszym jednak rezultatem układu z 30 lipca jest wielka pozycja, jaką zyskailiśmy dzięki niemu w obozie Sprzymierzonych Narodów. Dając dowód trzeźwości i rozsądku politycznego, pozyskailiśmy sobie przede wszystkim Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone. A właśnie na aliansie z Wielką Brytanią i wzmacniającej się z każdym dniem przyjaźni ze Stanami Zjednoczonymi budujemy na dziś i na przyszłość.

Z tej drogi nie wolno nam zejść, bez względu na takie czy inne pozory, czy też chwilowe rozbieżności, które zawsze mogą powstać. Stać również musimy mocno na gruncie jedności Sprzymierzonych. W jej ramach tylko zapewnić możemy pełny sukces sprawie polskiej. Podkreśla to w swym liście przekazanym drogą lotniczą do Bejrutu Prezydent Roosevelt. Daje w nim wyraz wielkiego zaniepokojenia, z jakim śledził rozwój stosunków polsko-sowieckich. Uczyni wszystko, by doprowadzić do przywrócenia pełnej jedności Zjednoczonych Narodów, opartej o sprawiedliwość i dobrą wolę. Oba te warunki skierowane są oczywiście pod adresem Rosji, gdyż jednej i drugiej nam nie brak. Prezydent Roosevelt wyraża w swym piśmie uznanie dla polityki Rządu Gen. Sikorskiego, z którym tylko kontynuować pragnie swą jak najbliższą współpracę. Na tym samym stanowisku stoją premier

Churchill i minister Eden, który przed wyjazdem Premiera z Londynu zapatrywał się optymistycznie na dalszy rozwój stosunków polsko-sowieckich, nie wyłączając możliwości ich wznowienia w krótkim stosunkowo czasie. Ostatnio zmienił swój pogląd o tyle, że termin załatwienia tych spraw określa na mniej więcej trzy miesiące.

Jako dowód dobrej woli ze strony Sowieców, Stany Zjednoczone i Wielka Brytania żądają od rządu ZSRR spełnienia 4 warunków, wysuniętych przez Rząd Polski, a mianowicie:

1. Ewakuacja, zwolnienie rodzin żołnierzy polskich sił zbrojnych, obejmując tym żądaniem zarówno żołnierzy, znajdujących się na emigracji jak i tych, którzy walczą w Kraju czy też znajdują się w obozach dla jeńców;

2. Ewakuacja dzieci i sierot polskich.

3. Kontynuowanie opieki nad ludnością pozostałą w Rosji.

4. Zwolnienie i ewakuowanie wszystkich mężczyzn, zdolnych do noszenia broni.

Ponadto Anglicy dorzucili jeszcze punkt 5 — o nawiązaniu stosunków dyplomatycznych.

W tej chwili inicjatywa nie leży w naszych rękach. Ograniczamy się do zachowania umiaru i spokoju, by nie zrobić niczego, co mogłoby utrudnić wspólną interwencję Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, jaka w tej chwili, jak to doniósł minister Raczynski, ma miejsce.

Czy sytuacja na froncie wschodnim zmieni się tak dalece, by ułatwić te interwencje, nie wiadomo. Niewątpliwie polityka lata, w odróżnieniu od zimy, jest dla nas korzystniejsza. Sześć tygodni temu można było oczekiwać, że Niemcy, po ustaleniu frontu wschodniego przejdą na nim do wielkiej ofensywy, której szanse powodzenia byłyby o tyle większe, że Hitler po klęsce pod Stalingradem przestał być czynnikiem decydującym o operacjach wojskowych. Jest nim obecnie generalicja niemiecka, której wpływy charakteryzuje incydent jaki miał miejsce z Himmlerem. Ten ostatni jakkolwiek w Niemczech ma wpływy coraz to większe i dzisiaj boi się go Hitler, nie uniknął 14-dniowej izolacji, gdy przybył na front wschodni. Uderzenie niemieckie mogło wyjść na Moskwę, by nawet w wypadku nie wzięcia jej szturmem, doprowadzić do zniszczenia zgrupowanych tam żywych sił sowieckich. Mogli też Niemcy, jakkolwiek mniej jest to prawdopodobne, powtórzyć swe uderzenie na Kaukaz, którego celem byłoby opañowanie ropy.

Załamaniem się Niemiec w Afryce Północnej, które nastąpiło w sposób tak bardzo dla nich charakterystyczny, zmieniło całko-

wicie dotychczasowe kalkulacje. Hitler zmuszony jest bronić się w twierdzy europejskiej. To określenie, które przyjęło się dzisiaj powszechnie, zostało po raz pierwszy użyte przez gen. Sikorskiego.

Dziś flanka południowa twierdzy europejskiej jest odsłonięta. Przypuszczalnie silny atak Aliantów na Włochy doprowadziłby do ich kapitulacji. Sprzymierzeni atoli nie będą spieszyli się z tym atakiem, zdając sobie sprawę z tego, że dzisiaj Włochy są dla Trzeciej Rzeszy obciążeniem poważnym, a nie czynnym sojusznikiem, ze strony którego oczekiwać mogą pomocy. Można się natomiast spodziewać poważnych wydarzeń na Morzu Śródziemnym w tym jeszcze roku, zmierzających do całkowitego zapewnienia sobie swobody ruchów przez Aliantów.

Niemcy są w ten sposób pozbawieni swobody manewru i narażeni na bezustanne ciosy lotnictwa sprzymierzonych, które przez stałe i na olbrzymio zakrojoną skalę bombardowanie Rzeszy, niszczy wojenny przemysł niemiecki i podrywa morale ludności. Stwarza to poważne trudności dla partii, która jednak mimo wszystko ciągle jeszcze panuje nad sytuacją wewnętrzną. W rezultacie Niemcy muszą poddać rewizji swój plan.

Wydaje się, że w chwili obecnej, kiedy obie strony nie angażują jeszcze całości swych sił, Niemcy są w trakcie rewizji dotychczasowej strategii i taktyki. Gromadzą rezerwy, aby sparować uderzenie sił alianckich na kontynent, a następnie przejść do ofensywy pokojowej, która według ich obliczeń mogłaby dać rezultaty.

Nie należy liczyć się, by na Wschodzie doszło do uderzenia, które wpłynęłoby na zmianę stanowiska rosyjskiego w sposób zasadniczy. Atoli dzisiaj Rosja zależy w olbrzymiej mierze od dostaw brytyjskich, a w szczególności amerykańskich. Zwracając na ten atut uwagę w swych rozmowach z brytyjskimi i amerykańskimi mężami stanu Premier stwierdzał dobrą koniunkturę dla interwencji w Moskwie tych mocarstw na rzecz naszych postulatów. Ta interwencja ma obecnie miejsce. Do tego musimy się zastosować zachowując spokój i opanowanie, a unikając plotkarstwa, zgubnej jak zawsze megalomanii, która tyle szkody przyniosła nam w przeszłości. Polityka Rządu Polskiego jest podyktowana tymi względami a zarazem, gdy o interesie R.P. mowa, jest ona stanowcza i mocna. Dzięki niej nasza sytuacja, mimo, że przechodzimy przez okres najtrudniejszy, jest niewątpliwie najlepsza spośród wszystkich rządów sprzymierzonych, znajdujących się chwilowo na terenie Londynu, czy też tutaj na Środkowym Wschodzie. Pewne koncepcje, które mogłyby się dla nas wydawać niebezpieczne, a które tym więcej się mówi i dyskutuje oraz

wyolbrzymia, im dalej od Londynu, przedstawiają się z bliska w zupełnie odmiennym świetle. Tak np. mogłyby budzić zastrzeżenia próby nawrócenia do polityki tzw. paktu czterech, której realizacja oddawałaby Europę środkowo-wschodnią pod wpływ rosyjskie. Zainterpelowany przez Premiera w tej sprawie min. Eden stwierdził, że obecna bliska współpraca wielkich mocarstw leży u podstaw zasady bezpieczeństwa światowego, która zostanie rozszerzona do 7 czy 8 państw, m.in. obejmujących i Polskę.

Ta rzeczywistość nie zawsze cechuje polityków brytyjskich w koloniach czy tutaj na Środkowym Wschodzie. Stosują oni często politykę własną, co mogłoby doprowadzić do zasadniczych nieporozumień. Dlatego z zastrzeżeniem i wielką ostrożnością przyjmować należy wszelkie opinie o sprawach polskich i o stosunkach w obozie alianta, by przez zbyt łatwe im uleganie nie wnosić podniecenia i zdenerwowania, szczególnie w szeregach armii.

Wysiłkiem olbrzymim wydobyta została Polska z bezdennej przepaści w jakiej znalazła się po wrześniu 1939 roku. Przystępując do odbudowy naszej pozycji w świecie, a przede wszystkim zaufania, nie dysponowaliśmy prawie żadnymi wartościami realnymi. Nawet zawarty przez Rząd poprzedni układ z rządem brytyjskim z sierpnia 1939 roku, który poza tym przyniósł nam wiele korzyści, nie tylko nie gwarantował nam całości granic, ale zawierał tajną klauzulę, stwierdzającą, że zobowiązania brytyjskie nie dotyczą naszych granic wschodnich i nie stanowią żadnych gwarancji terytorialnych. Dzisiaj — co jest wielkim sukcesem Rządu — jesteśmy w posiadaniu brytyjskiego oświadczenia o nieuznawaniu żadnych zmian terytorialnych w Polsce.

Wydobyszy się z tej przykrej sytuacji musimy wyciągnąć stąd konsekwencje na dziś i na jutro.

Premier zwraca się do zebranych, by zaapelowali stanowczo do swych podwładnych o jak najbardziej społeczne nastawienie w ich pracy. Nie można tolerować rozdziału między urzędnikiem i obywatelem, który jest niejednokrotnie uważany za pariasa. Unikać trzeba wszystkiego co drażni, zwłaszcza tak bardzo nam szkodzącej przesadnej reprezentacji. Szkodliwym bardzo objawem jest odseparowywanie się Polaków od cudzoziemców i zamykanie się w „getcie” polskim. Z tymi objawami należy skończyć zdecydowanie, kładąc nacisk na jak największe wykorzystanie przymusowego pobytu za granicą, by wrócić do Polski z nowymi wartościami i wiedzą. Tego oczekuje i ma prawo od nas żądać Kraj.

Objawem, który należy tępić bezwzględnie, jest zaniedbywanie obowiązków służbowych na rzecz polityki. Polityka do urzęd-

ników nie należy, a podchodzenie do pracy z punktu partyjnego, byłoby rzeczą karygodną.

Ukrócić trzeba wreszcie plotkarstwo i wystąpić energicznie przeciw oszczerstwom, rzucanym tak często na najbardziej niewinnych ludzi. Zbyt wiele traci się u nas energii na rozpatrywanie spraw personalnych i zbyt wiele osób czuje się powołanych do ich rozpatrywania, zbyt wiele wygłasza swe sądy zbyt lekko-myślnie.

Nie jest również postawiona należyście sprawa stosunku do Rządu. Jest on niejednokrotnie za ostro krytykowany bez najmniejszego uzasadnienia. By temu zapobiec, odpowiednie organy polskie winny większy położyć nacisk na podkreślenie autorytetu Prezydenta i Rządu oraz znaczenia, jakie posiada dla nas legalizm władzy.

W pracy swej musimy wznieść się na ten poziom, jaki wykazuje w codziennej walce i cierpieniu Kraj. Ostatnio otrzymaliśmy wiadomości o masowych aresztowaniach w Warszawie i na prowincji, które osiągnęły rozmiary największe 29 maja. Tutaj Premier odczytuje tekst depeesz tajnych z Kraju, z których wynika, że kilkaset osób rozstrzelano w samej Warszawie. Te prześladowania stoją w związku z przyjazdem do Warszawy Himmlera i ostatnimi zamachami polskich organizacji wojskowych na najwyższych urzędników niemieckich w tzw. Generalnym Gubernatorstwie, w szczególności kierowników Gestapo. Kraj domaga się represji lotniczych ze strony Sprzymierzonych. Są one jednak niemożliwe, gdyż Alianci nie są w stanie i nie chcą rywalizować z Niemcami w prześladowaniach. Jest to stanowisko uzgodnione przez nas z Anglikami. Stosuje się natomiast rozrzucanie z samolotów bombardujących Niemcy fotografii Warszawy, Rotterdamu i Londynu z odpowiednimi ulotkami. W tej sytuacji Premier wysłał depeeszę do Kraju, nakazując przestrzeganie ekonomii sił, tak potrzebnych Polsce w okresie odbudowy.

Licząc się z tymi warunkami w Kraju musimy całą energię skoncentrować na rzetelnej pracy. Nie możemy rozdrabniać jej na rzeczy uboczne nie mające nic wspólnego z naszymi zadaniami. Dotyczy to w szczególności wojska, które musi być odciążone od wszelkich spraw ubocznych. W tym właśnie duchu wydał N.W. zarządzenia podczas swej inspekcji w A.P.W.

Powracając do sytuacji politycznej, Premier stwierdza, że idea federacyjna, której myśl pierwszy rzucił Rząd Polski w 1939 roku, będzie przez nas realizowana nadal, bez względu na obecne trudności. Nie jest to bowiem polityka koniunkturalna, ale polityka zgodna z życiowymi potrzebami państw średnich i mniejszych.

Znajduje ona zresztą całkowite poparcie Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. Prezydent Benesz, który wobec silnego ataku Rosji na politykę federacyjną wycofał się z niej, obecnie, po pobycie w Stanach Zjednoczonych, zaczyna do niej nawracać. Rząd Polski nie porzucił jedynie na koncepcji federacji Europy środkowo-wschodniej, w postaci dwóch bloków federacyjnych. Wystąpił on z inicjatywą porozumienia na szerszych podstawach, zmierzającego do ściślejszej współpracy państw kontynentalnych. Inicjatywa ta doprowadziła do powołania stałych konferencji i komitetów międzyalianckich, których biura mieszczą się w Prezydium Rady Ministrów. Już dzisiaj, mimo, że rządy w Londynie nie zawsze stoją na wysokości zadania, praca ich wydaje pierwsze rezultaty. M.in. zakończona została bardzo zasadnicza i o wielkim znaczeniu na przyszłość praca o środkach, jakie winny być zastosowane po wojnie do Niemiec. Na zakończeniu jest praca o warunkach przyszłego zawieszenia broni. W komitetach tych biorą udział również Francuzi, z którymi zawarliśmy układ. Jesteśmy obecnie w trakcie jego rozszerzenia na nowy Komitet Wyzwolenia Francji. Zostanie to sfinalizowane, gdy Giraud i de Gaulle dojdą ze sobą do definitywnego porozumienia. Niezależnie od tego przeprowadzane są formalności w związku z odzyskaniem złota polskiego.

Na zakończenie Prezes Rady Ministrów podkreśla raz jeszcze olbrzymie znaczenie, jakie posiada dla Polski jedność narodowa. W imię tej jedności współpracują ze sobą wielkie stronnictwa polityczne w Kraju, podporządkowując równocześnie swe organizacje paramilitarne Komendantowi Armii Krajowej. Musimy brać przykład z naszych braci w Kraju, którzy nie ugięli się ani na krok odrzucając próby współpracy z Niemcami. Nie znalazły wśród społeczeństwa polskiego żadnego oddźwięku oferty niemieckie, by na miejscu masowej zbrodni w Katyniu zbudować pomnik, dla uczczenia pomordowanych. Z tej jasnej i zdecydowanej drogi Kraj nie zejdzie. Tym bardziej obowiązuje nas bezwzględna z nim harmonia we wszystkich poczynaniach.

czyt.

3. VII. 1943.

(SIKORSKI)

Prezes R.M.

Za zgodność:

mgr R. Oppmanowa

Archiwum Instytutu Historycznego im. Gen. Sikorskiego. Kolekcja Gen. Andersa. Teka 3, e. Załącznik do pisma T. Romera do gen. Andersa z 6. VII. 1943.

UCIECZKA MIKOŁAJCZYKA Z PRL W 1947 ROKU

MEMORANDUM BYŁEGO PIERWSZEGO SEKRETARZA
AMBASADY [USA] W POLSCE (ANDREWSA)¹
PROTOKÓŁ Z KONFERENCJI

ŚCIŚLE TAJNE

(WASZYNGTON) 17 października 1947.

W piątek, 17 października o godz. 17.45 p. Mikołajczyk wysłał pilną notę do p. Blake'a, drugiego sekretarza ambasady w Warszawie, zawiadamiając w niej, że pragnie zobaczyć się z nim. Ponieważ Blake był wówczas nieobecny, p. Andrews, pierwszy sekretarz, natychmiast udał się do domu Mikołajczyka. Przywódca Polskiego Stronnictwa Ludowego poinformował go, że po najgłębszych przemyśleniach i rozważaniach z każdego punktu widzenia, doszedł do wniosku, iż rząd polski zamierza pozbawić immunitetu poselskiego jego i pewnych posłów z ramienia PSL oraz aresztować go i jego kolegów, aby wytoczyć im proces. Powiedział, że otrzymał tę wiadomość z dwóch wysoce wiarygodnych źródeł. Wedle Mikołajczyka, rząd miał podjąć tę akcję na najbliższej sesji Sejmu, wyznaczonej na poniedziałek 27 października. Był zdania że, tak jak w wypadku Pietkova, wyrok śmierci był z góry przesądzony i nie uważał, aby wyrażenie zgody na los ofiary morderstwa sądowego służyło sprawie Polski bądź jakimkolwiek innemu pożytecznemu celowi. Dodał, że nie widzi sensu w niepotrzebnym oddawaniu życia, jeśli istnieje możliwość ucieczki. Następnie zwrócił się w poruszających słowach o naszą pomoc w wydostaniu się z Polski na nasze przyjazne terytorium.

Andrews przekazał natychmiast przebieg tej rozmowy ambasadorowi Griffisowi, a ambasador odparł, że zdecydowanie pragnie pomóc Mikołajczykowi w ucieczce z Polski. A zatem wieczor-

1. George D. Andrews służył w charakterze pierwszego sekretarza ambasady Stanów Zjednoczonych od stycznia 1946 do wyjazdu z Warszawy w dniu 26 października 1947 roku. Jego przeniesienie do Vancouver w Kanadzie na stanowisko konsula Departament Stanu zatwierdził w dniu 6 października 1947 roku.

rem tego dnia, w rezydencji ambasadora odbyła się narada z udziałem ambasadora, radcy², attaché wojskowego³ i Andrews. Zdecydowano, że w świetle odpowiedzialności moralnej, którą ponosimy z Anglikami w związku z tym, że skłoniliśmy Mikołajczyka do powrotu do Polski w 1945 roku, musimy na własne ryzyko i bez powiadamiania nikogo prócz ambasady brytyjskiej podjąć kroki w celu ocalenia Mikołajczyka przed opanowanym przez komunistów rządem polskim.

Tak się złożyło, że amerykański konwój ciężarówek wojskowych przybył poprzedniego dnia z Berlina w celu przetransportowania do Berlina zwłok 102 ofiar wojny — obywateli amerykańskich, pochowanych w Polsce. Konwój miał się udać w drogę powrotną w niedzielę 19 października i rozważano możliwość ukrycia Mikołajczyka w pustej trumnie. Jednocześnie zbzdano wszelkie inne możliwości i poddano je skrupulatnej analizie. Narada zakończyła się ok. 23.00 i ustalono, że kolejne spotkanie odbędzie się następnego dnia, na które postanowiono zaprosić brytyjskiego *chargé [d'affaires]*.

O 11.30 18 października odbyła się druga narada, w której prócz uczestników z poprzedniego dnia był również obecny p. Broad, *chargé* brytyjski, oraz kapitan będący dowódcą konwoju amerykańskiego. Należy odnotować, że kapitan konwoju, w pełni świadom niebezpieczeństw związanych z wywiezieniem Mikołajczyka w ciężarówce, bez wahania zaoferował swoje usługi i wyraził opinię, że istnieje duża szansa powodzenia tej operacji. Omówiono też szczegółowo inne drogi ucieczki, w tym możliwość udzielenia Mikołajczykowi pomocy w dotarciu do granicy czechosłowackiej, a następnie w przejściu przez Czechosłowację do amerykańskiej strefy w Niemczech, albo na trasie do Gdyni, a stamtąd drogą morską do Szwecji, Danii lub Wielkiej Brytanii. W świetle faktu, że wariant ucieczki przez Gdynię wiązał się z przekroczeniem tylko jednej granicy, podczas gdy inne trasy wymagały przekroczenia dwóch lub trzech, przekazano telefoniczną wiadomość do Walpole'a Davisa, dyrektora przedstawicielstwa linii żeglugi Moore-MacCormack w Gdyni, informując go, że ambasador pragnie zobaczyć się z nim w Warszawie następnego dnia. Jednocześnie Broad zgodził się wysłać natychmiast do Gdyni swojego *attaché* morskiego, kapitana Ruck-Keena, z zadaniem zapoznania się z rejsami statków odpływających do Anglii.

2. Edward Crocker.

3. Płk Thomas J. Betts.

O godz. 12.45 18 października Andrews udał się do siedziby głównej PSL na spotkanie z Mikołajczykiem w jego gabinecie. Rozmowa z nim trwała 50 minut. Na podstawie instrukcji otrzymanych od ambasadora i zgodnie z porozumieniem zawartym przez członków naszej ambasady i p. Broada, Andrews przedstawił mu trzy następujące sugestie: (1) że zostanie wywieziony w trumnie przez konwój amerykański; (2) że zostanie przewieziony przez Czechosłowację i (3) że udzieli mu się pomocy w opuszczeniu kraju przez Gdynię, na pokładzie zagranicznego statku. Mikołajczyk odparł, że woli trzeci z przedstawionych planów i że nie odpowiada mu idea wywiezienia w trumnie, ponieważ uważa, że byłby to zły krok z politycznego punktu widzenia, zarówno dla jego partii politycznej, jak i dla wszystkich Polaków przeciwnych rządowi komunistycznemu, w wypadku gdyby wykryto, że próbował w ten sposób uciec. Co więcej, nie może opuścić Warszawy w niedzielę 19 października, ponieważ, jak o tym dobrze wie rząd polski, zaplanował spotkanie z przywódcami Polskiego Stronnictwa Ludowego na 20 października o godz. 11.00 i jeśli nie pojawiłby się na tym zebraniu, jego nieobecność od razu by zauważono i powiadomiono by natychmiast straż graniczną i inne patrole⁴. Dodał jednak, że jest gotów do ucieczki w poniedziałek począwszy od godz. 16.00, ponieważ wtedy posiedzenie się skończy, i wówczas przystaje nawet na ucieczkę w trumnie w konwoju amerykańskim.

Tymczasem ambasador, p. Crocker, pułkownik Betts, Broad i Blake udali się do podmiejskiej willi tego ostatniego, celem dalszych dyskusji. Ok. godz. 15.00 Andrews poinformował ambasadora i pozostałe osoby, co Mikołajczyk mu powiedział. Na tym spotkaniu zrezygnowano z planu użycia konwoju, chociaż jego kapitan stwierdził, że może opóźnić odjazd do wtorku rano.

W niedzielę 19 października odbyła się dalsza narada, z udziałem ambasadora, radcy, *attaché* wojskowego, Andrews, Blake'a, Broada i Davisa, który przyjechał z Gdyni. Davis powiedział, że brytyjski statek *Baltavia* ma odpłynąć we wtorek 21 październi-

4. Stefan Korboński pisze w swych wspomnieniach (*W imieniu Kremla*, str. 320), że na posiedzeniu NKWPSL 8 października 1947 roku zaproponował rozwiązanie stronnictwa. Poprzednio, jeszcze w połowie lipca, Stanisław Bańczyk na naradzie w ściślejszym gronie proponował przeniesienie działalności naczelnych władz stronnictwa za granicę, ponieważ w przeciwnym razie wszyscy przywódcy zostaną uwięzieni lub nawet straceni. Mikołajczyk sprzeciwił się temu, oświadczając, że przywódcy PSL muszą „dotrwać na posterunku do końca chociażby najgorszego”. Był to zdaniem Mikołajczyka ich „obowiązek wobec wyborców i całego kraju”. (*Tamże*, str. 311-312).

ka i że jest w kontakcie z brytyjskim *attaché* morskim, który sądzi, że parowiec może opuścić port kilka godzin wcześniej, oraz dodał, że porozumiano się z kapitanem statku brytyjskiego w sprawie ukrycia Mikołajczyka na pokładzie, pod warunkiem, że go tam dostarczymy. Po wielogodzinnych obradach opracowano szczegółowy plan działania przedstawiony poniżej. Postanowień przestrzegano i okazały się one sukcesem. Zdecydowano, że skoro Andrews widział się z Mikołajczykiem dwa dni z rzędu, kolejne jego spotkanie z przywódcą PSL mogłoby wzbudzić podejrzenia sił bezpieczeństwa, a zatem tego wieczora powinien go odwiedzić Blake, co też się stało. Blake odbył z Mikołajczykiem godzinną rozmowę i przedstawił plan, który Mikołajczyk zaakceptował. Planu tego trzymano się i okazał się on skuteczny. O godz. 18.30 w poniedziałek 20 października ciężarówka ambasady załadowana skrzyniami i paczkami należącymi do brytyjskiego *chargé* i zaadresowanymi do Londynu została zaparkowana na ulicy w Warszawie, w punkcie uzgodnionym z Mikołajczykiem. Ten ostatni przybył jednak na spotkanie w towarzystwie znajomego mężczyzny, czego przedtem nie ustalono, i po ok. 10-minutowym zbadaniu terenu wszedł w końcu do ciężarówki, przecisnął się przez tunel sporządzony ze skrzyń i paczek i przełożył je następnie w ten sposób, że był całkowicie nimi zakryty. Ciężarówka, którą prowadził p. Penhallow, odpowiedzialny w ambasadzie za garaż i serwis samochodów ciężarowych, z towarzyszącym mu sierżantem Sliwką z biura *attaché* wojskowego, ruszyła w kierunku Gdyni. Pojazd musiał po drodze przejść przez dziewięć punktów kontroli i na każdym z nich zatrzymać się. Należy wspomnieć, że kierowca, p. Penhallow, stwierdził następnie w raporcie, że przez dwie do trzech godzin przed jego pojazdem jechał samochód w ciągle tej samej odległości, bez względu na szybkość, z jaką prowadził on ciężarówkę. To by wskazywało, że Mikołajczyk, bez uprzedniego porozumienia z nami, zaaranżował dla siebie samochód na wszelki wypadek, i gdyby został wykryty, użyłby go do ucieczki. W jednym wypadku strażnik domagał się inspekcji zawartości ciężarówki. Przeprowadził ją przy pomocy latarki, podnosząc plandekę i zaglądając do środka. W tym momencie kierowca ciężarówki, któremu dano przed odjazdem 500 tys. złotych w celu wręczenia łapówki, jeśli będzie to absolutnie nieuniknione, stwierdził, że trzymał w jednej ręce banknoty, a w drugiej klucz francuski, gotowy do użycia jednego z tych środków. Na szczęście jednak inspekcja okazała się pobieżna i uciekinier nie został wykryty. Po wielu przygodach, w tym licznych zmianach opon, ciężarówka dotarła do domu Davisa w So-

pocie ok. 3.30 nad ranem, z jednym z tylnych kół płonącym z powodu tarcia, nie było bowiem czasu na dalsze zmiany opon. Należy wyrazić słowa uznania pod adresem Penhallowa i Śliwki za ich odwagę, pomysłowość i sprawność, z jakimi wykonali powierzoną im misję.

Davis zaprowadził Mikołajczyka do swego domu, poczęstował śniadaniem i zapewnił krótki odpoczynek. Następnie kwadrans przed siódmą obaj podjechali jawnie samochodem Davisa do mola, przy którym znajdował się parowiec. Po przybyciu na przystań Davis zaczął głośno wyrzekać na ambasadę brytyjską w Warszawie która nakazała umieszczenie skrzyń z rzeczami ambasadora w ostatniej chwili przed odplynięciem statku, czym zjednał sobie współczucie polskiego strażnika stojącego przy trapie. Zdołał go również nakłonić, ażeby odszedł od statku i udał się do pomieszczenia celników, gdzie sposób załadowania skrzyń stał się przedmiotem dalszej dyskusji. Wykorzystując chwilową nieobecność strażnika, Mikołajczyk wszedł po trapie na pokład, gdzie został natychmiast ukryty przez kapitana w kabinie przeznaczonej dla chorych. Kilka minut później strażnik polski powiedział, że skończył na dziś służbę, i gdy na jego posterunku zjawił się inny strażnik, Davis wszedł na pokład, odbył krótką rozmowę z kapitanem, a następnie zszedł z trapu na oczach strażnika i odjechał. Statek odplynął ok. 9.30 i około południa opuścił polskie wody terytorialne, bezpiecznie kontynuując rejs do Londynu, gdzie miał zawinąć 26 października. Davisowi należy się uznanie, tak jak Penhallowi i Śliwce, ponieważ gdyby plan został wykryty przez władze polskie, jego stanowisko w Gdyni i kariera zawodowa byłyby wystawione na niebezpieczeństwo.

Należy odnotować, że zawierając porozumienie z Mikołajczykiem w sprawie jego ucieczki, ambasador i jego personel stwierdzili jasno, iż są przygotowani udzielić pomocy wyłącznie jemu i nikomu innemu. Co więcej, Mikołajczyk miał opuścić kraj bez powiadamiania kogokolwiek o swym ryzykownym odjeździe. Poprosił on jednak, aby mógł w drodze wyjątku powiadomić swoją sekretarkę. (Trzeba dodać, że w rozmowie z Andrewsem Mikołajczyk powiedział, że pani Hulewicz, jego sekretarka, jest w istocie jego żoną, ponieważ potajemnie rozszedł się ze swą byłą żoną, przebywającą w Anglii). Uzgodniono zatem, że choć ambasada nie jest przygotowana do udzielenia jego sekretarce pomocy przy przekraczaniu granicy polsko-czechosłowackiej, poczyni się odpowiednie starania w porozumieniu z amerykańskim *attaché* wojskowym w Pradze, jeśli zdoła ona opuścić Polskę i zgłosi się do

niego. On z kolei poinformuje władze amerykańskie w strefie amerykańskiej w Niemczech, aby udzielono jej tam pomocy po przybyciu. (Dowiedziano się później, że panią Hulewicz wykryto w Czechosłowacji i przekazano władzom w Polsce).

George D. ANDREWS



TELEGRAM

AMBASADOR W POLSCE (GRIFFIS) DO PEŁNIĄCEGO OBOWIĄZKI SEKRETARZA STANU

Ścisłe tajne

Warszawa, 21 listopada 1947 r.
godz. 11.00

1897. Dla Lovetta. W środę 19 listopada zostałem wezwany do Ministerstwa Spraw Zagranicznych o 18.00 i w obecności ministra spraw zagranicznych Modzelewskiego, dyrektora departamentu politycznego oraz szefa sekcji amerykańskiej doktora Leszczyńskiego wręczono mi notę następującej treści:

„Ekscelencjo, pragnę zwrócić uwagę Ekscelencji na następujące fakty:

Jak Ekscelencja wie, były poseł Stanisław Mikołajczyk nielegalnie przekroczył granicę Polski. Na podstawie zeznań osób aresztowanych w związku z tą sprawą przez władze polskie, w tym m.in. p. Marii Hulewicz i Wincentego Bryi, a także na podstawie innych dowodów ustalono, że urzędnicy ambasady amerykańskiej w tym m.in. pp. Monroe, W. Blake i George D. Andrews, pomogli Mikołajczykowi w jego bezprawnym wyjeździe. Jestem przekonany, że Jego Ekscelencja zgodzi się ze mną, iż takie postępowanie ze strony urzędników dyplomatycznych ma charakter ingerencji w wewnętrzne sprawy Polski i stanowi nadużycie przywilejów dyplomatycznych, jak również zasad gościnności.

Pan Andrews od tego czasu opuścił Polskę. Natomiast co do p. Blake'a, jestem zmuszony do oświadczenia z żalem, że przestał on być *persona grata* i zatem zwracam się z wnioskiem, aby został natychmiast odwołany z Polski.

Będę wdzięczny Jego Ekscelencji za poinformowanie mnie, jakie stanowisko zajmuje Ekscelencja w tej sprawie i pozwalam sobie zapewnić Jego Ekscelencję o moim głębokim szacunku. Podpisane: Z. Modzelewski”.

Dodatkowe informacje w następnym telegramie, który wysyłam natychmiast.

GRIFFIS



TELEGRAM

AMBASADOR W POLSCE (GRIFFIS) DO PEŁNIĄCEGO
OBOWIĄZKI SEKRETARZA STANU

Ścisłe tajne

Warszawa, 21 listopada 1947 r.
południe

1898. Dla Lovetta. Dalszy ciąg mojej depeszy 1897 z 21 listopada. Minister spraw zagranicznych, po wręczeniu mi noty, oświadczył dalej ustnie, że rząd polski ma dowody na to, iż Andrews i Blake konferowali z Mikołajczykiem szereg razy w dniach między 17 i 19 października i że Mikołajczyk uciekł przy użyciu samochodu amerykańskiego. Następnie powołał się na oświadczenie złożone rzekomo przez niezidentyfikowane źródło amerykańskie w Niemczech i ogłoszone w *New York Times*'ie, który podał, że istnieje grupa Amerykanów organizujących przerzuty z Polski naukowców i innych ludzi. [Minister] wykorzystał tę okazję, aby powołać się na prasę amerykańską i wiadomości radiowe, które rozpowszechniały insynuacje o tym, że Mikołajczyk został potajemnie aresztowany przez władze polskie, że jego życie znajduje się w niebezpieczeństwie, że został zamordowany. Zamknął tę część swoich uwag stwierdzeniem, że istniała pewna liczba osób, które widziały, jak Mikołajczyk wsiadał do samochodu amerykańskiego w dniu swojej ucieczki.

Zapytałem natychmiast o dowody użycia samochodu amerykańskiego i dalsze informacje co do czasu i miejsca, w którym Mikołajczyk wsiadł do samochodu i gdzie ten samochód go zawiózł. Minister spraw zagranicznych odpowiedział mi, że spodziewa się otrzymania tych danych wkrótce i że przekaże mi je w odpowiednim czasie. Wyraziłem gniew i oburzenie, że zwrócono się do mnie z wnioskiem o odwołanie Blake'a na podstawie

tak bezpodstawnych dowodów, jakie mi przedstawiono i stwierdziłem, że nota była jeszcze jedną próbą obarczenia USA i ambasady amerykańskiej odpowiedzialnością za wszystkie nieszczęścia Polski. Dodałem, że żaden urzędnik ambasady nie przekroczył prawa polskiego i że uważam całą sprawę za jeszcze jedną obrazę w długiej kampanii ataków prasy polskiej i ministrów rządu polskiego. Minister spraw zagranicznych odmówił wycofania noty i opuściłem ministerstwo po 75-minutowej dyskusji.

Wczoraj, w czwartek 20 listopada, zażądałem następnej audycji z ministrem spraw zagranicznych i spotkałem się z grupą w tym samym składzie o 14.30. Podkreśliłem politykę korzystną dla Polski, którą ambasada stosuje za mojej tu kadencji. Dałem im moje osobiste słowo, że wbrew oskarżeniom, ambasada nie przekazała nigdy funduszy ani Mikołajczykowi ani jego partii, że nie istnieje w Polsce żadna organizacja amerykańska która zajmowałaby się przemycaaniem ludzi za granicę, i że żaden z członków ambasady nie pogwałcił prawa polskiego odnoszącego się do tej sprawy. Przypomniałem o powadze sytuacji światowej, o otwarciu konferencji ministrów w Londynie¹, zwróciłem uwagę, że nota powyższa nie służy żadnym użytecznym celom, jak i rozgłos będący jej wynikiem. Stwierdziłem, że może to oznaczać zajęcie przez ambasadę i rząd polski antagonistycznych stanowisk, z których rządowi polskiemu będzie się później trudno uwolnić. I raz jeszcze zwróciłem się z apelem, aby rząd polski wycofał notę uznającą Blake'a za *persona non grata*, wyrażając gotowość zarekomendowania Departamentowi Stanu przeniesienie go w „sensownie niedalekiej przyszłości”, ponieważ bez względu na sytuację, jego służba na placówce w Polsce dobiega końca. Stwierdziłem, że jeśli moja sugestia zostanie przyjęta, inne rządy powinny uzgodnić, że cały ten epizod należy utrzymać w tajemnicy i że w wypadku procesu trzech aresztowanych osób nie dopuści się do ataków na Stany Zjednoczone i nie będzie się oskarżać USA o jakikolwiek udział w tej sprawie.

Oświadczyłem dalej, że bez względu na to, co pp. Blake i Andrews uczynili bądź nie, odpowiedzialność spada na ambasadora, a zatem atak na nich jest w równym stopniu skierowany przeciwko mnie.

Po długiej dyskusji minister spraw zagranicznych zgodził się wycofać notę i przyjął różne sugestie, pod warunkiem, że zaaran-

1. Jest to aluzja do piątej sesji Rady Ministrów Spraw Zagranicznych, która odbyła się w dniach 25 listopada - 15 grudnia w Londynie.

żując przeniesienie p. Blake'a, co obecnie proponuje Departamentowi².

Nie dostarczyliśmy telegraficznie żadnych praktycznie informacji dotyczących naszej bezpośredniej wiedzy na temat wydarzeń w związku ze sprawą Mikołajczyka. Uważamy, że wskutek wizyty Andrews'a, wiecie o tym tyle, co i my. Jeśli nie, przekabluje te dane gdy tego zażądacie. Wedle mego osobistego przekonania, rząd polski nie dysponuje dowodami, prócz zeznań złożonych przez troje Polaków aresztowanych w Czechosłowacji, a więc na przykład nie ma dowodów na to, że Andrews i Blake rozmawiali z Mikołajczykiem w jego mieszkaniu kilkakrotnie w dniach między 17 i 19 października.

Jak stwierdziłem powyżej, zalecam w tym miejscu transfer Blake'a z Warszawy³, wraz z najwyższym uznaniem dla odwagi, zdolności i postawy, jakie może wyrazić ambasador swojemu pracownikowi służby dyplomatycznej i z wnioskiem, aby awansowano go i dano wybór placówki dyplomatycznej, która będzie zgodna z jego wysokimi kwalifikacjami i moimi poprzednimi rekomendacjami przekazanymi Ravndalowi⁴.

GRIFFIS

Memorandum George'a D. Andrews'a i depesze ambasadora Griffisa ogłoszono w zbiorze dokumentów pn. *Foreign Relations of the United States* (Stosunki zagraniczne Stanów Zjednoczonych), 1947, t. IV, str. 460-467.

2. Porozumienie opisane tutaj było przedmiotem wymiany listów między ministrem Modzelewskim i ambasadorem Griffisem, datowanych 21 listopada. Ich teksty przekazano Departamentowi Stanu jako załączniki do depeszy nr 426, nadanej 26 listopada z Warszawy, ale nigdzie nie ukazały się drukiem.

3. Departament Stanu zatwierdził transfer Blake'a do ambasady w Rzymie, dokąd dyplomata udał się z Warszawy w dniu 9 grudnia.

4. Christian M. Ravndal, dyrektor generalny służby zagranicznej Stanów Zjednoczonych.

RECENZJE

Piotr WANDYCZ — Janusz K. ZAWODNY

DWUGŁOS O KSIĄŻCE JANA KARSKIEGO „WIELKIE MOCARSTWA A POLSKA 1919-1945”*

Jan Karski, profesor nauk politycznych na Georgetown University, jest znany szerszemu gronu Polaków jako wystannik podziemia do Roosevelta w czasie drugiej wojny światowej, autor *The Story of a Secret State* i człowiek, którego piękną bojową kartę symbolizują *Virtuti Militari* i drzewko posadzone w Alei Sprawiedliwych w Jerozolimie. Zadanie, którego się podjął jest niełatwe. Chcąc przedstawić stosunek wielkich mocarstw do Polski od Wersalu po Jałtę, historyk musi nie tylko analizować ten stosunek w kontekście ich wewnętrznej i zagranicznej polityki, ale także nawiązując stale do polskiej polityki i dyplomacji. Ten okres stosunków międzynarodowych jest przedmiotem rozległych i różnorodnych badań, a historiografia jest nie tylko bogata, ale i pełna sporów historiograficznych. Zagadnienie pokoju wersalskiego na przykład, które ponad szesnaście lat temu historyk z Princeton Arno Mayer przedstawił jako „kontrrewolucyjny” traktat, wynikły z obaw przed rewolucją bolszewicką, jest wciąż jeszcze dyskutowane. Odnośnie Polski tezy Mayera zbił ostatnio Kay Lundgreen-Nielsen w specjalnym numerze *International History Review*, poświęconym właśnie Polsce wśród wielkich mocarstw. Lundgreen-Nielsen, nawiasowo, jest autorem bardzo wartościowej pracy pt. *The Polish Problem at the Paris Peace Conference*, będącej prawie modelem analizy współzależności polityki wielkich mocarstw i Polski w tym okresie.

* Jan Karski, *The Great Powers and Poland 1919-1945: From Versailles to Yalta* (Lanham, New York, London, University Press of America, 1985), str. 697.

Lata 1920-te, długo zaniedbywane przez historyków dyplomacji, zostały w ostatnich dekadach solidnie przebadane przez uczonych, często młodszego pokolenia, jak Jacobson, Schuker, Bariéty, Girault, Artaud, McDougall, Post, Krüger etc. W oparciu o świeżo udostępnione źródła i traktując historię dyplomatyczną o wiele szerzej od swych poprzedników, wnieśli oni nowe elementy i proponowali badaczom nową problematykę. Zainteresowanych odsyłam do artykułu Jon Jacobsona, „Is there a new International History of the 1920s?” *American Historical Review*, t. 88, nr 3 (1983). Wśród badanych tematów figurują sprawy długów międzysojuszniczych, reparacji niemieckich, powiązań gospodarczych i kierunków politycznych, rozbrojenia itp. Po raz pierwszy wpływ tych zagadnień na politykę zagraniczną mocarstw jest tak gruntownie przebadany. Z kolei geneza Drugiej Wojny Światowej stanowiła i wciąż jeszcze stanowi przedmiot dogłębnych studiów. Chodzi o sprawy takie jak *appeasement* — ujęte kiedyś w nowatorski sposób przez D. C. Watta, a obecnie opracowane przez Paul Kennedy'ego, rola Hitlera, przedstawiona w kontrowersyjny i obrazoburczy sposób w znanej książce A. J. P. Taylora, a w ostatnich latach badana — ze specjalnym naciskiem na ideologię w polityce zagranicznej III Rzeszy — przez uczonych angielskich jak Mason, Aster, historyków niemieckich, jak K. Hildebrand, E. Jäckel, C. Bloch i H. A. Jacobsen, Francuza M. Baumonta (*Origins of the Second World War*), a w Ameryce G. Weinberga w jego drugim tomie o polityce niemieckiej 1936-1941. W bardziej tradycyjny sposób, koncentrując się na poszczególnych mocarstwach, przedstawili historię polityki zagranicznej Francji w latach 1930-tych J. Néré, J. B. Duroselle, M. Vaïsse, a sowieckiej Adam Ulam, że wspomnę tylko o dwóch krajach. Literatura drugiej wojny światowej z kolei jest ogromna, a tematyka polska na tle polityki wielkich mocarstw została stosunkowo niedawno zaprezentowana przez Sarah M. Terry w sposób pobudzający do refleksji.

Dzieła dotyczące stosunków Polski z poszczególnymi mocarstwami w interesującym nas okresie wyszły spod pióra wielu historyków krajowych. Na przykład Nowak-Kielbikowa i Nurek interesowali się szczególnie Anglią, Sierpiński i Borejsza Włochami, Leczyk, Gregorowicz i Skrzypek pisali o ZSSR itp. Na uwagę zasługują książki o Pakcie Czterech Mazura i Pakcie Wschodnim L. Radice. Ważny i interesujący jest tom pod redakcją J. Żarnowskiego, *Przyjaźnie i antagonizmy: stosunki Polski z państwami sąsiednimi 1918-1939*. Należy odnotować prace Juzwenki o Polsce i Białej Rosji oraz wiele bardzo cennych artykułów H. Bułhaka o stosunkach wojskowych polsko-francuskich. Pomijam tu historyków piszących o stosunkach z mniejszymi sąsiadami.

Brak większości sygnalizowanych powyżej prac w długiej bibliografii Karskiego nasuwa pewne wątpliwości co do warsztatu naukowego autora. Oczywiście pominięcie tych wszystkich po-

zycji nie oznacza jeszcze, że Karski ich nie zna — z tekstu wynika, iż kilka z nich konsultował. Jego ponad 40-stronicowa bibliografia i tak jest pokaźna i wszystkich pozycji nie da się zapewne uwzględnić. Czyż jednak ważniejsze od prac, które wymienilem, są ogólne opracowania takie jak Kukiel, czy *Cambridge History of Poland*, *Encyclopedia of American History*, przestarzała praca Rotha o powstaniu państwa polskiego, mało warta książka Piwarskiego o okresie pomonachijskim, *Statesman Year-book* lub Świątły *Za kulisami Bezpieki*? Pozwolę sobie wyrazić opinię, że te tytuły i wiele im podobnych można było pominąć.

Mam jeszcze inne zastrzeżenia do bibliografii, która dla zawodowego historyka jest czymś takim jak budżet dla ekonomisty czy polityka. Z bibliografii można odczytać bardzo wiele o metodzie pracy autora. Otóż układ bibliografii w dziele Karskiego jest raczej niecodzienny. Pomijam już to, że źródła (dokumenty) archiwalne i publikowane są podciągnięte pod jeden mianownik, co raczej nie jest praktykowane. Ważniejsze jest, że wśród kategorii pod nieco enigmatycznym tytułem *Semi-public documentary publications, memoirs, books* (na wpół oficjalne publikacje dokumentalne, pamiętniki, książki) mamy pomieszaną najprzeróżniejsze pozycje. Występują tu i dokumenty *sensu stricto*, jak *Diariusz i teki Szembeka*, i monografie, jak na przykład dzieło Balceraka o okresie Locarna, encyklopedie i wydania o charakterze podręcznikowym jak *Cambridge History of Poland*, pamiętniki i pamflety. Jeśli celem bibliografii jest zasygnalizowanie czytelnikowi, na jakiego typu materiałach książka jest oparta (archiwa, źródła drukowane, monografie itp.), to bibliografia Karskiego zadania tego nie spełnia.

Książka obejmująca tak duży temat jak polityka zagraniczna pięciu wielkich mocarstw i Polski nie może oczywiście być w pełni oparta na źródłach niedrukowanych. Jak z bibliografii i przypisów wynika, Karski nie korzystał z archiwów francuskich, oparł się na mikrofilmach archiwów niemieckich, przeprowadził kwerendę w materiałach Foreign Office oraz w archiwach Departamentu Stanu (ale nie w bibliotekach prezydenckich). Z dokumentacji polskiej korzystał z pewnej ilości zespołów MSZ (zapewne przesyłane wyciągi z Warszawy), ale nie wzmiankuje o tym, aby przepracował materiały dyplomatyczne znajdujące się w Instytucie Piłsudskiego w Nowym Jorku, archiwum Hoovera w Stanford lub Instytucie Sikorskiego w Londynie. Wśród dokumentów drukowanych też można zauważyć pewne luki, na przykład brak 4-tomowego *Archiwum politycznego Ignacego Paderewskiego*. Ponieważ autor użytkuje wiele pamiętników dyplomatów i mężów stanu, zaskakujący jest brak wspomnień Jakowskiego, Günthera, Gawrońskiego, Schimitzka, Wysockiego i Starzeńskiego, oraz ze strony francuskiej pamiętników Emile Morlau, gubernatora Banque de France. Stosunki gospodarcze są zresztą w bibliografii i książce traktowane raczej po macoszemu.

Odnotowawszy te pewne braki i dziwolaży bibliograficzne, przejdźmy do rzeczy bardziej istotnych, jak układ książki, faktografia i tezy w niej zawarte. W ponad 600-stronicowym tekście 386 stron przypada na okres 1919-1939, a 230 na sześć lat drugiej wojny światowej. Jak z tego widać, autor opracował szerzej ten drugi okres, w którym zdaje się poruszać z większą swobodą i znajomością tematu. Karski przyjął technikę przedstawiania materiału w krótkich (nieraz kilkustronicowych) rozdziałach, co być może jest pewnym ułatwieniem dla czytelnika, ale przerywa ciągłość prezentacji procesów historycznych. Zjawiska takie jak wielki kryzys, załamywanie się demokracji w wielu krajach Europy czy też długotrwała debata rozbrojeniowa w Genewie nie znajdują odbicia w tytułach poszczególnych części i rozdziałów.

Dwadzieścia dwa rozdziały, obejmujące okres od Wersalu do kampanii wrześniowej włącznie, zawierają użyteczny przegląd polityki zagranicznej Warszawy w kontekście polityki wielkich mocarstw. Przegląd ten jednak nie jest bardzo wnikliwy i w wielu miejscach nie odzwierciedla obecnej literatury przedmiotu. Pomijając tezy autora, do których powrócimy później, w tej części książki znajdujemy sporo sformułowań, które wydają się wątpliwe. W odróżnieniu od Lundgreen-Nielsena, który mocno i słusznie podkreśla dualizm polskiej polityki zagranicznej w latach 1919-1921, Karski wydaje się sugerować identyczność poglądów Paderewskiego i Dmowskiego (rozdział I) i zacierania nieco podstawowe różnice między Piłsudskim a Dmowskim (w rozdziałach I-III). Nie jest całkiem ściśle, iż KNP „był dostatecznie silny, aby osiągnąć dla Polski status pełnoprawnego sojusznika” (str. 24). Nie jest też jasne, dlaczego autor uważa, iż rząd lubelski Daszyńskiego stwarzał warunki dla wybuchu wojny domowej (str. 25). Twierdzenie, że Sawinkow nigdy nie odszedł od koncepcji „jednej i niepodzielnej Rosji” (str. 33-34) jest jakimś nieporozumieniem. Uwagi o „idealiście” Wilsonie są raczej stereotypem i to niezbyt serio traktowanym przez historyków. Terminu *cordon sanitaire* autor używa w bardzo tradycyjny i już dziś nieaktualny sposób. Szkoda, że nie uwzględnił pracy fińskiego historyka Kalervo Hovi, *Cordon sanitaire or barriere de l'Est?*

O wojnie polsko-bolszewickiej, a szczególnie o stosunku do niej wielkich mocarstw wiemy dziś o wiele więcej, niż mógłby sądzić czytelnik *The Great Powers and Poland*. Praca Gerharda Wagnera *Deutschland und der polnisch-sowjetische Krieg* daje nam doskonały wgląd w motywacje polityki niemieckiej (dla wcześniejszego okresu warto też zasygnalizować P. Hausera *Niemcy wobec sprawy polskiej X 1918-VI 1919*, ale to dzieło ukazało się zbyt późno, aby mogło być uwzględnione przez Karskiego). Francuskie materiały z kolokwium na temat wojny polsko-sowieckiej, które ukazały się drukiem, prace Carleya itp. wnoszą nowe naświetlenia polityki Paryża. Postawa Waszyngtonu nie była też obojętna i należało choćby wspomnieć o tzw. nocie Colby'ego. Z drugiej strony trzeba przyznać, iż krótka

charakterystyka niepodległej Polski w rozdziale IV jest niewątpliwie bardzo pożyteczna, szczególnie dla czytelnika niepolskiego, któremu da dobry ogólny obraz II Rzeczypospolitej.

Rozdziały V i VI dotyczące współpracy sowiecko-niemieckiej skierowanej przeciw Polsce i roli Polski w polityce zagranicznej Francji w latach 1921-1932 są nieco powierzchowne i zawierają sporo uproszczeń. Ten skomplikowany i niezupełnie jeszcze opracowany okres w europejskiej historii dyplomatycznej wymaga uwzględnienia wielu aspektów, których autor zdaje się nie dostrzegać. Przydałaby się tutaj znajomość pracy Gaines Posta, *The Civil-Military Fabric of Weimar Foreign Policy*, a szczególnie trójgłosu Wandycz, Peter Krüger i Georges-Henri Soutou, „La Pologne entre Paris et Berlin de Locarno à Hitler”, *Revue d'Histoire Diplomatique* (avril-décembre 1981). Określanie Brianda jako pacyfisty jest już dziś nie do przyjęcia; o stosunku Francji do Niemiec trudno pisać nie uwzględniając w pełni czynnika gospodarczego. Sprawy wschodniego Locarno, konferencji haskiej i tematyki wojskowej polsko-francuskiej (ta ostatnia jest szeroko rozpracowana w cennych artykułach Henryka Bułhaka, podczas gdy o zagadnieniach poprzednich napisałem trochę w opracowaniu o Zaleskim) zasługują na szersze przedstawienie. Esej Henry Roberta o Becku, skądinąd wnikliwy, trudno nazwać wyczerpującym (*exhaustive*), gdyż Roberts, jak sam pisał, nie znał polskiego i nie mógł korzystać z żadnych dokumentów. Karski zdaje się traktować nieco zbyt poważnie jako źródło książkę Korbela, *Poland between East and West*, która przy różnych walorach nie jest dogłębnym studium opartym na badaniach archiwalnych.

Autor przedstawia poprawnie sprawę paktu o nieagresji z ZSSR z 1932 roku i jego aspekt francuski i rumuński. Nie jest to jednak szczegółowa analiza — m.in. brak dokumentacji rumuńskiej, opracowanej i wydanej w USA przez Waltera Bacona, która rzuca interesujące światło na ówczesne stosunki polsko-rumuńsko-francuskie: *Behind Closed Doors: Secret Papers on the Failure of Romanian-Soviet Negotiations*.

Karski traktuje w przekonujący sposób sprawę tzw. wojny przewencyjnej, nie wnosząc zresztą nowych elementów. Mniej jasne są sformułowania dotyczące Czechosłowacji (str. 152), które wynikają chyba z dość powierzchownej znajomości tematu. Odnośnie stosunku Quai d'Orsay do rozmów przemysłowców niemiecko-francuskich nie jest jasne, czy autor zna szczegółowe opracowanie Beriéty i Blocha, które wyjaśnia sporo rzeczy. Pewnym zaskoczeniem jest przedstawienie złożonej tematyki Paktu Czterech bez wykorzystania bogatej dokumentacji w *Documents Diplomatiques Français* oraz podstawowej książki Mazura. Pomijając te pozycje, trudno zaprezentować w zadawalający sposób motywację Paryża.

Rozdziały dotyczące paktu o nieagresji z Niemcami oraz stosunków polsko-francuskich w latach 1933-1936 nie wzbudzają za-

strzeżeń. Szkoda może, że autor nie cytuje wypowiedzi Piłsudskiego na posiedzeniu b. premierów (tekst ogłoszony przez mnie w *Niepodległości* w 1974 roku), które doskonale wyjaśniają stosunek Marszałka do ogłoszonej deklaracji i jej znaczenia. Obraz polityki francuskiej w sprawie Paktu Wschodniego stałyby się bardziej przejrzyste, gdyby autor zasygnalizował dość poważne różnice między Barthou i Lavalem odnośnie celów paktu. Sprawa konferencji w Stresie jest też chyba istotna i szkoda, że wyszła tu raczej błąd.

Jest widoczne, iż Karskiego interesuje bardziej okres poprzedzający wybuch drugiej wojny niż lata 1920-te i wczesne 1930-te. Wynika to chociażby z ilości stron — 198 do 1937 roku, 166 do wybuchu wojny. Narracja jest w drugiej części pełniejsza, ale sformułowania i uwagi nie zawsze są przekonujące. Na przykład teoria, szerzona przez Niemców na procesie norymberskim, iż remilitaryzacja Nadrenii była bluffem i Hitler cofnąłby się natychmiast, gdyby napotkał opór, jest poważnie kwestionowana przez historyków. Szkoda, że autor nie uwzględnił wyniku narady na Zamku 8 stycznia 1939 roku (cytowana w *Przyjaźnie i antagonizmy*, str. 209), która wskazuje na dobre rozeznanie w sytuacji i zrozumienie celów Hitlera. W części dotyczącej paktu Ribbentrop-Mołotow warto było chyba przytoczyć oryginalną choć kontrowersyjną tezę Adama Ulama odnośnie związku między gwarancją brytyjską dla Polski a polityką Kremla (*Expansion and Coexistence*, str. 267).

Ogólnie rzecz biorąc, rozdziały XV do XXII zawierają sporo ciekawych i trafnych analiz i wnikliwych obserwacji. Doskonały i oryginalny w ujęciu jest rozdział XVIII, prezentacja aspektu sowieckiego w stosunkach polsko-niemieckich (rozdział XII) należy do najbardziej udanych w książce. Użyteczne są dane statystyczne, którymi autor ilustruje swą tezę, iż polscy przywódcy oceniali sytuację Kraju zupełnie inaczej, niż obserwatorzy zagraniczni. Karski pisze, że pod koniec 1938 roku „Polska stała się patetycznym casusem paradoksów i sprzeczności” (str. 231). Osąd bardzo otry, zwłaszcza jeśli zestawimy go z krytycznymi uwagami na temat polityki zagranicznej Becka. Zdaniem Karskiego „polska polityka zagraniczna musiała utwierdzić Hitlera w mniemaniu, że kiedy nadejdzie czas ostatecznej próby, Polska dostosuje się [*will comply*]” do wymogów Berlina. „Niezależnie od tego, czy Beck zdawał sobie z tego sprawę czy nie, jego poczynania na arenie międzynarodowej przyczyniały się do rozbudzenia nadziei Hitlera” (str. 314). Minister spraw zagranicznych rozumiał, zdaniem Karskiego, że niemieckie żądania w 1939 roku oznaczały pełne uzależnienie się Polski od Berlina, ale rzekomo nie pojmował, iż odrzucenie ich przyniesie skutki o „decydującym znaczeniu” (*fateful importance*, str. 242-243). Podczas gdy dla Piłsudskiego deklaracja o nieagresji była elementem taktyki (*expedient*), Beck upatrywał w niej „czynnik trwały i stały” (str. 318). Wierzył „aż było już za późno, że Hitler nie

zmieni swej polityki wobec Polski z powodu Gdańska. Nie uświadamiał sobie, aż było za późno, że dla Hitlera zbliżenie (*accomodation*) z Polską było tylko funkcją jego wielkiej strategii podboju" (str. 315-316).

Czy istotnie tak było, a jeśli tak, jakie alternatywy stały przed Beckiem? Jeśli było za późno, to za późno na co? Na politykę oparcia się na Lidze Narodów, współpracy z Francją i popierania Czechosłowacji? Karski zdaje się sugerować, iż to była właściwa droga, chociaż równocześnie stwierdza w innych miejscach, że Polska była przedmiotem, a nie podmiotem polityki międzynarodowej i jej decyzje nie miały żadnego wpływu na bieg wydarzeń. Wydaje mi się, że w rozumowaniu Karskiego mamy do czynienia — i powinniśmy to rozróżnić — z krytyką taktyki Becka, na przykład niepotrzebnego zaogniania stosunków z Paryżem i Pragą, i krytyką założeń. W tym drugim wypadku jest chyba pewną niekonsekwencją ganić linię polskiej polityki zagranicznej, a jednocześnie stwierdzać — na początku książki — że Polska, z wyjątkiem wojny w 1919-1920 roku, nigdy nie mogła odgrywać roli niezależnego czynnika i decydować o swym własnym losie. W obu wypadkach autor zajął dość dość krańcową postawę, która nie jest dla mnie przekonująca.

Zależność państw mniejszych od większych jest oczywistym faktem i chodzi chyba tylko o stopień tej zależności. W jednej ze swych wypowiedzi Piłsudski stwierdzał, że żadne tzw. wielkie mocarstwo nie może się skutecznie obronić koalicji dwóch wielkich mocarstw, a Polska, nawet gdyby była potężniejsza, nie mogłaby zapobiec zbliżeniu niemiecko-sowieckiemu, z chwilą gdy leżało ono w interesie zarówno Moskwy jak i Berlina. Polityka polska była w dużym stopniu zależna od posunięć wielkich mocarstw, ale w jakiejś mierze można też powiedzieć o Francji (wielkim mocarstwie), iż stale uzależniała się coraz bardziej od Wielkiej Brytanii. Teza, iż Polska mogła decydować o swym losie w 1919-1920 roku jest może atrakcyjna, ale nie w pełni przekonująca. Właśnie brak poparcia wielkich mocarstw sprawił, że Warszawa była zmuszona do kompromisu, a niechęć tychże mocarstw do uznania granicy ryskiej przyczyniła się do późniejszych trudności Polski podczas drugiej wojny światowej. Podobnie stwierdzenia, że tylko raz wielkie mocarstwo (Stany Zjednoczone) poparło Polskę z powodów innych niż własny interes, jest zbyt uproszczeniem. Stosunku USA do Polski w czasie pierwszej wojny światowej i konferencji paryskiej nie da się sprowadzić li-tylko do bezinteresownej przyjaźni idealisty Wilsona, pozostającego pod wpływem Paderewskiego *via House*. Ten schemat jest już dziś trudny do zaakceptowania.

Karski nie wnosi jakichś oryginalniejszych obserwacji w swym przedstawieniu kampanii wrześnieowej i postawy zachodnich sojuszników. Oparcie się o Francję i Wielką Brytanię było jego zdaniem iluzoryczne — ale jakież było inne wyjście? Nazwanie kawalerii smutnym przeżytkiem (str. 373) może tylko ugruntować

opinie czytelnika amerykańskiego o szarżach z lancami na czołgi (których nie było) i o ślepotcie polskiego naczelnego dowództwa, które wolało konia od motoru. Uważna lektura raportów francuskiego *attaché* wojskowego w Warszawie gen. D'Arbonneau potwierdza oczywisty fakt, iż brak motoryzacji wpływał przede wszystkim z braku funduszy w Polsce i niechęci ze strony Francji do inwestowania w przemysł zbrojeniowy. Książka Karskiego przy walorach jest jeszcze jednym dowodem, że krytyka polityki zagranicznej ostatnich trzech lat przed wojną, pozbawiona dogłębnej znajomości poprzednich szesnastu lat, musi siłą rzeczy prowadzić do uproszczeń i nieprzykonywujących uogólnień.

Autor czuje się wyraźnie swobodniej i porusza pewniej w tematyce drugiej wojny. Stwierdzenie, iż przyszłość Polski była „funkcją stosunków brytyjsko-amerykańsko-sowieckich” nie wzbudza zastrzeżeń. Narracja, choć trochę przerywana przez rozbicie tej części na 17 rozdziałów, często góruje nad analizą. W sumie jednak czytelnik otrzymuje dobry wykład, pozwalający mu na prześledzenie najważniejszych faz sprawy polskiej w drugiej wojnie. Miejscami polityka Churchilla i Roosevelta przedstawiona jest trochę powierzchownie; mam tu na myśli motywację i styl obu tych mężów stanu. Autor zdaje się nie konsultował ważnej pracy Lukasa o stosunkach amerykańsko-polskich i Terry o Sikorskim i USA. W bibliografii brak też tak istotnej pozycji jak Mastny'ego *Russia's Road to Cold War* i zbioru dokumentów (o pierwszej fazie „wyzwolenia”) pod redakcją Drukiera i Polonsky'ego. Nie jest całkiem zrozumiałe, dlaczego autor nie poświęcił ani jednej wzmianki sprawie konfederacji polsko-czechosłowackiej w Londynie, a przecież dostarcza ona doskonałego przykładu ingerencji wielkiego mocarstwa (ZSSR) w sprawę polskiej polityki zagranicznej. Podobnie warto było chyba wspomnieć o układzie sojuszniczym podpisanym przez Benesza w Moskwie w 1943 roku ze względu na jego wpływ na pozycję rządu polskiego w Londynie. Nie jest jasne, dlaczego autor nie wyeksponował bardziej międzynarodowego kontekstu Powstania Warszawskiego. Nie poruszył na przykład sprawy, czy zatrzymanie się Rosjan pod Warszawą nie łączyło się ściśle z ofensywą Armii Czerwonej na Bałkany. „Układ” o podziale wpływów między Churchilllem a Stalinem z 1944 roku zasługiwał chyba też na szersze potraktowanie. Szkoda wreszcie, że część ta nie zawiera więcej rozdziałów takich jak rozdział XXXVII, poświęcony prawie wyłącznie analizie — w tym wypadku Jałty.

Karski jest chyba bardziej wyrozumiały dla rządu londyńskiego niż dla przedwojennego rządu w Warszawie. Zdaje się sugerować chwilami — choć nie jest to nigdzie wyraźnie powiedziane — że należało robić koncesje wtedy, kiedy na nie namawiał Churchill. W innych częściach odnosi się wrażenie, że rząd Mikołajczyka działał w zupełnie beznadziejnej sytuacji, nie mając żadnego wpływu na bieg wydarzeń. W związku z tym dzi-

wi zdanie, że „nieinformowanie przez Polaków stale i regularnie opinii publicznej o prawdziwym stanie stosunków polsko-sowieckich dawało Moskwie wielką przewagę podczas całej wojny” (str. 429). Przecież, jak autor sam pisze na str. 455, brytyjska cenzura nie pozwalała na wypowiedzi, które uchodzić mogły za antysowieckie. To prawda, że rządy Sikorskiego i Mikołajczyka ukrywały powagę sytuacji przed społeczeństwem i armią, ale niewiele by pomogło, jeśliby Polacy na emigracji i w kraju zdawali sobie w pełni sprawę z położenia sprawy polskiej.

W tak obszernym dziele pewne drobne pomyłki, poślizgnięcia i niedopatrzienia są nieuniknione i zasygnalizowanie kilku z nich nie ma na celu obniżania waloru tej książki. Chełmszczyzna oczywiście nie jest częścią Galicji (str. 9); John Willys był ambasadorem w Warszawie, nie w Moskwie (str. 114); inwestycje francuskie nie były na pierwszym miejscu w II Rzeczypospolitej, ale na drugim, po amerykańskich (str. 177); hr. Kerchove był belgijskim przedstawicielem w Rzymie, a nie w Warszawie w 1938 roku (str. 228); w lecie 1920 roku Grabski przybył do Spa, gdzie była już uprzednio wysłana regularna delegacja polska, czyli on sam nie był delegatem (str. 56); wydawało mi się, że legenda o usunięciu Becka z Paryża pod zarzutem „niewłaściwego” zachowania się została już na dobre pogrzebana (m.in. przez niżej podpisanego i Henry Rollet), a jednak odżywa znów w książce Karskiego. Legendą jest również cytowana w przypisie do *Dernier rapport* wypowiedź Becka do posła belgijskiego 7 marca 1937 roku, że jeśli Belgia się ruszy, to Polska pomaszeruje również. Archiwa belgijskie niczego takiego nie notują (u Karskiego, str. 190). Zdanie, iż „w parę godzin [po powstaniu] centrum miasta było w ich [AK] rękach, a wkrótce potem całe miasto” (str. 527) jest oczywiście nieściste. Trudno natomiast winić Karskiego, iż powtarza za wszystkimi innymi historykami, że Zachód dowiedział się o tajnym protokole do układu Ribbentrop - Mołotow dopiero na procesie norymberskim. W rzeczywistości Waszyngton znał ogólną treść protokołu z depechy ambasadora USA w Moskwie Steinhardta już 25 sierpnia. Tekst tej ciekawej depechy wraz z okolicznościami towarzyszącymi jej wysłaniu zamierzam wkrótce opublikować.

Summa summarum dzieło Jana Karskiego stanowi niewątpliwie pierwszą poważniejszą próbę syntezy polityki wielkich mocarstw wobec Polski na przestrzeni czterdziestu sześciu lat. Nacisk, jaki autor kładzie w tytule, a w dużej mierze i w tekście na wielkie mocarstwa raczej niż na Polskę, wyływa z jego założenia, iż dyplomacja Warszawy była w jakimś stopniu grą „na niby”, nie mającą realnego wpływu na losy Polski. Jak już wspominałem powyżej, teza ta wydaje mi się dużym uproszczeniem; jeśli wzięlibyśmy ją dosłownie, to należałoby właściwie zaprzestać studiów polskiej polityki zagranicznej jako bezprzedmiotowych.

Przy obecnym stanie badań i istniejącym bogactwie źródeł dogłębna znajomość polityki zagranicznej Niemiec, Francji, ZSSR, Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych (a tymi mocarstwami Karski się zajmuje) jest prawie niemożliwa. Nic też dziwnego, że specjalista od poszczególnych państw czy zagadnień zauważy powierzchowność analiz i braki w dokumentacji. Zdając sobie sprawę z tego, iż Polska stanowiła przeważnie margines działania swych sojuszników (USA czy Wielkiej Brytanii, a w jakimś stopniu nawet Francji) a istotny element w grze jej wrogów (Niemiec lub ZSSR), należało pogłębić studium mechanizmów działających na korzyść i niekorzyść Polski u tych mocarstw. Mam tu na myśli czynniki gospodarcze, polityczne, ideologiczne itp. Z drugiej strony, zakładając, iż polska polityka zagraniczna nie mogła zdeterminować procesów międzynarodowych, można było chyba wyraźniej podkreślić, iż grając słabymi kartami rozgrywała partie niekiedy gorzej, a niekiedy lepiej. I to chyba jest istotne.

Jest pewnie nie *fair* krytykowanie autora za to, czego nie napisał lub nie uwzględnił w dostatecznym stopniu. Może być też niesłuszne patrzeć na to dzieło pod kątem jego użyteczności dla specjalisty z historii dyplomacji. Wydaje się bowiem, że było ono głównie pisane dla zainteresowanego czytelnika (nie specjalisty) i studenta anglosaskiego, który potrzebuje ujęć syntetycznych. Czytelnik taki znajdzie wiele interesujących faktów i sformułowań, podanych w sposób przystępny i na ogół przejrzysty. Pewien pesymizm ziejący z kart *The Great Powers and Poland* może być źle przyjęty przez polskiego czytelnika, a mnie osobiście wydaje się przesadny. Ale potrzebne są i książki które nie są pisane dla „pokrzepienia serc”.

Pisanie „historii” jest trudne, gdyż: „Tylko część widzianej przeszłości została zapamiętana przez tych, którzy ją obserwowali; z tego, co zapamiętano tylko część została spisana; z zapisów pozostały jedynie fragmenty, których tylko część zwróciła uwagę historyków, by i tak zaledwie ułamek owych fragmentów uznano za wiarygodny, a tylko cząstka z tego co wiarygodne została zrozumiana... Historia przedstawiona przez historyków jest tylko (...) częścią tego, co zrozumieli z ujawnionego i wiarygodnego zapisu¹”.

Niestety! Analiza historii polityki wielkich mocarstw wobec Polski jest jeszcze trudniejsza. Ileż obłudy, by pomniejszyć wy-

1. Louis Gottschalk. *Understanding History: A Primer of Historical Method*. New York, Knopf, 1950, str. 46.

rządzone Polsce krzywdy, ileż kłamstwa dyplomatycznego i zwykłego! Zagraniczni przywódcy, dyplomaci i wywiad (np. Philby), sprawcy dawnych i obecnych polskich niepowodzeń wymierają, pozostawiając po sobie racjonalne wyjaśnienia, że ich narodowe czy ideologiczne korzyści były ważniejsze. Wychodząc z tego założenia przywódcy wielkich mocarstw, znani Polakom w czasie drugiej wojny światowej jako alianci, wielokrotnie zmieniali granice, przemieszczali miliony ludzi, naginali świadomość i fakty do własnych potrzeb. Jako „zwycięzcy” oni właśnie napisali historię.

Od 1939 roku narodowi polskiemu zamknięto usta. Pisanie o losie Polski w sposób naukowy stało się ogromnie trudne. Polscy uczeni przez ponad pięć lat drugiej wojny światowej byli pod niemiecką okupacją i cenzurą. Od 1945 roku aparatczycy i cenzorzy reżymu komunistycznego byli równie bezlitośni jak Niemcy w zatajaniu i zniekształcaniu niewygodnych dla nich faktów.

Mówiąc o faktach i dokumentach dotyczących Polski, dochodzimy do niedawno opublikowanej książki Jana Karskiego pt. „Wielkie mocarstwa i Polska (1919-1945) — od Wersalu do Jałty” (Lanham, Nowy Jork i Londyn, University Press of America Inc., 1985, str. 697).

Aby przedstawić kwalifikacje autora do pisania na ten temat, należy zapoznać czytelnika z osobą profesora Karskiego. Urodził się w Polsce i w czasie okupacji należał do Armii Krajowej. W 1942 roku zgłosił się jako ochotnik, aby dotrzeć do wnętrza któregoś z niemieckich obozów śmierci. Celem tego przedsięwzięcia było zebranie dowodów na eksterminację Żydów i osób innych narodowości. Po ucieczce z obozu dotarł jako emisariusz polskiego Podziemia do Anglii i USA, gdzie — według jego własnych słów — „W listopadzie 1942 roku, podczas mojej czwartej tajnej misji z ramienia polskiego Podziemia i Rządu polskiego na wygnaniu, dostarczyłem informacji o losie Żydów w okupowanej przez hitlerowców Polsce, jak również przekazałem rozpaczliwe prośby Żydów, skierowane do alianckich rządów o ratowanie tych, którzy jeszcze mogli być ocaleni. Widziałem getto żydowskie w Warszawie. Widziałem obóz zagłady w Bełżcu. Byłem naocznym świadkiem. W Londynie złożyłem sprawozdanie zarówno Rządowi R.P. na wygnaniu jak i czterem członkom Brytyjskiego Gabinetu Wojennego, włącznie z ministrem Spraw Zagranicznych Edenem. W Stanach Zjednoczonych zdałem relację przedstawicielom rządu i najwyższym dostojnikom Kościoła katolickiego — prezydentowi Rooseveltowi i nuncjuszowi apostołskiemu, kardynałowi Cicognani, a także rabinom — Wise i Goldmanowi oraz sędziemu Frankfurterowi. Reakcją na prośby Żydów o pomoc był brak jakiegokolwiek oddźwięku — raczej bierność potężnych rządów alianckich spowodowana priorytetami wojny, zamierzoną niewiedzą i niedowierzaniem oraz bezdusznym

racjonalizmem. Konsekwencją tej postawy była zagłada sześciu milionów bezbronnych i opuszczonych Żydów²".

Za swoje zasługi Jan Karski otrzymał najwyższe polskie odznaczenie wojskowe — order *Virtuti Militari*. Izrael odznaczył go medalem „Sprawiedliwego”, a drzewo oznaczone jego nazwiskiem posadzone w Alei Sprawiedliwych. Narody Zjednoczone wyróżniły go zaszczytną wzmianką. Po studiach w Europie Jan Karski otrzymał stopień doktora nauk politycznych w Stanach Zjednoczonych i obecnie jest profesorem Georgetown University w Waszyngtonie.

Autor jest więc „świadkiem historii”, który pozostawał w bezpośrednim kontakcie z politykami strony polskiej i anglo-amerykańskiej w czasie drugiej wojny światowej (Roosevelt, Eden i inni).

Sama książka (697 stron, w tym wyczerpujący indeks) jest rezultatem piętnastu lat badań. Bibliografia — 44 ściśle zadrukowane strony — stanowi unikalne źródło dla badaczy. Zawiera ona spis oryginalnych dokumentów i drugorzędnych materiałów źródłowych dotyczących rządów Ameryki, Anglii, Francji, Niemiec, Polski i Związku Sowieckiego (w oryginalnych językach). Jest oczywiste, że profesor Karski musiał poświęcić wiele pracy, aby wyłowić wszystkie dane. Gromadząc je do swojego opracowania, sięgnął do różnych źródeł — od dokumentu Kongresu Amerykańskiego z 1917 roku po informacje dostępne teraz w Polsce. Te ostatnie są szczególnie istotne przy analizowaniu dokumentów sowieckich, gdyż np. w protokole Konferencji Teherańskiej „ponad 50 punktów zawartych w amerykańskim tekście, w wersji sowieckiej pominięto³". Brak czterech istotnych punktów powoduje poważne zniekształcenie tego protokołu⁴. Sowiecka seria sprawozdań dotyczących obrad w Jałcie i Poczdamie również nie jest kompletna⁵. Opuszczenia występują bez względu na użyty w dokumentach język (angielski czy rosyjski).

Gdy tylko jest to możliwe, autor opiera się na podstawowych źródłach: Lloyd George, Kiereński, Lenin, Gamelin, Churchill, Sikorski, Roosevelt etc. Cała bibliografia odzwierciedla intencje autora i stanowi źródło całościowe, nie selektywne. Jeśli brak w niej którejś z istotnych pozycji, oznacza to, iż dane opracowanie zostało opublikowane już po oddaniu do druku rękopisu pracy Karskiego⁶.

2. Jan Karski: *The Washington Post*. April 22, 1985. Letter to the Editor.

3. Herbert Beitzell: *Teheran, Jalta, Potsdam — The Soviet Protocols*. Hattiesburg: Academic International, 1970, str. IV.

4. *Ibidem*, str. IV.

5. *Ibidem*, str. VII.

6. Anna Cienciala and Titus Komarnicki, *From Versailles to Locarno — Keys to Polish Foreign Policy, 1918-1925*. University of Kansas Press, 1984.

W części merytorycznej profesor Karski przedstawia kilka tez. Oto niektóre z nich:

1) *Scenariusz*: „W przypadku konfliktu niemiecko-sowieckiego Polska, bez względu na to czy udzielała zgody, czy nie, stanowiła teren przemarszu wojsk obu państw. Hitlerowska polityka podboju, której celem było zniszczenie Rosji, jak również zmienne postawy polityczne mocarstw zachodnich uczyniły politykę 'równowagi' polskiego ministra Spraw Zagranicznych, Becka, nieoperatywną, gdyż była rozwiązaniem długoterminowym. Ponadto Polacy byli na to za słabi. W ostateczności pozostawały im tylko dwa wyjścia: przystać na 'nowy porządek' Hitlera albo aktywnie współdziałać wprost ze Związkiem Sowieckim lub poprzez francusko-angielsko-sowiecki wspólny system bezpieczeństwa. W żadnym z tych przypadków nie było mowy o 'niezależności' polityki polskiej. Dlatego też Beck nie mógł akceptować tych rozwiązań. Polska opinia publiczna — tak pro jak i antyrządowa — również je odrzucała” (str. 324).

2) *Możliwości wyboru*: „Ale Polacy nie mogą być obciążani winą za klęskę ich kraju, gdyż jego losy nie leżały w ich rękach. Bez względu na zalety i wady ich decyzji politycznych, los Polski zależał od wielkich mocarstw. Polsce, otoczonej przez zaborcze i silniejsze od niej Niemcy i Rosję, nie mogła wystarczyć polityka *równowagi*, choć wydawała się tak racjonalna. Polacy byli zbyt słabi, aby ją przeforsować. Pomoc ze strony Francji i Wielkiej Brytanii — z zawartymi porozumieniami, czy bez nich — okazała się iluzją. W polityce wielkich mocarstw — tak przyjaciół jak i wrogów — w ich zmiennych wzajemnych stosunkach i chwilowych rzeczywistych bądź wyimaginowanych interesach Polska grała rolę przedmiotu. Polacy nie mieli żadnych możliwości, aby zmienić ten stan rzeczy” (str. 381).

3) *Uzależnienie Polski*: według profesora Karskiego współczesna historia świadczy o ogromnym uzależnieniu Polaków od polityki wielkich mocarstw. Wyjątek stanowi wojna sowiecko-polska 1919-1920 roku, kiedy Polska na własną rękę spróbowała wyznaczyć swoje wschodnie granice.

4) *Wielkie mocarstwa jako „Wielkie Mocarstwa”*: Autor utrzymuje, że nawet przed, w trakcie i zaraz po pierwszej wojnie światowej rządy Wielkiej Brytanii, Ameryki i Francji podejmowały decyzje w sprawie Polski, „nie dając Polakom szansy umocnienia się na własnym terenie”.

5) *„Zła wola” wielkich mocarstw*: według opinii autora zobowiązania Francji i Anglii wobec Polski zostały podjęte „w złej wierze”. Tytuły rozdziałów mówią same za siebie: rozdział XIX „Angielsko-francusko-polskie układy militarne i ekonomiczne — zobowiązania podjęte w złej wierze, 1939” i rozdział XXI — „Angielsko-polski traktat o wzajemnej pomocy — zwodzenie Polski, 25 sierpnia 1939”.

6) *Zlekceważenie sprawy polskiej*: podsumowując, autor twierdzi, że w kontekście drugiej wojny światowej i sowieckiego w niej udziału, dla Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii „... Europa środkowo-wschodnia była przedmiotem marginesowych zainteresowań”.

Przedstawione wyżej tezy mogą sugerować, że Karski potępia aliantów, a wybiela Polaków. Tak jednak nie jest: książka zawiera także krytyczne stwierdzenia dotyczące polskiej polityki wewnętrznej i zagranicznej. Niektóre polskie posunięcia na arenie międzynarodowej świadczą o megalomanii, a pewne akcje militarne, szczególnie wobec Czechosłowacji i Litwy, wydają się godne pożałowania (zainteresowanym pogłębieniem wiedzy na temat tego okresu można polecić prace: Ciałowicza, Cieniędzy, Jędrzejewskiego, Polonskiego, Sukiennickiego i Wandycza).

Czy profesor Karski dostarcza dowodów na poparcie swoich tez i opinii? Tak. Niektóre z nich są szokujące. Oto jeden z przykładów: na krótko przed wybuchem drugiej wojny światowej francuski generał Gamelin przyrzeka Polsce natychmiastową pomoc w razie zaatakowania jej przez Niemcy, a jednocześnie donosi swojemu rządowi, że Francja potrzebuje dwóch lat na przygotowanie się do takiej akcji!

Dokonany przez Karskiego wybór dowodów ujawnia stosunkowo nieznane informacje, jak np. fakt, że brytyjski minister Spraw Zagranicznych Balfour uznawał niepodległość Polski za „przeszkodę” już w okresie między 13 listopada 1916 a marcem 1917 roku. Autor nawiązuje do tajemnicy otaczającej brytyjską notę dyplomatyczną dotyczącą polskich granic, napisaną przez Lorda Curzona i przekazaną rządowi sowieckiemu. Zaproponowane w niej zmiany terytorialne nie były nigdy przedtem autoryzowane ani przez Najwyższą Radę Aliantów (*Allied Supreme Council*), ani przez rząd Polski. Brytyjskie „przetargi” za plecami Polski trwały do zakończenia drugiej wojny światowej. Jeszcze na trzy dni przed niemiecką inwazją na Polskę składano Hitlerowi oferty bez wiedzy Polski.

Francuzi nie byli lepsi. W sierpniu 1939 roku rząd francuski, bez uzgodnienia tego z Polską, przyrzekł Związkowi Sowieckiemu, że nie będzie czynił żadnych przeszkód w przemarszu Armii Czerwonej przez tereny Polski! Co więcej, Polacy nie wiedzieli, że w lipcu 1939 roku sztaby główne Wielkiej Brytanii i Francji uzgodniły wspólnie, iż „... w przypadku rozpoczęcia działań wojennych, los Polski będzie zależał od ostatecznego wyniku wojny... a nie od francusko-brytyjskiej pomocy udzielonej narodowi polskiemu w początkowej jej fazie”. Taka jest właśnie przyczyna *phony war* — okresu beczynności na froncie zachodnim w latach 1939-1940!

Późniejsze, krzywdzące Polskę transakcje zawierane na konferencjach w Moskwie, Teheranie i Jałcie są zbyt powszechnie zna-

ne, aby je w tej recenzji omawiać. Zostały one przez Karskiego bezstronnie opisane.

Recenzent pozwolił sobie na selekcję kilku interesujących i stosunkowo mało znanych faktów, odkrytych przez Karskiego i użytych na poparcie świadectw lub wyjaśnienie tez. Taka forma pozwala uniknąć zbędnego omawiania ogólnie znanych wydarzeń i skupić się na wynikach badań Karskiego.

Pisząc o Polsce zaznacza on, że Konferencja Ambasadorów oficjalnie uznaje granice Polski po pierwszej wojnie światowej w pięć lat po odzyskaniu przez nią niepodległości, w marcu 1923 roku. Ta niepodległość, po ponad 100 latach rozbiorów i niewoli, zastała Polskę w stanie godnym pożałowania nie tylko z ekonomicznego punktu widzenia, ale z powodu braku równowagi i zamętu w polityce wewnętrznej, co przyczyniło się w okresie od listopada 1918 do maja 1926 roku do upadku czternastu kolejnych rządów. Karski opisuje bezstronnie okres rządów Marszałka Piłsudskiego. „Nie był nigdy ideologiem i reformatorem — jak Lenin, Salazar, Mussolini czy Hitler. Jego ojcowska dyktatura, chwilami łagodna, czasami bezwzględna, opierała się nie na społecznych, politycznych czy gospodarczych systemach, ale na jego osobowości i ogromnym autorytecie, a kiedy i te nie wystarczały — na sile. Bez Piłsudskiego w „Obozie” — jak nazwali się jego następcy — zabrakło wodza, a pozbawiona mocnych podstaw działalność stała się bezpłodna. Władza była celem samym w sobie.

Poprzez ustawodawcze i administracyjne posunięcia następcy Marszałka praktycznie pozbawili opozycję reprezentacji w Sejmie i wpływu na sprawy państwowe. Uwolniło to „Obóz” od demokratycznej kontroli, ale jednocześnie zubożyło życie narodu. Działając na własną rękę „Obóz” nie był w stanie ułożyć rozsądnego programu czy ideologii. Polską rządzący urzędnicy.

Wkrótce zawładnęły nim koterie, których rywalizacja wynikała bądź z pobudek osobistych, bądź z różnic w „orientacji”. Polska nie miała jednolitej polityki gospodarczej, a jej niebezpieczną słabą stroną był skromny kapitał, przeludnienie i słaby rozwój gospodarczy. Z powodu braku jednolitej polityki wewnętrznej lokalne władze dowolnie rozwiązywały problem mniejszości narodowych. Polska nie miała żadnego określonego programu politycznego, społecznego czy ekonomicznego, a jej rząd nie stanowił reprezentacji partii politycznych” (str. 186-187).

Piłsudski nie ufał Związkowi Sowieckiemu i według jego sugestii polski Sztab Główny, spodziewając się raczej agresji sowieckiej niż niemieckiej, przyjął taktykę opartą na tym braku zaufania. W latach 1933-1939 „prawie połowę budżetu państwa przeznaczono na obronę”.

W rzadkiej u niego formie osobistej krytyki Karski ocenia negatywnie politykę ministra Spraw Zagranicznych, Becka (z okresu do 1939 roku). Beck otrzymał tekę ministra z rąk Pił-

sudskiego w 1932 roku, nie mając jeszcze trzydziestu ośmiu lat. Według Karskiego ponosi on „odpowiedzialność historyczną” za politykę zagraniczną Polski w latach 1932-1939. W rozdziale X autor usprawiedliwia swój punkt widzenia twierdząc, że „w stosunkach z Niemcami Beckiem kierował optymizm, a nie rozsądek”.

W części dotyczącej drugiej wojny światowej przykuwa uwagę niezwykle wzmianka: „W grudniu 1941 roku, podczas przyjęcia wydanego na cześć Sikorskiego, Stalin niejasno zasugerował, że Polska i Rosja powinny ustalić swoje powojenne granice na własną rękę, przed zakończeniem wojny i bez udziału mocarstw zachodnich. Powiedział do Sikorskiego: „Nasze wspólne granice powinniśmy ustalić między sobą, skoro tylko armia polska wkroczy do akcji i jeszcze przed konferencją pokojową. Powinniśmy teraz przestać mówić na ten temat. Nie obawiajcie się, nie skrzywdzimy was”. Sikorski odrzucił tę propozycję, „nie mogąc przyjąć do wiadomości nawet tylko sugestii, jakoby granice państwa polskiego mogły być uważane za płynne. Czy wynik bezpośrednich rozmów Polaków z Moskwą, zaproponowanych przez Stalina we wczesnym okresie wojny, byłby korzystniejszy od rezultatu uzyskanego po latach oczekiwania na poparcie anglo-amerykańskie? Nie ma sposobu, by się tego dowiedzieć” (str. 429-430).

W książce jest także kilka danych dotyczących Niemiec. Interesujące jest stwierdzenie faktu, że niemiecko-sowiecki rozbiór Polski był rozważany przez rząd niemiecki już w 1920 roku i że wywiad niemiecki współpracował ze Związkiem Sowieckim przeciwko Polsce w czasie wojny polsko-sowieckiej 1919-1920 roku. Podobnie interesujący jest pogląd autora na pakt w Locarno, który „pośrednio usankcjonował niemiecki pokojowy rewizjonizm na Wschodzie”. W rozdziale IX znajdujemy wnikliwą analizę podstaw polsko-niemieckiego paktu o nieagresji z 26 stycznia 1934 roku.

Autor nie ma żadnych złudzeń co do Wielkiej Brytanii i życzyłby sobie, aby Polacy ich także nie mieli. W całej książce znajdujemy miążdzące argumenty, popierające tę opinię. Np. przyjrzyjmy się jednemu z najwcześniejszych posunięć rządu brytyjskiego w jego stosunkach ze Związkiem Sowieckim, mającemu na celu zmianę mapy Europy.

„5 września (1940 roku) premier Churchill złożył w Izbie Gmin ważne oświadczenie. Nawiązując do niedawnych zmian terytorialnych, dwuznacznie stwierdził, że jakkolwiek Wielka Brytania nie może uznać poczynienia tych zmian w czasie wojny, to jednak byłaby skłonna uznać je później, jeżeli zostałyby postanowione za dobrowolną zgodą zainteresowanych stron. Churchill oczywiście zdawał sobie sprawę z tego, że w latach 1939-1940 w Europie wschodniej nie mogło być mowy ani o 'zgodzie', ani o 'dobrowolności'. Jego oświadczenie, jeśli w ogóle miało cokol-

wiek znaczyć, nie mogło być inaczej interpretowane przez Moskwę niż jako sugestia, że w pewnych okolicznościach Wielka Brytania byłaby skłonna uznać sowieckie zdobycze terytorialne w Europie. Dodajmy, że dwa tygodnie wcześniej brytyjski ambasador w Moskwie od 1940 roku, Sir Stafford Cripps, tajnie zaoferował Stalinowi sowiecką 'supremację' na Bałkanach w zamian za jego 'życzliwy' stosunek do Wielkiej Brytanii.

Dwa miesiące później, w połowie października, Cripps wręczył Andriejowi Wyszynskiemu, od niedawna wiceministrowi Spraw Zagranicznych, memorandum zawierające propozycję nowego porozumienia pomiędzy oboma krajami. W zamian za sowiecką 'życzliwą neutralność' w stosunku do Wielkiej Brytanii, Turcji i Persji rząd brytyjski zobowiązał się konsultować z Sowietami sprawy powojennych porozumień, powstrzymać się od udziału w układach 'skierowanych przeciwko Rosji' oraz uznać 'niezależność *de facto*' Związku Sowieckiego w Estonii, Łotwie, Litwie, Besarabii, Północnej Bukowinie i 'na terenach, które kiedyś stanowiły własność państwa polskiego, a obecnie znajdują się pod kontrolą sowiecką'. Londyn zaoferował Rosji ponadto porozumienie gospodarcze, a nawet — przy sprzyjających okolicznościach — 'pakt o nieagresji, na marginesie paktu sowiecko-niemieckiego'. Stalin odrzucił propozycje brytyjskie, ale na pewno o nich nie zapomniał" (str. 396-397).

Płacąc na swoje interesy polską krwią i ziemią, konsekwentny rząd Wielkiej Brytanii nie rozpieszczał Polaków. W lipcu 1941 roku Eden powiedział do premiera Sikorskiego i do ministra Spraw Zagranicznych Zaleskiego: „Bez względu na to, czy życzyście sobie tego, czy nie — układ ze Związkiem Sowieckim musi być podpisany”. Nieco później Churchill odwołał z Persji polski Drugi Korpus i przeznaczył go do walki z Niemcami w rejonie Morza Śródziemnego. O rozkazie tym mówił, że „jest to rzecz wielce pożądana ze względów politycznych, skoro ludzie palą się do walki i pochłonięci nią, nie będą się zamartwiać tragicznymi wydarzeniami w ich własnym kraju” (str. 483). Wiktoriańska elegancja języka dwulicowego Edena kamufluje prawdziwe plany brytyjskie, czyli oddanie wschodnich granic Polski. Autor udowadnia, że już w maju 1942 roku Churchill i Eden zamierzali uznać formalnie, choć tajnie, pretensje rządu sowieckiego do Europy wschodniej, włącznie z jej polską częścią.

Podejście Karskiego do Związku Sowieckiego i jego rządu jest realistyczne. Twierdzi on, że od samego początku rząd komunistyczny prowadził podwójną grę — z jednej strony nawołując do „pokoju”, a z drugiej realizując cel III Międzynarodówki, tj. zniszczenie „kapitalistycznej burżuazji”. Ta polityka była zaplanowana i realizowana przez Kreml. Dla uwypuklenia niektórych nieznanych powszechnie wydarzeń, profesor Karski raz jeszcze stwierdza, że po napaści Niemiec na Polskę Mussolini wraz z niemieckim ambasadorem von Moltke doradzali Hitlerowi,

aby kontynuował okupację rozbrojonej i małej Polski. Mołotow zakomunikował rządowi niemieckiemu, że Stalin nie życzy sobie istnienia „jakiegokolwiek” państwa polskiego.

Między 16 a 19 grudnia 1941 roku, w czasie trzech rozmów z Edenem, Stalin zdecydowanie domagał się porozumienia w sprawie powojennej rekonstrukcji Europy: „Przedstawił ministrowi Spraw Zagranicznych swój własny projekt brytyjsko-sowieckiego sojuszu militarnego i zażądał tajnego protokołu, według którego Rosja miałaby otrzymać skrawki Finlandii, całą Estonię, Łotwę, Litwę, Besarabię i Północną Bukowinę. Granicę polsko-sowiecką stanowiłaby 'nieco zmodyfikowana' Linia Curzona. Prusy Wschodnie miały być przyłączone do Polski, a 'Tylża i tereny niemieckie na północ od Niemna miały wejść w skład Litewskiej Republiki Sowieckiej'. Nadrenia miała zostać odłączona od Prus, a z Austrii i Bawarii planowano utworzyć oddzielne państwa.

W zamian za zgodę na dominację Rosji w Europie wschodniej Stalin zaproponował uznanie przewagi Wielkiej Brytanii na powojennym Zachodzie. Zgodził się na obecność brytyjskich baz wojskowych w Norwegii i w Szwecji. Razem z Mołotowem podkreślali pierwszorzędne znaczenie porozumienia w sprawie zachodnich granic Rosji” (str. 442).

Ameryka zachowywała się podobnie. Amerykańsko-brytyjskie porozumienie w sprawie Europy środkowej (przyczyniające się do podziału Polski) zostało osiągnięte w Waszyngtonie 14 marca 1943 roku. Odnosi się wrażenie, że oba rządy kształtowały opinię publiczną w swoich krajach w sposób, który określić można jedynie jako historycznie prosowiecki. Powszechnie wypaczano i zatajano prawdę o losach polskich — m.in. o masakrze w Katyniu i o Powstaniu Warszawskim 1944 roku. Np.: „Kiedy w 1944 roku wojska sowieckie wkroczyły na teren Polski, natychmiast rozstrzelano trzech i powieszono co najmniej dwudziestu dowódców Armii Krajowej, która liczyła 350 tysięcy żołnierzy i 350 tysięcy działaczy Podziemia, walczących przez pięć lat pod rozkazami Polskiego Rządu na Emigracji. W okresie od lipca 1944 roku do stycznia 1944 sowieckie służby bezpieczeństwa i pozostający pod ich nadzorem polscy komuniści w jednym tylko mieście — w Lublinie — zaaresztowali ponad 50 tysięcy Polaków. To jednak nie powstrzymało Churchilla od stwierdzenia w parlamencie, 27 lutego 1945 roku, że wkroczenie wojsk sowieckich spotkało się z wielką radością Polaków”.

Polski rząd emigracyjny, który wojskom alianckim dostarczył ćwierć miliona żołnierzy i zapewnił ponad 700 tysięcy żołnierzy na terenie Polski, stał się dla Churchilla zbędnym w chwili, gdy w listopadzie 1945 roku premier Mikołajczyk podał się do dymisji. Dla Roosevelta, wybranego po raz trzeci prezydentem Stanów Zjednoczonych w 1944 roku, polski rząd także przestał mieć jakiegokolwiek znaczenie, tym bardziej, że nie zależało mu

już na głosach siedmiu milionów Polaków w Ameryce. Autor zaznacza, że 60 tysięcy żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie oddało swoje życie dla wspólnej sprawy, a straty w ludziach w samej tylko Polsce wyniosły sześć i pół miliona ofiar, przy 30 milionach ludności kraju.

Rola, jaką w okresie drugiej wojny światowej Roosevelt odegrał wobec Polski żenuje nawet najbardziej wyrozumiałych historyków. Arsenał jego podstępów, kłamstw i wybiegów jest żałosny i byłoby to nie do uwierzenia, gdyby nie poparcie obiektywnymi dokumentami. Autor ogranicza się do podawania suchych faktów. Postawę Roosevelta wobec Polski demaskuje w 1944 roku dyskusja pomiędzy nim i amerykańskim ambasadorem Lane: „...prezydent wezwał do Białego Domu niedawno mianowanego w Polsce ambasadora, Arthura Bliss Lane. Lane dążył do tego spotkania, gdyż zależało mu na politycznych wskazówkach dotyczących jego misji. On sam nie popierał polityki ustępstw wobec Rosji i zdecydowanie deklarował się po stronie interesów Polski. 'Czy chce pan tego, abym rozpętał wojnę z Rosją?' — zapytał prezydent, dodając, że całkowicie ufa, iż (Stalin) dotrzyma danego słowa, że go nie złamie”. Gdy ambasador dał wyraz swoim wątpliwościom, Roosevelt — ku przerażeniu Lane'a — zauważył, że „słuszną była myśl Stalina, by Polskę pod wpływami Rosji użyć jako kordon sanitarny lub wał ochronny broniący Związku Sowieckiego przed przyszłymi napaściami”. Ten cytat z wypowiedzi prezydenta, bardziej niż jakikolwiek dokument z lat wojny, świadczy o zmienności roli sprawy polskiej w polityce mocarstw zachodnich po pierwszej wojnie światowej. W 1919 roku widziały one odrodzoną Polskę w roli „zasieków” kub „kordonu sanitarnego” oddzielającego Europę od komunistycznej Rosji — teraz zaś, w 1944 roku, przywódca najpotężniejszej zachodniej demokracji przeznaczył Polskę na „wał ochronny, broniący Związku Sowieckiego” (str. 564). W 1944 roku Stalin i Churchill działali w zмовie na rzecz ponownego wyboru Roosevelta, utrzymując w tajemnicy „transakcję” zawartą między nim a Stalinem w Teheranie, a dotyczącą Polski, Estonii, Litwy i Łotwy. Naród amerykański nie zaakceptowałby tego porozumienia i nigdy nie poparłby Roosevelta, którego kariera polityczna byłaby wówczas skończona na zawsze.



Profesor A. J. P. Taylor powiedział kiedyś, że „historia nie jest tylko katalogiem zdarzeń, uporządkowanych jak rozkład jazdy pociągów. Historia jest interpretacją tych zdarzeń”. Książka profesora Karskiego jest godną polecenia, doskonale zorganizowaną interpretacją wydarzeń w oparciu o inteligentnie wyselekcjonowane dane, które Autor analizuje globalnie, rozsądnie i bardzo kompetentnie.

Konstrukcja książki jest zwarta i przejrzysta, a rozważa z jaką autor dokonał selekcji danych, mając przed sobą tak ogromny materiał — zdumiewająca. Umiejętność przebiccia się przez podstawowe i drugorzędne źródła w ich oryginalnych językach, czystość intencji i konsekwencja w docieraniu do prawdy, obiektywny dobór dowodów, bez zbędnych uwag — są wyjątkowe. Mimo, że autor tej recenzji zajmuje się od lat sprawami Polski i opublikował prace na ten temat, książka profesora Karskiego pogłębiła jego wiedzę w tej dziedzinie.

Karski nie ma złudzeń i próbuje robić wszystko, by Polacy ich również nie mieli. Konszachty Churchilla i Roosevelta ze Stalinem ukazują realia wielkiej polityki. Ci trzej mężowie stanu bronili — i to jest zrozumiałe — interesów swoich państw i można znaleźć wystarczające powody na usprawiedliwienie ich postępowania. *Ale historia i obywatele dziesięciu krajów Europy środkowej, które utraciły wolność w wyniku tych „transakcji”, będą wiecznie powtarzać uzasadnione pytanie: dlaczego to one mają za to płacić wolnością i granicami? Bo tego chciał Stalin?*

Bezczelowe jest obwinianie rządu sowieckiego o niedotrzymanie podjętych w Jałcie zobowiązań wobec Polski. Podstawową i miażdżącą prawdą o kapitałnym znaczeniu jest to, że ani Roosevelt, ani Churchill nie mieli moralnego, legalnego czy jakiegokolwiek innego prawa, by w Moskwie, Teheranie i Jałcie postąpić następująco:

1. oddać Stalinowi około 40 % terytorium Polski;
2. zmienić granice suwerennej Polski;
3. narzucić sowiecką kontrolę nad wyborami w Polsce;
4. zmienić skład rządu polskiego w myśl życzeń Stalina.

Uczyniwszy to bez porozumienia z Polakami, rządy Ameryki i Wielkiej Brytanii, z Rooseveltem i Churchillem na czele, zdradziły sprzymierzenia — Polskę i jej naród. Tych faktów nie zakryje żadna dyplomatyczna zasłona dymna.

Decyzje Białego Domu były decyzjami samego prezydenta. Towarzyszyli mu bezpośredni współpracownicy i dostarczali aktualnych informacji o sytuacji politycznej, ale oczywiście dobór danych nie był wolny od indywidualnych preferencji. Prezydent decydował, ale informacje mu dostępne przechodziły przez kolejne szczeble hierarchii politycznej. W najbliższym otoczeniu Roosevelta nie było Polaków.

Paderewski miał dostęp do prezydenta Wilsona przez pułkownika House'a. Nikt z Polaków nie miał takiego „dojścia” do Roosevelta przez Harry'ego Hopkinsa.

Wydaje się, że szczególnie podczas drugiej wojny światowej Polacy cierpieli przez mylnie pokładane nadzieje: poleganie na „sumieniu świata”, wiara w prawość rzeczywistych lub pozornych i niejasnych obietnic alianckich przywódców (celował w nich Roosevelt). Ci ostatni pozwolili im łudzić się nadzieją na wza-

jemne uczciwe traktowanie, należne Polakom za jedyny wkład, jaki mogli wnieść do wojny — krew swoich żołnierzy i lojalność wobec aliantów.

Należy się liczyć z możliwością, że niektórzy polscy, angielscy czy amerykańscy badacze mogą tę pracę skrytykować za pominięcie szczegółów, sądów bądź danych, uznanych przez nich za istotne. Krytyka będzie mile widziana i dla naukowca tej miary co Karski oczywista. Książka Karskiego może sobie tylko życzyć pomocnych i bezstronnych komentarzy. Praca ta jest wzorcowym podręcznikiem historii stosunków międzynarodowych, dyplomacji oraz polityki, przydatnym również dla tych, którzy szczególnie interesują się Europą środkową. Powinna zostać wpi-sana na listę lektur obowiązkowych obecnych i przyszłych dyplomatów

Janusz K. ZAWODNY

Grażyna POMIAN

K O N S P I R A

Jeszcze nie obeschła farba drukarska na *Konspirze**, gdy w kręgach opozycyjnych rozgorzały namiętne dyskusje, czy w ogóle powinna się była ukazać. Liczne argumenty, często niepozbowione racji, sprowadzały się w istocie do jednego pytania: czy w dzisiejszej sytuacji politycznej opozycja może sobie pozwolić na luksus ujawniania rozbieżności politycznych i słabości organizacyjnych? Książce towarzyszyło więc ogromne zainteresowanie, ale równocześnie czytano ją z oporami, jeśli nie ze źle ukrywaną irytacją. Adwersarze *Konspiracy* szybko uzyskali potwierdzenie swych obaw. Generał minister Kiszczak w swym pogróżkowym przemówieniu sejmowym dotyczącym „socjalistycznej praworządności” (10 maja br.) nie omieszkał wyciągnąć z *Konspiracy* paru zdań, by podeprzeć swą tezę o moralnej nicości opozycji.

Czy wykorzystanie przez reżym publikacji opozycyjnych do zwalczania podziemia jest wystarczającym powodem do własnoręcznego kneblowania sobie ust i skazywania się na nową cenzurę? Nim przyjdzie odpowiedź na to pytanie, przyjrzyjmy się, czym jest i co sobą reprezentuje ta mała książeczka, składająca się z wywiadów przeprowadzonych przez trzech dziennikarzy związanych z „Solidarnością” z Bogdanem Borsewiczem, Zbigniewem Bujakiem, Władysławem Frasyniukiem, Aleksandrem

* Maciej Łopiński, Marcin Moskit (pseudonim), Mariusz Wilk: *Konspira. Rzecz o Podziemnej Solidarności, Spotkania*, 1984.

Hallem, Tadeuszem Jedynakiem, Bogdanem Lisem i Eugeniuszem Szumiejką.

Gdy z nimi rozmawiano, wszyscy byli w podziemiu. Dzisiaj Szumiejko i Hall prowadzą „normalne” życie, gdyż skorzystali z amnestii; Lis i Frasyński są w więzieniu, a pozostali w podziemiu. Wszyscy z wyjątkiem Lisa, który w czerwcu 1984 został po raz pierwszy aresztowany, przejrzeni i autoryzowali swoje wypowiedzi. W *post scriptum* ustosunkowali się do tych, z którymi nie byli zgodni. Nie ulega wątpliwości, że to, co zostało powiedziane, było chciane i przemyślane. Dowiadujemy się o podziemiu od jego przywódców. Opowiadają o sobie i innych bez romantycznych uniesień, lecz i bez nadmiernej skromności. Bez pośredników i upiększeń. Obraz jaki się wyłania jest sugestywny. Kłopoty dnia codziennego i dyskusje polityczne. Sprawy publiczne i życie prywatne, jakże chwilami dramatyczne.

Dwa pierwsze rozdziały poświęcone są ostatnim dniom wolności. Wszyscy zapytywani wypowiadają się o nich z goryczą. Nie kryją swego krytycyzmu i nie oszczędzają nikogo, łącznie z przewodniczącym związku. Nie ukrywają, że „Solidarność” była słaba i politycznie rozdarta. Jak zauważa Borusewicz: „Nastąpił amok. Przeszto myśleć kategoriami politycznymi, a zaczęto mistycznymi — że jak się powie słowo, to stanie się ono ciąłem; czyli jak powiemy 'oddajcie nam władzę', to władza znajdzie się w naszych rękach”. Dla zdecydowanej większości członków i aktywistów 13 grudnia był zatem ogromnym zaskoczeniem. „Nikt nie liczył — ocenia Frasyński — że ta rzekomo słaba władza okaże się jednak na tyle mocna, by rzucić na nas milicjantów (zakładających przecież niezależny związek funkcyjnaruszy MO) i żołnierzy (naszych kolegów z pracy, sąsiadów z osiedla)”. 13 grudnia — to nie tylko zaskoczenie, ale również bezradność. Większość działaczy, która została na wolności nie umiała, nie wiedziała, bądź też nie chciała walczyć z atakującym reżymem. Zwyciężyła idea biernego oporu, która zdaniem Borusewicza przyczyniła się do agonii „Solidarności”.

Generałowie zwyciężyli, lecz „Solidarności” nie pokonali. Zaczęła się konspiracja. O niej traktuje reszta książki. Ośrodki konspiracyjne zawiązywały się w pierwszym tygodniu wojny. Powstawały oddzielnie, w oparciu o różne koncepcje, kształtowane przez osobowość przywódców. Początki wszędzie były trudne. Przede wszystkim trzeba było zorganizować zaplecze dla osób ukrywających się i siatkę informacyjną. Konspiracja mogła powstać wyłącznie dlatego, że od razu uzyskała ogromne poparcie społeczne; jeśli nadal istnieje, to dlatego, że go nie utraciła. Są i rozczarowania, bolesne zwłaszcza, gdy dotyczą osób bliskich. Z ruchu wypadają jednostki i całe grupy. Część jest zmęczona walką, niektórzy mają kłopoty rodzinne, a wielu przerażonych represjami bezpieki rezygnuje z czynnego oporu. Wielu, jakże wielu pozostaje. Przywódcy podziemia nie rozwodzą

się specjalnie na ten temat, ale ich wzmianki o codzienności konspiracyjnej pozwalają wyobrazić sobie ogromne, anonimowe zaplecze: mieszkania, łącznicy, skarbnicy, sieć informacyjna, eksperci, szoferzy, redaktorzy i organizatorzy pracy związkowej — podziemna armia, która po raz pierwszy, na taką skalę i przez taki długi okres, funkcjonuje w świecie komunistycznym.

Skład grupy biorącej udział w podziemiu, a więc tej najaktywniejszej, jest inny niż aktywu solidarnościowego. Przykładem zmian, jakie się dokonały mogą być stosunki między ekspertami a TKK, które zdaniem wszystkich interlokutorów uległy znacznemu osłabieniu. „Udział czołowych ekspertów 'Solidarności' w pracach podziemia jest znikomy — ubolewa Bujak. — Zbyt dobrze rozumieją chyba ogrom komplikacji, by podejmować próby znalezienia wyjścia. Paraliżuje ich po prostu rozwinięte ponad zwykłą miarę poczucie odpowiedzialności. Bardziej pomagają nam więc nie intelektualisci, lecz po prostu inteligenci”.

Wraz z organizowaniem się regionów podjęto próby powołania jednego, koordynującego przedstawicielstwa. Ale kontakty były utrudnione, a i koncepcje różne. Towarzyszyła temu naturalna nieufność wobec osób nieznanych lub mało znanych, które włączały się w pracę podziemną. Niewątpliwie przeskadzały również osobiste ambicje i wzajemne animozje. Dopiero w kwietniu 1982 roku powstaje TKK. Nie ma jednak jednoznacznie określonej roli. Dla Bujaka miała być ciałem programotwórczym, wytyczającym ogólne kierunki działania. Lis nadawał jej o wiele większe znaczenie. Miała być zaporą przed powstaniem prowokacyjnych, ubeckich bojówek, występujących w imieniu „Solidarności”, co już poprzednio miało miejsce, miała nadawać kierunki działalności regionom, choćby w formie powstrzymywania przed podejmowaniem zbyt pośpiesznych i jakże często nieprzemyślanych działań, a także być jedynym ośrodkiem mającym własną reprezentację zagraniczną. Co się też stało dzięki powołaniu Biura Brukselskiego.

Nie ulega wątpliwości, że brak zgody co do jednoznacznego określenia roli TKK odbił się na jej funkcjonowaniu i na funkcjonowaniu całego podziemia. Stała oscylacja między rolą koordynatora, próbującego narzucić pewne formy działalności i akcje ogólnopolskie, a rolą moralnego reprezentanta różnych grup oporu sprawia bowiem, że część opinii publicznej jest rozczarowana, gdyż oczekuje od TKK spełniania roli „rządu podziemnego”, podczas gdy inna tak ogranicza jej kompetencje, że aż ją unicestwia.

Rozbieżnościom organizacyjnym towarzyszyły spory programowe. Bujak z Kulerskim, przekonani o „długim marszu”, zaproponowali program działania społeczeństwa podziemnego. „Nie była to koncepcja efektywna — przyznaje Bujak — nie obiecywała szybkich rozwiązań ani natychmiastowego zwycięstwa, w dodatku przenosiła odpowiedzialność za siłę i kształt oporu z przywódców na społeczeństwo”. Program oznaczał jednak budo-

wanie szerokiego frontu oporu, obejmującego zarówno walkę o prawa związkowe, jak działalność wydawniczą, oświatową i charytatywną. We Wrocławiu dominowała natomiast tendencja, którą można by nazwać związkowo-bojową. Przekonani, że o „przyszłości Polski nie zadecydują intelektualiści skupieni w towarzyskich grupkach”, wrocławianie od początku nastawieni byli na organizowanie silnych grup w zakładach, których zadaniem byłoby przygotowanie społeczeństwa do strajku generalnego. „Nasza koncepcja — stwierdza Frasyniuk — była najprostsza, co nie znaczy najłatwiejsza. Wymagała, aby poprzez prasę, ulotki, wydawnictwa kształtować świadomość polityczną i gospodarczą oraz nastroje w zakładach. (...) Należało pokazywać cele, trudności, motywować ludzi, przygotowywać ich na wyrzeczenia, nawet na ofiary. (...) Naturalnie żadne instrukcje, regulaminy i rozkłady jazdy nie pomogą, jeśli nie będzie organizacji na najniższym szczeblu. Tak samo nie zbawią nas charyzmatyczni przywódcy”. Inne regiony oscylowały między tymi dwiema koncepcjami.

Dyskusja o programie była w gruncie rzeczy dyskusją o możliwościach i sposobie zorganizowania strajku generalnego, który by co najmniej przywrócił stan prawno-polityczny sprzed 13 grudnia. Nie doszło do niego wiosną 1982 roku, ani po rozwiązaniu „Solidarności” przez rząd, ani później. Na tle strajku generalnego zarysowały się w łonie TKK ostre kontrowersje. Ujawniają się one przy każdej dyskusji dotyczącej organizowania strajków ogólnopolskich.

Wobec decyzji o zaniechaniu strajku wiosną i jesienią 1982 roku najbardziej krytyczny jest Borusewicz: „Władzę generałów mógł przełamać tylko strajk generalny, który łączył się z niebezpieczeństwem konfrontacji na skalę węgierską. Członkowie TKK stanęli przed dylematem — z jednej strony oczekiwania społeczeństwa, które wierzyło, że juntę można zwyciężyć, z drugiej strony świadomość ceny, jaką należałoby zapłacić w imię zwycięstwa albo porażki. Brak jednoznacznej decyzji, ciągłe wahania w łonie TKK co do wyboru metody (strajk generalny czy działalność długofalowa), lęk przed odpowiedzialnością, wszystko to powodowało, że WRON-a łamała opór i zdecydowanie szła do przodu”. Przeciwnicy strajku, czy też akceptujący samą jego ideę lecz odrzucający proponowane terminy używali argumentów niepozbawionych społecznych i politycznych racji. Wskazywano na niemożliwość powtórzenia scenariusza sierpnia 80 nie tylko ze względu na stan wojenny, ale przede wszystkim dlatego, że po strajku nie byłby już możliwy żaden kompromis, co w warunkach polskich niechybnie groziłoby inwazją sąsiadów. Wygrany czy przegrany strajk pociągnąłby za sobą wysokie koszty społeczne, do ponoszenia których społeczeństwo nie jest gotowe. Charakterystyczna pod tym względem jest wypowiedź Frasyniuka: „Ludzie nadal rozumują, niestety, jak przez 16 pamiętnych

miesiący. Komisja Krajowa to już musi chwycić komunistę za gardło i zadusić, tylko żeby, broń Boże, film amerykański albo program rozrywkowy w telewizji nie został przerwany, a krew chlapiąca z partyjnych komitetów nie powalała dywanów w mieszkaniach". Przygotowanie strajku generalnego wymagałoby olbrzymiej pracy przygotowawczej, zarówno politycznej, jak organizacyjnej, do której zdziśiatkowana kadra związkowa mimo poparcia społecznego nie była przygotowana. Strajk się nie odbył — i moim zdaniem — w sytuacji politycznej stworzonej po 13 grudnia odbyć się nie mógł. Problem programu pozostał natomiast otwarty.

Były różne próby, m.in. deklaracja „Solidarność dziś” stworzona przez TKK na przełomie 1982 i 1983 roku, skądinąd krytycznie przyjęta przez różne kręgi działaczy łącznie z przywódcami, lecz prawdę powiedziawszy programu związek nie ma. W prasie podziemnej i w dyskusjach prywatnych czyni im się z tego jeden z podstawowych zarzutów. Brak programu jest niekiedy powodem do rezygnacji z udziału w podziemiu i okazją do proklamowania całkowitej bierności. Argument jest prosty i jakże znamienny: nie ma programu, nie wiem w imię czego mam się poświęcać, a więc rezygnuję z działalności.

Należałoby jednak zapytać, czy istnieje jakiegokolwiek ugrupowanie opozycyjne, które dysponuje programem. Rzecz jasna programem dopasowanym do obecnej rzeczywistości, a nie będącym katalogiem pobożnych życzeń, wpisanych w bliżej nieokreśloną przyszłość. Istnieją oczywiście różnego typu programy i propozycje, których celem jest nie tyle zmiana istniejącego porządku politycznego, co obrona substancji narodowej bądź też takie, które prowadzą do mniej lub bardziej eleganckiej kolaboracji z PZPR. Programu działania opozycji na „dzisiaj” i na „jutro” nie ma nikt. I należy zadać pytanie, czy TKK w swej obecnej postaci może mieć taki program. Jej przywódcy są obciążeni tym samym dylematem, który ciążył przez 16 miesięcy na „Solidarności”: czy reprezentują przede wszystkim związek zawodowy, czy ruch społeczno-polityczny — czy jedno i drugie? Udzielenia jednoznacznej odpowiedzi nie ułatwia fakt, że prezentują różne opcje ideologiczne, w tym i takie, dla których związkowy model działania nie jest ani najbardziej atrakcyjny, ani najbardziej użyteczny. Ale istnieje jeszcze jeden powód — najważniejszy. Od 13 grudnia postępuje ciągłe i nieuchronne zróżnicowanie podziemia i społeczeństwa. Zbudowanie jednego programu odpowiadającego różnym potrzebom społecznym staje się po prostu niemożliwe. Może być jeden cel: niepodległa i demokratyczna Polska, lecz drogi do niej prowadzące muszą być różne, zgodne z wymogami pluralizmu.

TKK nie ma więc programu, lecz uosabia opór przeciw reżymowi. Dla Borusewicza ten fakt jest najważniejszy. „Czy naprawdę musimy posiadać precyzyjnie wyłożoną koncepcję, by wal-

czyć z władzą gnębiącą społeczeństwo, władzą, która bez przerwy kłamie, która wsadza ludzi do więzienia za wydawanie niezależnej gazetki? Wystarczy przecież wewnętrzny sprzeciw moralny wobec tego, co się dzieje. W kraju, gdzie reżym łamie wszystkie podstawowe prawa człowieka, wołanie o program jest rzeczą śmieszną, stawianiem problemu na głowie. Krzyczą zresztą głównie ci, którzy liczą, że koncepcje zastąpią działania". Nie dzielając w pełni opinii Borusewicza wypada stwierdzić, że wiele działających w opozycji grup, pretendujących do posiadania programu w rzeczywistości ogranicza się do czysto werbalnego sprzeciwu wobec władzy, podczas gdy TKK bez programu reprezentuje ruch, z którym mimo wszystkich wrogich lub ośmieszających go deklaracji ciągle liczy się rząd PRL.

Wywiady z działaczami TKK były przeprowadzane od 1982 roku do połowy 1984. Przez ten czas zmieniała się sytuacja w kraju i w samym związku, m.in. przez jego delegalizację, wypuszczenie na wolność Lecha Wałęsy i innych działaczy. Znane były dawniejsze spory między przewodniczącym a niektórymi działaczami, ciągle ciężące na życiu związkowym, lecz — „niezależnie od nieuniknionych rozbieżności poglądów — mówi Bogdan Lis — podkreślamy przez cały czas, że Lech był i jest przewodniczącym Związku. Nigdy przy tym nie uważaliśmy, by koniecznym było jego zejście do konspiracji. Wręcz odwrotnie! Są jednak między nami — rzekłbym — różnice taktyczne". W tych warunkach musiała ulec zmianie pozycja TKK, a także zakres jej działania i oddziaływania. Proces nie przez wszystkich przywódców podziemia w pełni uświadomiany i nie zawsze akceptowany.

Książka kończy się bilansem osiągnięć, strat i błędów podziemnej „Solidarności". Nikt z rozmówców nie ma zamiaru rezygnować z dalszej walki, choć są świadomi, że jej formy mogą się zmienić, a oni sami zniknąć ze sceny. Są jednak pewni, że znajdują następców.

Od 13 grudnia ewoluowała nie tylko sytuacja polityczna, zmieniali się także przywódcy związkowi. Dowodem *Konspira*. Wielu dawniej głośniejszych działaczy nie umiało, bądź nie chciało się odnaleźć w podziemnych strukturach związku i podporządkować się nowemu autorytetom. Więzy grupowe i tradycje brały niekiedy górę nad interesem związku jako całości, co wyrażało się w powoływaniu różnych, efemerycznych ugrupowań, w rezultacie więcej przynoszących szkody niż pożytku. Wiele było rozczarowań i wybujałej ambicji. Ostatnim świadectwem tego rodzaju zachowań były reakcje wychodzących na wolność przywódców związkowych. A tymczasem TKK jest po prostu faktem, z którym każdy działacz polityczny musi się liczyć, jeśli chce w sposób odpowiedzialny prowadzić działalność w kraju. Jej przywódcy są tego świadomi i są pewni własnych racji, co nie znaczy, że bezkrytycznie patrzą na swoją i na innych działalność. Nie ma wśród nich charyzmatycznego przywódcy, nie ma nawet jednego,

uznanego przez wszystkich autorytetu, jest po prostu grupa zwyczajnych ludzi, jest TKK. Nikogo nie oszczędzają, ani siebie, ani społeczeństwa. W tym swoistym sprawozdaniu, jakie przywódcy podziemnej „Solidarności” składają wszystkim swoim członkom, całemu społeczeństwu, są przede wszystkim fakty i mało partyzanckiej legendy. O sprawach nas wszystkich dotyczących mówią swym własnym głosem. Nierzadko jest im to poczytywane za błąd lub słabość; dla mnie jest to ogromna zaleta. Oczywiście głos jest czasem szorstki i brutalny, pozbawiony intelektualnych finezji ale i życie, które prowadzą nie jest życiem gabinetowym.

Po raz pierwszy w historii Polski masowy, podziemny ruch oporu zrywa z konspiracją, często kapturową praktyką. O sprawach publicznych rozprawia jawnie, nie ukrywa własnych opinii czy ich braku, nie tłumii rozbieżności i konfliktów, jego przywódcy zachowują się po prostu, jak ludzie wolni. Ta troska o jawność, o upublicznienie spraw normalnie przeznaczonych dla historyków, chwilami denerwuje, chwilami budzi niepokój, ale nie może nie budzić szacunku. Przekonanie, że ludzie powinni znać fakty, że powinni znać opinie przywódców i motywacje ich decyzji zrodziło się wraz z „Solidarnością”. I nie przestało istnieć w konspiracji. Otwartość ruchu podziemnego jest jedną z trwałych zdobyczy naszego życia publicznego i wkładem w przyszłą demokrację. Jakie mogą i powinny być granice tej otwartości, jest już sprawą dyskusyjną. Nie ulega wątpliwości, że nie zawsze i nie w każdej chwili wszyscy mogą wiedzieć wszystko. Trudno jednak przywódcom TKK zarzucić gadulstwo. Mówią to, co mogą w swej sytuacji powiedzieć.

Przywódcy TKK ewoluowali wraz z całym ruchem. Zmieniali się i mężczyźni. Nawet ci, którzy odeszli, zostali na zawsze naznaczeni podziemiem. Z przywódców regionalnych wyrosli na przywódców ogólnopolskich. Co nie znaczy, że już wszyscy umieją się podporządkować regule demokratycznej: interes ogółu ważniejszy jest nad interes partykularny. Wyrosli z różnych tradycji opozycyjnych, które na początku ciążyły nad ich działalnością, lecz powoli stapiają się z doświadczeniami dnia dzisiejszego. Przed-solidarnościowe ugrupowania stają się już referencją historyczną, a nawet epoka „Solidarności” przechodzi powoli do legendy. Dawniejsze zasługi, dawniejsza pozycja niewiele ważą przy obecnej bierności organizacyjnej i apatii politycznej. Tylko kombatancki żyją przeszłością. Przywódcy polityczni muszą żyć dniem dzisiejszym i powinni żyć przyszłością. I tej wizji przyszłości zabrakło mi w tej książce.

Wydaje mi się, że odpowiedziałam na pytanie postawione na początku. Uważam *Konspirę* za najważniejszy głos w dyskusji nad teraźniejszą i przyszłą sytuacją związku. Mamy nie tylko prawo, ale i obowiązek odpowiedzieć przywódcom TKK. Ocenic ich pracę, ich postawę. Razem zastanowić się nad przyszłością

podziemia. Sprowadzanie *Konspiracy* tylko do ewenementu wy dawniczego jest błędem politycznym. Ujrzyjmy za tymi drzewami las.

Grażyna POMIAN

Paryż, 11 czerwca 1985

Post scriptum:

Redaktor K. Koźniewski, znany dziś zwłaszcza jako autor niezapomnianego pomysłu zburzenia pomników ku czci ofiar czerwca (Poznań) i grudnia (Gdańsk), zajął się *Konspirą* na łamach *Polityki* (29 lipca 1985). Najpierw wielkie zdziwienie: kto gdzie słyszał, by konspiracja sama się ujawniała? Jeśli tak robi, to jest niepoważna. Potem oburzenie: od początku ruch był antykomunistyczny, co ukrywano pod frazesami związkowymi, a jego celem — *horresco referens!* — było zburzenie państwa! (Jedynym państwem, które akceptuje redaktor Koźniewski, jest oczywiście państwo komunistyczne). Na koniec — litość pomieszana z pogardą: przywódcy podziemia są przegrani, bo nie mają programu, bo poza kilkoma gazetkami nie ma ruchu opozycyjnego, bo w swoim czasie nie chcieli przyjąć propozycji premiera Jaruzelskiego. Początkowo zastanawiałam się, czy warto wspominać o tej recenzji. Lecz jeśli przeciwnik poświęca *Konspirze* tak wiele miejsca w *Polityce*, to znaczy, że go zabolęła, że trafnie zbija jego własne argumenty, że stanowi siłę propagandową, wobec której rząd wraz z usłużnymi redaktorami, zomowcami, więzieniami i procesami jest w gruncie rzeczy bezradny. Najlepszym dowodem kłamliwości głoszonego przez partię i rząd twierdzenia, iż konspiracja się skończyła i całe społeczeństwo na czele z klasą robotniczą słucha generała Jaruzelskiego są: kapturowe rozprawy sądowe takie, jak w Gdańsku, zakończone — jak w przypadku Frąsuniuka, Lisa i Michnika — wieloletnimi wyrokami; zmiany ustaw przez siebie samych przecież wprowadzonych, by jeszcze bardziej ubezwłasnowolnić społeczeństwo; zwalnianie z pracy, prześladowanie, bicie, a czasami i mordowanie działaczy „Solidarności”.

Można tak kontynuować, lecz ludzie pokroju redaktora Koźniewskiego i tak wiedzą swoje. Gdy ktoś wstąpi na ścieżkę zdrady narodowej, to przeważnie spada tak nisko, że dawne wojenne zasługi nie są w stanie przeważyć jego hańby.

G. P.

Benedykt HEYDENKORN

DRAMATYCZNA WYMOWA DOKUMENTÓW

W ramach uroczystości związanych z tysiącleciem chrztu Rusi-Ukrainy wydawnictwo SMOŁOSKYP, specjalizujące się w publikowaniu materiałów ukraińskiego samizdatu, Komitetu Hel-

sińskiego i grupy obrony Cerkwi i wiernych, przystąpiło do publikacji monumentalnego 4-rotomowego dzieła MARTYROLOGIA UKRAIŃSKICH CERKWI* o czym pisałem w poprzednim numerze *Kultury*.

W 1985 roku jako pierwszy ukazał się tom 2-gi „Martyrologii” zatytułowany *Ukraińska katolicka cerkiew*. Zawiera on bogaty zestaw materiałów opublikowanych uprzednio w książkach czy czasopismach, w tym oczywiście podziemnych, nie tylko ukraińskich. Wyboru materiałów dokonali Osyp Zenkewycz i ks. Taras R. Łonczyna, którzy również przygotowali je do druku i zaopatrzyli komentarzem.

Dokumentację poprzedzają: przedmowa archimandryty dr. Lubomyra Huzara, Poślanie (testament duchowy) patriarchy Slipyja, wprowadzenie arcybiskupa metropolity (obecnie już kardynała) Lubaczewskija. Archimandryta Huzar i kardynał Lubaczewskij podkreślają ważność opublikowanych w tym tomie dokumentów świadczących zarówno o prześladowaniach, cierpieniach Cerkwi jak i o przywiązaniu do niej, wierności hierarchii, duchownych i społeczeństwa. Kardynał Slipyj w wypowiedzi, która zdaje się była ostatnią albo jedną z ostatnich, pisze o znaczeniu Patriarchatu cerkwi ukraińskiej, o swoich wysiłkach uzyskania oficjalnego i formalnego zatwierdzenia przez Pawła VI. „Z synowską pokorą i cierpliwością, ale też wyraźnie oświadczyłem śp. papieżowi Pawłowi VI: nie zatwierdzi Wasza Świątobliwość, uczyni to następca... Dlatego, bo my, nasza ukraińska cerkiew, istniejemy i nigdy nie możemy odstąpić od Patriarchatu...”. Wzywając do zachowania wierności Stolicy Apostolskiej, jedności z Rzymem ustanowionej Unią Brzeską z 1595/1596 roku oraz innymi umowami, których wiernie dotrzymywali papieże, kardynał Slipyj dodaje, że o jedności z Rzymem świadczy też wielka ilość ukraińskich męczenników za wiarę. „Stolica Apostolska pod wpływem i wskazaniem doradców Kurii Rzymskiej, może i w dobrej wierze, przyjęła w latach 70-tych polityczny kierunek, który zadał bolesny cios naszej Cerkwi na Ukrainie a jeszcze większy tej części naszej Cerkwi i naszego narodu, jaka znalazła się w wolnym świecie. Cały świat chrześcijański jest świadkiem, iż nasze stanowcze przestrogi i pokorne argumenty jakie przedkładaliśmy papieżowi Pawłowi VI, nie były brane pod uwagę”.

Dalej kardynał Slipyj wywodzi, iż ujawnione tajne dokumenty o kontaktach Stolicy Apostolskiej z moskiewskim Patriarchatem mają „charakter wyroku śmierci dla Ukraińskiej Cerkwi” i cytując ustępy z Ewangelii wzywa swoich wiernych, by nie ulegali złym wpływom, nie dali się uwieść złudom.

Znaczeniu i roli Patriarchatu kardynał Slipyj poświęca wiele

* *Martyrolohija ukrajinskich cerkow tom II — Ukrajinska Katolycka Cerkwa*. — Dokumenty, materiały, chrystijanskyj samwydaw Ukrainy. — Uporadkuwały i zredahowały Osyp Zenkewycz i Swjaszczenym Taras R. Łonczyna. Ukrajinske Wydawnictwo „Smołoskyp” im. W. Symonenka — Toronto - Baltimore 1985, str. 839.

uwagi w kilku wystąpieniach opublikowanych w omawianym tomie. Niektóre inne dokumenty również odnoszą się do Patriarchatu.

Materiał został uszeregowany i podzielony na 11 rozdziałów, z których każdy miał przedstawiać pewien fragment problemu; ponieważ jednak niektóre sprawy występują w różnych relacjach — w dokumentach nie brak powtórek. Oto tytuły rozdziałów:

- Martyrologia ukraińskiej katolickiej Cerkwi 1939-1984;
- Cerkwie podczas pierwszej bolszewickiej okupacji 1939-1941;
- Likwidacja Cerkwi w Ukraińskiej Sowieckiej Republice i wschodnioeuropejskich państwach komunistycznych;
- Władcy i duchowni uwięzieni i zesłani: relacje i świadectwa;
- Listy i postania metropolity Slipyja z zesłania;
- Sytuacja Cerkwi w Ukraińskiej Republice Sowieckiej w latach 1958-1984;
- Niszczanie ukraińskich cerkiew i religijnych pomników;
- Grupa obrony praw wierzących i Cerkiew;
- Polacy-katolicy na Ukrainie i Ukraińcy-katolicy w Polsce;
- Stanowisko ukraińskiej katolickiej Cerkwi i wierzących w Ukraińskiej Republice Sowieckiej;
- Wystąpienia w obronie ukraińskiej Cerkwi i wierzących.

Dokumentacja obrazuje etapy niszczenia Cerkwi, metody jakie stosowano i stosuje się wobec duchowieństwa, wierzących i społeczeństwa. Przytłaczająca większość relacji pochodzi z terenu i odnosi się do konkretnych wypadków w ściśle określonym czasie. Wszelkie materiały docierały na Zachód różnymi, oczywiście nieoficjalnymi, drogami. Odnosi się to również do raportów i pism wystosowanych do Watykanu.

Brak odpowiednich słów dla oceny poszczególnych kroków hierarchii Cerkwi grecko-katolickiej wobec okupantów sowieckich (później i niemieckich). Przecież ani metropolity Szeptyckiego ani innych biskupów czy szeregowych księży nie trzeba było uświadamiać jaki jest stosunek bolszewików do religii, gdyż wszyscy doskonale wiedzieli jak wygląda sytuacja w ZSSR. Tym niemniej wkrótce po wkroczeniu wojsk sowieckich do Polski, na obszary województw wschodnich: lwowskiego, tarnopolskiego i stanisławowskiego, Wołynia i Polesia — metropolita w liście pasterskim wezwał swoich księży do podporządkowania się zarządzeniom okupantów, jeśli nie są sprzeczne z prawami Bożymi. I jeśli to mogło być jeszcze zrozumiałe i politycznie uzasadnione — to ustanowienie dla 9 października Egzarchatu obejmującego całe terytorium znajdujące się pod władzą Moskwy i wyznaczenie na poszczególne obszary egzarchów uznać chyba należy za absolutny brak rozeznania politycznego. Zamknięcie seminarium duchownego i wszystkich szkół katolickich nie pohamowało zapału misyjnego Metropolity. Rozpisał konkurs na objęcie ukraińskich katolickich parafii w Kijowie, Odessie, Winnicy, Charkowie i Połtawie informując, iż kandydaci muszą być „gotowi na wszelkie

ofiary". W tymże miesiącu (luty 1940 roku) zwraca się do rządu ZSSR z prośbą o zezwolenie na wyjazd na Sybir oraz na inne tereny wraz z kilkunastu księżmi celem niesienia posługi duszpasterskiej wywiezionym tam swoim rodakom.

Sekretarz Stanu Stolicy Apostolskiej zawiadomił Szeptyckiego 30 kwietnia 1940 roku, że papież Pius XII cofnął mu uprawnienia przyznane w 1907 roku, które pozwalały mu mianować egzarchów na obszarze Rosji. W styczniu 1941 roku czterej egzarchowie wystosowali pismo do Watykanu uzasadniając potrzebę nowej administracji kościelnej. W listopadzie tegoż roku, a więc kiedy Lwów był pod okupacją niemiecką, Pius XII zmienił swoje decyzje z kwietnia 1940 roku i zatwierdził wszystkie nominacje metropolity Szeptyckiego.

Pismem z dnia 16 sierpnia 1941 roku metropolita Szeptycki poinformował Watykan, iż w czasie okupacji sowieckiej z archidiecezji wywieziono na Sybir 250 tysięcy Ukraińców a ciała 6 tysięcy zamordowanych osób znaleziono w więzieniach po opuszczeniu terenów przez bolszewików. W następnym piśmie, z dnia 7 listopada 1941 roku, informuje iż w tymże okresie na terytorium Zachodniej Ukrainy uwięziono lub zamordowano 32 duchownych a 33 wywieziono na Sybir. W dalszej kronice wydarzeń brak informacji na temat zachowania się niemieckiego okupanta w stosunku do Kościoła i kleru obrządku greckokatolickiego. Wiadomości, owe kilkunaszowe doniesienia począwszy od lata 1944 roku z każdym niemal dniem i miesiącem były coraz bardziej dramatyczne. Narastała liczba ofiar, zbrodni, aresztów, deportacji a wraz z tym zacięty opór społeczeństwa. Wyniki akcji władz sowieckich wobec Kościoła obrządku greckokatolickiego na etnicznych obszarach ukraińskich ilustrują poniższe dane:

1939 rok	Stan - liczba	1947 rok
diecezje	5	wszystkie zlikwidowane
administracja apostolska	2	zlikwidowana
biskupi	10	aresztowani, zesłani, zmarli w więzieniach, zaginieni
duchowni	2.950	50 % uwięzionych, 20 % pracuje nielegalnie względnie emigrowało, 30 % przyjęło pra- wosławie pod przymusem
zakonnicy	520	wszystkich rozpedzono
zakonnice	1.090	wszystkie rozpedzono

Zlikwidowano ogółem 3.040 parafii z których niektóre przekazano rosyjskiej cerkwi prawosławnej. Kościół posiadał 4.440 cerkwi, które zostały zamknięte lub oddane (niektóre) nowym

prawosławnym lub też użytkują je władze administracyjne dla różnych celów.

Na podstawie źródłowych materiałów zestawiono listę zamordowanych, zmarłych w więzieniach lub na zesłaniu biskupów oraz innych duchownych. Relacje o niektórych znajdują się na innych stronach, w raportach świadków.

Rzecznicy ukraińskiej Cerkwi Katolickiej z naciskiem podkreślają, że żaden biskup nie uległ namowom, naciskom czy torturom sowieckich władz, by przejść na rosyjskie prawosławie. Dokumenty opublikowane w omawianym tomie ujawniają machinacje sowieckich władz bezpieczeństwa i działających wraz z nimi przedstawicieli rosyjskiej cerkwi prawosławnej. Świadczą one iż synod, który uchwalił zerwanie Unii Brzeskiej i „powrót” na łono cerkwi prawosławnej, był pod każdym względem nielegalny i że postanowienia jego są wobec tego nieważne. Główny organizator synodu, ks. dr Hawrył Kostelnik, profesor Seminarium Duchownego, najgorliwszy likwidator legalnej Cerkwi, której był wieloletnim kapłanem, zginął w jakiś czas później z rąk zamachowca.

Redaktorzy tomu nie opublikowali żadnych materiałów odnośnie położenia nowoutworzonego kościoła prawosławnego. A szkoda, bo — jak wiadomo z innych źródeł — te cerkwie zostały zdiesiątkowane, duchowni prześladowani, aresztowani itp.

Część duchownych żyje w podziemiu, spełnia nielegalnie posługi, niektórzy są w ciągłym ruchu, nie mają stałego miejsca pobytu. Są ścigani przez władze bezpieczeństwa. Wielu z nich po spędzeniu kilku lat w więzieniach i obozach podejmuje znowu swoje duszpasterskie obowiązki. Katolicka Cerkiew żyje w katakumbach i posiada nawet biskupów.

Ogłoszone dokumenty dotyczą wszystkich diecezji tego Kościoła, a więc również w Czechosłowacji (Ruś Podkarpacka) i Rumunii. Osobny rozdział poświęcony jest obecnej sytuacji w Polsce. Ponadto ogłoszono fragmenty obszernego sprawozdania-raportu ks. kanonika Wasyla Hrynika, którego kardynał Hlond — jako Delegat Apostolski dla wiernych greckokatolickiego obrządku w Polsce — mianował swoim wikarym. Raport za okres 1944-1948 wysłany do Rzymu, którego tylko fragmenty w tym zbiorze ogłoszono — jest zapewne najbardziej szczegółową — a zarazem pierwszą — oceną ze strony duchownego-Ukraińca. Podaje on liczbę wiernych na około 80-100 tysięcy dodając, iż UB utrzymuje iż w Polsce pozostało tylko około 60 tysięcy Ukraińców. Ks. Hrynik donosi m.in. iż bezskutecznie interweniował u kardynała Hlonda prosząc o interwencję w sprawie aresztowanych księży greckokatolickich, których lojalność nie pozostawiała żadnej wątpliwości. W odróżnieniu od niego Administrator Apostolski w Gorzowie interweniował po aresztowaniu trzech księży i uzyskał ich zwolnienie. Ks. Hrynik utrzymuje, że kardynał Hlond dał zgodę na wywiezienie sławnej biblioteki kapituły greckokatolickiej Przemyśla. Księgozbiór zresztą został rozczłonkowany. Część

otrzymał Uniwersytet Warszawski, część Uniwersytet Jagielloński a część KUL. Nie wie gdzie zapodziały się cenne zbiory archiwalne, skarbiec katedry oraz wiele cennych, unikalnych pamiątek, galeria portretów władcyków diecezji galicyjskich, kijowskiej metropolii z XVII-XIX wieku.

Rektor KUL-u zapewnił ks. Hrynika, że ma zdekompletowaną część zbiorów i zapewne ktoś zabrał sporą ilość książek.

Ks. Hrynik wyraża żal, iż kardynał Hlond odmówił interwencji, gdy UB oddało w ręce NKWD ks. biskupa przemyskiego Kocyłowskiego, uchylił się od protestu, co miałoby dużą moralną wymowę. Dodaje jednak, iż Prymas nie interweniował również w sprawie aresztowania polskich księży, uważał bowiem, iż nie tylko nie pomoże, ale zaszkodzi, gdyż władze komunistyczne uważały, iż związany jest z rządem RP w Londynie.

Gorzko wyraża się o ustosunkowaniu kardynała Sapięhy do kleru grekokatolickiego. Kardynał w 1946 roku zlikwidował istniejącą od wielu dziesiątków lat parafię grekokatolicką liczącą około 15 tysięcy wiernych. Parafia ta nie podlegała jurysdykcji metropolii krakowskiej, lecz diecezji grekokatolickiej w Przemyślu. Kardynał pozostał głuchy na wszelkie argumenty i kościół przekazał księżom rzymskokatolickim. Stosunek biskupów do księży obrządku grekokatolickiego, którzy zostali w Polsce, był różny. Ks. Hrynik twierdzi, iż niektórzy odnosili się do nich wręcz wrogo i nie chcieli przyjąć do swoich diecezji żadnego kapłana, niektórzy byli obojętni a jeszcze inni życzliwi, pomocni. Wśród tych ostatnich wyróżnił się biskup tarnowski Lisowski podczas, gdy jego następcę bp. Stępe określa jako „klasycznego kresowego szowinistę”. Jedni księża rzymskokatolicy ukrywali swoich grekokatolickich konfratrów podczas gdy inni — na Ziemiach Odzyskanych — denuncjowali, uniemożliwiali im pracę wśród przesiedlonych rodaków. Niektórzy członkowie kapituły pomagali i wspierali bezdomnych i bezrobotnych księży grekokatolickich i to często wbrew ich biskupom — przydzielając ich do różnych parafii jako wikarych.

Stosunki na Ziemiach Odzyskanych w omawianym okresie były ciężkie i różne w zależności od nastawienia administratorów apostolskich, wikariuszy generalnych.

O sytuacji aktualnej informuje pismo ukraińskich katolików wystosowane do Episkopatu Polski na ręce prymasa Glempa w marcu 1984 roku. Stwierdzając, iż stan „ich cerkwi nie może być nadal obiektem milczenia i nieświadomości” relacjonują jego stan rzeczywisty i wysuwają szereg postulatów sformułowanych w 10 punktach. Domagają się m.in. mianowania biskupa ordynariusza w Przemyślu, a w Warszawie sufraganów. Biskupi ci, ordynariusze i sufragani, powinni mieć prawo uczestniczenia w naradach Episkopatu Polski z prawem głosu w sprawach dotyczących ich obrządku.; obsadzenia parafii przez duchownych grekokatolickiego obrządku; regularne przypominanie co najmniej dwa razy w roku we wszystkich kościołach diecezji wrocławskiej, go-

rzowskiej, szczecińsko-kamińskiej, brzesko-koszalińskiej, poznańskiej, warszawskiej, warmińskiej, białostockiej, gdańskiej, lubelskiej, lubaczowskiej, przemyskiej, tarnowskiej, krakowskiej, katowickiej, polskiej i innych o „*Obowiązkach powrotu wiernych i ich dzieci do obrządku greckokatolickiego*”. Postulaty dotyczą m.in. erygowania parafii w ośrodkach, w których mieszka odpowiednia ilość ludności obrządku greckokatolickiego; zwrotu zabranych cerkwi, ustanowienia katechetów ukraińskich, publikacji modlitewników, katechizmów oraz innych książek religijnych, pomocy dla publikacji poważnego miesięcznika w języku ukraińskim poświęconego problematyce Kościoła greckokatolickiego w Polsce.

Zaznaczając, że żalów jest znacznie więcej, wskazali tylko na najważniejsze, tym niemniej korzystają w zakończeniu, by podziękować prymasowi Glempowi za jego List Pastorski na Boże Narodzenie 1982 roku i wyrażają nadzieję, iż „przeprowadzi wizytację większych ukraińskich ośrodków religijnych i pójdzie w ślady obecnego Papieża i zechce odprawić mszę św. w liturgii bizantyjsko-ukraińskiego obrządku”.

Kopie pisma otrzymali: Arcybiskup-metropolita — Rzym, Kongregacja dla Wschodnich Kościołów — Rzym oraz obaj generalni wikariusze w Polsce, księża prałaci Romanik i Martyniak.

Z pracy Ryszarda Brykowskiego „W sprawie architektury cerkiewnej województwa rzeszowskiego”, opublikowanej w Warszawie w 1957 roku, podają spis cerkwi oraz innych obiektów kościelnych posiadających dużą wartość architektoniczną, a które uległy zniszczeniu. Na obszarze diecezji przemyskiej, która pozostała przy Polsce w 1945 roku znajdowało się 514 ukraińskich cerkwi, w tym 311 uznanych za obiekty o dużej wartości architektonicznej. W czasie walk z UPA zniszczono 6 cerkwi, od 1946 do 1956 roku polskie władze komunistyczne zniszczyły 158, w tym 101 o znaczeniu historycznym, 57 pozostało w administracji Kościoła, 34 zamieniono na magazyny, 13 oddano wiernym a los 264 jest nieznanym. Brykowski wymieniając kolejno owe 101 cerkwi podaje rok budowy. Są w tym zestawieniu cerkwie zbudowane w XVII wieku.

Zniszczenie tych obiektów architektury nie może być usprawiedliwione żadnym celem politycznym, to po prostu barbarzyństwo.

I jeszcze jeden dokument: prośba Polaków-katolików ze wsi Kozariwka (powiat Winnica) do rodaków za granicą, do papieża Jana Pawła II o interwencję, by władze sowieckie zezwoliły na otwarcie kaplicy. We wsi jest 300 domów Polaków, wierzących katolików a władze sowieckie zniszczyły kościół parafialny, który był w odległości 7 km. od wsi a teraz najbliższy jest odległy o 15 km. Brak jest szosy, nie kursują żadne autobusy na tej trasie, aby ukarać wierzących mieszkańców wsi. Nie są w stanie pieszo przejść 30 km do kościoła, proszą więc o wstawiennictwo,

gdyż własne zabiegi nie dały wyniku. Wśród szczegółowych informacji o zamykaniu i niszczeniu kościołów znajduje się zdanie „w 1937 roku z naszej wsi wywieziono na Sybir 90 mężczyzn i nie powrócili oni do swojej rodzinnej wsi Kozariwka dlatego, że byli Polakami, wierzącymi katolikami”.

Podanie to dotarło na Zachód w 1979 roku i chyba nie ma wątpliwości jakie jest stanowisko władz sowieckich: nie ma więc kaplicy we wsi Kozariwka.

W wielkim skrócie zasygnalizowaliśmy jedynie to niezwykle ważne dzieło. Na omówienie dokładne trzeba wiele, wiele miejsca. Jest to niemal encyklopedia, zresztą nie tylko o stanie ukraińskiej Cerkwi katolickiej na ziemiach pod władzą komunistyczną, ale o polityce komunistów, ich taktyce i nastawieniu wobec religii. Czy dzieło to zawiera jakieś nowe rewelacje? Nie. Wydaje się jednak, że trzeba koniecznie powtarzać i przypominać owe znane fakty, by wreszcie wywołały należytą reakcję.

Tom zawiera liczne ilustracje i bogatą bibliografię.

Benedykt HEYDENKORN

Wacław JĘDRZEJEWICZ

O PIŁSUDSKIM, LEGIONACH I POW W PRL

W 1985 roku ukazały się w Polsce dwa tomy poświęcone Józefowi Piłsudskiemu*. Wypadek dość niezwykły, bo przecież nie tak dawno jeszcze cenzura nie pozwalała drukować tego nazwiska. A tu mamy wybór jego pism i opinie o nim pisarzy, polityków i wojskowych. Treść tych dwóch tomów tak diametralnie różni się od siebie, że wolę omówić każdy z nich oddzielnie.

I. Wybór pism

Wybór pism obejmuje 104 pozycje, więc jest dość obszerny. Jak sprawdziłem wrywkowo, teksty są podane ściśle, bez opuszczeń i zmian. Ale wybór jest ograniczony do lat 1914-1930 gdyż,

* Józef Piłsudski o państwie i armii. I. *Wybór pism*, str. 343. — II. *W świetle wspomnień i innych dokumentów (aneks)*, str. 285. Wybrał i opracował Jan Borkowski, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1985. Nakład 50.350 egzemplarzy.

według opracowującego ten tom, „rok... 1930 zamyka praktyczną twórczość pisarską J. Piłsudskiego”. To znaczy, że opuszczone zostały „Poprawki historyczne” jako zbyt obszerne i szereg innych wypowiedzi Piłsudskiego z jego ostatnich lat życia.

Wybór z pism każdego autora jest sprawą bardzo indywidualną. Każdy, który się zajmuje tą czynnością, robi to według własnego uznania. Co zachować, a co opuścić? Jest to trudne pytanie. Sam dwukrotnie byłem w tym położeniu, przygotowując (zresztą anonimowo) „Pisma wybrane” Piłsudskiego (wspólnie z Panią Marszałkową Piłsudską i za aprobatą gen. Sosnkowskiego), wydane w Londynie, w czasie wojny w 1943 roku przez firmę M. I. Kolin (468 stron), oraz w rok później „Wybór pism” w Nowym Jorku, wydany przez Instytut Piłsudskiego w Ameryce (XV, 368 stron).

Omawiając obecnie nowe wydanie pism w Polsce trzeba zauważyć, jakich wypowiedzi dr Borkowski nie pomieścił, choć moim zdaniem winny figurować w każdym szerszym wyborze pism Piłsudskiego. A więc brak odezwy Piłsudskiego do mieszkańców Wielkiego Xięstwa Litewskiego z 19 kwietnia 1919 roku, zaraz po zdobyciu Wilna z rąk bolszewickich. Bardzo ważna pod względem politycznym odezwa może padła ofiarą cenzury, ale powinna znajdować się w każdym zbiorze wypowiedzi Piłsudskiego. Także opuszczone przemówienie w Mińsku Litewskim 8 sierpnia 1919 roku i dalej, z tej samej pod względem politycznym serii, odezwa do mieszkańców Ukrainy z 26 kwietnia 1920 roku, dnia rozpoczęcia wyprawy kijowskiej. Opuszczono wszystko, co się dotyczy bitwy warszawskiej, zawartej w większym dziele Piłsudskiego „Rok 1920”. Jest rzeczą jasną, że w wyborze pism nie ma miejsca na całość liczącej 217 stron książki, ale można by podać jeden z rozdziałów, zwłaszcza dotyczący decyzji z 6 sierpnia 1920 roku, by uderzyć znad Wieprza.

Brak także odczytu Piłsudskiego dotyczącego obrony Lwowa w 1918 roku, wygłoszonego we Lwowie 7 sierpnia 1923 roku. Za to z przyjemnością znalazłem pierwszy odczyt w sprawie Wilna z 24 sierpnia 1923 roku.

Brak przemówienia Piłsudskiego do oficerów, składających mu hołd w Sulejówku 15 listopada 1925 roku jako odpowiedź na przemówienie gen. Dreszera, zakończone słowami: „... niesiemy Ci prócz wdzięcznych serc i pewne, w zwycięstwach zaprawione szable”. Te dwa przemówienia były wstępem do wypadków majowych 1926 roku i należałoby je umieścić w tym zbiorze.

Nie znajduję trzech bardzo ważnych przemówień Piłsudskiego, które wprawdzie nie dotyczą treści podtytułu książki „o państwie i armii”, lecz są, moim zdaniem, arcydziełami literatury polskiej, za które Piłsudski został powołany na honorowego członka Polskiej Akademii Literatury.

Chodzi o odczyt o roku 1863, wygłoszony 24 stycznia 1924 roku w Warszawie, przemówienie przy składaniu na Wawelu prochów

Słowackiego 28 czerwca 1927 roku i przemówienie w Wilnie na zjeździe legionistów 12 sierpnia 1928 roku o „miłym mieście”.

Mam wiele zastrzeżeń co do niektórych odnośników dr. Borkowskiego, jak np. przy memoriale Piłsudskiego do Beselera 16 grudnia 1916 roku o organizacji werbunku (str. 30). Dr Borkowski uważa, że świadczy to o „zależności Józefa Piłsudskiego od władz niemieckich i o jego dalszych wysiłkach, by sprawę niepodległości Polski wiązać ze zwycięstwem Niemiec i Austrii”. Jest to drobnostką w stosunku do tego, co dr. Borkowski wykaże w drugim tomie swej pracy.

Bardzo wiele dokumentów wymagałoby wyjaśniających odnośników, np. list Piłsudskiego do Paderewskiego w Paryżu z 30 maja 1919 roku wspomina o układzie z Kurdynowskim (*nota bene* oryginał znajduje się w Instytucie Piłsudskiego w Nowym Jorku), lub wyrażenie „głupi rozkaz Hallera” (str. 96-97). Kim był Kurdynowski i co to był za układ? O jakim rozkazie gen. Hallera mowa? Ja wiem i dr Borkowski wie, ale czytelnik nie wie. Oczywiście, przypisy czy odnośniki rozszerzyłyby znacznie objętość książki, ale są konieczne, gdyż obecni czytelnicy w Polsce zupełnie nie znają historii tych lat i trzeba im ją podać w formie zrozumiałej.

W każdym razie trzeba przyjąć bardzo pozytywnie ukazanie się w Polsce Ludowej tak znacznej ilości pism Piłsudskiego. Nie wątpię, że pierwszy nakład „Pism” zostanie szybko wyczerpany.

II.

O ile tom pierwszy materiałów „Józef Piłsudski o państwie i armii” jest niewątpliwie pozytywnym, choć częściowym wkładem do polskiej literatury, o tyle tom drugi: „Józef Piłsudski w świetle wspomnień i innych dokumentów” jest zaprzeczeniem istotnej prawdy historycznej o Piłsudskim. Autor z cierpliwością godną lepszej sprawy przepracował ogromny materiał wspomnień współczesnych o Piłsudskim, by przedstawić go jako człowieka małego kalibru, pełnego zawiści i nienawiści do narodu polskiego, lubującego się w brutalnych i obraźliwych wypowiedziach, właściwie nie Polaka, lecz Litwina, nienawidzącego naród polski. Mimo mych bardzo późnych lat czytam jeszcze dużo, ale dawno już nie czytałem tak obrzydliwego zbioru wypowiedzi na temat Piłsudskiego.

Wybuchy gniewu Piłsudskiego i specyficzny sposób wyrażania się o ludziach są przez autora chętnie podkreślane w ujemnych opiniach o nim. Ale zbieracz tych wypowiedzi mógłby przytoczyć relację historyka polskiego, Artura Śliwińskiego, o rozmowie z Piłsudskim 7 listopada 1931 roku. Marszałek mówił, że idea służenia Polsce bardzo wcześniej ukształtowała się w jego głowie. „Tej idei pozostałem wierny na zawsze. I dzisiaj, choć nieraz mówię o „durnej Polsce”, wymyślam na Polskę i Polaków, to przecież tylko Polsce służyć”.

Uczciwy historyk winien był te słowa przypomnieć.

Oczywiście, autor tu i tam powtykał, jak rodziny, pozytywne opinie o osiągnięciach Piłsudskiego, wymieniając ustępy z prac np. Antoniego Anusza, Władysława Baranowskiego (który nie był ambasadorem w Bułgarii, tylko posłem), Adama Skwarczyńskiego, Janusza Jędrzejewicza, Bogusława Miedzińskiego, krótkie przemówienie Walerego Sławka i paru innych piłsudczyków. Nikną one w powodzi cytat ze wspomnień Jana Hupki, Andrzeja Wierzbickiego, Romana Dmowskiego, Adama Pragiera, Stanisława Grabskiego, Macieja Rataja, Wincentego Witosa, Sylwina Strakacza, a nawet Ireny Panenkowej, dziś zapomnianej, choć my, ostatni legionieści, dobrze pamiętamy jej paszkwile na Piłsudskiego i wielu innych. Nawet nadanie Józefowi i Aleksandrze Piłsudskim, jako kawalerom Virtuti Militari, działek tworzących Pikieliszki, opisane jest jak jakaś machlojka finansowa, byle tylko zbeczczyć rodzinę Piłsudskich.

Autor bardzo szczegółowo cytuje opinie polskich polityków, którzy w początkach 1920 roku naciskali na rząd, by rozpoczął rokowania z bolszewikami, które zdaniem Lenina mogły doprowadzić już wtedy do pokoju. Wbrew opinii tych polityków, Piłsudski zwlekał z odpowiedzią. Uważał, zresztą słusznie, że dziś bolszewicy gotowi są iść na wszelkie terytorialne ustępstwa, gdyż mają do rozwiązania ważniejsze dla nich sprawy wewnętrzne, po czym, gdy będą silni, uderzą na Polskę pod jakimkolwiek pretekstem. Wobec tego Piłsudski był przeciwny układom, choć zgodził się na rozmowy w Borysowie, na co znów bolszewicy nie godzili się. Ale według Piłsudskiego trzeba było przede wszystkim pobić bolszewików tak, „żeby ruski miesiąc popamiętali”. Potem dopiero rozmawiać.

Trzeba podziwiać siłę charakteru Piłsudskiego i jego wiarę, że Polska, dopiero od dwóch lat niepodległa, potrafi pokonać bolszewików, którym nie mogli dać rady Denikin, Kołczak, Judenicz czy Wrangel przy wielkiej pomocy Anglii, Francji, Stanów Zjednoczonych i Japonii (czego Polska, poza pewną pomocą Francji w zaopatrzeniu, nie miała).

Rozumiem, że dr Borkowski nie umieścił wyjątku z relacji Miedzińskiego o rozmowie z Piłsudskim, który podał jakże trafną charakterystykę Lenina: „Lenin jest człowiekiem przebiegłym i przy całym swoim marksizmie niezwykle elastycznym, potrafi iść na przejściowe kompromisy, umie się cofać, umie czekać... Polska więc musi się przygotować do trzaśnięcia po łapach w najkrótszym czasie, dopóki łapy te są jeszcze słabe”. Dalej Piłsudski mówił o Leninie, że jest on skrajnym oportunistą. „Każdy kompromis, każda szacherka są dopuszczalne i wskazane... Zawrze każdą umowę, każdy sojusz, jeśli mu to choćby na chwilę będzie potrzebne i złamie go z chwilą, gdy mu to będzie na rękę i jeszcze oskarży partnera, że to on go perfidnie oszukał”.

Zagadnienie wypadków majowych 1926 roku zajmuje dużo miejsca w wypisach dr. Borkowskiego, i słusznie. Ale zupełnie

pominięto przedstawienie, jak wówczas wyglądała ogólna sytuacja wewnętrzna Polski i ku czemu to zmierzało. A były ku temu przesłanki nie tylko w polityce sejmowej, lecz także w sytuacji gospodarczej i międzynarodowej, których zmieniające się polskie rządy i słaby prezydent Wojciechowski nie mogli opanować. Demonstracja zbrojna Piłsudskiego nie miała na celu walki, lecz miała dać oparcie prezydentowi dla rozwiązania kryzysu. Pierwsze strzały na placu Zamkowym padły ze strony wojsk rządowych, nie „zbuntowanego” Piłsudskiego.

Autor omawiając sprawę Brześcia zacytował około dwudziestu wyjątków z przemówień i pism wielu polityków i samych ofiar Brześcia. I znowu mamy przed sobą sfałszowanie historii, bo mówi się o brutalnych aresztowaniach i bardzo przykrym, kilkutygodniowym pobycie w wojskowym więzieniu, a pomija się przyczyny, które skłoniły Piłsudskiego do objęcia rządu po Stawku i aresztowania we wrześniu 1930 roku kilkunastu posłów. W tekstach pominięto odezwę Centrolewu z 29 czerwca 1930 roku, w której wystąpiono nie tylko przeciw rządowi, ale i przeciw osobie prezydenta. Zapowiedziano zwołanie na 14 września manifestacji w 21 miastach Polski, z Warszawą i Krakowem na czele. Można sobie wyobrazić, co by się działo w Polsce tego dnia, bo przecież te manifestacje wszędzie spotkałyby się z kontramifestacjami bardzo silnego obozu piłsudczyków. Krew by się polała i to nie w rozmiarach majowych (dr Borkowski na str. 146 podaje, że wówczas zginęło 379 osób, z tego 164 żołnierzy), tylko znacznie, znacznie większych. A czy nasi sąsiedzi patrzyliby na to obojętnie? Reminiscencje z końca XVIII wieku stały wówczas wyraźnie przed oczami Piłsudskiego.

Piłsudski, któremu nie można odmówić daru dalekowzroczności, widział to dobrze i zareagował. Reakcja była, moim zdaniem, konieczna, ale forma jej mogła być inna, bardziej normalna. Twierdza Brześć i maltretowanie uwięzionych były niepożądane. Ale aresztowania były konieczne i sąd wydał swój wyrok o tej sprawie. Lecz dla dr. Borkowskiego sprawa Brześcia przesłoniła całkowicie całość działalności Piłsudskiego i jako męża stanu, i jako wodza naczelnego. Wszystko inne ginie niezauważone, lecz Brześć wysuwa się, sztucznie wyolbrzymiony, zakrywając istotne osiągnięcia Piłsudskiego.

I tak nasza dwuletnia wojna z bolszewikami jest prawie pominięta, ale wyprawa kijowska, dlatego, że nie dała oczekiwanych rezultatów, jest cytowana szeroko w różnych wspomnieniach. Natomiast o bitwie warszawskiej, już sławnej w literaturze światowej, nie ma nic, jak również o bitwie niemeńskiej, sprawie Litwy i traktatu ryskiego. A przecież z tą wygraną wojną z Moskalami Piłsudski pozostanie na zawsze na kartach historii Polski i krzepić będzie serca młodych pokoleń, mimo fałszywych naświetleń niektórych historyków polskich.



W listopadzie 1983 roku odbyło się w Warszawie w Wojskowym Instytucie Historycznym sympozjum na temat „Z dziejów Legionów Polskich i Polskiej Organizacji Wojskowej, 1914-1918”. Materiały z tego sympozjum ukazały się, zapewne w małej ilości egzemplarzy, jako wewnętrzne wydawnictwo WIH. Liczą one 166 stron wraz z interesującą, choć mocno niepełną bibliografią Urszuli Olech.

Na sympozjum złożyło się pięć referatów, pięć krótkich „komunikatów” oraz krótka dyskusja. Wydawnictwo jest nad wyraz interesujące, bo oba tematy — Legiony i POW — nie były dotąd w Polsce szerzej omawiane. Nie ma dotąd historii Legionów Polskich, a pierwsza historia POW, pióra Tomasza Nałęcza, daleka od pełności, ukazała się dopiero w 1984 roku.

Dla mnie, jednego z ostatnich żyjących członków POW i Legionów, tematy te są fascynujące. Czytałem więc materiały z sympozjum z wielkim wzruszeniem, niezmiernie ciekaw jak też młodzi historycy w Polsce je przedstawiają.

Tematy sympozjum były bardzo różne, omawiano ułamki wielkiego zagadnienia, zrecenzuję więc każdy oddzielnie, a „komunikaty” wszystkie razem.

Sympozjum otworzył prof. Andrzej Garlicki referatem o genezie Legionów. Na pewno jest on wybitnym znawcą tematu, czemu dał wyraz w wielu swych pracach, łącznie z wydaną przed 20 laty (1964) „Genezą Legionów”. Tym razem prof. Garlicki raz jeszcze powraca do kontrowersyjnej dla niego sprawy wspomnienia wybitnego socjalisty rosyjskiego, Wiktora Czernowa, o odczycie Piłsudskiego, wygłoszonym w Paryżu 21 lutego 1914 roku w sali Towarzystwa Geograficznego. Czernow, znający język polski, był obecny na odczycie, a potem, jak pisze, rozmawiał z Witoldem Jodko-Narkiewiczem, przyjacielem Piłsudskiego i członkiem Centralnego Komitetu Rewolucyjnego (CKR). Czernow w swej książce napisał, że Piłsudski powiedział, iż przyszła wojna zakończy się pobiciem Rosji przez Austrię i Niemcy, a tych z kolei pobiją Anglicy z Francuzami, ewentualnie przy pomocy Ameryki.

Piłsudski, o ile wiadomo, tych słów w swym odczycie nie wypowiedział i nie mógł wypowiedzieć, nie kompromitując swej działalności strzeleckiej w Galicji. Zresztą mamy kopię raportu agenta Ochrony, który był na tym odczycie i chyba wiernie i bardzo szczegółowo na 10 stronach maszynopisu go streścił. Ale w późniejszych rozmowach z Jodko-Narkiewiczem mógł Czernow od niego usłyszeć przewidywania Piłsudskiego na temat przebiegu przyszłej wojny. Opisałem to w mej „Kronice życia J. Piłsudskiego”, tom I, str. 262-265.

Przypominam sobie też opinię dr. Tomasza Nałęcza w dyskusji z prof. Garlickim, chyba w *Polityce*, nie mam tego numeru pod ręką, który też dawał wiarę opinii Czernowa.

W swym referacie na sympozjum prof. Garlicki dorzucił nowy argument, podważający informacje Czernowa. Według prof. Gar-

lickiego Jodko w ogóle nie był w lutym 1914 roku w Paryżu, a więc Czernow nie mógł z nim rozmawiać. To samo powtórzył mi prof. Garlicki podczas swej bytności w Instytucie Piłsudskiego w Nowym Jorku wiosną 1985 roku.

Ale, jak dalej twierdzi prof. Garlicki na sympozjum, Jodko był w Paryżu w dwa miesiące po odczycie Piłsudskiego, w kwietniu 1914 roku. Czernow pisał swe wspomnienia znacznie później (wydane zostały w 1952 roku) i mógł rozmawiać z Jodko nie zaraz po odczycie w lutym, lecz w dwa miesiące potem. Nie mogę uwierzyć, żeby tak poważny działacz i pisarz, jak Czernow, wysłał sobie z palca tego rodzaju wiadomość.

W lecie 1985 roku Instytut Piłsudskiego w Nowym Jorku uzyskał odbitkę wspomnień Władysława Sieroszewskiego, syna znanego pisarza. Syn ten, w 1914 roku trzynastoletni chłopak, przypomina, że podczas swego pobytu w Paryżu Piłsudski mieszkał u państwa Sieroszewskich, na ulicy Ernest Cresson 12. Sieroszewski przewodniczył na wspomnianym odczycie Piłsudskiego i, jak wspomina Władysław Sieroszewski, rozmawiał z Piłsudskim na temat przyszej wojny; Piłsudski powtórzył zawartą w odczycie tezę o konieczności budowania polskiej siły zbrojnej przy boku Austrii, bo tylko ona spośród zaborców daje realne możliwości wykonania tego zadania. W rezultacie uważał, że należy dążyć do połączenia Galicji i Kongresówki oraz ziem za Bugiem i Niemnem i stworzyć „polski Piemont”.

Wydawałoby się, że prof. Garlicki zyskał nowy punkt za swą tezę, kwestionującą twierdzenia Czernowa. Tak jednak nie jest. Znałem dobrze Sirkę-Sieroszewskiego jako ułana Beliny, jako pisarza dużej miary i prezesa Polskiej Akademii Literatury. To nie był człowiek, z którym Piłsudski mógł w 1914 roku, w przededniu pierwszej wojny światowej, mówić na tego rodzaju tematy polityczne. Trzeba pamiętać, jak skryty był Piłsudski w wygłaszaniu tego rodzaju opinii. Inaczej rozmawiał z tak wybitnym politykiem, jak Jodko-Narkiewicz, najbardziej zaufanym członkiem partii, a inaczej z Sieroszewskim, wysuwając mu obraz tzw. rozwiązania austriackiego, głoszonego w kołach polsko-austriackich tych czasów.

Kończąc tę przydługą polemikę pozostaję nadal przy opinii, że twierdzenie Czernowa o słowach Piłsudskiego odnośnie rezultatów zbliżającej się wówczas wojny odpowiada prawdzie.

Dr Mieczysław Wrzosek przedstawił referat na temat „Zarys organizacyjny Legionów Polskich”. Jest to bardzo dobre przedstawienie formowania Legionów, z uwzględnieniem dramatu rozwiązania Legionu Wschodniego, praw kombatanckich, pierwszych od czasów powstania styczniowego nominacji oficerskich (październik 1914 roku), formowania II i III brygad, kawalerii i artylerii. Potem Polski Korpus Posiłkowy, Polskie Siły Zbrojne (*Polnische Wehrmacht*), przysięga i internowanie. Wreszcie po układzie w Brześciu przemasz II brygady pod Rarańczą w marszu do II polskiego korpusu na Ukrainie.

Bardzo zwięzły zarys tych dziejów jest napisany z dużą znajomością faktów i literatury.

Dr Tomasz Nałęcz, autor jedynej dotąd pracy o POW 1914-1918, wydanej we Wrocławiu w 1984 roku, wygłosił krótki referat na ten sam temat. Do samej książki mam duże zastrzeżenia. Znam chyba dobrze historię POW od chwili jej powstania jesienią 1914 roku do likwidacji w listopadzie 1918. Byłem członkiem Komendy Naczelnej, komendantem okręgu warszawskiego, grupy okręgów częstochowskiego, Zagłębia i kieleckiego. Przerwy w tej pracy miałem w służbie na froncie w I Brygadzie na Wołyniu i przeszło rocznego więzienia niemieckiego. Uważam, że dr Nałęcz nie wskazał roli samego Piłsudskiego w POW i nie zobrazował, czym była ta organizacja w jego ogólnej polityce. Nie mam dostępu do materiałów w Polsce i nie wiem, czy starczy mi jeszcze sił na szczegółowe omówienie tych zagadnień, choć wiem, że powinienem to zrobić. Mimo to książka dr. Nałęcza jest cennym elementem w zrozumieniu tego, czym była POW.

W swym referacie dr Nałęcz streszcza swoje opinie, wskazując niedocenianą dotąd rolę POW w tworzeniu zrębów państwa polskiego i jego armii. Tak istotnie było. Na pewno zgrzytem jest twierdzenie dr. Nałęcza, że „przesadne awansowanie komendanta do roli męża opatrznościowego stanowiło przygotowanie gruntu do rozgrywki o władzę, która nastąpiła po zrzuceniu okupacji” (str. 48). Nie było tu żadnej przesady: w 1918 roku Piłsudski był mężem opatrznościowym, historia to chyba dostatecznie potwierdziła. I nie było innego: nikt w ówczesnej Polsce nie miał tego wzięcia, jakie posiadał Piłsudski, ani nikt z Paryża, z najwybitniejszym z nich Dmowskim, nie potrafiłby wyprowadzić Polski na drogę do niepodległości. Mielibyśmy od razu w listopadzie 1918 roku takie walki wewnętrzne, że moglibyśmy się w nich zadusić. A tu jeszcze resztki okupacji niemieckiej i groza wojsk niemieckich wracających z Rosji. Wówczas tylko Piłsudski umiał to opanować i doprowadzić do Sejmu Ustawodawczego w lutym 1919 roku, który go jednomyślnie obrał Naczelnikiem Państwa. Wyjątkowa jednomyślność w zawsze rozbitym polskim społeczeństwie.

Doskonały referat prof. Piotra Łossowskiego o wyzwoleniu ziem polskich w listopadzie 1918 roku przeczytałem znów z wielkim wzruszeniem, bo sam brałem udział w tej akcji, która nie była tak prosta, jakby się wydawało, gdyż „okupanci bynajmniej nie zrezygnowali dobrowolnie, lecz ustąpili dopiero pod naciskiem, nierzadko pod presją czynną” (str. 50). Prof. Łossowski przedstawia istotne zagadnienia ewakuacji Niemców. Jak inne prace tego wybitnego historyka, opis opuszczania Polski jest precyzyjny i ściśły. Uderza mnie pominięcie roli w tej akcji Harry Kesslera, posła niemieckiego, a była ona bardzo pozytywna, wbrew antyniemieckim nastrojom społeczeństwa polskiego. Kessler szedł na rękę Piłsudskiemu i dobrze rozumiał, że w obojmych interesie Niemiec i Polski leżało wycofanie z Polski około

80.000 wojsk niemieckich. Pamiętam, że witałem Kesslera na dworcu wiedeńskim, gdy przybył pociągiem z Berlina. Wiozłem go do Bristolu, gdzie zarezerwowano dla niego pokoje. Pod naciskiem ulicy hotel odmówił wpuszczenia posta niemieckiego. Było sporo kłopotów, zanim się to jakoś ułożyło, zresztą na krótko, gdyż pod naciskiem aliantów musieliśmy prosić Kesslera, by opuścił Polskę w połowie grudnia.

Ostatni referat to ciekawy opis „Narodzin Drugiej Rzeczypospolitej” dr. Piotra Stawckiego. Omawia on okres od końca października 1918 do kwietnia 1919 roku (omyłkowo użyto na str. 85 terminu „Tymczasowa Rada Stanu” zamiast Rada Stanu). Autor słusznie podkreśla niezwykle szybki rozwój wojska polskiego: w pierwszych dniach listopada 1918 roku liczyło ono około 9.600 ludzi, w połowie stycznia 1919 roku (bez armii Wielkopolskiej i gen. Hallera we Francji) ponad 100.000, pod koniec lutego 156.000, a w końcu marca 180.000 (str. 95). Słusznie autor twierdzi, że cyfry te byłyby znacznie wyższe, gdyby nie brak broni, mundurów, butów, ryszunka. W kraju nie można było tego nabyć, a zakup za granicą był utrudniony z powodu nieprzepuszczania transportów z Zachodu przez Czechosłowację.

W dziale „komunikatów” znajduje się krótkie opracowanie Michała Klimeckiego pt. „Elementy polskiej tradycji wojskowej w Legionach”, bardzo dobrze przedstawiające zagadnienie tradycji w umundurowaniu i odznakach Legionów. Wzory do nich opracował Czesław Jarnuszkiewicz, późniejszy generał (nie Jarnuszkiewicz, jak mylnie podaje autor na str. 101-102). Pamiętam dyskusję w I Brygadzie odnośnie orzełka strzeleckiego bez korony czy z koroną, także walkę o wężyki na kołnierzach oficerów I Brygady w odróżnieniu od II-ej, która nosiła odznaki austriackie i walczyła o gwiazdki dla oficerów, a nie rozetki, przepisane przez władze austriackie.

Docent Krzysztof Filipow opracował bardzo ciekawy i mało znany temat „Żołnierze Legionów i Polskiej Organizacji Wojskowej kawalerami krzyża Virtuti Militari”. Podaje motywy Naczelnego Wodza przy określaniu ogólnej ilości tego odznaczenia dla poszczególnych formacji wojskowych. Ustalono, że z 6.000 orderów 2.000 zostanie przyznanych Legionom, POW i innym formacjom wojskowym (I, II i III Korpusy na Wschodzie, dywizja gen. Żeligowskiego, dywizja Syberyjska, armia gen. Hallera we Francji i inne). Na Legiony przypadło 1.360 odznaczeń, na POW w kraju (rozbrojenie Niemców) 50, na POW na Ukrainie (KN III) 80. Autor podaje także szczegółowy wykaz podziału odznaczeń dla Legionów na poszczególne pułki i oddziały.

Ten bardzo ciekawy referat przypomina mi sprawę wydania spisu odznaczonych orderem Virtuti Militari. O ile wiem, archiwa tego orderu znajdują się w Instytucie Polskim i Muzeum gen. Sikorskiego w Londynie. W początkach 1940 roku, wioząc zasoby Funduszu Obrony Narodowej z Bukaresztu do Francji przywiozłem także pakiet protokołów Kapituły V.M. Już od daw-

na istniał projekt wydania książki o orderze V.M. i listy członków. Polska Fundacja Kulturalna ogłosiła w 1973 roku subskrypcję, po czym sprawa ucichła. Po wielu latach widocznie zaniechano tego wydawnictwa i zwracano wpłacone subskrypcje. Nie tak dawno czytałem, że wykaz kawalerów V.M. ma się jednak ukazać. Najwyższy czas, żeby to wreszcie zrobić.

Dr Tadeusz Wawrzyński przedstawił referat pt. „Próby przezwyciężenia kryzysu przysięgowego w Legionach Polskich (lipiec-sierpień 1917)”. Jest to bardzo dobry skrót tych dramatycznych dni — składać przysięgę, czy nie — które doprowadziły legionistów do obozów w Szczypiornie i Beniaminowie.

Dr Stanisław Czerep pisze na temat „Specyfiki II Brygady Legionów Polskich w latach 1915-1918”. Słusznie przypomina, że była to jedyna z formacji polskich, która walczyła ze wszystkimi armiami zaborczymi.

W ostatnim „komunikacie” dr Bolesław Woszczyński omawia działalność Komisji Wojskowej 1917-1918. Dotyczy to organu Tymczasowej Rady Stanu i potem Rady Stanu i jego prac w tym okresie, podanych zresztą w wielkim skrócie.

Wszystkie referaty i komunikaty bardzo ciekawego sympozjum przypominają jedną dotąd zaniedbaną sprawę: potrzebę wydania książki o historii Legionów Polskich. Dotychczasowe opracowania, wydane w okresie niepodległości Polski, są po pierwsze niedostępne, a po drugie przestarzałe. Najwyższy czas zająć się opracowaniem całości zagadnienia Legionów i wojska polskiego w latach 1914-1918.

Wacław JĘDRZEJEWICZ

Janusz K. ZAWODNY

KOBIETY ARMII KRAJOWEJ

„... Jej wartość jest ponad rubiny”

Przypowieści 31 — wiersz 10

Nareszcie, po trzech latach przygotowań, ukazała się w Londynie książka o kobietach w Armii Krajowej*. Redaktorką jej jest Halina Martinowa, wydawcą — Zarząd Główny Koła Armii Krajowej w Londynie. Od razu należy podkreślić kompetencję zespołu redakcyjnego przygotowującego książkę do druku. Nazwiska tego zespołu czyta się jak *Who is Who* patriotyzmu pol-

* *Łączność, sabotaż i dywersja: kobiety w Armii Krajowej*. Caldra House Ltd., Londyn 1985, str. 280, włączając siedem przejrzystych szkiełców.

skich kobiet. Przewodnicząca — Halina Czarnocka, redaktorka — wymieniona wyżej Halina Martinowa — oraz Bukowska, Chmielewska, Domańska, Konopacka, Pełczyńska, dr Wanda Piłsudska i dr Zaleska. A także nieoceniona pomoc dr Lidii Ciolkoskowej.

Książka jest źródłowym dokumentem, opartym na zweryfikowanych relacjach uczestniczek Armii Krajowej znajdujących się na emigracji i w kraju. Komitet miał wielkie trudności z dokumentacją. „Nawet o śp. Irenie Komorowskiej (żonie generała Bora), która pełniła cichą, oddaną służbę w Armii Krajowej, pisać trudno, gdyż brak szczegółów jej pracy”.

Książkę otwiera „Wstęp”, który doskonale wprowadza w treść składającą się z trzech części: I) Praca kobiet w łączności w Oddziale VI Sztabu Komendy Głównej AK — siedem rozdziałów; II) Udział kobiet w sabotażu i dywersji — trzy rozdziały; III) Szkice biograficzne pięciu kierowniczek i komendantek. Końcowa część książki zawiera sylwetki autorek, spis skrótów organizacji podziemnych, indeks nazwisk i pseudonimów oraz spis rzeczy.

Z treści książki (część I) wynika, że łączność konspiracyjna zaczęła działać od chwili obrony Warszawy w 1939 roku. W listopadzie 1939 roku kraj, łącznie z terenami zajętymi przez Sowiety, był już pokryty wewnętrzną siecią łączności. Przetarte były też drogi na zachód: do Rządu i Wodza Naczelnego. Poczta szła „w górę” i „w dół”. W Warszawie poczta z KG w „dół” szła szybko; 2-24 godziny. „Na przełomie 1943/1944 roku było w KG 200 czynnych punktów wymiany pocztowej, przez które przechodziło dziennie przeciętnie 2.000 kartek”. Cała anatomia konspiracyjnej łączności na wszystkich poziomach jest opisana powściągliwie i bez patosu.

Opis działalności Centrali Łączności Szefa Sztabu AK jest napisany przez kierowniczkę Centrali — Halinę Czarnocką.

„Zadaniem tej centrali było utrzymywanie łączności między szefem Sztabu Tadeuszem Pełczyńskim a Komendantem Głównym i jego zastępcą, wszystkimi szefami oddziałów Sztabu, niekiedy szefami wydziałów, komendantami obszarów i okręgów (za pośrednictwem łączności krajowej) oraz utrzymywanie łączności z Naczelnym Wodzem i jego Sztabem za granicą, a także z bazami i placówkami łączności zagranicznej za pośrednictwem centrali 'Berta', wreszcie z Delegatem Rządu za pośrednictwem centrali 'Basia'”.

Książka cytuje przykład pracy łączniczek-kurierów idących na tereny wschodnie:

„'Grzymała' i 'Kazia' musieli zaczekać na odpowiednią chwilę, aby przejść granicę. Był to dobry moment do wycoczynku. Schronili się w stodole pracownika 'służby przerzutów'. Mieli przed sobą, po przekroczeniu granicy, długi marsz. 'Kazia' zdjęła z głowy chusteczkę, zawinęła w nią dokumenty i schowała w siano. Gospodarz zamknął z zewnątrz wrota stodoły na klucz. Wracającego do chałupy zatrzymali w podwórzu Niemcy.

Kazali otworzyć stodołę. Gospodarz zwlekał, mając nadzieję, że zanim otworzy kłódkę, tamci umkną drugim wyjściem. Niestety, zostali. Bez re wizji, bez legitymowania Niemcy zaczęli do nich strzelać. 'Kazia' zdążyła przed śmiercią wskazać gospodarzowi ruchem głowy na sąsiek z sianem. Po egzekucji strażnicy odeszli, każąc gospodarzowi pochować zamordowanych pod lasem. Po dokonaniu smutnego obrzędu gospodarz uprzytomnił sobie, że kiedy 'Kazia' wchodziła do stodoły, miała chusteczkę na głowie, a pocho wał ją z odkrytą głową. Zaczął szukać we wskazanym przez nią kierunku. Odnalazł schowane dokumenty i przekazał komu należy”.

W sekcji łączności z centralnymi i zachodnimi terenami kraju pracowało na przełomie 1943/1944 roku około 30 osób, w tym 14 kobiet; trasę pokrywano 2-3 razy w tygodniu.

Jednym z najbardziej nieznanych aspektów łączności była „Zagroda” — łączność między Komendą Główną AK a Wodzem Naczelnym. Te szlaki szły przez całą Europę.

„Ogółem przez lata wojny przewieziono trasą północno-zachodnią sto kilkadziesiąt poczt kurierskich. Przerzut poczty trwał długo, czasem do paru miesięcy. Każda poczta liczyła po kilkaset stron zmikrofilmowanych, zaszyfrowanych maszynopisów i szkiców, misternie zapakowanych w przedmioty codziennego użytku. Kilkunastu kurierów 'Zagrody' przeszło przez cały kontynent kontrolowany przez Niemców i dotarło statkiem lub samolotem do Anglii. Krótkie meldunki, zwłaszcza pilne, były wysyłane drogą radiową.

Kilkanaście poczt wpadło w ręce nieprzyjaciela, ale ich dublowanie pozwo liło nie uронić prawie żadnego meldunku Komendanta Głównego do Na czelnego Wodza”.

Odwaga kobiet AK? Spójrzmy na ten przykład.

„Po szczegółowym przygotowaniu 'Zo' wyruszyła w drogę z Warszawy w lutym 1943 roku trasą na Paryż, przez Francję nieokupowaną, dalej przez Pireneje, Hiszpanię, Gibraltar i dotarła do Anglii 1 maja 1943 roku. Po wykonaniu zadania 10 września tegoż roku wróciła samolotem nad Polskę. Skakała ze spadochronem w okolicach Warszawy, jako jedyna ko bieta cichociemna”.

Kobiety rekrutowały się ze wszystkich środowisk: np. Jadwi ga z Giedroyciów Kociatkiewiczowa — obywatelka ziemska i Franciszka Różewicz — prosta kobieta ze wsi Posada Górna koło Rymanowa.

W części II autorki omawiają dywersję i sabotaż wykonywa ny przez kobiety, podają też definicje operacyjne, łącznie z opi sem „małego sabotażu” („budowanie ducha”). Akcja „N” była częścią tej działalności.

Już w początkach 1940 roku utworzono Dział Produkcji (bro ni) pod kierownictwem Szefa Uzbrojenia przy KG Armii Krajo wej. Bardzo dużo kobiet pracowało w tym resorcie.

W tym samym roku zaczęto szkolenie kobiet w wysadzaniu mostów i torów kolejowych. Oddział „Dysk” był specjalnym od-

działem kobiecym wydzielonym dla sabotażu i dywersji. Powstał w 1942 roku. Miał własną szkołę podchorążych. Był używany do przerywania linii telefonicznych, wysadzania mostów i brał udział w uderzeniu na lotnisko na Bielanach, gdzie zniszczono kilka samolotów. Służyło w nim około 70-90 kobiet.

Część III — to sylwetki „kierowniczek i komendantek”: Karasiówna, Piwońska, Malessa („Marcysia”), Franio i Gertz. Popatrzmy na jedną z nich (Malessa):

„Od połowy października tegoż roku (1939) organizowała i kierowała wydziałem łączności zagranicznej w Oddziale V Sztabu Komendy Głównej SZP-ZWZ-AK. Zadaniem wydziału było organizowanie i utrzymanie łączności pocztowo-kurierskiej między krajem, kwaterą Naczelnego Wodza i ośrodkami polskimi na Węgrzech, w Rumunii, Szwajcarii i Francji. Należał do niej również nadzór nad punktami tras kurierskich, prowadzących na południe przez Węgry, Jugosławię, Włochy, Niemcy, Francję, Szwajcarię, Hiszpanię i Portugalię. 'Marcysi' jako kierownicze komórki centralnej w Warszawie podlegało ponad stu kurierów i personelu pomocniczego”.

Bardzo dobrze, że Komitet Redakcyjny włączył też biografie autorek. Oto ogólna charakterystyka tych Pań:

- a) bardzo wczesne zgłoszenie się do konspiracji (1939-1940);
- b) jako młode dziewczyny czy kobiety w Polsce niepodległej brały udział w pracach społecznych dla dobra kraju;
- c) w czasie okupacji zajmowały kluczowe i bardzo eksponowane stanowiska. Halina Czarnocka była szefem łączności przy Szefie Sztabu KG Armii Krajowej. Ostatecznie została aresztowana, ale na szczęście przeżyła obozy koncentracyjne. Rylska — „100 akcji ulicznych”. Martinowa — „zadania specjalne przy Komendzie Obszaru Warszawskiego”. Zyciorys najstarszej — Wandy Pełczyńskiej, żony gen. Pełczyńskiego (obydwoje nie żyją) to prawdziwy wzór życia dla Polski.

„Kobiety w Armii Krajowej” uważam za niezwykle cenne źródło historyczne.

Obecnie zbiera się materiały do przedstawienia roli kobiet w sanitariacie, legalizacji, łączności w oddziałach bojowych i partyzantce oraz pomocy żołnierzowi. Miejmy nadzieję, że wkrótce będą ogłoszone drukiem.

Jeszcze jedna uwaga. Armia amerykańska liczyła w 1982 roku sześć kobiet generałów i jedną kobietę admirała. Jedna z nich zaczęła swoją karierę jako szoferka wojskowej ciężarówki — dzisiaj jest generałem dywizji. Żadna nie miała za sobą pięciu lat służby frontowej, bezpośrednich, codziennych doświadczeń bojowych i tak wielkiej odpowiedzialności za życie innych, jak kobiety na kierowniczych stanowiskach w Armii Krajowej. Janina Karasiówna, zajmująca jako kobieta najwyższe stanowisko w Armii Krajowej (szef łączności konspiracyjnej przy Komendzie Głównej) była w stopniu majora.

Janusz K. ZAWODNY

DZIECI

Pamiętam dobrze moment, kiedy gen. Anders wydał rozporządzenie, by wszyscy żołnierze, a także cywilna ludność wraz z dziećmi napisali choćby jedną stronę wspomnień ze swego pobytu na zesłaniu w Związku Sowieckim. Było to chyba jeszcze w Iranie, a może już w Iraku. W rezultacie zebrano wówczas 2.300 wypracowań dzieci i 10.000 relacji żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie i ich rodzin. Zebrane materiały miały być przekazane mojemu oddziałowi, który nazywał się Wydziałem Propagandy i Oświaty. W tym samym czasie musiałem w sprawach służbowych wyjechać na kilka dni do Mosulu. Po powrocie zastałem sytuację zmienioną. Zapadła decyzja, że cały materiał musi być przekazany Oddziałowi II, gdyż materiały te zawierały jakoby wiele wiadomości, które drugi oddział chciał uchronić przed zbyt wczesnym rozpowszechnieniem. Jedyne Melchiorowi Wańkiewiczowi udało się wkroczyć na te zakazane tereny i on pierwszy wykorzystał kilka dzieciennych listów. Te drocenne materiały — zupełnie niewykorzystane — przewędrowały wraz ze sztabem naszego wojska do Londynu, a następnie zostały zdeponowane w Stanford University w Ameryce, gdzie je złożono w archiwach jako własność generała Andersa. Tam trafił na te zbiory Sołżenicyn, wprost zachwycony bogactwem tych nietkniętych świadectw.

Dwa lata temu ukazała się w Londynie nakładem „Aneksu” książka „W czterdziestym nas, matko, na Sybir zesłali...” w opracowaniu Jana Tomasza Grossa i jego żony Ireny Grudzińskiej Gross. Ja sam stosunkowo niedawno się z nią zapoznałem i uważam, że spotkała się ona ze zbyt małym oddźwiękiem.

Dlaczego zdaje mi się, że jest ona nie tylko ważna, ale wręcz niezastąpiona?

Wstęp do tej książki uważam za znakomity: nigdzie nie czytałem tak dokładnego opisu wywózek z podaniem liczb (większość, bo 52 % wywiezionych stanowili Polacy, 30 % Żydzi, 18 % Białorusini i Ukraińcy).

Najistotniejszą częścią książki są jednak relacje napisane ręką dzieci, wyrwanych z ojczyzny i rzuconych w te nieludzkie warunki. Trudno znieść monotoność ich opowiadań, które jednak przez to samo potwierdzają się wzajemnie: opisy głodu, umiarnia rodziców, zamarzania drobnych dzieci w czasie wywózki w nieopalanym wagonach przy temperaturze poniżej 30°. Uświadomiłem sobie nagle, że ten chłopczyk opisany przeze mnie w „Nieludzkiej ziemi”, który wbrew zakazom matki jeszcze na granicy sowieckiej podnosił piąstkę przed każdą podobizną Stalina, że

ta dziewczynka — Basia Dymnicka — którą pożegnałem, gdy drzemała pod kroplówką w błogosławionym, amerykańskim szpitalu w Meszhedzie, że ten mały Lopek obojętny na wszystko — to ocaleni. Wszyscy oni przeżyli gehennę wywózek i zesłania. Wiedziałem o tym wszystkim, widziałem na własne oczy tysiące wprost kościotrupów dzieci i dorosłych, którzy przyjeżdżali do naszego wojska w ZSSR. To wszystko stanęło mi na nowo przed oczami przy lekturze książki „W czterdziestym nas, matko, na Sybir zesłali...”. Świadcstwa dzieci są przez swą dziecinną prawdomówność o wiele bardziej przejmujące niż opowiadania dorosłych.

Nie wiem czy teraz, straciwszy oczy, będę mógł jeszcze pisać dyktując. Tym bardziej pragnąłbym, by ten tekst się ukazał, bo jego temat wydaje mi się ważniejszy niż wiele innych, o których dotychczas pisałem.

Józef CZAPSKI

KSIĄŻKI O TEMATYCE HISTORYCZNEJ W BIBLIOTECE „KULTURY”

- Allilujewa Swietlana — *Dwadzieścia listów do przyjaciela* (wyczerpane).
Bielatowicz Jan — *Brygada Karpacka* (wyczerpane).
Ciolkosz Adam — *Róża Luksemburg* (wyczerpane).
Czapska Maria — *Czas odmieniony*.
Czapski Józef — *Na niehumanitarnej ziemi* (trzy wydania) (wyczerpane).
Czaykowski Bogdan i Sulik Bolesław — *Polacy w Wielkiej Brytanii*.
Danilewicz Zielińska Maria — *Wspomnienia o Bibliotece Narodowej w Warszawie*.
Dżilas Milowan — *Rozmowy ze Stalinem* (wyczerpane).
Grzędziński January — *Maj 1926* (wyczerpane).
Holzer Jerzy — *Solidarność 1980-1981*.
Hort Weronika — *Tułacze dzieci* (wyczerpane).
Januskiewicz Maria — *Kazachstan*.
Jedlicki Witold — *Klub Krzywego Koła* (wyczerpane).
Kalinowski Franciszek — *Lotnictwo polskie w Wielkiej Brytanii* (wyczerpane).
Katelbach Tadeusz — *Rok złych wróżb*.
Koestler Artur — *Fragmenty wspomnień* (wyczerpane).
Korboński Stefan — *W imieniu Rzeczypospolitej* (wyczerpane).
Korboński Stefan — *W imieniu Kremla* (wyczerpane).
Korboński Stefan — *Polskie Państwo Podziemne* (wyczerpane).
Korybutowicz Zygmunt — *Grudzień 1970*.
Koszelewicz Iwan — *Ukraina 1956-1968* (wyczerpane).
Kot Stanisław — *Jerzy Niemirycz — inicjator Ugody Hadziackiej*.
Kowalik Jan — *Materiały do historii prasy polskiej* (wyczerpane).
Krzyżanowski Adam — *Dzieje Polski* (wyczerpane).
Kukiel Adam — *Adam Czartoryski* (wyczerpane).
Kulski Julian — *Stefan Starzyński w mojej pamięci* (wyczerpane).
Lednicki Wacław — *Rosyjsko-polska entente cordiale* (wyczerpane).

- Mackiewicz Stanisław — *Polityka Becka* (wyczerpane).
 Pawlikowski Michał K. — *Wojna i sezon. Polskie przedwiośnie* (wyczerpane).
 Reale E. — *Raporty. Polska 1945-1946*.
 Rekulski Antoni K. — *Czy drugi Katyń*.
Rewolta szczecińska i jej znaczenie (wyczerpane).
Ruch oporu — polski czerwiec 1976, Czechosłowacka Karta 77 (wyczerpane).
 Siewierski Henryk — *Spotkania narodów*.
 Singer Bernard — *Od Witosza do Ślawka*.
 Solski Waław — *Moje wspomnienia*.
 Stachiewicz Waław — *Przygotowania wojenne w Polsce 1935-1939* (wyczerpane).
 Stachiewicz Waław — *Rok 1939* (wyczerpane).
 Sukiennicki Wiktor — *Biała księga* (wyczerpane).
 Sukiennicki Wiktor — *Legenda i rzeczywistość*.
 Swianiewicz Stanisław — *W cieniu Katynia. Sześć lat temu* (wyczerpane).
 Tarniewski Marek — *Krótkie śpięcie* (wyczerpane).
 Tarniewski Marek — *Płonie komitet*.
 Tarniewski Marek — *Poezja wolności* (wyczerpane).
 Weissberg-Cybulski Aleksander — *Wielka czystka* (wyczerpane).
 Witos Wincenty — *Moje wspomnienia* (trzy tomy, tom 1-szy wyczerpany).
 Wołoszynowski Julian — *Było tak...*
Wydarzenia marcowe (wyczerpane).
 Zaremba Paweł — *Historia Stanów Zjednoczonych* (wyczerpane).
 Zaremba Paweł — *Historia Polski*, tom 1 (wyczerpane).
 Zaremba Paweł — *Historia Dwudziestolecia 1918-1939* (dwa tomy).
 Zawadzka-Wetz Alicja — *Refleksje pewnego życia*.
 Żeleński Władysław — *Zabójstwo ministra Pierackiego* (wyczerpane).

MINIATURY „ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH”

Wyczerpane numery *Zeszytów Historycznych* zostały wznowione jako miniatury. Są to numery: 2, 3, 4, 5, 6, 7, 11, 12, 13, 15, 16, 18, 19, 20, 40, 41, 42, 46, 47, 49, 50, 51, 52, 53, 55, 56, 57, 68.

Do nabycia w cenie F. 10,00 plus porto za egzemplarz.

OKRUCHY HISTORII

S. W. RAWICZ

UZUPEŁNIAJĄCY WYKAZ POLSKICH KOMUNISTÓW REPRESJONOWANYCH W ZSSR*

1. *Adalińska Halina*, ur. ok. 1890, czł. SDKPiL, KPP, w ZSSR od lat 30-tych. Pracowała w polskich szkołach i placówkach oświatowych. Aresztowana w 1937, zwolniona w 1946. Po powrocie do Polski pracowała w aparacie KC PPR i PZPR. Zmarła w 1979 roku.
2. *Andrejewa Zofia z d. Próchniak*, ur. 1882. Czł. SDKPiL i KPP. Żona Piotra Andrejewa. Aresztowana w 1937, w obozie do 1946, następnie wróciła do Polski. Zmarła w 1972.
3. *Bielska Irena z d. Birencwajg*, ur. 1897 w Łodzi. Nauczycielka, działaczka oświatowa. Od 1916 czł. SDKPiL, nast. KPP. W ZSSR od 1925. Pracowała w MAI (Międzyn. Agrarny Instytut), Aresztowana w 1937, w obozie do 1946, nast. w Warszawie. Zmarła w 1974.

* Ponieważ Redakcja rozpoczęła publikację materiałów, dotyczących polskich komunistów, represjonowanych w ZSSR, mamy nadzieję, że i to uzupełnienie zostanie wykorzystane. Oczywiście, nie wyczerpuje ono listy ofiar, wątpliwe, czy kiedykolwiek uda się zebrać pełne dane. W wykazie podajemy tylko nazwiska zmarłych, bo taka zasada obowiązuje w polskich słownikach biograficznych. (Poprzednie wykazy ukazały się w *Zeszytach Historycznych* nr 69 i 73).

4. *Bertig Irena*, ur. 1907, z zawodu architekt. Bezpartyjna, do ZSSR przyjechała z mężem-specjalistą. Aresztowana w 1937, w obozach i na zesłaniu do 1955, nast. w Polsce. Zmarła w 1978.
5. *Białobrodzki Stefan*, ur. 1899 w Warszawie. Fizyk i matematyk. W ZSSR od lat 20-tych. Docent w Instytucie Technicznym im. Mendelejewa. Aresztowany w 1937. Data śmierci nie jest znana.
6. *Bobińska Helena z d. Brun*, ur. 1887 w Warszawie. Studiowała na UJ. Od młodości związana z ruchem socjalistycznym. Pisarka, autorka książek dla młodzieży i in. W ZSSR od 1919, pracowała w Komisariacie d/s polskich, była redaktorem i współredaktorem wielu czasopism w języku polskim. Aresztowana w 1937, zwolniona przedterminowo w 1943. Do Polski wróciła w 1945. Zmarła w 1968.
7. *Bogdanowicz Anna*, ur. w 1907. W KPP od 1927 r. W ZSSR od 1931 r. Aresztowana w 1937, w obozie do 1945, nast. w Polsce. Zmarła w Warszawie.
8. *Borensztajn-Iwanowska Felicja*, ur. w 1906 w Warszawie. Czł. KZMP. W 1928 przyjechała do ZSSR do męża. Pracowała jako bibliotekarka. Aresztowana w 1937, według oficjalnej informacji zginęła w 1938 (według innej, niesprawdzonej wersji — rozstrzelana).
9. *Braun Roma z d. Szafran*, ur. w 1905 w Warszawie, czł. KZMP i KPP, więziona na Pawiaku („Serbia”) — chora na gruźlicę. W 1926 wyjechała do ZSSR. Po wyleczeniu ukończyła studia inżynierskie. Aresztowana w 1937, zmarła w obozie na Kołymie w 1938.
10. *Budzyńska Seweryna z d. Kratko*, ur. w 1896 w Warszawie. Freblanka, czł. SDKPiL od 1915, nast. KPP. W latach 20-tych wyjechała do ZSSR. Pracowała w aparacie propagandowym WKP(b) i w oświacie. Aresztowana w 1937, do 1947 przebywała w obozach na północy, nast. powróciła do Polski. Pracowała w szkołach partyjnych jako pedagog i bibliotekarka. Zmarła w 1975.
11. *Budzyński Mieczysław*, ur. 1898 w Warszawie, ślusarz, nast. po studiach w ZSSR ekonomista-pedagog, wykładowca w wyższych uczelniach. Współorganizator i redaktor „Wielkiego Atlasu Świata”. Bezpartyjny. Aresztowany w 1937, zmarł w obozie na Kołymie w 1939.
12. *Burstin Celestyn*, ur. w 1888 w Tarnopolu, w rodzinie kupca. Studiował na Uniwersytecie Lwowskim, nast. w Wiedniu na Wydziale Matematyczno-Fizycznym. Jeszcze

- jako student opublikował pierwszą pracę z dziedziny matematyki. Po studiach publikował w Wiedniu, Berlinie, Tokio. Pracował w kontakcie z Einsteinem. W 1925 wstąpił do KP Austrii. W 1929 otrzymał zaproszenie do ZSSR. Był kierownikiem katedry matematyki na uniwersytecie w Mińsku i pierwszym w Białorusi czł. Akademii Nauk z dziedziny matematyki. W tej dziedzinie był wybitnym i wszechstronnym naukowcem. Aresztowany latem 1938, zmarł w więzieniu w październiku t.r.
13. *Czarko Ewa*, ur. 1908 w Warszawie, ukończyła filologię klasyczną na UW. Do ZSSR przyjechała z mężem, zaangażowanym jako specjalista, oboje bezpartyjni. Aresztowani w 1937, mąż zaginął bez wieści, ona po 7-miu latach obozu powróciła do Warszawy. Pracowała w MSZ. Zm. w 1947.
 14. *Drzewiecka Ada z d. Taubenhauz*, żona Henryka Drzewieckiego. Ukończyła polonistykę na UW. Do ZSSR przyjechała wraz z mężem w 1936. Aresztowana prawdopodobnie w Mińsku. Dalsze losy nie są znane.
 15. *Ettinghof Anna*, ur. 1908 w Warszawie. Od 1923 w KZMP. W 1928 wyjechała do ZSSR. Ukończyła Wydział Historii Akademii Pedagogicznej im. Krupskiej. Wykładała w wyższych uczelniach Taszkientu. Tam w 1937 aresztowana. O dalszych losach brak wiadomości.
 16. *Erich Mieczysław*, ps. lit. Oskierko, ur. w 1901 w Warszawie. Czł. PPS-Lewicy, nast. KPP. Student UW. Współorg. ZNMS „Życie”. Sekretarz komunistycznej frakcji poselskiej. Od 1933 w ZSSR. Aresztowany w 1937, do 1945 w obozie na Kołymie. Zwolniony przedterminowo, wrócił do Polski. Zmarł w 1946.
 17. *Elbaum Daniel*, ur. 1882, czł. SDKPiL od 1904, wybitny działacz tej partii. Nast. KPP. W ZSSR pełnił szereg odpowiedzialnych funkcji. Aresztowany w 1937.
 18. *Faltenberg Grzegorz*, w ZSSR Wasilkowski, ur. 1903 w Warszawie. Działacz KPP, sekretarz KC KZMP. Skazany na 5 lat więzienia. Od 1930 w ZSSR. Kierownik działu ekonomicznego *Izwiestii*, redaktor naczelny pisma *Za Industrializację*. W 1936 odznaczony orderem „Czerwonego Sztandaru”. Aresztowany w 1937, rozstrzelany w 1938.
 19. *Flatau Stanisław*, ur. 1906 w Warszawie. W KZMP od 1923, sekretarz KW KZMP w latach 1925-1926. W latach 30-tych w ZSSR. Aresztowany w 1937 (lub wcześniej). O dalszych losach brak informacji.

20. *Fliederbaum Ferdynand vel Czarski Bogdan*. W ZSSR — Korecki Włodzimierz. Ur. 1904 w Warszawie, student UW. W KPP od 1921, współorganizator młodzieżowych klubów robotniczych. Więziony w Mokotowie. Od 1927 w ZSSR, pracował w aparacie gosp. Aresztowany w listopadzie 1936. Data śmierci nieznana. Aresztowana była również jego żona — Korecka Felicja, nauczycielka. O jej losach brak informacji.
21. *Flis Stanisław*, ur. 1896 w Błoniu. Z zawodu piekarz. Sekretarz Związku Zawodowego pracowników Przemysłu Mącznego. Czł. SDKPiL i KPP. W ZSSR od 1923. Pracował w związkach zawodowych i w przemyśle spożywczym. Aresztowany 1937.
22. *Flis Kazimiera*, ur. 1897 w Warszawie. Robotnica. Czł. SDKPiL i KPP. Kandydatka na posła w 1922. W ZSSR prawdopodobnie od 1923. Aresztowana w 1937. W obozach i na zesłaniu do 1956. Następnie mieszkała w Moskwie. Zmarła po 1960.
23. *Fornalski Leon* oraz
24. *Fornalski Stanisław* — bracia Aleksandra i Felicji. Aresztowani prawdopodobnie w 1937. O ich losach brak wiadomości.
25. *Gruda Michał*, właściwie *Demke Emil*, ur. 1902 w Warszawie, ślusarz, działacz sekcji młodzieżowych Zw. Zaw. Metalowców. Ochotnik w wojsku polskim w 1920. Czł. KPP i KZMP od 1921-1922. Czł. KW KZMP w latach 1925-1926, sekretarz Komitetów Okręgowych w Zagłębiu i Częstochowie. Kilkakrotnie więziony. W ZSSR od wiosny 1935, pracował w Kijowie w polskiej gazecie *Sierp*. Jesienią tego roku aresztowany, skazany na 3 lata obozu, następnie na zesłaniu w Karagandzie pracował w kopalni węgla. Stamtąd przedostał się do Sielc, do I dywizji im. T. Kościuszki, przeszedł cały szlak bojowy. W wojsku do..., następnie w KW PZPR. Zmarł w 1964.
26. *Garfinkel-Kazina Berta*, ur. 1887 w Sierpcu, księgowa. W latach 1905-1916 należała do Bundu, następnie SDKPiL i KPP. Jej głównym polem działania było organizowanie pomocy więźniom politycznym. Od 1934 w ZSSR. Aresztowana w 1937, według nie potwierdzonych informacji zmarła w więzieniu w Moskwie.
27. *Garfinkel Salomon-Sewer*, w ZSSR — *Konic*, ur. w Sierpcu w 1897. Studiował prawo na UW. Od 1916 czł. PPS-Lewicy, następnie SDKPiL i KPP. Kilkakrotnie areszto-

- wany. Od 1929 w ZSSR. Pracował w Komisariacie Ludowym Spraw Zagranicznych, opublikował kilka broszur o sytuacji politycznej w Polsce. Aresztowany w 1937. Data śmierci nieznana.
28. *Gajst Izrael*, ps. *Sonin*, ur. 1888 w Łęczycy. Od 1905 działał w lewicowych organizacjach żydowskich, w 1919 wstąpił do KPP. Przez wiele lat kierował techniką partyjną. W ZSSR od 1932, pracował w CK MOPR. Aresztowany w 1937, podobno zmarł w obozie w 1939. Żona jego — Krasucka Maria z d. Szafran — również była aresztowana, przebywała w obozie w Karagandzie i na zesłaniu do 1956, następnie mieszkała na Uralu.
 29. *Gutowski Jan*, ur. 1891 w Lublinie, ps. „Gruby Maciek”. Giser z zawodu. W latach 1904-1908 członek NZR. W 1909 wstąpił do PPS-Lewicy, od 1918 — KPP. Organizator Rad Delegatów Robotniczych w Lublinie. Działacz Zw. Zaw. Metalowców, członek Centralnego Wydziału Zawodowego KPP, z-ca czł. KC. Od 1928 w ZSSR. Dyrektor fabryk metalowych. Aresztowany w 1937.
 30. *Grosserówna Maria*, ur. 1907 w Warszawie, córka Czesławy i Bronisława. Czł. KZMP od 1923. Ukończyła archeologię na UW. W latach 30-tych w ZSSR. Pracowała jako archeolog na Krymie. Aresztowana w 1937. Dalsze losy nieznane.
 31. *Gruszczyński Tytus*, ur. 1893 w Koziennicach. Kolejarz. Czł. PPS-Lewicy, następnie KPP. Działacz związkowy, w 1922 kandydat na posła. Od 1919 w ZSSR. Aresztowany w 1937, zmarł w obozie w 1940.
 32. *Grynberg-Górska Teofila*, ps. „Marta”, ur. 1897 w Warszawie, krawcowa. Od 1915 w SDKPiL, następnie KPP. Członek KW KPP. W 1921 skazana na 4 lata więzienia. W 1922 wyjechała do ZSSR w ramach wymiany więźniów politycznych. Studiowała na Uniwersytecie im. Swierdłowa i w Instytucie Czerwonej Profesury. Wykładała m.in. w szkołach i na kursach organizowanych przez polską sekcję Międzynarodówki Komunistycznej, uczestniczyła w zjazdach KPP. Aresztowana w 1937. Data śmierci nieznana.
 33. *Grynberg Abram*, w ZSSR — Górski Ernest. Ur. 1904 w Warszawie. Od 1919 związany z KPP, w 1920 należał do aktywu, tworzącego komunistyczną organizację młodzieży. Członek KW KZMP pierwszej kadencji. Wielokrotnie aresztowany. Od 1930 w ZSSR, pracował w RKI, następnie w adm. aparacie Akademii Nauk. Aresztowany w 1937. Dalsze losy nie są znane. Aresztowana była również jego

- żona — Granowska Anna, biolog, bezpartyjna. W obozach i na zesłaniu przebywała do 1955, następnie mieszkała w Moskwie, gdzie zmarła.
34. *Helholz-Czerska Felicja*, ur. 1905 w Warszawie. W latach szkolnych aktywnie działała w żydowskim skautingu „Haszomer-Hacair”. Od 1925 należała do KZMP, była sekretarzem KD. W ZSSR od 1932, pracowała w związkach zawodowych. Od 1936 na rencie inwalidzkiej. Aresztowana w 1937, zmarła w obozie w 1939.
 35. *Heryng Oskar*, właściwie *Tapicer Bolesław*. Ur. 1905 w Warszawie. Członek KPP od 1924, działał w Centr. Technice. Na emigracji od 1926, od 1927 w ZSSR. Ukończył Akademię Medyczną w Leningradzie jako dr nauk medycznych. Aresztowany w 1936, do 1944 przebywał w obozie w Workucie (chirurg w szpitalu i ambulatorium), do 1956 na zesłaniu w Baszkirii, gdzie pracował jako chirurg-ortopeda. Po rehabilitacji w 1956 powrócił do Polski.
 36. *Hibner Bronisława*, siostra Władysława, żona L. Purmana. Ur. 1888 w Łodzi, tkaczka. Do PPS-Lewicy należała od 1912, następnie KPP. Aresztowana w początkach lat 20-tych, w ramach wymiany więźniów wyjechała do ZSSR. Pracowała w placówkach oświatowych. Aresztowana w 1937. Data śmierci nieznana.
 37. *Horwitz-Kancewiczowa Kamila*, ur. 1879. Od 1899 działała w ruchu socjalistycznym jako członek Zw. Zagr. Socjalistów Polskich, następnie PPS, PPS-Lewica, KPP. Dr medycyny, psychiatra. W ZSSR od 1930. Dyrektor szpitala psychiatr., prac. naukowy Centr. Instytutu Psychiatrii. Aresztowana w 1937. Zwolniona przedterminowo w 1944, powróciła do Polski. Była dyrektorem państwowego Instytutu Higieny Psychiczej. Zmarła w 1952 roku.
 38. *Hopfinger Marek*, ur. 1899 w Drohobyczu. Członek KPP i KPZU. Od 1932 w ZSSR. Aresztowany w 1937. W obozach i na zesłaniu do 1956. W 1959 powrócił do Polski. Zmarł w 1962.
 39. *Hopfinger Oskar*, ur. 1903 w Drohobyczu, inż. elektryk. W latach 30-tych w ZSSR. Pracował w fabryce miedzi na Uralu. Aresztowany w 1936, skazany na 5 lat obozu, po zwolnieniu powrócił na Ural. Podczas wojny w armii. Od 1946 w Polsce. Zmarł w 1980.
 40. *Hopfinger Józef*, ur. 1905 w Drohobyczu. Działacz KPP i KPZU. Od 1933 w ZSSR, gdzie studiował i pracował. Aresztowany w 1937, zmarł w obozie.
 41. *Hopfinger Emil*, ur. 1910 w Drohobyczu, inżynier-naf-

- ciarz. W latach 30-tych w ZSSR. Aresztowany razem z żoną Reginą. Żona zginęła w obozie, on — po zwolnieniu w 1954 — starał się bezskutecznie o powrót do Polski. Zmarł na Ukrainie w 1981.
42. *Jurecka Krystyna z d. Kino*, ur. 1907 we Włocławku. Członek KZMP i KPP. W latach 30-tych w ZSSR. Aresztowana w 1937. Prawdopodobnie zmarła lub zginęła w moskiewskim więzieniu w 1938.
- 42a. *Jamiołkowska Anna*, ur. 1906 w Warszawie, członek ZPMS, KZMP, KPP. W latach 30-tych w ZSSR. Ukończyła studia ekonomiczne i w tej dziedzinie pracowała. Aresztowana w 1937, data śmierci nieznana.
43. *Jamiołkowska Irena Jadwiga*, ur. 1904 w Warszawie. Należała kolejno do harcerstwa, OMN, OPMN, skąd w 1922 przeszła do KZMP i KPP. Rozpoczęła studia medyczne w Poznaniu. Od 1926 w ZSSR. Ukończyła studia w Instytucie Czerwonej Profesury. Aresztowana w 1937, przebywała w obozach i na zesłaniu do 1949. Następnie powróciła do Polski. Pracowała w szkołach partyjnych, w Ministerstwie Szkolnictwa Wyższego, MSZ, sekretarz Ambasady PRL we Francji. Zmarła w Warszawie.
44. *Jankowski Leon*, ur. 1906. Studiował na UW i Sorbonie. Działacz harcerski, następnie ZPMS „Życie”, KPP. W 1934 wyjechał do ZSSR. Pracował w redakcji *Trybuny Radzieckiej*. Aresztowany w 1937. Data śmierci nieznana.
45. *Jankowska Ludwika z d. Kowieńska*, ur. 1901 Białystok. Działaczka KPP i KPZB od początku lat 20-tych. W Polsce około 7-miu lat spędziła w więzieniach. Była członkiem Sekretariatu KPZB. Wezwana w 1937 do Moskwy i tam aresztowana. Zwolniona przedterminowo w 1945, powróciła do Polski. Pracowała na odpowiedzialnych stanowiskach w aparacie partyjnym. Zmarła w Warszawie.
46. *Józko Bronisław*, ur. 1894 w Warszawie, robotnik-metalowiec. Od 1915 w SDKPiL, następnie KPP, działacz partyjny i związkowy. W ZSSR od 1924. Ukończył studia jako inżynier-drogowiec. Pracował jako dyrektor przedsiębiorstwa budowy dróg w Moskwie, następnie w Tadżykistanie — inspektor drogowy. Aresztowany w 1935, według oficjalnych danych zmarł na Kołymie w 1939.
47. *Józko Józefa*, żona w/w, członek KPP, pracowała w technice partyjnej. W ZSSR razem z mężem. Aresztowana w 1937, zwolniona w 1947. Powróciła do Polski, pracowała w Woj. Komitecie PZPR, zm. w Warszawie.
48. *Julska Anna*, ur. 1901 w Łodzi. Od 14-go roku życia pra-

cowała jako krawcowa. W 1917 wstąpiła do SDKPiL, następnie KPP. Pracowała w technice partyjnej w Łodzi, później w Wydziale Więziennym. W latach 1927-1929 przebywała wraz z mężem (P. Bukshorn) w ZSSR. Następnie w Warszawie i Gdańsku w technice centralnej KPP. W 1931 ponownie w ZSSR. W 1932 rozpoczęła studia w Instytucie Wschodu, przerwane po areszcie męża w 1933. Aresztowana w 1937, w obozach i na zesłaniu przebywała do 1955. Po zwolnieniu i rehabilitacji mieszkała w Moskwie, gdzie zmarła.

49. *Kapota Abel*, ur. 1881 w Głinojecku, pow. Ciechanów. Ukończył uniwersytet w Liège. Od 1904 w SDKPiL, członek Zarządu Okręgowego w Łodzi, organizator Zw. Zaw. Prac. Handlowych i Biurowych. W latach 1907-1911 na emigracji w Belgii, od 1911 w kraju, członek Zarządu Głównego SDKPiL. Następnie KPP, sekretarz Komitetu Warszawskiego. W latach 1922-1925 w więzieniu. Od 1926 w ZSSR, działacz gospodarczy, a jednocześnie przewodniczący polskiego klubu w Moskwie, członek Biura Polskiego CK WKP(b) itd. Aresztowany w 1937, według oficjalnych danych zmarł w obozie w 1940.
50. *Kowalski Władysław*, ps. „Grzech”, ur. 1883 w Warszawie. Od 1903 w PPS, następnie PPS-Lewica, w 1916 przeszedł do SDKPiL, 1918 KPP, przywódca „ultralewicy” w partii. Od 1926 w ZSSR, pracował w aparacie gospodarczym. Aresztowany w 1934, prawdopodobnie rozstrzelany w 1937.
51. *Kowalska-Aleksandrowa Maria*, ur. prawd. w 1900 w Łodzi, ukończyła Wydział Nauk Przyrodniczych UJ, biolog. Skazana w Polsce na wieloletnie więzienie za działalność komunistyczną w początkach lat 20-tych, wysłana do ZSSR w ramach wymiany więźniów politycznych. Żona Kowalskiego (Grzecha). Pracowała w Międzynarodowym Agrarnym Instytucie, następnie jako biolog. Aresztowana w 1937, do 1955 przebywała w obozach i na zesłaniu. W 1956 powróciła do Polski. Zmarła w 1984.
52. *Krupa Adam*, ur. 1880, robotnik-metalowiec. Działacz SDKPiL i KPP, członek Komitetu Warszawskiego i Centr. Wydziału Zawodowego, przewodniczący Zw. Zaw. Metalowców, sekretarz Rady Związków Zawodowych, kand. na posła w 1922. W ZSSR prawdopodobnie od końca lat 20-tych, pracował przeważnie w związkach zawodowych. Aresztowany w 1937. Data śmierci nieznana.
53. *Kucharski Ryszard*, właściwie *Szade*, ur. 1891 w Warszawie, technik-metalowiec, następnie inżynier. Działacz

- SDKPiL i KPP, członek Komitetu Warszawskiego. W latach 20-tych wyjechał jako emigrant polityczny do ZSSR, ukończył studia, pracował jako inżynier, następnie ekspert przy imporcie maszyn. Aresztowany w 1937, prawdopodobnie rozstrzelany. Żona w/w, z d. Erlich Julia, polonistka, wykładała historię literatury polskiej w wyższych uczelniach w Moskwie. Aresztowana w 1937, dalsze losy nie są znane.
54. *Krynicka Estera*, ps. „Mery”, ur. 1895, robotnica w fabrykach tytoniowych. Od 1912 w SDKPiL, następnie w KPP. Działała głównie w związkach zawodowych. Od 1925 w ZSSR, aresztowana w 1937. W obozach i na zesłaniu do 1955. Od 1956 mieszkała w Moskwie, zmarła w 1978.
 55. *Kubowska Eugenia*, ur. 1902 w Warszawie, pedagog, abs. kursów Spasowskiego. Czł. KPP, działała głównie w środowisku nauczycielskim. W 1929 wyjechała do ZSSR. Kontynuowała studia, następnie wykładała w uczelniach. Aresztowana w 1937, zwolniona przedterminowo w 1945, powróciła do Polski. Pracowała w aparacie KC PPR i PZPR. Zmarła w Warszawie.
 56. *Kamieniacki Henryk*, w ZSSR — Podolski, ur. 1899 w Mińsku Mazowieckim. W SDKPiL od 1917, następnie KPP. W 1924 emigrował do Francji, w 1928 przyjechał do ZSSR. Aresztowany w 1937, do 1954 przebywał w obozie na Kołymie. W 1956 wrócił do Polski. Zmarł w 1964.
 57. *Kowner-Kadison Jakub*, ur. 1904 w Wilnie, od 1918 w Warszawie. Działał początkowo w żydowskiej organizacji „Cukunft”, następnie w KPP i KPZB. W latach 1928-1932 był członkiem centralnego kierownictwa KPZB. Od 1933 w ZSSR. Pracował na Metrobudowie w Moskwie. Aresztowany w 1937, podobno zmarł w obozie w 1943.
 58. *Kowner Natalia z d. Pinaj* (w ZSSR Kalecka Zofia), ur. 1906 w Łodzi. Od 1924 w KZMP, następnie KPP. Działała w Warszawie, Krakowie, Zagłębiu Dąbrowskim jako sekretarz okręgu. Od 1934 w ZSSR. Aresztowana w 1937, według oficjalnych danych zmarła w obozie w 1944.
 59. *Lauer Kazimierz* (brat Henryka), ur. 1891 w Warszawie, inżynier. Podczas pierwszej wojny światowej w Legionach. Od 1918 w KPP. Aresztowany w początkach lat 20-tych, wysłany do ZSSR w ramach wymiany więźniów politycznych. Pracował jako inżynier w kolejnictwie. W latach 1936-1938 w Brygadzie Międzynarodowej w Hiszpanii. Po

- powrocie do Moskwy aresztowany. Dalsze losy nie są znane.
60. *Lipski Ludwik* (brat Antoniego i Leona), ur. 1900 w Dąbrowie Górniczej, górnik. Działacz harcerski. W 1919 wstąpił ochotniczo do WP, ranny na froncie wschodnim, dostał się do niewoli. Powrócił w 1922 jako komunista. Działacz KPP, wielokrotnie aresztowany, gruzlik. W 1932 wyjechał w ramach wymiany więźniów politycznych do ZSSR. Studiował, jednocześnie wykładał w szkole partyjnej, po ukończeniu studiów pracował jako sekretarz redakcji *Trybuny Radzieckiej*. Aresztowany w 1937. Data śmierci nieznana.
 61. *Lesko Natalia z d. Weksler*, ur. 1904 w Częstochowie. W KPP działała w latach 20-tych jako sekretarz okręgu w różnych terenach. Od 1931 w ZSSR. Pracowała w fabryce włókienniczej, gdzie była sekretarzem organizacji partyjnej. Aresztowana w 1937, przebywała w Kargopolskim obozie do 1947. Następnie pielęgniarka w Stawropolu, robotnica w Penzie. W 1956 wróciła do Polski. Pracowała w Zakładzie Historii Partii. Popełniła samobójstwo w 1961.
 62. *Landau Franciszka* (siostra J. Haneckiego), ur. 1877. Pedagog, członek SDKPiL. Podczas pierwszej wojny światowej znalazła się w Rosji. Członek WKP(b). W latach 1925-1928 była kierowniczką polskiego sektora KUMNZ-u. Aresztowana w 1938, w 1948 powróciła do Polski. Zmarła w 1950.
 63. *Łubowska Helena z d. Wajnrajch*, ur. 1908 w Sosnowcu. Od 1926 w KZMP. Od 1931 w ZSSR. Ukończyła polski sektor KUMNZ-u. Aresztowana w 1937, do 1946 w obozie na Kołymie, następnie w Warszawie. Zmarła w 1984.
 64. *Minkowski Maksymilian*, ur. 1901 w Sosnowcu. Studiował na UW i w Politechnice Warszawskiej. Dziennikarz. Członek KPP od 1924. W latach 1925-1933 sekretarz komunistycznej frakcji poselskiej w Sejmie RP. Aresztowany w 1933, zwolniony za kaucją, wyjechał do ZSSR w 1934. Tam aresztowany w 1935, do 1946 przebywał w więzieniu w Jarosławlu i w obozie w Workucie. Zwolniony na skutek interwencji KC PPR, powrócił do Polski. Pracował jako dziennikarz, redaktor, *attaché* prasowy. Zmarł w 1971.
 65. *Mangel Wacław*, ur. około 1900 w Zakopanem. Inżynier-chemik. Do ZSSR przyjechał w latach 30-tych jako specjalista, razem z żoną Ireną z d. Oryng. Aresztowany w 1937. Dalsze losy nieznane.

66. *Małkuszewski Albin*, ur. 1901 w Sochaczewie. Robotnik, tramwajarz. W latach 1917-1918 członek POW, ochotnik w WP. Od 1923 w KPP. Działacz związkowy, sekretarz komitetów okręgowych KPP. Wielokrotnie więziony w Polsce. W ZSSR od 1935. Aresztowany prawdopodobnie na Ukrainie.
67. *Mańkowski-Morgensztern Markus*, ur. 1906. Działacz KPP, wiele lat spędził w polskich więzieniach. Od 1935 w ZSSR. Z-ca redaktora naczelnego *Trybuny Radzieckiej*. Aresztowany w 1937. Data śmierci nieznana.
68. *Majewska Maria*, ur. 1886 w Łodzi. Robotnica. W SDKPiL od 1906, KPP — 1918. Od 1926 w ZSSR. Aresztowana w 1937. Data śmierci nieznana.
69. *Michrowski Mendel*, w ZSSR — *Łowski Miron*, ur. 1894 w Tomaszowie Mazowieckim. Technik dentyst. Działalność rozpoczął w Poalej-Syjon, następnie KPP. Działał w Łodzi i Białymstoku. W latach 30-tych w ZSSR. Pracował w Profinternie. Aresztowany w 1937, data śmierci nieznana.
70. *Michrowska-Łowska Felicja*. Członek KPP. W ZSSR od 1925. Aresztowana w 1937. W obozach i na zesłaniu przebywała do 1955, następnie w Moskwie, gdzie zmarła.
71. *Mirska-Gezundhajt Stanisława*, ur. 1904, z zawodu prawnik. W KPP od 1919. W ZSSR od 1923. Aresztowana w 1937, po 10 latach obozu powróciła w 1947 do Polski. Zmarła w Warszawie w 1983. Represjonowana była również jej siostra, *Mirska-Gezundhajt Felicja*. Do Polski powróciła chora psychicznie. Zmarła w 1976.
72. *Minkina Zofia*, ur. 1912 w Wilnie. Działała w KPZB i w MOPR. Od 1932 w ZSSR. Aresztowana w 1937. W obozach i na zesłaniu do 1955. Następnie w Polsce. Zmarła w 1984.
73. *Mizik Jan*, ur. 1893. Zecer, działacz Zw. Zaw. Drukarzy. Członek KPP, zecer w nielegalnych drukarniach. Od 1926 w ZSSR, pracował w polskich wydawnictwach i drukarniach. Aresztowany w 1935. W 1955 powrócił do Polski. Zmarł w 1969.
74. *Mazur Franciszek*, ur. 1895. Członek PPS-Lewicy, następnie KPP, KPZU, Członek Komitetu Centralnego. W ZSSR od 1939, aresztowany w tymże roku. Zwolniony na skutek interwencji KC PPR, powrócił w 1945 do Polski. Członek Biura Politycznego KC PPR i PZPR. Zmarł w Warszawie.
75. *Myszkiewicz Ludwik*, ur. 1907 w pow. Brzeziny, w rodzi-

- nie ziemiańskiej. Od 1923 w KZMP, sekretarz KD Wola, członek Komitetu Warszawskiego KZMP. W 1926 skierowany do ZSSR do szkoły partyjnej. Zwolennik opozycji w WKP(b). Na zesłaniu od 1928. W latach 30-tych dyrektor budowy Makiejewskiego kombinatu. Aresztowany w 1937. Dalsze losy nieznane.
76. *Natanson Michał*, w ZSSR — *Jefimczuk*. Student Politechniki Lwowskiej. Działacz KPP i KPZU, od 1927, członek kierownictwa krajowego KPZU. Od 1934 w ZSSR. Pracował na Ukrainie, tam aresztowany w 1938. Dalsze losy nieznane.
77. *Nowicka Paulina*, ur. około 1910 w Będzinie, członek KZMP, skazana w Polsce na kilka lat więzienia. Po zwolnieniu wyjechała do ZSSR prawdopodobnie w połowie lat 30-tych. Aresztowana w 1937, zwolniona w 1946. Powróciła do Polski, pracowała m.in. w Ministerstwie Rolnictwa. Zmarła w 1984. Mąż jej, też aresztowany, zaginął bez wieści.
78. *Norska Eugenia z d. Draizenstock*. Ur. w Łodzi ok. 1895. Historyk. Członek SDKPiL, KPP. W ZSSR od 1925. Aresztowana w 1937. W obozie na Kołymie do 1946, następnie w Warszawie. Pracowała jako kierownik katedry i wykładowca historii. Zmarła w 1949.
79. *Orthwein Juliusz*, ur. 1905 w Warszawie. Matematyk, członek KZMP, KPP. Więziony w Polsce, po zwolnieniu emigrował do Francji, następnie do ZSSR. Wykładał matematykę w wyższych uczelniach na Ukrainie. Tam aresztowany. Dalsze losy nieznane.
80. *Pakulski Marian*, ur. 1895 w Kamienicy k/Częstochowy, następnie uczył się w Płocku. Działacz SDKPiL, KPP, KPF. We Francji od 1924. Był do 1930 redaktorem tygodnika w języku polskim i z ramienia polskiej sekcji KPF członkiem kierownictwa tej partii. Ekspulsowany w 1930, wyjechał do ZSSR. Pracował w Moskwie w Profinternie, następnie we Władywostoku, gdzie był kierownikiem międzynarodowego klubu marynarzy. Tam aresztowany. Data śmierci nieznana.
81. *Piwowarczyk Antoni vel Wolski Władysław*, ur. 1901 w Warszawie. Elektrotechnik, Członek SDKPiL, następnie KPP. Więziony w Polsce. W latach 30-tych w ZSSR. Pracował w redakcji *Trybuny Radzieckiej*. Aresztowany w 1937, do 1943 przebywał w obozie w Norylsku. Zwolniony przedterminowo, walczył w sowieckiej partyzantce. Od 1944 — pełnomocnik d/s repatriacji, wiceminister Admi-

- nistracji Publicznej. Dyrektor bibliotek w Krakowie. Zmarł w 1976.
82. *Prendki Ludwik*, ur. 1890. Inżynier-elektryk. Od 1906 w SDKPiL, następnie w KPP. Więziony w Polsce, w ramach wymiany więźniów politycznych wyjechał do ZSSR. Pracował w resorcie handlu zagranicznego. Aresztowany prawdopodobnie w 1937.
 83. *Próchniak Teodora*, ur. 1889. Od 1905 w SDKPiL, nast. KPP. Więziona w Polsce, w ramach wymiany więźniów politycznych wyjechała do ZSSR. Aresztowana w 1937, zwolniona w 1946, powróciła do Polski. Zmarła w 1969.
 84. *Rozenbaum Józef*, ur. ok. 1910 w Warszawie, brat Henryka Drzewieckiego. Członek KZMP i KPP. Zwolniony z więzienia, emigrował w latach 30-tych do Francji, nast. do ZSSR. Pracował w Kom. Międzynarodówce Młodzieży. Aresztowany w 1937. Dalsze losy nieznanne.
 85. *Rozenberg Mieczysław*, ur. 1903 w Warszawie. Robotnik-metalowiec. Przewodniczący sekcji młodzieżowej przy Zw. Zaw. Metalowców. Działacz KZMP, KPP, wielokrotnie aresztowany. W latach 30-tych w ZSSR, pracował w Profinternie. Aresztowany w 1935, do 1937 przebywał w obozie w Sołowkach, dalsze losy nieznanne.
 86. *Rabinowicz-Rogowska Luba*, ur. 1897 w Łodzi. Członek SDKPiL od 1915, następnie KPP. Skazana na 5 lat więzienia, wysłana w ramach wymiany więźniów politycznych do ZSSR. Aresztowana w 1937. Data śmierci nieznaną.
 87. *Sawicz Wiera*, właściwie *Grynblat Anna*, ur. 1897 w Warszawie. Od 1915 w SDKPiL, następnie KPP. W latach 20-tych wyjechała do Francji. Od 1930 w ZSSR. Pracowała w redakcji *Trybuny Radzieckiej*. Aresztowana w 1937. Według oficjalnej informacji — zmarła (lub rozstrzelana) w listopadzie 1937.
 88. *Sierankiewicz Paweł*, ur. 1894 w Bochni, następnie uczył się i pracował w Wiedniu jako metalowiec-brązownik. W 1917 powrócił do Bochni i do Krakowa, gdzie pracował w fabryce Zieleniewskiego. Działacz związkowy, członek KPP. Skazany na 4 lata więzienia. Chory na gruźlicę, po zwolnieniu wyjechał do ZSSR w 1930. Pracował w fabryce im. Lichaczowa w Moskwie. Aresztowany w 1937. Data śmierci nieznaną.

Żona w/w, Herta, była również aresztowana (w ciąży). Do 1945 przebywała z dzieckiem w obozie, następnie powróciła do Polski. Zmarła w Szwecji.

89. *Swirdowski Kazimierz*, ur. 1907 k/Ostrowca. Robotnik w z-dach Ostrowieckich. Od 1924 członek KZMP. W więzieniu w latach 1925-1929. Chory na gruźlicę wyjechał — po zwolnieniu — do ZSSR. Ukończył w Moskwie KUMNZ, następnie pracował w prasie polskiej w Mińsku. Tam aresztowany w 1936. Według oficjalnej informacji zmarł na gruźlicę w mińskim więzieniu w 1937.
90. *Siekierska Jadwiga*, żona Stanisława Bobińskiego, ur. w Mohylowie w 1903. Ukończyła wyższe studia i aspiranturę w Moskwie. Pracownik naukowy, wykładowca. Aresztowana w 1937, w obozie do 1945. Po przedterminowym zwolnieniu przyjechała do Polski. Wykładała w szkołach partyjnych i in. Następnie pracownik naukowy PAN. Zmarła w 1984.
91. *Suchanowski Jan*, ur. 1897 w Warszawie, studiował filozofię na UW. Działacz PPS-Lewicy i KPP, członek Centr. Wydziału Rolnego KPP. Skazany w Polsce na 4 lata więzienia. W ZSSR prawdopodobnie od 1936, aresztowany w 1937. Dalsze losy nieznane.
92. *Sokolski Jefim*, ur. 1902 w Brześciu. Od 1921 członek KPP, KPZB. W ZSSR od 1925, należał do opozycji trockistowskiej. Wydalony z WKP(b) w 1933, aresztowany w 1935. Skazany na 8 lat obozu, w 1937 nowy wyrok — 10 lat i kolejne 10 lat w 1947. Zwolniony w 1956, przyjechał do Polski. Zmarł w Warszawie w 1974.
93. *Sypułówna-Turkowska Janina*, ur. 1904, członek KPP. W ZSSR od 1929. Aresztowana w 1937. W obozie i na zesłaniu do 1955. W 1956 powróciła do Warszawy. Pracowała w Zakładzie Historii Partii przy KC PZPR. Zmarła 1980.
94. *Sypuła Czesław*, ur. 1908 w Warszawie, członek KZMP i KPP. Od 1929 w ZSSR. Aresztowany w 1937. Data śmierci nieznana.
95. *Stawicka Irena z d. Kulecka*, ur. ok. 1908. Członek KPZB. W latach 30-tych w ZSSR. Studentka polskiego sektoru KUMNZ-u. Aresztowana w 1937. Dalsze losy nieznane.
96. *Świętochowski Sewer*, w ZSSR Słowacki, ur. 1897. Działacz SDKPiL od 1915, ps. „Zgrzyt”, uczestnik I Zjazdu KPP, wybrany do KC. W ZSSR od 1923. M.in. komisarz ludowy w Kirgizji. Aresztowany w 1936. Data śmierci nieznana.
97. *Świętochowska Paulina*, żona w/w. Robotnica, członek KPP, ps. „Ruda Pola”. W ZSSR od 1926. Aresztowana w 1937, zwolniona w 1946. Mieszkała w Moskwie.

98. *Świętochowski Wacław*, ur. ok. 1900 w Warszawie. Członek KPP. W ZSSR od końca lat 20-tych. Ukończył studia inżynieryjne. Aresztowany w 1937. Data śmierci nieznana.
99. *Stefanowicz Aleksander*, ur. 1905. Działacz KPZB. Od 1929 w ZSSR. Pracował w KC MOPR, dziennikarz. Aresztowany w 1937. W obozie na Kołymie. W 1956 zrehabilitowany, w 1960 zamieszkał w Wilnie. Pracował w gazecie w języku polskim *Czerwony Sztandar*. Możliwe, że żyje.
100. *Świątkowski Roman*, ur. 1906 w Warszawie, robotnik. Członek KZMP i KPP. Kilkakrotnie aresztowany w Polsce, w 1926 skazany na 3 lata więzienia. W latach 30-tych w ZSSR. Aresztowany w 1937, dalsze losy nieznane.
101. *Tajch Jadwiga*, w ZSSR *Orzelska*, ur. 1905 w Łodzi. Członek KZMP, KPP. W latach 30-tych w ZSSR. Aresztowana w 1937. Dalsze losy nieznane.
102. *Tarski Eugeniusz*, właściwie *Szwarcman*, ur. 1892 w Warszawie. Matematyk. Członek KPP od 1919. W latach 1924-1927 członek Komitetu Warszawskiego, następnie sekretarz okręgu na Śląsku. Skazany na 5 lat więzienia. Od 1934 w ZSSR. Pracował w *Trybunie Radzieckiej* oraz jako redaktor w polskim dziale wyd. „INRAB”. Aresztowany w 1937, dalsze losy nieznane.
103. *Temkin Magdalena*, Dr pedagogiki. W latach 30-tych pojechała jako pedagog do ZSSR z listem polecającym do Karola Radka, który już był aresztowany. Odstawiono ją do polskiej granicy. W 1939 znalazła się na terenach zajętych przez Związek Sowiecki, gdzie ją aresztowano i przypomniano ów list. W obozach i na zesłaniu przebywała do 1957. Następnie wróciła do Polski. Zmarła w Warszawie.
104. *Trawiński Zygmunt*, w ZSSR *Iwanowski*, ur. 1905 w Warszawie. Ślusarz-mechanik, działacz sekcji młodocianych przy Zw. Zaw. Metalowców. W KPP od 1921, współorganizator KZMP. Więziony w Polsce. Od 1927 w ZSSR. Pracował w fabrykach metalowych, następnie w rolnictwie na Kubaniu i w Komisariacie Ludowym Rolnictwa. Aresztowany w 1935, w obozie w Workucie, następnie na zesłaniu. Ponownie aresztowany, skazany na 10 lat obozu. Do 1954 w obozie na Kołymie. W 1956 powrócił do Polski. Pracował w Biurze d/s Repatriacji. Zmarł w 1978.
105. *Turkowski Leon*, ur. 1903 w Warszawie, ślusarz. Członek KZMP i KPP. Od 1929 w ZSSR. W latach 1936-1938

- w Hiszpanii. Po powrocie do Moskwy aresztowany. Dal-
sze losy nieznane.
106. *Ulanowski-Ulman Władysław*, ur. 1893 w Warszawie. Piekarz. Od 1912 członek PPS-Lewicy, od 1915 — SDKPiL, następnie KPP. Działacz związkowy, organizator zw. zaw. robotników przemysłu mącznego. Członek Centr. Wydziału Zawodowego KPP. Od 1925 w ZSSR. Organizator kombinatów piekarniczych i spółdzielczości spożywców. Aresztowany w 1937. Data śmierci nieznana.
 107. *Ulanowska Czesława z d. Szade*, ur. 1898. Od 1917 w SDKPiL, następnie KPP. Pracowała w centr. technice partyjnej. Od 1925 w ZSSR. Pracowała w Polskim Archiwum w Moskwie, następnie w Polskiej Sekcji Kominternu. Aresztowana w 1937, w obozie do 1945. W Ambasadzie PRL w Moskwie do 1947. Po powrocie do Polski pracowała w KC PPR i PZPR. Zmarła w 1965.
 108. *Ułański Aleksander*, właściwie *Klioze*, ur. 1907 w Warszawie. W latach szkolnych w „Haszomer Hacair”, następnie KZMP i KPP. Od lat 30-tych w ZSSR. Uczył się w KUMNZ, pracował jako sekretarz odpowiedzialny redakcji *Trybuna Radziecka*. Aresztowany w 1937, przebywał w obozie na Kołymie. Zwolniony przedterminowo w 1945, zmarł w tym samym roku na Kołymie na atak serca.
 109. *Unszlicht Stefania z d. Oryng*, żona Józefa Unszlichta. Artystka-malarka, bezpartyjna. Od początku lat 20-tych w ZSSR. Aresztowana w 1937, zwolniona w 1945, zmarła w 1946 pod Moskwą.
 110. *Uzdański Alfred*, ur. 1906 w Toruniu. Od 1923 członek KZMP. W 1926 wyjechał do rodziny do ZSSR. Ukończył studia ekonomiczne. Pracował w Komisariacie Ludowym Rolnictwa jako ekonomista, następnie na budowie Makiejewskiego Kombinatu. Aresztowany w 1937, zmarł w obozie na Dalekim Wschodzie w 1939.
 111. *Warska Zofia*, w ZSSR — *Kubalska*, córka A. Warskiego, ur. 1895 w Paryżu. W 1915 wstąpiła do POW, a od 1918 była członkiem KPP. Działała głównie w MOPR. Od 1930 w ZSSR. Była kierowniczką działu kulturalno-oświatowego w *Trybunie Radzieckiej*. Aresztowana w 1937, prawdopodobnie w tymże roku rozstrzelana.
 112. *Warska-Muszkat Janina*, córka A. Warskiego, ur. 1901 w Monachium. W latach 30-tych w ZSSR. Aresztowana w 1937, data śmierci nieznana.
 113. *Wajngot Franciszka*, ur. 1900 w Łodzi. Robotnica w fa-

- bryce mydła. Od 1917 w SDKPiL, następnie KPP. Od 1927 w ZSSR. Ukończyła Instytut im. Mendelejewa, inżynier-chemik. Aresztowana w 1937, zwolniona przedterminowo w 1946, powróciła do Polski. Pracowała w Centr. Zarządzie Przemysłu Chemicznego, następnie jako redaktor naczelny wydawnictw chemicznych. Zmarła w 1964.
114. *Wasserberg Regina*, w ZSSR *Kamieniecka*, ur. 1898 w Łodzi. Ukończyła polonistykę na UW, działaczka lewicowego ruchu studenckiego, następnie KPP. W latach 20-tych wyjechała do ZSSR. Wykładała na wyższych uczelniach. Aresztowana w 1937. Dalsze losy nieznane.
 115. *Winawer Michał*, ur. ok. 1885. Studiował chemię. W młodości członek Bundu, później prawdopodobnie nie należał do żadnej partii, zajmował się organizowaniem pomocy dla więźniów politycznych, współpracował ze Stefanią Sempolowską. Na mocy umowy międzypaństwowej był przedstawicielem Polskiego Czerwonego Krzyża w ZSSR, jako z-ca Katarzyny Pieszkowej. Organizował pomoc uwięzionym Polakom, wymianę więźniów politycznych między ZSSR a Polską. Aresztowany prawdopodobnie po 1935, przepadł bez wieści.
 116. *Werner Antoni*, ur. 1901 w Warszawie. Student-matematyk, działacz ZPMS, następnie współorganizator KZMP, członek KC, delegat na II Zjazd KPP. Następnie w ZSSR, wykładał matematykę w Kijowie na wyższych uczelniach. Aresztowany prawdopodobnie w 1936 roku.
 117. *Wajcblum-Karolski Abram*, ur. 1896 w Warszawie. Działacz PPS-Lewicy, następnie SDKPiL i KPP. Dziennikarz, redaktor pism partyjnych, członek Krajowego Sekretariatu KPP, kierownik Centralnego Biura Żydowskiego. Od 1931 w ZSSR. Ukończył Instytut Czerwonej Profesury, pracował w Kominternie. Aresztowany w 1937, po 10 latach obozu zesłany do Kazachstanu. W 1952 popełnił samobójstwo.
 118. *Wojciechowska-Bogusławska Wacława*, primo voto *Maślińska*. W ZSSR od 1926. Aresztowana w 1937, w obozach i na zesłaniu do 1955. Następnie powróciła do Polski. Zmarła w 1981.
 119. *Vortrefflich Cyla*, w ZSSR *Fiszer Hanna*. Ur. ok. 1908 w Rzeszowie. Członek KZMP od 1924. W latach 30-tych w ZSSR. Pracowała w Kominternie. Aresztowana w 1937. Dalsze losy nieznane.
 120. *Wlekińska Michalina z d. Brun*, ur. 1886 w Warszawie.

- Artystka-malarka. Związana z SDKPiL i KPP, działała w MOPR. W ZSSR od 1930. Ilustratorka polskich wydawnictw. Aresztowana w 1937, zesłana do Kazachstanu, gdzie zmarła w 1944.
121. *Wagner Wanda*, ur. w 1907 w Warszawie. Członek KZMP od 1925. W 1929 wyjechała do ZSSR. Robotnica w Moskwie, następnie w Kijowie. Po aresztowaniu męża (Rozina-Koneckiego) wykluczona z partii i zesłana na Ural. W 1945 powróciła do Polski. Zmarła w Warszawie.
 122. *Winawer Stefan*, ur. w Warszawie, inżynier-chemik. Do ZSSR przyjechał w latach 30-tych, zaangażowany jako specjalista. Aresztowany w 1937.
 123. *Wołyńska Ita*, ur. 1901 w Piotrkowie. Żona Jana Lubienieckiego. Studiowała w Wiedniu. Od 1926 w ZSSR. Aresztowana w 1937. Dalsze losy nieznane.
 124. *Weinzieher Samuel*, ps. „*Marceli*”, dr filozofii. Działacz SDKPiL w Zagłębiu, Szwajcarii, Warszawie, następnie KPP. Członek KC tej partii. Od 1924 w ZSSR, działacz gospodarczy. Aresztowany w 1937, dalsze losy nieznane.
 125. *Wziątek Kazimierz*, ur. 1889 w Częstochowie. Robotnik-metalowiec. Członek SDKPiL od 1905. Wielokrotnie więziony i zsyłany przez władze carskie. Uczestnik rewolucji październikowej. W ZSSR na różnych stanowiskach. Aresztowany prawdopodobnie w 1937. Dalsze losy nieznane.
 126. *Wajner Maks*, ur. 1895. Od 1913 członek PPS-Lewicy, od 1916 SDKPiL, następnie KPP. W ZSSR od 1924. Pracował na różnych odcinkach. Aresztowany w 1937, w obozach i na zesłaniu do 1955. W 1956 powrócił do Polski. Zmarł w 1983.
 127. *Zandberg-Markowski Leon*, ur. 1895 w Warszawie. Inżynier. Członek SDKPiL i KPP. Od 1927 w ZSSR. Dyrektor techniczny zakładów Putiłowskich w Leningradzie. Aresztowany w 1937. Data śmierci nieznana.
 128. *Zalberg Witold*, w ZSSR *Berg Bronisław*, ur. 1903 w Warszawie. Członek KZMP i KPP. Od 1927 w ZSSR. Dyrektor polskiej szkoły w Kamieńcu Podolskim. Aresztowany w 1936, po 6-ciu latach obozu zesłany. W latach 50-tych pracował jako księgowy w rejonie Nowogrodu. Tam zmarł w 1960.
 129. *Zabert Róża*, ur. 1902 w Łodzi. Mikrobiolog. Od 1923 członek KPP. Od 1929 w ZSSR. Pracowała w swojej specjalności. Aresztowana w 1937. Po zwolnieniu w 1945 powróciła do Polski. Zmarła w Warszawie.

130. *Zalberg-Piotrowski Adolf*, ur. 1887. Od 1904 w SDKPiL następnie KPP. Skazany w Polsce na wieloletnie więzienie, wysłany w ramach wymiany więźniów politycznych do ZSSR. Pracował w Komisariacie Ludowym Spraw Zagranicznych, m.in. był posłem pełnomocnym w Estonii i in. Aresztowany w 1937, data śmierci nieznana.
131. *Zalcman Szymon*, w ZSSR *Grand Stanisław*, ur. 1909 w Kurowie. Członek KZMP i KPP, więziony w Polsce. W ZSSR od 1929, ukończył KUMNZ, od 1934 pracował w Kijowie jako redaktor prasy polskiej. Aresztowany w 1937. Dalsze losy nieznane.
132. *Zamojski Władysław*, ur. 1905 w Sosnowcu. Zecer. W KZMP od 1924, w KPP od 1927. W 1930 wyjechał do ZSSR. Ukończył KUMNZ. Aresztowany w 1937. Dalsze losy nieznane.
133. *Zajączkowska Elżbieta*, ur. 1900 w Piaskach, woj. lubelskie. Od 1916 w SDKPiL, następnie KPP, działała w technice centralnej, organizując nielegalne drukarnie. Od 1927 w ZSSR. Po studiach pracowała w aparacie partyjnym WKP(b). Aresztowana w 1937, w obozie na Kołymie do 1945. Zwolniona przedterminowo, powróciła do Polski. Pracowała w KC PPR i PZPR. Zmarła w 1969 roku.
134. *Zaube Barbara*, w ZSSR *Smirnowa*, ur. 1905 w Warszawie. Nauczycielka. Członek KZMP i KPP. W 1927 wyjechała do ZSSR, zaangażowana jako nauczycielka do szkół polskich. Ukończyła wydział historii Instytutu im. Herce-na. Pracowała w polskich szkołach w Mińsku i Leningradzie. Aresztowana w 1937, w obozach i na zesłaniu do 1955. Następnie w Leningradzie. Zmarła w 1972.
135. *Zemralska-Rychlewska Irena*, ur. w Warszawie, córka kolejarza, ewakuowana z rodzicami w 1914-tym do Rosji i tam pozostała. Żona K. Rychlewskiego, bezpartyjna. Kierowniczką biblioteki w Klubie Polskim w Moskwie. Aresztowana w 1937. Po zwolnieniu w 1946 przyjechała do Polski. Pracowała jako bibliotekarka. Zmarła w Warszawie w 1982 roku.
136. *Żytkowska Sylwia*, w ZSSR *Olgińska*, ur. 1903 w Łodzi. W KPP od 1921. Więziona w Polsce w latach 1922-1926. W ZSSR od 1929. Pracowała w Mińsku. Aresztowana w 1937, w obozach do 1947. Po zwolnieniu mieszkała w Czelabińsku, gdzie zmarła w 1967.
137. *Płochocka Kazimiera*, ur. 1882. Robotnica, włókniaarka w Żyrardowie. Czł. PPS w latach 1902-1905, następnie

- SDKPiL. W czasie pierwszej wojny światowej w Samarze. W 1917 pełnomocnik Komisarjatu Polskiego d/s uchodźców. W 1918 powróciła do Polski, działaczka KPP. W latach 1925-1926 więziona. Następnie w ZSSR pracowała na różnych stanowiskach. Na emeryturze od 1934. Aresztowana w 1937. Data śmierci nieznana.
138. *Płochicki Marian*, ps. „*Olbrzymek*”, ur. 1878, z zawodu piekarz. Członek PPS w latach 1896-1899; następnie SDKPiL, działacz partyjny i związkowy, zesłaniec. W okresie pierwszej wojny światowej w Rosji. Od 1918 w Warszawie, członek ZG SDKPiL, następnie KPP. Od 1927 w ZSSR. Był sekretarzem Komitetu Wykonawczego MOPR, później pracował w IMEL. W 1937 aresztowany i rozstrzelany.
139. *Bajer Mieczysław*, ur. 1904 w Warszawie. Członek KZMP, KPP. W ZSSR od 1923. Ukończył KUMNZ, następnie Politechnikę w Charkowie, inżynier. Aresztowany w 1937, w obozach i na zesłaniu do 1955, następnie adiunkt Politechniki. Do Polski powrócił w 1959. W 1968 wyjechał do Danii, gdzie zmarł.
140. *Śledź Wolidar*, ur. 1900 w Warszawie. W 1915 ewakuowany do Rosji. Ślusarz w Piotrogradzie. W latach 1924-1927 działacz KPP, kierował techniką centralną. Po aresztowaniu został wysłany w ramach wymiany więźniów politycznych do ZSSR. Studiował w Wojskowej Akademii Technicznej w Moskwie. Aresztowany w 1937. Data śmierci nieznana.
141. *Conder Jan*, w ZSSR — *Jasiński*, ur. 1897, robotnik. Żołnierz armii gen. Hallera. Po zdemobilizowaniu pracował na kolei. W KPP od 1924. Sekretarz K.O. w Wilnie, członek Centralnego Wydziału Zawodowego KC KPP, kilkakrotnie więziony. W latach 30-tych w ZSSR. Aresztowany w 1937. Data śmierci nieznana.
142. *Sztetner Wanda z d. Frenkiel*. Ur. w 1904 w Warszawie, córka Leonarda Frenkla, zesłańca na Syberię. Działała w KPP i MOPR. Od 1932 w ZSSR. Pracowała w redakcji pism w języku polskim. Aresztowana w 1937. Zginęła bez wieści.
143. *Misiaszek Andrzej*, ur. 1879. Górnik, członek SDKPiL i KPP. Skazany w Zagłębiu na 4 lata więzienia. W ZSSR od 1932. Aresztowany w 1937. Po zwolnieniu w 1949 powrócił do Polski. Poseł na Sejm PRL. Zmarł w 1962.

144. *Wąsowicz Elżbieta z d. Wajsand*, ur. ok. 1916 w Warszawie. Członek KZMP. W 1937 przyjechała do ZSSR do męża, aresztowana w tymże roku. W obozie i na zesłaniu do 1946. Następnie w Warszawie. Zmarła w 1984 r.
145. *Bielski Stanisław (Horwitz)*, ur. 1908, ukończył w Moskwie Akademię Lotniczą. Aresztowany w 1937, zwolniony w 1946. Zmarł śmiercią samobójczą w lutym 1953 w Warszawie.

KOMENTARZ

1. Pełnego wykazu nazwisk, a nawet zestawienia ilościowego Polaków represjonowanych w ZSSR nikt w Polsce nie zna. Spisy ofiar z wnioskami o rehabilitację oparte były na pamięci krewnych i współwięźniów, którzy przeżyli. Wątpliwe, czy kiedykolwiek uda się odtworzyć nazwiska wszystkich ofiar terroru. Tym cenniejsza jest każda publikacja, rzucająca pewne światło na te tragiczne sprawy, a więc i opracowanie zamieszczone w nr. 69/1984 *Zeszytów Historycznych*. Jednak autor opracowania nie wykorzystał w pełni nawet dostępnych tu materiałów, stąd konieczność uzupełnienia.

2. Autor krytycznie ocenia krajowych historyków i biografistów za unikanie drażliwych sformułowań. Na pewno niektórzy robią to z tchórzostwa lub „w imię idei”, jednak większość autorów z trudem zbierała okruchy informacji o tych, którzy zginęli, i chciała je opublikować nawet za cenę ustępstw. Pamiętać trzeba, że między autorem a czytelnikiem jest kilka szczebli cenzorów.

3. Represje objęły nie tylko „górze” KPP — jak pisze autor — ale wszystkich emigrantów politycznych z Polski oraz Polaków, nie związanych z ruchem robotniczym w Polsce, m.in. robotników, ewakuowanych w 1914 w głąb Rosji, wielu Polaków, urodzonych w Rosji itp. Nazwisk tych ofiar nie uda się odtworzyć. Niemal wszystkich Polaków oskarżano o przynależność do POW, choć większość nie miała nawet pojęcia, co to znaczy.

4. Daty śmierci, podawane w dokumentach rehabilitacyjnych, często nie odpowiadają prawdzie, dlatego w wykazie podajemy tylko daty względnie wiarygodne. Nie podajemy wzmianek o rehabilitacji, ponieważ wszyscy wymienieni byli bądź pośmiertnie, bądź za życia rehabilitowani na wniosek rodzin lub na podstawie list, przesłanych w latach 50-tych przez KC PZPR.

5. W wykazie nie uwzględniono żyjących — ok. 25 osób. Nie uwzględniono też z powodu braku danych wielu żon działaczy, skazanych na podstawie dekretu o odpowiedzialności członków rodzin „zdrajców narodu”, jak np. Sławińska-Kaczorowska, Gruzłowa, Hempłowa, Olska, Wojtygowa, Krajewska, Morawska i wiele, wiele innych.

6. Przypis Redakcji (nr 73, str. 58) budzi wątpliwości. Oczywiście Redakcja ma absolutną słuszność, twierdząc, że najbardziej masowe represje dotknęły sowiecką partię komunistyczną, ale z pozostałymi uwagami trudno się zgodzić. Być może — że aresztowano 70 % członków KC KP Jugosławii, czy KC KP Niemiec, choć z posiadanych informacji to nie wynika, już więcej chyba było represjonowanych komunistów węgierskich. Ale ilościowo są to rzeczy nieporównywalne. Wśród represjonowanych polskich komunistów byli członkowie wszystkich kadencji Komitetów Centralnych KPP, KZMP, masa średniego i niższego aktywu; emigracja polityczna z Polski była bardzo liczna. Jeżeli dodać jeszcze Polaków, którzy w okresie pierwszej wojny światowej znaleźli się w Rosji, a wielu z nich wstąpiło do partii komunistycznej, brało udział w rewolucji, wojnie domowej — będą to liczby ogromne, („Księga Polaków, Uczestników Rewolucji” tego nie pokazuje, nie pokazuje ilu było represjonowanych — nie ze złej woli autorów, a z braku dokumentów. Większość notek biograficznych jest fragmentaryczna).

Uwaga, że Stalin chciał zmienić charakter partii z partii myślących (jeszcze) na partię posłusznych — jest na pewno słuszna. Chodziło mu głównie o WKP(b), ale mogło częściowo odnosić się i do KPP. To jednak nie wyklucza i tego, że wolał nie mieć partii komunistycznej w Polsce, licząc się z możliwością paktu z Hitlerem: Stalin był bardzo przewidujący. Komuniści polscy byli wprawdzie wierni „ojczyźnie proletariatu”, ale nie zawsze byli posłuszni: np. list KC KPP w sprawie metod walki z opozycją, wątpliwości wśród niektórych komunistów polskich w sprawie taktyki Kominternu, hasła „socjalfaszyzmu”, później — wątpliwości w sprawie procesów moskiewskich. Nie były to zjawiska masowe, ale Stalin nie lubił i takich, nie lubił cienia wątpliwości. Chyba nie wszyscy zachowaliby się tak, jak sobie życzył Stalin. Komintern rozwiązano w innym okresie i z innych powodów.

S. W. RAWICZ

STOSUNKI POLSKO-LITEWSKIE

Ostatnio ukazała się w Polsce nakładem Czytelnika książka Piotra Łossowskiego „Stosunki polsko-litewskie 1883-1939”. Piotr Łossowski jest pracownikiem Instytutu Historii PAN i zajmuje się specjalnie tematyką litewską. Z książki przedrukujemy dwa fragmenty.

SYTUACJA NA LITWIE ŚRODKOWEJ

[...] Tymczasem stan wojska Litwy Środkowej zaczął stopniowo się pogarszać, coraz dotkliwiej odczuwano brak żywności i amunicji, nie starczało furazu dla koni. W zniszczonej wojną i chronicznie wygłodzonej Wileńszczyźnie nie było skąd niedoborów tych uzupełnić. Pozostała jedynie nadzieja na pomoc z Polski. Szyły też w tej sprawie z Wilna do Warszawy nieustanne monity.

Rząd polski mimo oficjalnych zaprzeczeń, mimo ustanowienia nawet dla pozorów specjalnych punktów kontrolnych — starał się udzielić Litwie Środkowej wsparcia w ludziach, żywności i amunicji. Nie było to jednak rzeczą łatwą na skutek potrzeby maskowania się wobec Komisji Kontrolnej Ligi Narodów. Np. pociągi przybywające z Polski były wyładowywane jeszcze przed Lidą na furmanki i samochody. Jechano następnie w stronę Wilna bocznymi drogami, co znacznie utrudniało i przedłużało transport.

Najbardziej niepokojące były jednak oznaki rozkładu i demoralizacji, które ogarniać zaczęły wojsko. Mścić zaczynało się na nim piętno „buntu”, świadomość którego teraz dopiero docierała zaczęła do żołnierzy. Interesujące wyznaczenie na ten temat znajduje się w notatkach Żeligowskiego: „Polska zakończyła wojnę zwycięsko — pisał generał — nadszedł czas dawno oczekiwanego odpoczynku. A tu raptem trzeba umierać za jakiś 'bunt Żeligowskiego'. Do tego nie było wielu amatorów [...] Dezorganizowało się wojsko. Razem z ideowymi jednostkami do Wilna ciągnęły wszystkie szumowiny. Stworzyło się pojęcie 'Jadę buntować się [...]'. Z poważnej i ciężkiej sprawy robiono żart”.

I wtedy właśnie z całą ostrością wysunął się problem żołnierzy z Galicji i Królestwa, zmobilizowanych w swoim czasie do dywizji litewsko-białoruskiej, a którzy stali się mimowolnymi uczestnikami akcji gen. Żeligowskiego. Rozpoczęła się wśród nich dezercja. Jakby w przeciwstawieniu do pojęcia „marsz na Wilno”, ukuty został termin „marsz na Lidę”, tamtędy bowiem wiodła droga uciekających z Litwy Środkowej żołnierzy. Dezercja przybrała znaczne rozmiary. Np. z mińskiego pułku strzelców zbiegło aż 25 % całego stanu osobowego. Ucieczki odbywały się w grupach po kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt osób.

Jednocześnie występowało zjawisko bratania się żołnierzy walczących stron. Wygodniali żołnierze Litwy Środkowej byli często zapraszani przez żołnierzy litewskich, częstowani jedzeniem i wódką. Przy tej okazji prowadzono wśród nich agitację, wręczano całe pliki ulotek.

Propaganda ta była nader chwytna. Wygrywała przede wszystkim fakt buntu i nieposłuszeństwa samego Żeligowskiego, wykorzystywała niechęć żołnierzy do przedłużającej się wojny. „Żołnierze polscy, idźcie do domów swoich — nawoływała jedna z ulotek litewskich — żadna odpowiedzialność wam nie grozi, bo rząd polski solennie przed obliczem całego świata przyznał was obecnie za nieposłusznych”.

Wszystko to osłabiało, podkopywało siły wojska Litwy Środkowej. Nie bez podstaw Aleksander Prystor alarmował Warszawę: „Topniejemy jak śnieg w odwilży bez żadnej przesady”. Stało się oczywiste, że sztuczny twór państwowy Litwy Środkowej nie będzie w stanie przez dłuższy czas prowadzić wojny. W stosunkowo najlepszym stanie były tylko jednostki kawalerii, natomiast morale żołnierzy piechoty podupadało coraz bardziej. Zarówno Żeligowski, jak i rząd polski uświadamiali sobie, że trzeba szukać jakiegoś rozwiązania.

NIEUDANE PRÓBY POROZUMIENIA

Od początku 1934 roku rozmowy prowadzone były w jeszcze szerszym zakresie. Jedne kontakty szły przez Kłajpedę, przy czym inicjowali je przedstawiciele miejscowych kół handlowych. Inne podejmowano bezpośrednio między Kownem a Warszawą. Wyjeżdżał do Polski z upoważnienia rządu litewskiego Włodzimierz Zubow — obywatel litewski, ziemianin z Kowieńszczyzny, spotykając się jako krewny z marszałkiem Piłsudskim. Ze swej strony Piłsudski w czerwcu i lipcu 1934 roku wysłał na Litwę najpierw swego bliskiego współpracownika Aleksandra Prystora, a następnie dyplomatę Anatola Mühlsteina. Obydwie wizyty nosiły formalnie prywatny charakter.

Pretekstem wyjazdu na Litwę byłego premiera Aleksandra Prystora była chęć odwiedzenia grobów przyjaciół poległych w latach wojny światowej. Jednakże faktycznym celem podróży było przeprowadzenie negocjacji politycznych z przedstawicielami rządu litewskiego. W Kownie zdawano sobie sprawę, iż Prystor reprezentuje Piłsudskiego, że ranga jego wizyty jest duża.

W dniu 22 czerwca 1934 roku doszło do spotkania Prystora z ministrem spraw zagranicznych Litwy Stanisławem Lozoraitisem. Rozmowa odbyła się w mieszkaniu prywatnym ministra. Jak można wnioskować ze sprawozdania Lozoraitisa, była to szczerą wymiana poglądów, sięgająca do spraw najbardziej nabolących.

Prystor od razu na wstępie wyraził nadzieję, iż pobyt jego

być może przyczyni się do stopienia lodów pomiędzy dwoma państwami. Lozoraitis odparł na to, iż lody rzeczywiście nagromadziły się i to w wielkich ilościach. Minister zauważył, iż gość zapewne przekonał się będąc już kilka dni na Litwie, że nastawienie rządu i społeczeństwa wobec Polaków jest identyczne. Teraz strona litewska chętnie by się dowiedziała, jak w Polsce wyobrażają sobie sposób i możliwości rozwikłania spornych problemów. Lozoraitis skarżył się, że jak na razie nie widać dobrej woli ze strony Polski, że nadal stara się ona izolować Litwę i szkodzić jej na arenie międzynarodowej. Nie dalej jak ubiegłego roku przedstawiciel polski wystąpił przeciwko udziałowi Litwy w konferencji dotyczącej definicji agresora. „Każdy nasz krok w krajach bałtyckich — mówił dalej litewski minister — natrafia na natychmiastowe przeciwdziałanie ze strony polskiej”. Dorzucił do tego jeszcze sprawę prześladowania Litwinów w Polsce, by dojść do konkluzji, że: „Polacy nie tylko nie myślą o rozwiązaniu sporu, lecz ciągle i systematycznie nam szkodzą”. Dlatego też — kończył — niechaj się nie spodziewają, że Litwini przytakną na ich propozycje.

W odpowiedzi Prystor zapewnił o całkowitej dobrej woli ze strony polskiej porozumienia się z Litwinami. Ale jego zdaniem to właśnie Litwini odwracają się plecami do Polski. Prystor zapewniał, że Polacy nie mają ani zamiaru, ani celu szkodenia Litwie. Dalej zaś podkreślił, iż los obydwóch krajów może okazać się podobny. Polska znajduje się również między młotem a kowadłem i błędem byłoby sądzić, iż położenie jej jest łatwe. Wręcz przeciwnie, ma ona wiele trudności wewnętrznych i zewnętrznych. W sumie była to najdalej idąca deklaracja dobrej woli i chęci porozumienia ze strony polskiej, jaką Litwini dotychczas mogli usłyszeć. Nabierała na znaczeniu, gdyż mogła być uważana za opinię samego marszałka.

Rozmowa Prystor - Lozoraitis zakończyła się bez żadnych wiążących konkluzji. Prystor przyjęty został także przez prezydenta Smetonę, którego znał jeszcze z przedwojennych, wileńskich czasów. Rozmowa nosiła jednak tylko kurtuazyjny charakter i sprawa wzajemnych stosunków dotknięta została zaledwie w kilku słowach.

Wizyta Anatola Mühlsteina nastąpiła w miesiąc później. Można przypuszczać, iż po przygotowaniu gruntu przez Prystora strona polska miała nadzieję, że sytuacja w Kownie dojrzała już do postawienia sprawy w sposób bardziej konkretny. Mianowicie Mühlstein w rozmowie z Lozoraitisem 24 lipca 1934 roku zaproponował nawiązanie między Polską a Litwą normalnych stosunków dyplomatycznych. Mühlstein przekonywał, że Litwa w nowej sytuacji niczego nie traci, gdyż może złożyć jednostronną deklarację, że jej stanowisko w kwestii wileńskiej nie uległo zasadniczej zmianie. Na tę propozycję Lozoraitis odpowiedział pytaniem, w jaki sposób przyczyni się to do odzyskania Wilna przez Litwę. Mühlstein replikował, że nawiązanie stosunków za

cenę wyrzeczenia się Wilna jest dla Polski nie do przyjęcia. Rozmowa na tym utknęła.

Mimo niepowodzenia rokowań Mühlstein pełen był najlepszych nadziei. Rekapitulując wrażenia z Litwy podkreślał w swym sprawozdaniu: „Przezwrot w opinii litewskiej w stosunku do Polski jest całkowity. Wszyscy sobie zdają sprawę z potrzeby normalizacji stosunków polsko-litewskich, wszyscy tego pragną, ale oczekują jakiegoś gestu ze strony polskiej, który by pozwolił rządowi litewskiemu zrobić ten krok bez narażenia się na zarzut całkowitej kapitulacji”.

Oceny tego rodzaju były jednostronne i przesadzone, odbiegające daleko od stanu rzeczywistego. Chociaż sam minister Lozoraitis był rzecznikiem porozumienia z Polską, to jednak w rządzie, w otoczeniu prezydenta Smetony, przeważała tendencja do kontynuowania, mimo zmienionej sytuacji, dotychczasowego kursu wobec Polski. Nawiązanie stosunków z Polską uważano za niecelowe i niewskazane. Nadal przeważała obawa przed supremacją i wpływami polskimi. Zastanianie się przy tym, jako wygodnym argumentem, sprawą wileńską.

Bardzo trafny wydaje się w tym kontekście komentarz Józefa Albina Herbaczewskiego, który, bynajmniej nie pomniejszając znaczenia polskich wizyt na Litwie, przestrzegał przed wiązaniem z nimi nadmiernych nadziei. W związku z pobytem Prystora w Kownie Herbaczewski pisał: „Sam fakt, że zniechęcony 'Żeligowski' b. premier Aleksander Prystor (nawiasem mówiąc przedwojenny kolega Prezydenta Smetony i wielu innych dygnitarzy kowieńskich) ma prawo bawić w Kownie, że udziela mu audiencji nawet minister [...] jest sensacją osozlamiającą, jeżeli się zważy jeszcze tak niedawno manifestowane nieprzejednane stanowisko rządu litewskiego [...]. Sam fakt, że jednak gadają skrycie, jest epokowym wydarzeniem. Atoli na tym sensacyjnym fakcie nie wolno, moim zdaniem, budować zbyt jutrzniowych nadziei na bliską przyszłość. Zezwolenie na gościnny pobyt A. Prystora w Kownie jest wymowną dywersją, demonstracją w stronę Berlina [...]. Bez zgody germanofilów, którzy siecią tajnych intryg opanowali Związek Wyzwolenia Wilna oraz Związek Szaulisów, rząd wodza narodu Smetony nie ośmielił się na żaden krok, odpowiadający życzeniom Warszawy. Germanofile litewscy, choć w osobie A. Voldemarasa ponieśli chwilową (tak!) klęskę, nie upadli na duchu i skrycie działalność swoją prowadzą [...]”.

Niemniej kontakty i poufne rozmowy były nadal podtrzymywane. We wrześniu 1934 roku Beck spotkał się w Genewie z Lozoraitisem. Ale i tym razem pertraktacje nie dały widocznych rezultatów. Beck odniósł wrażenie, że Litwie chodzi głównie o wzmocnienie swego stanowiska wobec Niemiec. Konkludował jednak, że przynajmniej lody zostały przełamane.

Również w następnych miesiącach nadzieje na uregulowanie

stosunków z Litwą nie słabły. Sprawa ta pozostawała nadal w centrum zainteresowania polskiej dyplomacji. Na przykład w lutym 1935 roku wśród zagadnień wysuwających się na czoło minister Beck wymieniał dwie sprawy: bałtycką i litewską. Stosunkami z Litwą interesował się także marszałek Piłsudski niemal do ostatnich dni swego życia.

Na wiosnę 1935 roku w polskim MSZ znowu dojrzewać zaczęło przekonanie, że chwila rozstrzygnięcia sporu z Litwą już jest bliska. Do takiego wniosku dochodzono przede wszystkim na podstawie raportów Katelbacha. Na początku czerwca 1935 roku minister Beck był już tak pewny rozpoczęcia niebawem oficjalnych rokowań, iż zamierzał powierzyć ich prowadzenie wiceministrowi Janowi Szembekowi, wychodząc z założenia, że z Litwinami rozmawiać musi ktoś z byłego zaboru austriackiego, a więc „nie mający w sprawie litewskiej żadnych historyczno-ideologicznych obciążeń”. Rozważał też kandydatury na przyszłego posła polskiego w Kownie biorąc w pierwszym rządzie pod uwagę Kazimierza Papéego bądź Stanisława Łepkowskiego. Celem spodziewanych rozmów miało być nawiązanie stosunków dyplomatycznych i konsularnych, uregulowanie spraw gospodarczych, komunikacyjnych i pocztowych, uruchomienie spławu na Niemnie. W obliczu mającej nastąpić regulacji stosunków z Litwą Beck wychodził z następujących, ogólnych założeń: „należy zapomnieć o przeszłości, należy zerwać ze wszystkimi obciążeniami w rodzaju koncepcji unijnych itp., a natomiast należy podejść do problemu zupełnie 'na nowo', w duchu następującym: nawiązanie stosunków między obu państwami sąsiadującymi ze sobą, które dotąd żadnych stosunków ze sobą nie utrzymywały”.

Tak wyglądało stanowisko strony polskiej sprecyzowane w MSZ 5 czerwca 1935 roku i drogą poufną przekazane Litwinom. Odpowiedzi i kontrpropozycji z ich strony oczekiwano w najbliższym czasie, dosłownie „lada dzień”. Mijały jednak tygodnie, a za nimi miesiące, a zgoda na oficjalne rozmowy z Litwy nie nadchodziła. W tej sytuacji nasunąć się może pytanie, czyżby polskie MSZ było aż tak źle zorientowane. Dzisiaj, gdy dysponujemy, przynajmniej częściowo, dokumentacją litewską, stwierdzić możemy, że tak nie było. Zwłaszcza litewskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych zdecydowane było wówczas na porozumienie z Polską i dążyło do przeforsowania swego stanowiska wbrew licznym oporom.

Dnia 2 stycznia 1935 roku u prezydenta Smetony odbyła się narada poświęcona sprawom położenia międzynarodowego Litwy, jej polityki zagranicznej, a przede wszystkim kwestii stosunków litewsko-polskich. Ustalona została wówczas ogólna formuła propozycji w stosunku do Polski. W nawiązaniu do narady z 2 stycznia minister Lozoraitis 18 kwietnia przygotował dla prezydenta obszerny memoriał zawierający uzasadnienie niezbędności uregulowania stosunków litewsko-polskich. W dokumencie tym litewski minister spraw zagranicznych dokonał interesującej

analizy podstaw, na jakich dotychczas opierała się antypolska polityka Litwy. „Nasza polityka — stwierdzał memoriał — bazowała na przeświadczeniu o przeciwieństwie Polski z jednej, a Niemiec i Rosji Radzieckiej z drugiej strony; przeciwieństwo, które wydawało się być nie do przewyciężenia”.

Ale mniej więcej od 1932 roku sytuacja zaczęła się zmieniać. „Doszliśmy do takiego położenia — pisał dalej Lozoraitis — że podstawy naszej polityki wobec Polski zmieniły się całkowicie. Mianowicie nasze stosunki z Niemcami przerodziły się w poważny konflikt, zaś z drugiej strony stosunki niemiecko-polskie bardzo się polepszyły. Poprawie uległy również stosunki Polski z Rosją Radziecką”. Grozić to może Litwie bardzo niekorzystnymi następstwami, izolacją bądź nawet wspólnym wystąpieniem przeciwko niej jej wielkich sąsiadów. W tej sytuacji bez zwłoki trzeba szukać dróg wyjścia.

Lozoraitis widział je w porozumieniu z Polską. „Schemat myślenia musi być przy tym następujący — podkreślał on w memoriale — Kłajpedę posiadamy, ale zagraża jej duże niebezpieczeństwo. Wilna nie mamy i nie można mieć nadziei na odzyskanie go w najbliższej przyszłości. W takiej sytuacji powinniśmy bronić Kłajpedy za pomocą tych wszystkich środków, które nie szkodzą naszej pozycji prawnej w kwestii wileńskiej. Walczyć na dwa fronty — w sprawie Wilna i Kłajpedy — nie mamy możliwości dyplomatycznych, nie mówiąc już o militarnych”.

Najważniejsze w memoriale było następujące stwierdzenie: „W takiej sytuacji, jaką mamy obecnie z Niemcami, grozi nam nawet fizyczne niebezpieczeństwo. Dlatego musimy dążyć nie tylko do wyeliminowania zagrożenia ze strony Polski, lecz szukania pomocy Polaków w walce z Niemcami. Są podstawy do twierdzenia, że ofensywa Niemiec wobec Litwy i dalej na obszarze nadbałtyckim byłaby sprzeczna z polskimi interesami. Ale po to, aby Polska przekształciła to swoje nastawienie w przychylną nam politykę — musimy nawiązać z nią kontakt. Generalnie biorąc Polska jest ważnym czynnikiem nie tylko we Wschodniej Europie, ale w całej polityce europejskiej. Dotychczas czynnik ten był nie tylko wyeliminowany z naszej polityki, ale nawet działał przeciwko nam. Teraz, znalazłszy się w niebezpiecznej sytuacji, powinniśmy dążyć do przeciągnięcia Polski na naszą stronę”.

Powyższy tok rozumowania był czymś zupełnie nowym w polityce litewskiej, chociaż dochodzono tylko do oczywistego wniosku, iż dotychczasowa linia postępowania przynosi więcej szkody niż pożytku, zaś kurczowe się jej trzymanie grozić może niebezpieczeństwem dla państwa. Zarysowała się więc całkowita reorientacja polityki zagranicznej Litwy, uwzględniająca zaistniałe realia. W Warszawie można było tylko przyklasnąć tego rodzaju tendencjom, gdyż szły one jak najbardziej po myśli pragnień polskich.

Jednakże nowa tendencja Ministerstwa Spraw Zagranicznych nie zdołała przeważać. Jej słabość, uleganie zewnętrznym nacis-

kom, uwidoczniła się już w samym memoriale. Cechowała go bowiem wewnętrzna sprzeczność, wyraźna rozbieżność między generalnymi założeniami a formułowanymi projektami propozycji wobec Polski. Zostały one sprecyzowane zgodnie z wynikami wspomnianej narady u prezydenta z 2 stycznia 1935 roku. Znalazło się tam żądanie przyłączenia do Litwy Sejn i Puńska na Suwalszczyźnie oraz Podbrodzia i Święcian na Wileńszczyźnie. W rezultacie część linii kolejowej prowadzącej z Wilna na Łotwę przejść miałyby w ręce litewskie. Sprecyzowane było także żądanie ustalenia strefy wolnocłowej na całym obszarze rewindykowanym przez Litwę, a obejmującym Suwałki, Grodno i Wilno. Znajdował się także postulat udzielenia Litwinom na Wileńszczyźnie — komunikacji drogowej i kolejowej oraz łączności pocztowej, zaś na całej pozostałej granicy tylko małego ruchu granicznego, wreszcie na dopuszczenie spławu na Niemnie.

Nie trzeba wdawać się w obszerniejsze uzasadnienie, aby dojść do wniosku, iż rząd polski odrzuciłby tego rodzaju propozycje, gdyby zostały zgłoszone, z tego przede wszystkim względu, że godziły w całość terytorialną Polski, przynosząc w zamian niewspółmiernie małe korzyści. Ale nie zostały one nigdy przedstawione stronie polskiej. Można przypuszczać, iż doszła w ten sposób do głosu różnica zdań pomiędzy ministrem Lozoraitisem i osobami podzielającymi jego poglądy a prezydentem Smetoną i stojącymi za nim przeciwnikami porozumienia z Płoską. Przyjąć trzeba, iż w ostatecznym rachunku przeważało zdanie tej drugiej grupy.

Od końca 1935 roku obserwujemy nową fazę zaostrzenia w stosunkach polsko-litewskich, zanik nadziei na dobrowolne i pokojowe ich uregulowanie. W tym czasie uległ przesileniu konflikt litewsko-niemiecki i Litwa krok za krokiem ustępować zaczęła pod naciskiem Niemców w Kłajpedzie, jednocześnie regulując w pewnym sensie swe stosunki polityczne i gospodarcze z III Rzeszą. W miarę tego zdawały się tracić dla Litwy na znaczeniu pomoc i wsparcie ze strony Polski.

Piotr ŁOSSOWSKI

LISTY DO REDAKCJI

◆
Forest Hills Gardens, N.Y., 5 września 1985.

Szanowny Panie Redaktorze,

W *Zeszytcie Historycznym* nr 73 w odnośniku u dołu strony 51 mojego artykułu pt. „Epilog Polskiej Służby Zagranicznej” zostało podane przez Redakcję moje nazwisko, co robi wrażenie, jak gdybym był autorem książki „Polska Służba Zagraniczna po 1 września 1939 r.”.

Dla uniknięcia jakichkolwiek nieporozumień uprzejmie proszę o zamieszczenie niniejszego sprostowania, że nie jestem autorem tej tak już cennej obecnie pracy, która została opracowana przez zespół b. kolegów z Zarządu ówczesnego Stowarzyszenia Polskiej Służby Zagranicznej w Londynie.

Łączę wyrazy szacunku i serdeczny uścisk dłoni

Michał BUDNY

◆
Londyn, 27 sierpnia 1985.

Wielmożni Państwo,

Zeszyty Historyczne w N-rze 71 opublikowały dokument z roku 1944 „Sprawa ukraińska”.

Na stronie 122 *Zeszytów* dokument ten zawiera następujący fragment:

„Ujawniony dopiero w obecnych warunkach fakt, iż Wasyl Mudryj brał udział w 1929 roku w Kongresie OUN w Wiedniu i wszedł do jego kierownictwa, świadczy o nastawieniu społeczeństwa ukraińskiego do sprawy porozumienia i współpracy z narodem polskim”.

Niniejszym oświadczam, bo wiem to z całą pewnością:

Wasyl Mudryj *nie brał udziału* w Kongresie Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN), nie był jej członkiem i nie był członkiem jej kierownictwa.

Wasył Mudryj (zmarł w roku 1966 w Nowym Jorku) był w latach 1927-1935 naczelnym redaktorem dziennika *Diło* (Lwów), który był pół-oficjalnym organem UNDO (Ukraińskie Nacjonalno-Demokratyczne Objednannia). *Diło* od początku istnienia OUN zajęło krytyczny, potem wręcz negatywny stosunek do działalności tej organizacji, a szczególnie i *Diło* i UNDO z motywów zasadniczych i praktycznych potępiały terrorystyczne metody, stosowane przez OUN.

Wasył Mudryj, zostawszy w roku 1935 prezesem UNDO i prezesem Ukraińskiej Reprezentacji Parlamentarnej w Sejmie Rzeczypospolitej, zainicjował politykę normalizacji stosunków ukraińsko-polskich. Niestety, normalizacja się nie udała: nawet najskromniejsze postulaty strony ukraińskiej nie zostały przyjęte, co stwierdza i dokument „Sprawa ukraińska”.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania

Michał DEMBOWICZ-DOBRIANŃSKI

Drogi Panie Redaktorze,

Skróty redakcyjne mego artykułu pt. „Dzieci Japońskie” (*Zeszyty Historyczne* Nr 73) spowodowały dwa błędy:

1) Przypisek Nr 5 na stronie 164 powinien brzmieć nie „Smith, *op. cit.*, str. 33-55” lecz jako pierwsze podanie źródła — Canfield F. Smith, *Vladivostok under Red and White Rule; Revolution and Counter Revolution in the Russian Far East, 1920-1922.* (Seattle & London: University of Washington Press, 1975), pp. 33-55. *Nota bene* jest to solidna monografia o zmieniającej się w okresie powojennym jak w kalejdoskopie sytuacji politycznej Władywostoku;

2) Periodyk tokijski cytowany w przypisku Nr 8 na stronie 165 nazywa się *The Transactions of the Asiatic Society of Japan*, a nie, jak mylnie podano, „*Translations of the Asiatic Society of Japan*”.

Będę zobowiązany za łaskawe umieszczenie niniejszego sprostowania.

Łączę serdeczne pozdrowienia

Jerzy J. LERSKI

23 października 1985.

Szanowny Panie Redaktorze!

Nawiązując do „Wileńsko-nowogródzkich telegramów — lato 1944” w *Zeszytach Historycznych* nr 73, pragnę uzupełnić początek akapitu u dołu strony 111, który uległ zniekształceniu. Powinien brzmieć jak następuje:

„W zasadzie Oddział Specjalny był autorem wszystkich szyfrów używanych pomiędzy KG i poszczególnymi dowództwami krajowymi, ale nie znał on kluczy do tych szyfrów używanych pomiędzy KG i poszczególnymi dowództwami krajowymi. Dlatego telegramy przechodnie nie były 'z miejsca' czytelne w Oddz. Specjalnym”.

Pozostaję z szacunkiem

Z. S. SIEMASZKO

SPIS TREŚCI

Ks. Stefan kardynał Wyszyński: <i>W stulecie Powstania Styczniowego</i>	3
Jolanta Strzelecka: <i>Proces gdański</i>	8
Jan Skórzyński: <i>Upadek rad robotniczych</i>	21
Janusz K. Zawodny: <i>Prezydent Roosevelt w Jaltcie: profil politycznej arogancji</i>	30
Jan Nowak: <i>Polityka amerykańska wobec kraju i emigracji w latach zimnej wojny</i>	40
Emanuel Halicz: <i>„Le Nord” o konflikcie rosyjsko-polskim i o jego perspektywach</i>	58

RELACJE

Adam Michnik: <i>KOR i Solidarność</i>	67
Tyle: <i>Za olzie</i>	107

DOKUMENTY

Jan Ciechanowski: <i>Kluczowa rozmowa (Stalin - Romer, 26/27 luty 1943)</i>	115
Konferencja gen. Sikorskiego w Bejrucie 23 kwietnia 1943	139
Jan Ciechanowski: <i>Ostatnia wypowiedź Sikorskiego</i>	139
<i>Protokół z konferencji</i>	141
<i>Ucieczka Mikołajczyka z PRL w 1947 roku</i>	149

RECENZJE

Piotr Wandycz — Janusz K. Zawodny: <i>Dwugłos o książce Jana Karskiego „Wielkie mocarstwa a Polska 1919-1945”</i>	158
Grażyna Pomian: <i>Konspira</i>	178
Benedykt Heydenkorn: <i>Dramatyczna wymowa dokumentów</i>	185
Wacław Jędrzejewicz: <i>O Piłsudskim, Legionach i POW w PRL</i>	192
Janusz K. Zawodny: <i>Kobiety Armii Krajowej</i>	201
Józef Czapski: <i>Dzieci</i>	205
<i>Książki o tematyce historycznej w Bibliotece „Kultury”</i> ..	206

OKRUCHY HISTORII

S. W. Rawicz: <i>Uzupełniający wykaz polskich komunistów represjonowanych w ZSSR</i>	208
Piotr Łossowski: <i>Stosunki polsko-litewskie</i>	230

LISTY DO REDAKCJI

Michał Budny: <i>Sprostowanie do artykułu „Epilog Polskiej Służby Zagranicznej” (Zeszyty Historyczne nr 73)</i> ..	237
Michał Dembowicz-Dobriański: <i>Kilka uzupełnień do biografii Wasyla Mudrego (patrz Zeszyty Historyczne nr 71 — artykuł „Sprawa ukraińska”)</i>	237
Jerzy J. Lerski: <i>Sprostowanie do not przy artykule „Dzieci japońskie” (Zeszyty Historyczne nr 73)</i>	238
Z. S. Siemaszko: <i>Uzupełnienie do artykułu „Wileńsko-nowogródzkie telegramy — lato 1944” (Zeszyty Historyczne nr 73)</i>	238

Achévé d'imprimer le 22 novembre 1985

sur les presses de l'Imprimerie Richard, 24, rue Stephenson, Paris 18^e.

Dépôt légal : 4^e trimestre 1985.

N^o d'imprimeur 7283.

Dar
Instytut Polski
w Sztokholmie

